

C. J. CHERRYH

Gasnące Słońce: Kesrith

Tłumaczył Michał Jakuszewski

The Faded Sun: Kesrith

Data wydania oryginalnego - 1978

Data wydania polskiego - 1994

Dla DONA WOLLHEIMA

z wyrazami szczególnego uznania

Rozdział 1

Dziecię wiatru, dziecię słońca, któż to Kath?

Dzieci rodzą, śmiech przynoszą, oto Kath

Była to gra, shon'a, polegająca na rzucaniu do siebie przedmiotami.

Grano w nią

w

stylu Kel, w mrocznej, okrągłej komnacie tej kasty, w środkowej wieży Domu.

Mężczyźni w

czarnych szatach i jedna tak samo odziana kobieta siedzieli w

dziesięcioosobowym

kręgu.

Wojownicy nie grali tak, jak dzieci - parą kamieni - lecz przy użyciu wirujących

sztyletów

as'ei, które mogły zranić bądź zabić. W takt padających nazw kast

strzelano

palcami, as'ei

frunęły ponad kręgami siedzących graczy i zręcznie dłonie chwytały

rękojeści w

połowie

obrotu, by zdążyć odrzucić noże w chwili, gdy padnie następne,

wyznaczające rytm

hasło.

Dziecię ognia, dziecię gwiazdy, któż to Kel?

Miecze noszą, pieśni snują, oto Kel.

Grali bez słów, kierując się jedynie rytmem swych dłoni i broni,

ciała i stali.

Był on

stary jak czas i znajomy jak dzieciństwo. Gra posiadała znaczenie

głębsze niż

same ruchy czy

prosty tekst. Nazywano ją Grą Ludu.

Dziecię świtu, dziecię ziemi, któż to Sen?

Runy tworzą, domem rządzi, oto Sen.

Kel'en, który się wzdrygał, którego zawodził wzrok, lub który nie

potrafił

skupić

uwagi, nie miał wartości dla Domu. Chłopcy, dziewczęta i kobiety z

Kath grali

przy użyciu

kamieni, by opanować tę sztukę. Ci, którzy zostali kel'ein, grali od

tej chwili

ostrą stalą.

Członkowie Kel, podobnie jak matki i dzieci z łagodnej kasty Kath,

śmiali się

podczas gry.

Wiedli życie krótkie i jasne, niczym ómy. Wiedząc o tym, radowali się nim.

Dziecię wtedy, dziecię teraz, któż to my?

Snów szukamy, życie niesiemy, zwań nas...

Odgłos otwieranych drzwi poniósł się echem po pustych przestrzeniach i głębiach

wieży. Sen Sathell wtargnął pomiędzy nich nagle, bez ostrzeżenia czy

wyrazów  
uprzejmości.  
Rytm uległ przerwaniu. Noże spoczęły w dłoniach Niuna, najmłodszego kel'ena.  
Całe  
Kel pochyliło głowy na znak szacunku dla Sathella s'Delas, przywódcy Sen -  
uczonych. Jego  
złota szata wniosła światło do mrocznej komnaty wojowniczej kasty Kel. Był  
bardzo stary -  
najstarszy mężczyzna w całym domu.  
- Kel'anthu - odezwał się cichym głosem, zwracając się do Eddana, swego  
odpowiednika w Kel - i wy, kel'ein. Nadeszły wieści. Pogłoski, że  
wojna się  
skończyła.  
Regule poprosili ludzi o pokój.  
Zapadła absolutna cisza.  
Nagły ruch. As'ei zafurkotały i zatopiły ostrza w malowanym tynku  
przeciwległej  
ściany.  
Najmłodszy kel'en podniósł się i zasłonił twarz, po czym oddalił się  
dumnym  
krokiem, pozostawiając za sobą wstrząśniętych zebranych.  
Sen'anth i kel'anth popatrzyli na siebie nawzajem - starzy mężczyźni,  
kuzyni,  
bezradni w swej niedoli.  
Jeden z dusei - brązowa bryła o pochyłych barkach, większa od  
mężczyzny -  
poruszył  
się w najgłębszym mroku, podniósł i wyszedł powoli w światło, w  
posepny,  
roztargniony  
sposób charakterystyczny dla swego gatunku. Przepchnął się  
lekceważąco między  
obydwoma  
członkami starszyny i szturchnął swą masywną głową kel'antha, który  
był jego  
panem,  
szukając pocieszenia.  
Kel'anth Eddan poklepał zwierzę gładkimi ze starości palcami i  
podniósł wzrok na  
starego uczonego, który - poza podziałami kasty i obowiązków - był  
jego  
przyrodnim bratem.  
- Czy ta wiadomość jest na pewno prawdziwa? - zapytał z wyczuwalnym  
wciąż w  
głosie śladem nadziei.  
- Tak jest. Jej źródłem są oficjalne środki przekazu reguli, a nie  
krujące po  
mieście  
pogłoski. Wydaje się całkowicie pewna.  
Sathell owinał się szata, wepchnął sobie materię pomiędzy kolana i  
usiadł na  
podłodze  
wśród kel'ein, którzy odsunęli się na bok, by zrobić dla niego  
miejsce w swym  
kręgu.  
Tych dziesięcioro, i jeszcze jedna osoba, stanowiło starszyny Domu.  
Byli mri.  
W swym języku, gdy wypowiadali to zdanie, mówili po prostu, że należą  
do Ludu, a  
więc są ludźmi. Słowo, którego używali na określenie innych gatunków,

tsi'mri,  
znaczyło  
niehumaniczne. Była to kwintesencja filozofii i religii ich rasy, a  
zarazem  
osobistego nastawienia  
starszyzny.  
Cały ich gatunek wyróżniał się barwą o złocistym odcieniu. Legendy  
mri  
opowiadały,  
że Lud narodził się ze słońca. Ich skóra, oczy, szorstkie, sięgające  
ramion  
grzywy - wszystko  
to było koloru brązu lub złota. Dłonie i stopy mieli wąskie i długie.  
Byli  
wysoką, smukłą rasą.  
Zmysły, nawet w podeszłym wieku, mieli nadzwyczaj sprawne. Szczególną  
wrażliwością  
odznaczał się słuch. Złociste oczy chroniły powieki - dwie warstwy,  
gdyż migotka  
odruchowo  
osłaniała je przed nawiewanym pyłem.  
Obcy uważali ich za gatunek wojowników i najemników, gdyż stykali się  
oni z Kel,  
rzadko z Sen, nigdy zaś z Kath. Mri wynajmowali się obcym na służbę.  
Służyli  
regulom -  
masywnym kupcom tsi'mri wywodzącym się z Nuragu, planety gwiazdy Mab.  
Przez  
wiele  
stuleci kel'ein z ich gatunku wynajmowali się jako ochrona dla  
międzyświatowego  
handlu  
reguli. Zwykle regulskie kompanie używały ich w charakterze obrony  
przed  
ambicjami i  
bezwzględnością konkurentów. Z tego powodu mri walczyli przeciwko  
mri. Owe lata  
i owa  
służba były dobre dla Ludu, gdyż kel'en służący jednym mierzył swe  
siły z  
kel'ennem  
służącym drugim w zgodnej z zasadami i tradycją walce, tak jak działo  
się  
zawsze. Podobne  
bojowe próby doskonaliły siłę Ludu, eliminowały słabych i nieudolnych  
oraz  
oddawały honor  
silnym. W owych dniach będący tsi'mri regule rozumieli fakt, że nie  
nadają się  
do walki i nie  
potrafią planować strategii, i rozsądnie pozwalali, by kasta Kel  
rozwiązywała  
wszystkie  
konflikty na sposób swego gatunku.  
Przez ostatnie czterdzieści lat jednak mri służyli wszystkim regulom  
w walce  
przeciwko wszystkim ludziom. Był to zawzięty, odrażający konflikt, w  
którym brak  
było  
honoru czy jakiegokolwiek satysfakcji czerpanej z walki z  
nieprzyjacielem.  
Starszyzna mri  
pamiętała jeszcze dawne życie i wiedziała, jakie zmiany przyniosła  
wojna. Nie

była z nich  
zadowolona. Ludzie byli walczącymi w grupie zwierzętami stadnymi,  
które po  
prostu nie  
rozumiały żadnych innych metod prowadzenia wojny. Walczący w  
pojedynek mri  
żywili  
takie podejrzenie już od początku, poddali je próbie, składając w  
ofierze własne  
życie, i ku  
swemu rozgoryczeniu przekonali się, że to prawda. Ludzie odrzucali  
a'ani,  
honorową walkę,  
nie przyjmowali wyzwania i nie rozumieli nic poza własną metodą  
polegającą na  
sianiu  
powszechnego zniszczenia.  
Mri dostosowali się, nauczyli ludzkich zwyczajów, zaczęli rozumieć  
nieprzyjaciela i  
modyfikować odpowiednio swe działania oraz zasady służby u reguli. W  
sprawach  
walki byli  
zawodowcami. Innowacje w zakresie yin'ei, starożytnych broni  
używanych w a'ani,  
byłyby  
niehonorowe i niewyobrażalne, lecz w obrębie zahen'ei, nowoczesnych  
broni,  
stanowiły po  
prostu zmianę narzędzi oraz dostosowanie metod - kwestia kompetencji  
w zawodzie,  
który  
stanowił źródło ich utrzymania.  
Niestety regule nie potrafili równie skutecznie przystosować się do  
nowej  
taktyki.  
Mieli oni rozległe i dokładne wspomnienia. Nie potrafili zapomnieć  
tego, co  
zawsze się  
wydarzało, i - z drugiej strony - niemal nie byli w stanie wyobrazić  
sobie tego,  
co nie  
wydarzyło się dotąd nigdy i nie układali planów z myślą o podobnej  
możliwości.  
Do tej pory  
całkowicie polegali na mri w sprawach dotyczących swego osobistego  
bezpieczeństwa i  
umiejętności przewidywania, która cechowała mri - gdyż ten gatunek  
posiadał  
wyobraźnię -  
chroniła ich i rekompensowała tę ślepotę reguli na nieoczekiwane.  
Ostatnio  
jednak, gdy  
wojna zaczęła pochłaniać także życie samych reguli i zagrażać ich  
własności,  
przejęli oni  
sprawy we własne, niewprawne ręce. Wydawali rozkazy - we własnym  
mniemaniu  
roztropne  
- podjęcia działań pod względem militarnym niemożliwych do  
zrealizowania.  
Mri próbowali je wykonać, w imię honoru.  
I ginęli tysiącami, w imię honoru.  
W Domu, na tym świecie, mieszkało ich tylko trzynaścioro. Dwoje było  
młodych,

zaś  
resztę stanowili twórcy polityki, rada starszych, weterani. Wiele  
stuleci temu  
liczebność  
Domu wynosiła ponad dwa tysiące w samym Kel. We współczesnej epoce  
wszyscy z  
nich,  
oprócz tej garstki, wyruszyli na wojnę, by umrzeć.  
I wojna ta zakończyła się porażką, z winy reguli, którzy poprosili  
ludzi o  
pokój.  
Sathell rozejrzał się wokół, spoglądając na tych starców - kel'ein,  
których  
życie trwało  
dłużej niż ich lata służby i których wspomnienia dawały im pod  
niektórymi  
względami  
perspektywę sen'ein. Byli oni Mężami she'pan i nauczycielami sztuki  
walki,  
dopóki mieli  
jeszcze dzieci z Kath, które mogliby uczyć. Siedziała tam też Pasev,  
jedyna  
ocalała kel'e'en w  
Domu, której umiejętności w yin'ein ustępowały jedynie umiejętnościom  
samego  
Eddana.  
Byli tam Dahacha i Sirain z Nisrenu i Palazi, Quaras oraz Lieth z  
Guragenu,  
którego Dom był  
już martwy. Znaleźli oni azyl u Matki tego Domu i zostali  
zaadoptowani przez nią  
jako  
Mężowie. Z jeszcze innego martwego Domu pochodzili Liran i Debas -  
prawdziwi  
bracia.  
Stanowili oni część epoki, która już odeszła, czasów jakich Lud nigdy  
już nie  
zobaczy. Sathell  
czuł ich smutek. Wyczuwał jego odbicie u zwierząt zbitych w gromadkę  
w mroku.  
Dus  
Eddana - którego gatunek podobno nigdy nie zaprzyjaźniał się z żadną  
kastą poza  
wojownikami z Kel - obwachał krytycznie złote szaty uczonego i  
pozwolił mu się  
dotknąć, po  
czym przysunął nieco bliżej swe wielkie cielsko - pomarszczone zwały  
tłuszczu  
pokryte  
delikatnym futerkiem - bezwstydnie akceptując wyrazy uczuć tam, gdzie  
mu je  
okazywano.  
- Eddanie - mówił Sathell, głaszcząc miękkie barki zwierzęcia - muszę  
ci także  
powiedzieć, iż jest bardzo prawdopodobne, że nasi pracodawcy oddadzą  
ten świat,  
jeśli ludzie  
zażądata tego jako jednego z warunków pokoju.  
- To byłoby - odrzekł Eddan - bardzo poważne ustępstwo.  
- Zgodnie z tym, co słyszeliśmy, wcale nie. Krążą pogłoski, że  
regulscy władcy  
są w  
pełnym odwrocie, zaś ludzie uzyskali przewagę na całym froncie i  
osiągnęli teraz

pozycje, z  
których mogą dotrzeć do wszystkich spornych terytoriów. Zdobyli Elag.  
Zapadła cisza. Gdzieś w wieży trzasnęły drzwi. Wreszcie Eddan  
poruszył  
szczupłymi  
palcami w geście stanowiącym odpowiednik wzruszenia ramionami.  
- W takim razie ludzie z pewnością zażądadają tego świata. Jest bardzo  
niewiele  
rzeczy,  
do których się nie posuną w swym pragnieniu zemsty. A regule  
pozostawili nas bez  
osłony  
przed nią.  
- To niewiarygodne - stwierdziła Pasev. - Bogowie! Nie było potrzeby,  
najmniejszej  
potrzeby, by regule opuścili Elag. Lud mógłby go obronić, mógłby  
odeprzeć ludzi,  
gdyby  
dano mu sprzęt.  
Sathell wykonał bezradny gest.  
- Być może. Ale obronić dla kogo? Regule wycofali się i zabrali  
wszystko, co  
było  
niezbędne do obrony. Wyprowadzili statki pod swoją eskortą. Teraz my  
- Kesrith -  
staliśmy  
się granicą. Masz rację. Jest bardzo prawdopodobne, że regule również  
tutaj nie  
będą stawiać  
oporu. W gruncie rzeczy nie byłoby to rozsądne. Zrobiliśmy więc  
wszystko, co  
mogliśmy.  
Radziliśmy i ostrzegaliśmy, a jeśli nasi pracodawcy nie chcieli  
skorzystać z  
tych rad, nie  
możemy uczynić wiele więcej niż osłaniać ich odwrót, skoro nie możemy  
go przed  
nim  
powstrzymać. Wbrew naszym radom sami przejęli dowodzenie działaniami  
wojennymi.  
To  
oni przegrali wojnę, nie my. Przestała ona być naszą już kilka lat  
temu. Nie  
jesteście niczemu  
winni, kel'ein. Macie prawo tak sądzić. Po prostu nie istnieje już  
nic, co  
moglibyśmy zrobić.  
- Kiedyś coś takiego było - nie ustępowała Pasev.  
- Sen wielokrotnie próbowali przemówić naszym pracodawcom do rozumu.  
Ofiarowaliśmy im swe usługi oraz rady zgodnie ze starożytnym  
traktatem. Nie  
mogliśmy... -  
mówiąc, Sathell usłyszał dobiegający z dołu odgłos kroków młodzieńca  
i ten hałas  
zakłócił  
tok jego myśli. Mimowolnie spojrział w stronę korytarza, gdy drzwi na  
dole  
zamknęły się z  
wielką gwałtownością. Ich dźwięk poniósł się echem po całym Domu.  
Obrzucił Kel  
strapiionym spojrzeniem. - Czy jeden z was nie powinien przynajmniej  
pójść  
spróbować z nim  
porozmawiać?

Eddan wzruszył ramionami, zakłopotany. Podważono jego autorytet. Sathell zdawał sobie z tego sprawę. Z uwagi na pokrewieństwo i przyjaźń pozwolił sobie, wypowiadając te słowa, na znaczne przekroczenie granic tego, co dopuszczalne. Kochał Niuna. Wszyscy oni go kochali. Jednakże autonomia Kel w sprawach dotyczących dyscypliny jego członków była święta, nawet gdy dochodziło do pomyłek. Jedynie Matka miała prawo ingerencji w zakres kompetencji Eddana.

- Niun miał pewien drobny powód, nie sądzisz? - zapytał cicho Eddan.

- Ćwiczył przez całe życie z myślą o tej wojnie. Nie wychował się według starych zwyczajów, jak my, a teraz nie będzie również mógł żyć według nowych. Odebrałeś mu coś. Co, twoim zdaniem, powinien uczynić, senie Sathellu?

Sathell pochylił głowę. Nie mógł spierać się o to z Eddanem. Dostrzegał prawdę w jego słowach, gdy próbował spojrzeć na sprawy tak, jak patrzyłby na nie młody kel'en.

Członkom Kel nie można było niczego wytłumaczyć, przekonać ich poprzez debatę, że się myła, czy też oczekiwać od nich zdolności przewidywania. Kel'ein byli dziećmi dnia dzisiejszego, krótko żyjącymi i porywczymi. Nie znali wczoraj ani jutra. Ich ignorancja była ceną, jaką musieli płacić za swobodę opuszczania Domu i wędrowania pomiędzy tsi'mri.

Znali swe miejsce. Jeśli sen'en w rozmowie z nimi uciekał się do argumentów, musieli po prostu pochylić głowę i zachować milczenie. Brak im było wiedzy, by mu odpowiedzieć.

Ponadto zniszczenie spokoju ich ducha było czynem niegodziwym, gdyż wiedza połączona z beziłą była czymś szczególnie gorzkim.

- Myślę, że powiedziałem wam już - oznajmił wreszcie Sathell - wszystko, co w tej chwili wiem o dotyczących was sprawach. Jeśli nadejdą nowe wieści, powiadomię was natychmiast.

Podniósł się w zupełnej ciszy i wygładził swe szaty, z uwagą unikając odruchowego uchwytu dusa. Zwierzę próbowało złapać go za kostkę. Choć nie zamierzało wyrządzić mu krzywdy, z łatwością mogło to uczynić. Nikt, kto nie był kel'enem,

nie powinien  
obchodzić  
się poufale z dusei. Zatrzymał się i spojrział na Eddana, który  
dotknięciem  
skarcił zwierzę i  
uwolnił kuzyna.  
Sathell ominął chyłkiem potężną łapę i po raz ostatni obrzucił  
spojrzeniem  
Eddana,  
ten jednak odwrócił wzrok, udając, że odejście sen'antha już go nie  
interesuje.  
Sathell nie  
chciał naciskać na niego publicznie. Znał swego przyrodniego brata i  
wiedział,  
że poczuł się  
on urażony właśnie ze względu na łączące ich uczucie. Oficjalnie  
dzieliła ich od  
siebie  
starannie wytyczona linia. Tak musiało być w przypadku, gdy kuzyni  
należeli do  
różnych  
kast. Chroniło to dumę niżej postawionego.  
Obdarzył pozostałych formalnym pokłonem, po czym wyszedł. Cieszył  
się, że  
opuścił  
tę ponurą komnatę, gdzie powietrze ciężkie było od gniewu  
sfrustrowanych  
mężczyzn oraz  
dusei, których wściekłość narastała wolniej, lecz była bardziej  
gwałtowna. Czuł  
jednak ulgę,  
że wysłuchali wszystkiego, co powiedział. Nie dojdzie do żadnych  
aktów przemocy,  
żadnych  
nierozsądnych postępów, które były najgorszym, czego należało się  
obawiać ze  
strony Kel.  
Byli starzy i dlatego mogli debatować w grupach i radzić się sobie  
nawzajem.  
Młody kel'en  
był samotnym wojownikiem, lekkomyślnym i pozbawionym perspektyw.  
Zastanowił się, czy nie pójść za Niunem, nie wiedział jednak, co mu  
powiedzieć,  
gdyby go znalazł. Jego obowiązkiem było zdać sprawę komu innemu.  
Gdy drzwi się zamknęły, postarzała Pasev, kel'e'en, weteranka Nisrenu  
i  
pierwszego  
zdobycia Elagu, wyciągnęła as'ei z roztrzaskanego tynku i zbyła słowa  
sen'antha  
wzruszeniem ramion. Przeżyła więcej lat i widziała więcej walk niż  
jakikolwiek  
żyjący  
wojownik oprócz samego Eddana. Mimo to brała udział w grze, podobnie  
jak oni  
wszyscy, w  
tym również kel'anth. Śmierć podczas shon'ai była równie honorowa,  
jak  
poniesiona w  
walce.  
- Dokończmy grę - odezwała się.  
- Nie - odparł stanowczo Eddan. - Nie. Nie w tej chwili.  
Mówiąc, spojrział jej w oczy. Odwzajemniła otwarcie jego spojrzenie -  
postarzała  
kochanka, postarzała rywalka, postarzała przyjaciółka. Jej szczupłe



palce  
pogłaskały cienkie,  
stalowe ostrze, przyjęła jednak rozkaz.  
- Tak jest - odparła. As'ei przeniknęły obok barku Eddana, by wbić się w  
namalowaną  
mapę Kesrith ozdabiającą wschodnią ścianę.  
- Kel'ein znieśli tę wiadomość - powiedział sen Sathell - z większą  
powściągliwością  
niż się spodziewałem. Niemniej jednak nie ucieszyli się z niej. Czuja się  
oszukani. Uważają to  
za zniewagę dla swego honoru. A Niun wyszedł. Nie chciał nawet  
wysłuchać mnie do  
końca.  
Nie wiem dokąd się udał. Jestem zaniepokojony.  
She'pan Intel. Pani Matka Domu i Ludu odchyliła się do tyłu na swych  
licznych  
poduszkach, nie zważając na ukłucie bólu. Był on jej starym znajomym.  
Towarzyszył jej już  
od czterdziestu trzech lat, od chwili, gdy utraciła jednocześnie siłę  
i urodę w  
płomieniach  
ogarniętego pożarem Nisrenu. Już wtedy nie była młoda. Już wtedy była  
she'pan  
ojczystego  
świata, rządząca wszystkimi trzema kastami Ludu. Miała najwyższą  
rangę pośród  
Sen,  
wyższą niż sam Sathell. Stała też ponad pozostałymi she'panei - tymi  
nielicznymi, które żyły  
jeszcze. Znała Tajemnice, które były niedostępne dla innych, oraz  
nazwę Świętego  
i Bogów.  
Pod jej opieką znajdowały się Pana - Czczone Przedmioty. Znała swój  
naród na  
wskroś.  
Wiedziała, gdzie się narodził i jakie jest jego przeznaczenie.  
Była she'pan umierającego Domu, najstarszą Matką umierającego  
gatunku. Kath -  
kasta dzieci i tych, które je rodziły - była martwa. W jej zamkniętej  
od  
dwunastu lat wieży  
panowała ciemność. Ostatnią spośród kath'ein dawno już pochowano w  
urwiskach  
skalnych  
Sil'athen, zaś ostatnie dzieci, nie mające innej matki niż Intel,  
odeszły na  
spotkanie  
przeznaczenia. Liczebność jej Kel spadła do dziesięciu, zaś Sen...  
Sen znajdowało się przed nią: Sathell, najstarszy, sen'anth, którego  
słabe serce  
wciąż  
trzymało go o jedno uderzenie od Mroku, oraz dziewczyna siedząca w  
tej chwili u  
jej stóp.  
Nosili złote szaty. To była najwyższa kasta - niosący światło. Jej  
własne szaty  
były białe, nie  
splamione czarnymi, niebieskimi i złotymi obramowaniami noszonymi  
przez niższe  
ranga  
she'panei. Ich wiedza była niemal kompletna, lecz jej była całkowita.  
Jeśli jej

serce  
przestałoby w tej chwili bić, Lud utraciłby bardzo wiele, tak niewyobrażalnie wiele. Strasznie było myśleć, jak dużo zależało od każdego uderzenia jej pulsu i każdego oddechu, którym towarzyszył tak straszny ból. Uratowanie Domu i Ludu przed zagładą. Dziewczyna Melein podniosła ku niej wzrok - ostatnia ze wszystkich dzieci, Melein s'Intel Zain-Abrin, która ongiś była kel'e'en. Od czasu do czasu odzywała się w niej jeszcze gwałtowność Kel, choć nosiła szaty Sen i zachowywała cnotliwość oraz pogodę ducha cechujące tę kastę uczonych, choć lata przyniosły jej nowe umiejętności, jej umysł zaś daleko wykroczył poza prostotę kel'e'en. Intel strzepnęła w pieszczotliwym geście kurz z ramienia Melein.  
- Cierpliwości - poradziła, widząc jej niepokój, wiedziała jednak, że jej rada pod każdym względem zostanie odrzucona.  
- Pozwól mi odnaleźć Niuna i porozmawiać z nim - poprosiła Melein. Brat i siostra - Niun i Melein - byli ze sobą blisko, mimo że rozdzielały ich prawo, rozkazy she'pan, kasta oraz obyczaj. Byli kel'enem i sen'e'en, mrokiem i jasnością, Ręką i Umysłem, lecz biły w nich takie same serca i płynęła taka sama krew. Intel pamiętała parę, która obdarzyła ich życiem - jej najmłodszego i najbardziej ukochanego Męża oraz kel'e'en z Guragenu. Oboje już nie żyli. To jego twarz i jego oczy, które sprawiały, że żałowała cnotliwości she'pan, wróciły do niej w Melein i Niunie. Pamiętała, że on również był obdarzony silną wolą, porywczy oraz inteligentny. Być może Melein nienawidziła jej. Nie przyjęła z zadowoleniem rozkazu opuszczenia Kel i przejścia do Sen. W tej chwili jednak nie było w niej woli oporu, choć she'pan szukała jej oznak, a jedynie niepokój i naturalny smutek wywołany bólem brata.  
- Nie - odparła ostro Intel. - Powiedziałam ci, żebyś zostawiła go w spokoju.  
- Może zrobić sobie krzywdę, she'pan.  
- Nie robi. Nie doceniasz go. On cię teraz nie potrzebuje. Nie jesteś już jedną z Kel, a

watpię, by chciał w tej chwili spotkać się z kimś spośród Sen. Co mogłabyś mu powiedzieć?  
Jak byś mu odpowiedziała, gdyby zadawał ci pytania? Czy mogłabyś zachować milczenie?  
To był dobrze wymierzony cios.  
- Chciał opuścić Kesrith sześć lat temu - odparła Melein z oczyma jasnymi od nie przelanych łez. Być może broniła teraz nie tylko sprawy brata, lecz również własnej. - Nie pozwoliłaś mu na to, a teraz jest za późno, she'pan. Jedyna szansa umknęła. Jaki los może sobie wyobrażać? Cóż może go czekać?  
- Oddaj się rozmyślaniom nad tymi sprawami - odparła Intel - i przekaż mi wnioski, do których dojdiesz, sen Melein s'Intel, po poświęceniu na medytację całego dnia i całej nocy. Nie wtrącaj się jednak ze swymi radami w prywatne sprawy kel'ena. Nie traktuj go też jak swego brata. Sen'e'en nie ma innych kuzynów, jak cały Dom i Lud. Melein podniosła się i spojrzała w dół na Intel. Pierś falowała jej, gdy próbowała zaczerpnąć tchu. Piękna była ta jej córka. Ujrzawszy ją w tym momencie, Intel zdumiała się, jak bardzo Melein, która nie była z jej krwi, stała się tym, co ongiś obiecywała jej własna młodość. Dostrzegła lustrzane odbicie siebie z czasów przed upadkiem Nisrenu, przed zniszczeniem Domu i jej nadziei. Ten widok zranił ją. W tej chwili dostrzegła sen'e'en wyraźnie i poznała ją taką, jaką była naprawdę. Bała się jej i kochała ją zarazem. Melein, której jej śmierć nie okryłaby raczej żałobą. Stworzyła ją taką celowo, poprzez jedno wydarzenie za drugim - swą córkę nie wywodzącą się z jej ciała, swe dziecko, swą Wybranę, uformowaną w Kath, Kel i Sen, mającą udział w Tajemnicach wszystkich kast Ludu. Która jej nienawidziła.  
- Naucz się cierpliwości - poradziła jej szczerze, spokojnym, cichym głosem, który z trudem przebił się przez gniew jej rozmówczyni. - Naucz się być jedną z Sen, Melein. Spraw, by stało się to dla ciebie ważniejsze niż wszystkie twoje pragnienia. Młoda sen'e'en z drzeniem wypuściła z siebie powietrze. Łzy widoczne w jej oczach wypłynęły na policzki. Na razie pokrzyżowano jej plany. Na chwilę znowu stała

się  
dzieckiem, lecz dziecko to było niebezpieczne.  
Intel zadrżała. Przeczynała, że Melein ją przeżyje i wycisnie na  
świecie jej  
piętno.  
Rozdział 2  
Świat podzielony był na dwie części. Linie owego podziału wytyczała  
grobla z  
białej  
skały. Po jednej stronie, u jej dolnego końca, przebywali  
kesrithańscy regule,  
mieszkańcy  
miast, znani z powolnych ruchów i długiej pamięci. Nizinne miasto w  
całości  
należało do  
nich: spleśnione, rozległe budynki, port, handel międzygwiazdny,  
kopalnie  
pokrywające  
bliznami ziemię oraz stacja uzdatniająca wodę z Morza Zasadowego.  
Kraj ten nosił  
nazwę  
Dusowej Równiny, zanim jeszcze regule przybyli na Kesrith. Mri o tym  
pamiętali.  
Z tego  
właśnie powodu unikali go - ze względu na respekt dla dusei. Regule  
jednak  
uparli się, że  
wybudują swe miasto właśnie tam i dusei odeszły.  
Wyżej, wśród dzikich wzgórz, na drugim końcu grobli, znajdowała się  
wieża mri.  
Wyglądała jak cztery przycięte od góry stożki wznoszące się z rogów  
podstawy w  
kształcie  
trapezu. Pochyłe ściany zbudowano z jasnej ziemi nizin, poddanej  
obróbce i  
utwardzonej. To  
był Edun Kesrithun, Dom Kesrithański, będący domem mri z tej planety  
i - ze  
względu na  
Intel - również wszystkich mri w szerokim wszechświecie.  
Z punktu obserwacyjnego, który zajął samotny i gniewny Niun, można  
było dostrzec  
większą część kesrithańskiej cywilizacji. Często przychodził na tę  
najwyższą  
położoną część  
grobli, do tej niedostępnej skalnej ambony, która oparła się drodze  
reguli i  
sprawiła, że  
zrezygnowali oni ze swych planów doprowadzenia traktu aż pomiędzy  
wysokie  
wzgórza i  
dokonali inwazji na sanktuarium Sil'athen. Niun lubił to miejsce ze  
względu na  
jego  
znaczenie i piękny widok. Miasto reguli oraz edun mri - dwie bardzo  
małe blizny  
na ciele  
białej ziemi - znajdowały się na dole. Wyżej, między wzgórzami i poza  
nimi,  
można było  
znaleźć jedynie regulskie automaty, które wydobywały z ziemi minerały  
i  
dostarczały swym  
budowniczym tego, co było powodem ich przebywania na Kesrith. Były

tam też  
dzikie  
stworzenia - właściciele świata w czasach przed nadejściem reguli i  
mri - oraz  
dusei o  
powolnych ruchach, które ongiś stanowiły najwyższą formę życia na  
Kesrith.  
Niun usiadł na wznoszącej się ponad światem skale, pogrążony w  
ponurych myślach.  
Pałał do tsi'mri znacznie większą nienawiścią niż ta żywiona zwykle  
przez mri  
dla obcych.  
Miał dwadzieścia sześć lat według rachuby Ludu, której nie wyznaczały  
obrotu  
Kesrith wokół  
Arain ani też Nisrenu czy dwóch pozostałych planet, które Lud nazywał  
światami  
ojczystymi  
w okresie objętym pamięcią przez pieśni Kel.  
Niun był znacznego wzrostu, nawet jak na swój rodzaj. Na jego wysoko  
osadzonych  
kościach policzkowych widniały seta'al, potrójne blizny jego kasty,  
zabarwione  
na niebiesko  
i niemożliwe do usunięcia. Oznaczały one, że był pełnoprawnym  
członkiem Kel,  
ręki Ludu.  
Jako członek tej kasty chodził spowity od kołnierza aż po cholewy  
butów w szaty  
koloru  
niczym nie urozmaiconej czerni. Ponadto czarna zasłona oraz ozdobione  
chwastami  
nakrycie  
głowy - mez i zaidhe - ukrywały wszystko oprócz czoła i oczu przed  
wzrokiem  
obcych, jeśli  
postanowił się z nimi spotkać. Na zaidhe znajdowała się też czarna,  
przejrzysta  
chusta, która  
mogła połączyć się z zasłoną podczas burzy piaskowej lub w chwili,  
gdy czerwona  
Arain  
osiągała swój nieprzyjemnie gorący zenit. Był mężczyzną i jego twarz,  
podobnie  
jak myśli,  
uważano za element jego tożsamości, którego ukazywanie obcym byłoby  
nieprzyzwoite.  
Zasłony spowijały go podobnie jak szaty. Stanowiły one  
charakterystyczny znak  
jedynej  
kasty Ludu, której wolno było utrzymywać kontakty z obcymi. Czarną  
szatę, sigę,  
podtrzymywały w talii i na piersi pasy, za którymi spoczywało kilka  
sztuk  
rozmaitej broni.  
Powinny się tam też znajdować j'tai, medaliony, odznaczenia zdobyte  
za służbę  
Ludowi.  
Niun nie miał ani jednego i ów brak statusu dostrzegłby natychmiast  
każdy mii,  
który by go  
ujrzał.  
Jako członek Kel nie umiał czytać ani pisać. Potrafił jedynie  
posługiwać się

oznaczonym cyframi pulpitem sterowniczym oraz znał matematykę -  
zarówno reguli,  
jak i  
mri. Miał głęboko wyryte w duszy skomplikowane genealogie swego Domu,  
który  
wywodził  
się z Nisrenu. Wykonywanie pieśni imion napełniało go melancholią.  
Gdy się to  
robiło, mając  
przed oczyma popękane ściany Edun Kesrithun oraz garstkę tych, którzy  
jeszcze  
żyli, trudno  
było nie zdawać sobie sprawy, że przeżywają schyłek, autentyczny i  
groźny. Niun  
znał  
wszystkie pieśni. Wiedział, że nie spłodzi żadnego dziecka, które by  
je  
śpiewało. Nie na  
Kesrith. Nauczył się ich, podobnie jak języków, gdyż wchodziło to w  
zakres  
wiedzy Kel.  
Władał biegle czterema językami. Dwa z nich były jego własnymi,  
trzecim mówili  
regule, a  
czwartym nieprzyjaciele. Znakomicie władał bronią zarówno yin'ein,  
jak i  
zahren'ein. Miał  
dziewięcioro mistrzów i wiedział, że jego umiejętności w tej  
dziedzinie są  
zawrotne.  
Miały jednak pójść na marne, całkowicie na marne.  
Regule.  
Tsi'mri.  
Rzucił w dół kamieniem, który wpadł z pluskiem do gorącej sadzawki. W  
górze  
wzbiły  
się opary.  
Pokój.  
Zostanie on zawarty na postawionych przez ludzi warunkach. Regule  
zlekceważyli  
rady strategów mri we wszystkich kluczowych momentach wojny. Bez żalu  
poświęcali  
życie  
mri i płacili odszkodowanie edunei, które utraciły synów i córki z  
Kel, a  
wszystko dlatego, że  
jakiś regulski urzędnik kolonialny wpadł w panikę i rozkazał garstce  
służących  
mu osobiście  
mri dokonać samobójczego ataku celem osłony odwrotu jego i jego  
młodych. Ten sam  
regul  
jednak znacznie mniej chętnie naraziłby życie i własność swych  
współplemieńców.  
Gdyby  
spowodował śmierć reguli, oznaczałoby to dla niego utratę statusu i  
spowodowało  
natychmiastowe postawienie w stan oskarżenia przez regulskie władze  
oraz  
odwołanie na  
świat ojczysty, gdzie dokonano by przesiewu jego wiedzy, a  
najprawdopodobniej  
również  
skazano by na śmierć jego i jego młode.

Było nieuniknione, że ludzie odkryli tę fundamentalną słabość w partnerstwie reguli z mri i nauczyli się, że zadawanie strat tym pierwszym przynosi znacznie lepsze efekty niż zadawanie takich samych strat tym drugim. Łatwo było przewidzieć, że pod podobnym naciskiem regule wpadną w panikę, a ich reakcją będzie pochopny odwrót wbrew wszystkim radom mri i że pozostawia bezbronne wszystkie opuszczone światy w swej pośpiesznej rejteradzie do absolutnie bezpiecznego miejsca, a także to, że wskutek tych działań, takie miejsce nie będzie istniało. Można też było uwierzyć w to, że regule zechcą później załagodzić skutki swej głupoty poprzez bezpośrednie konszachty z ludźmi. Kupowanie i sprzedawanie wojny pasowało do nich, tak jak i to, że wobec zagrożenia raczej wyprzedzą się pośpiesznie niż zaryzykują utratę zbyt wielkiej części swego drogiego dobytku. W ich języku nie było słowa na oznaczenie odwagi. Ani wyobraźni. Wojna się kończyła, a Niun wciąż był uwięziony na powierzchni świata i nigdy nie zrobił użytku z rzeczy, których się nauczył. Bogowie wiedzieli, jakiego targu dobijali handlarze, jak mieli zamiar rozporządzić jego życiem. Niun przewidywał, że mogą powrócić stosunki panujące przed wojną i mri znowu będą służyć poszczególnym regulom oraz toczyć pomiędzy sobą walki, w których będzie się liczyło doświadczenie. I bogowie tylko wiedzieli, jak długo możliwe będzie znalezienie reguli, którymi można by służyć. Wojna się kończyła i rozpoczynał się okres szybkich zmian. Bogowie jedynie mogli odpowiedzieć, jakie było prawdopodobieństwo, by jakiś regul wynajął do strzeżenia swego statku niedoświadczony kel'ena, skoro miał pod ręką innych, znających sztukę wojenną. Całe życie ćwiczył, by walczyć z ludźmi, lecz polityka trzech gatunków sprzysięgła się, by mu to uniemożliwić. Podniósł się nagle. Jego umysłem owładnęła myśl, która tkwiła tam dłużej niż tylko ten jeden dzień. Zeskoczył na ziemię i ruszył traktem przed siebie. Nie obejrzał się, gdy minał edun, nie zatrzymany i nie zauważony. Nie posiadał niczego i niczego nie potrzebował. To,

co miał na sobie oraz broń, którą nosił, mógł - zgodnie z prawem i obyczajem - zabrać ze sobą, nie mógł jednak żądać niczego więcej od swego edunu, nawet gdyby odchodził z jego błogosławieństwem i pomocą, a tak przecież nie było. W edunie Melein z pewnością pograży się w żalu z powodu tej cichej dezercji, lecz sama była kel'e'en wystarczająco długo, by poczuć również radość z tego, że Niun udał się na służbę. Kel'en w edunie był czymś równie przelotnym, jak sam wiatr. Gdy wyrastał już z wieku dziecięcego, nie powinny go łączyć bliskie więzy z nikim poza she'pan, Ludem oraz tym, kto go wynajął. Czuł się trochę winny również w stosunku do she'pan, która matkowała mu z serdecznością znacznie większą niż ta, jaką winna była synowi swych Mężów. Wiedział, że darzyła szczególną łaską jego ojca Zaina i wciąż nosiła w sercu żalobę po jego śmierci. Nie pochwaliliby podróży, w którą wyruszył, ani nie pozwoliłaby na nią. W gruncie rzeczy to uparta, zaborcza wola Intel zatrzymała go na Kesrith tak długo i sprawiła, że pozostał u jej boku, choć przyzwoitość wymagała, by dawno już wyswobodził się spod jej władzy i opieki nauczycieli. Czuł kiedyś do Intel głęboką, pełną szacunku miłość. Nawet to uczucie jednak w ciągu długich lat, jakie upłynęły od chwili, gdy powinien był podążyć za innymi kel'e'in z edunu i opuścić ją, zaczęło przeradzać się w rozgoryczenie. To przez nią jego umiejętności nie były wypróbowane, a jego życie bezużyteczne, a teraz być może całkowicie zmarnowane. Upłynęło dziewięć lat od chwili, gdy na jego twarzy wycięto i zabarwiono seta'al kasty Kel, dziewięć lat, podczas których siedział z doprowadzającą do gwałtownego bicia serca tęsknotą, gdy tylko jakiś regulski pracodawca zbliżał się drogą do edunu, by znaleźć kel'ena, który strzegłby jego statku, czy to do celów wojny czy choćby handlu. Z biegiem lat zgłaszało się ich coraz mniej, a teraz do edunu nie przybywał już żaden. Niun był ostatnim ze wszystkich braci i sióstr z Kel, ostatnim ze



wszystkich dzieci edunu, nie licząc Melein. Wszyscy pozostali znaleźli służbę i większość z nich nie żyła, lecz Niun s'Intel, kel'en od dziewięciu lat, nie opuścił jeszcze opiekuńczych objęć she'pan. Matko, pozwól mi odejść! - błagał ją sześć lat temu, gdy odleciał statek jego kuzyna Medaia. Była to najgorsza, miażdżąca hańba - Medaia, pyszałka i fanfaron, nagrodzono najwyższym ze wszystkich zaszczytów, podczas gdy on musiał pozostać w domu, okryty wstydem. Nie - odpowiedziała wówczas she'pan kategorycznie, odwołując się do swej władzy, na jego powtarzające się prośby o zrozumienie, błagania o przyznanie wolności: - Nie. Jesteś ostatnim ze wszystkich moich synów, ostatnim. Ostatnim, jakiego będę kiedykolwiek miała. Dzieckiem Zaina. Jeśli życzę sobie, byś został ze mną, to mam do tego prawo. To moja ostateczna decyzja. Nie. Nie. Uciekł owego dnia na wysokie wzgórza, by obserwować - choć wolałby tego nie widzieć - jak Hazan, statek regulski dowództwa naczelnego, władający strefą, w której znajdowała się Kesrith, uniósł Medaia s'Intel Sov-Nelan do wieku męskiego, służby oraz najwyższego zaszczytu, jaki dotąd przypadł w udziale kel'enowi z Edun Kesrithun. Tego dnia Niun zalał się łzami, choć kel'ein nie wolno było płakać. Później, zawstydzony swą słabością, wyczyścił sobie twarz szorstkim, sypkim piaskiem i pozostał wśród wzgórz, poszcząc następny dzień i dwie noce, aż wreszcie musiał zejść na dół, by stawić czoło pozostałym kel'ein oraz niespokojnej, zaborczej miłości Matki. Wszyscy oni byli starzy. Oprócz niego nie było teraz żadnego kel'ena, który mógłby przyjąć służbę, gdyby otrzymali taką propozycję. Wszyscy posiadali wielkie umiejętności. Niun podejrzewał, że byli największymi mistrzami yin'ein w całym Ludzie, choć nie przechwalali się niczym więcej niż znaczną znajomością rzeczy. Lata dokonały jednak swego trudno uchwytnego rabunku i nie pozostawiły im siły niezbędnej do zrobienia z ich sztuki użytku w walce. Ich Kel składało się z ośmiu mężczyzn i jednej

kobiety, którzy  
nie mieli już  
powodu, by żyć, sił, by walczyć, ani - po Niunie - dzieci, które  
mogliby uczyć:  
starcy, którym  
pozostały już jedynie sny o przeszłości.  
Ukradli mu dziewięć lat, zamknęli w swym grobie, prowadząc zastępcze  
życie za  
pośrednictwem jego młodości.  
Maszerował traktem w kierunku nizin. Pozwalał, by grobla zaprowadziła  
go do  
reguli,  
skoro oni nie chcieli teraz przybywać do edunu. Nie była to  
najkrótsza droga,  
lecz za to  
najłatwiejsza. Kroczył po niej z butnym poczuciem bezpieczeństwa,  
gdyż starcy z  
Kel w  
żaden sposób nie mogli go doścignąć na tak długiej trasie. Nie  
zamierzał udawać  
się do portu,  
który znajdował się bezpośrednio przed nim, lecz do miejsca  
położonego na drugim  
końcu  
grobli, samego ośrodka regulskiej władzy - Nomu, piętrowego gmachu,  
który był  
najwyższą  
budowlą w jedynym mieście na Kesrith. Czuł się niepewnie, gdy jego  
stopy deptały  
po  
betonie i wszędzie wokół siebie widział brzydkie, spłaszczone budynki  
reguli.  
Był to świat  
odmienny od wysokich, czystych wzgórz. Nawet powietrze miało tu inną  
woń.  
Cierpki  
posmak zimnych kesrithańskich wichrów łagodziły ledwo wyczuwalne  
wyziewy oleju,  
maszynerii oraz pachnących piżmem ciał reguli.  
Przyglądały mu się regulskie młode - ruchliwe osobniki tego gatunku.  
Gdy osiągną  
dojrzałość, ich przysadziste ciała staną się jeszcze grubsze, a  
szarobrazowa  
skóra pociemnieje  
i rozciągnie się. Tłuszcz będzie się gromadził, aż ich waga stanie  
się niemal  
zbyt wielka, by  
mogły ją podźwignąć zanikające mięśnie. Mri rzadko oglądali starszych  
reguli.  
Niun nigdy  
nie widział żadnego z nich. Słyszał tylko ich opis od swych  
nauczycieli z Kel.  
Dorośli regule  
trzymały się swego miasta, otoczeni noszącymi ich i oczyszczającymi  
dla nich  
powietrze  
maszynami. Towarzyszące im młode musiały nieustannie im usługiwać.  
Życie owych  
młodych było niepewne, dopóki nie udało im się osiągnąć dojrzałości.  
Regule  
dopuszczali się  
przemocy jedynie w stosunku do własnego potomstwa.  
Młode osobniki zebrane na placu spoglądały na niego z ukosa,  
rozmawiając ze sobą

konspiracyjnym szeptem, który jego wrażliwe uszy odbierały wyraźniej niż się to regulom zdawało. W normalnej sytuacji ich złośliwość nie przeszkadzałyby mu w najmniejszym stopniu. Nauczono go, by ich nie lubił. Czuł pogardę dla nich i dla całej ich rasy. Tutaj jednak to on był petentem, który rozpaczliwie pragnął zostać przyjęty, a oni mieli to, czego chciał, i mogli mu tego odmówić. Czuł powiew ich nienawiści, przywodzącej na myśl zanieczyszczoną atmosferę miasta. Zasłonił twarz na długo, zanim wszedł na jego teren. Niewiele brakowało, by opuścił również chustę zaidhe, tak jak to zrobił podczas swej ostatniej wizyty w mieście. Był wtedy bardzo młodym kel'eniem i nie wiedział zbyt dobrze, jak należy się zachować podczas spotkań między regulami a mri. Teraz jednak był już starszy i jako samodzielny mężczyzna miał odwagę, by zostawić chustę na miejscu i odwzajemnić spojrzenia młodych, które gapiły się na niego zbyt śmiało. Większość z nich nie mogła znieść bezpośredniego kontaktu wzrokowego i odwracała oczy. Nieliczne, starsze i odważniejsze od pozostałych, syczały cicho na znak niezadowolenia i ostrzeżenia. Ignorował je. Nie był regulskim młodym i nie musiał się obawiać ich ataku. Znał drogę. Wiedział, gdzie mieści się właściwe wejście do Nomu - na wielkim placu, wokół którego, na planie koncentrycznych kwadratów, było zbudowane całe miasto. Wrota zwracały się w stronę wschodzącego słońca. Główne wejścia do centralnych regulskich budynków zawsze musiały być tak usytuowane. Niun pamiętał o tym. Był tu już kiedyś. Odprowadzał ojca, który miał wyruszyć na swą ostatnią służbę. Nie wszedł jednak wtedy do środka. Teraz przyszedł pod drzwi, przed którymi czekał tamtego dnia. Ujrzawszy go, regulskie młode pełniące dyżur w przedsionku podniosło się zaniepokojone. - Odejdź - nakazało mu prosto z mostu. Niun jednak nie zwrócił na nie uwagi. Wszedł prosto do głównego, pełnego ech holu. Natychmiast poczuł, że robi mu się duszno z powodu

gorąca oraz piżmowej woni powietrza. Znalazł się w wielkiej sali otoczonej drzwiami oraz okienkami, za którymi mieściły się gabinety. Wszystkie z nich zaopatrzone w tabliczki z napisami. Niun poczuł nagle mdłości i zawroty głowy. Stał pośrodku pomieszczenia, zawstydzony i zbity z tropu, gdyż musiałby jej przeczytać, by wiedzieć, dokąd się teraz udać, a on nie umiał czytać.

Regulskie młode zza biurka przy wejściu zbliżyło się do strapionego Niuna krótkimi, sztywnymi, muskającymi podłogę krokami. Pociemniało aż z gniewu czy z gorąca.

Dyszało ciężko z wysiłku, jaki włożyło w dogonienie go.

- Odejdź - powtórzyło. - Zgodnie z traktatem i z prawem nie powinienes tu przychodzić.

- Chcę porozmawiać ze starszymi - odpowiedział Niun. Jak go nauczono, była to wśród reguły najwyższa i nieodwołalna apelacja. Żadne młode nie mogło podjąć ostatecznej decyzji. - Powiedz im, że kel'en przyszedł z nimi porozmawiać. Młode wydmuchnęło powietrze przez nozdrza, podenerwowane.

- W takim razie chodź ze mną - powiedziało. Obrzuciło go pełnym dezaprobaty spojrzeniem. Zatoczyło oczyma, ukazując w ich kącikach fragment pokrytych czerwonymi żyłkami białkówek. Miało ono - „ono” dlatego, że regule nie potrafili określić swej płci przed osiągnięciem dojrzałości - podobnie jak wszyscy członkowie jego gatunku, krępą postać i tułów dotykający niemal podłogi, nawet w pozycji stojącej. Było bardzo młode, jak na przyznany mu znaczny (wśród reguły) zaszczyt, jakim było strzeżenie drzwi Nomu.

Zachowało jeszcze wyprostowaną postawę, a pod jego skórą - brązową, pokrytą delikatnym, granulkowatym deseniem oraz lśniąca łagodnym, beżowym metalicznym blaskiem - wciąż widoczne były kości. Podeszło do niego kołyszącym się krokiem, wymagającym wiele wolnej przestrzeni.

- Jestem Hada Surag-gi - powiedziało - sekretarz i strażnik drzwi. Ty niewątpliwie należysz do grupy Intel.

Niun po prostu nie zareagował na to grubiaństwo strażnika tsi'mri, który nazwał she'pan po imieniu z tak bezczelną poufałością. Wśród reguły do starszych zwracano się „wielebny”, „czcigodny” albo „panie”... Uznał tę poufałość za

skalkulowana  
obelgę i  
zapamiętał ją sobie z myślą o jakimś przyszłym dniu, w którym może  
się zdarzyć,  
że będzie  
posiadał coś, czego będzie pragnął Hada Surag-gi. W tej chwili młode  
robiło to,  
czego Niun  
od niego chciał, a w stosunkach pomiędzy mri a tsi'mri to  
wystarczało.  
Wzdłuż zakrzywionych krawędzi ścian biegły stalowe szyny. Jakiś  
wehikuł  
przeniknął, szemrząc, obok nich z prędkością tak wielką, że był  
widoczny tylko  
przez chwilę.  
Szyny prowadziły do wszystkich miejsc, wzdłuż ściany znajdującej się  
naprzeciw  
drzwi.  
Minał ich następny wehikuł, a potem jeszcze jeden. Dzieliła je od  
siebie  
odległość nie  
większa niż szerokość dłoni. Niun nie pozwolił sobie na okazanie  
zdumienia na  
widok  
podobnych rzeczy.  
Nie podziękował też młodemu, gdy wprowadziło go ono przez drzwi do  
poczekalni, w  
której kolejny regul - jak się zdawało dorosły - siedział za  
metalowym biurkiem.  
Po prostu  
odwrócił się do młodego plecami, gdy przestało być dla niego  
użyteczne.  
Usłyszał, że wyszło  
z pokoju.  
Urzędnik wychylił się zza biurka. Jego ciało spoczywało jak w kołysce  
w ruchomym  
krześle, które - co zdumiewające - posiadało napęd. Był to kolejny  
wehikuł.  
Opowiadano mu,  
że regule używają podobnych błyszczących, stalowych urządzeń, by móc  
poruszać  
się bez  
wstawania z miejsca.  
- Znamy cię - oznajmił regul. - Jesteś Niun. Przybyłeś ze Wzgórza.  
Twoi  
przełożeni  
skontaktowali się z nami. Rozkazano ci, byś natychmiast wrócił do  
swoich.  
Gorąco napłynęło mu do twarzy. Było oczywiste, że zrobią właśnie to,  
by go  
ubiec.  
Nawet nie przyszło mu to do głowy.  
- To nie ma znaczenia - odparł, zachowując z uwagą odpowiedni ton. -  
Proszę o  
służbę  
na jednym z waszych statków. Wyrzekam się swego edunu.  
Reguł był brązową masą pokrytą fałdami, nadmiarem fałd. Twarz  
widoczna wśród  
jego cielska była zaskakująco gładka, niczym kość. Westchnął i  
spojrzał na Niuna  
małymi  
oczkami, w których kącikach widoczne były zmarszczki.  
- Słyszemy, co mówisz - odparł - lecz traktat zawarty przez nas z  
twoim ludem

zabrania nam cię przyjąć, jeśli twoi przełożeni się sprzeciwiają.  
Proszę cię,  
byś wrócił do nich  
natychmiast. Nie chcemy wszczynać z nimi sporu.  
- Czy masz zwierzchnika? - zapytał Niun ostrym tonem. Zabrakło mu już  
cierpliwości.  
Szybko tracił również nadzieję. - Chcę porozmawiać z kimś na wyższym  
stanowisku.  
- Czy żadasz rozmowy z dyrektorem?  
- Tak.  
Reguł westchnął po raz kolejny i przekazał jego prośbę przez  
interkom. Głos o  
przykrym brzmieniu odmówił mu kategorycznie. Reguł podniósł wzrok i  
spojrzał z  
wyrazem  
twarzy raczej usatysfakcjonowanym i pełnym zadowolenia niż  
przepraszającym.  
- Sam widzisz - powiedział.  
Niun odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, a następnie z holu,  
ignorując  
rozbawione spojrzenie młodego o imieniu Hada Surag-gi. Wychodząc z  
ciepłego  
wnętrza  
Nomu na publiczny plac, gdzie chłodny wiatr owiewał miasto, czuł, że  
twarz mu  
płonie i  
brakuje tchu w piersiach.  
Szedł szybko, jak gdyby miał dokąd iść i udawał się w owo miejsce  
przeznaczenia  
z  
własnej woli. Wyobrażał sobie, że każdy regul w mieście wie o jego  
hańbie i  
śmieje się z  
niego potajemnie. Nie było to całkiem niemożliwe, gdyż regule często  
wiele  
wiedzieli o  
sprawach innych.  
Nie zwolnił kroku aż do momentu, gdy wkroczył na długą groblę  
prowadzącą od  
granicy miasta aż do edunu. Potem rzeczywiście zaczął iść wolno. Mało  
go  
obchodziło to, co  
działo się przed jego oczyma, czy co słyszał podczas wędrówki.  
Otwarta  
przestrzeń, nawet na  
grobli, nie była miejscem, w którym bezpiecznie było nie zwracać  
uwagi na  
otoczenie, lecz  
Niun tak właśnie robił, rzucając wyzwanie bogom i gniewowi she'pan.  
Żałował, że  
nic mu się  
nie przydarzyło i że mimo wszystko znalazł się wreszcie na znajomej  
glinianej  
ścieżce  
prowadzącej ku wejściu do edunu, a potem wszedł między jego cienie i  
echa. Nadal  
był w  
ponurym nastroju, gdy zbliżył się do schodów wieży Kel, wszedł po  
nich na górę,  
otworzył  
pchnięciem drzwi komnaty i zameldował się kel'anthowi Eddanowi,  
niczym sumienny  
więzień.  
- Wróciłem - oznajmił, nie zdejmując zasłony.

Ranga i przekonanie o swej racji pozwoliły Eddanowi zwrócić ku gniewnemu Niunowi odsłoniętą twarz, dzięki zaś swemu opanowaniu pozostał nie poruszony.

Starcze, starcze - nie mógł nie pomyśleć Niun - seta'al zlały się w jedno ze zmarszczkami na twojej twarzy, a oczy masz tak słabe, że spoglądają już w Mrok.

Będziesz mnie tu trzymać tak długo, aż stanę się podobny do ciebie. Dziewięć lat, dziewięć lat,

Eddanie, i doprowadziłeś do tego, że utraciłem godność. Cóż zdołasz mi odebrać w ciągu dziewięciu następnych?

- Wróciłeś - powtórzył Eddan, który był jego głównym nauczycielem sztuki walki i przyzwyczał się odnosić do niego niczym do ucznia. - I co powiesz? Niun zdjął ostrożnie zasłonę i usiadł po turecku na podłodze w pobliżu ciepłego, śpiącego w kącie dusa. Ten usunął się na bok z basowym pomrukiem skargi wywołanym zakłóceniem snu.

- Chciałem odejść - odparł.

- She'pan się martwiła - ciągnął Eddan. - Nie pójdziesz już więcej do miasta.

Ona tego zabrania.

Niun podniósł wzrok, oburzony.

- Okryłeś wstydem Dom - dodał Eddan. - Zważ na to.

- Zważ na mnie - zawołał Niun w poczuciu bezsilności. Ujrzał, że jego wybuch przyprawił Eddana o szok i zaczął wyrzucać z siebie słowa z beztroską satysfakcją. - To nienaturalne, co ze mną zrobiliście, zatrzymując mnie tutaj. Należy mi się coś od życia. Chcę mieć wreszcie coś własnego.

- Należy ci się? - w cichym głosie Eddana kryła się groźba. - A kto cię tego nauczył?

Jakiś regul w mieście?

Eddan stał nieruchomo, z rękoma schowanymi za pas. Taka postawa starego mistrza yin'ein przeszywała dreszczem tych, którzy znali jej znaczenie: oto jest wyzwanie, jeśli go pragniesz. Niun kochał Eddana i fakt, że spojrział on na niego w taki sposób, przeraził go, sprawił, że porównał on swe umiejętności z umiejętnościami kel'antha i przypomniał mu, że tamten wciąż może go upokorzyć. Między nim a starym mistrzem istniała różnica polegająca na tym, że jeśli ktoś sprawdziłby blef Eddana, popłynęłaby krew. I Eddan zdawał sobie sprawę z tej różnicy. Żar napłynął do jego twarzy.

- Nigdy nie prosiłem, by traktowano mnie inaczej niż pozostałych - odezwał się Niun,

odwracając oblicze od wyzwania rzuconego przez kel'antha.  
- Co twoim zdaniem ci się należy?  
Niun nie potrafił odpowiedzieć.  
- W twojej obronie jest luka - stwierdził Eddan. - Ziejąca dziura.  
Idź i  
pomedytuj nad  
tym, Niunie s'Intel, a kiedy już zdecydujesz, co ci się należy od  
Ludu, przyjdź  
i powiedz to  
mnie, a wtedy udamy się do Matki i przedstawimy jej twoją prośbę.  
Eddan drwił z niego. Gorycz potęgował fakt, że Niun na to zasługiwał.  
Zrozumiał,  
że  
jego nadmierna gorliwość okryła go wstydem przed regulami. Założył z  
powrotem  
zasłonę i  
podźwignął się na nogi, by wyjść na zewnątrz.  
- Masz obowiązki, które na ciebie czekają - powiedział ostrym tonem  
Eddan. -  
Kolację  
wydano bez ciebie. Idź pomóc Liranowi w sprzątaniu. Wykonaj własne  
zadania,  
zanim  
zacznieś myśleć o tym, co ci się należy.  
- Tak jest - odparł cicho Niun, po czym ponownie odwrócił twarz i  
zszedł na dół.

Rozdział 3

Na statku odbywającym długą drogę z Elagu, zwanego też Przystanią,  
ponownie  
zapanowała nuda, taka sama jak przed przejściem. Sten Duncan po raz  
drugi  
spojrzał na ekran  
w głównej sali i ku swemu rozczarowaniu odkrył, że nie odnotował on  
jeszcze  
zmiany.  
Poświęcili najdłuższy okres, jaki kiedykolwiek musiał wytrzymać w  
normalnej  
przestrzeni, na  
wydostanie się z militarnie wrażliwej okolicy Przystani, podróżując  
na ślepo i w  
towarzystwie  
uciażliwego konwoju. Wszystko to nagle zniknęło, zastąpione przez  
następny etap  
drogi,  
zapewne równie nudny. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Pachniało  
tu regulami.  
Wstrzymał oddech, gdy mijał automatyczną kuchnię, której drzwi były  
otwarte.  
Niemal nie  
zauważył ślizgu, który przemknął obok niego, gdyż trzymał się środka  
korytarza.  
Były one  
szerokie, wysokie w środkowej części, a niskie po bokach. W ich  
podłogę  
wbudowano  
błyszczące szyny kierujące ruchem ślizgów transportowych, których  
regule używali  
do  
poruszania się po długich korytarzach swego statku.  
Ani na chwilę nie sposób było zapomnieć, że jest to regulski  
gwiazdolot.  
Korytarze  
nie krzyżowały się ani nie zakręcały, jak miałyby to miejsce na  
statku ludzkiej



konstrukcji,  
lecz wiły się i tworzyły spirale, by umożliwić poruszanie się  
trzymającym się  
blisko ścian  
ślizgom. Tylko nielicznymi z nich można było chodzić. W tych, które  
były do tego  
celu  
przystosowane, sufit na środku podwyższono z myślą o ludziach - albo  
mri, którzy  
często  
przebywali na regulskich statkach - na bokach jednak biegły szyny,  
przeznaczone  
dla  
pojazdów reguli.  
W całym gwiadolocie unosiły się dziwne zapachy, niezwykle aromaty  
niestrawnych  
dla ludzi potraw i przypraw. Słychać było dziwne dźwięki, basowe  
odgłosy języka  
reguli,  
których ludzie - a zapewne nawet mri - nigdy nie potrafili wymówić  
tak jak oni.  
Nienawidził tego wszystkiego. Czuł bezgraniczną nienawiść do reguli.  
Wiedząc, że  
w  
jego sytuacji podobna reakcja jest nierozsądna i szkodliwa,  
nieustannie walczył  
ze swymi  
instynktami. Było zupełnie jasne, że regule odwzajemniają jego  
uczucia. Dali  
swym ludzkim  
gościom tylko sześć godzin, w czasie których mogli oni poruszać się  
swobodnie po  
strefach  
przeznaczonych dla załogi, ile tylko dusza zapragnęła. Potem  
następował  
dwudziestodwugodzinny okres uwięzienia.  
Sten Duncan, adiutant czcigodnego George'a Stavrosa, przyszłego  
gubernatora  
nowych terytoriów i obecnego łącznika między regulami a ludzkością,  
zawsze  
korzystał z tej  
sześciogodzinnej swobody. Czcigodny pan Stavros tego nie robił. W  
gruncie rzeczy  
w ogóle  
nie wychodził z własnego pokoju. Duncan wędrował po korytarzach i  
przynosił  
odpowiednie  
materiały oraz teksty uzyskane z biblioteki, by czcigodny pan mógł je  
przeczytać, a także  
zanosił do pneumatycznej poczty komunikaty przepływające między  
Stavrosem a jego  
regulskim odpowiednikiem - baiem Hulaghiem Alagn-ni.  
Regulski protokół. Żaden starszy regul na pewnym stanowisku nie  
załatwiał swych  
spraw samodzielnie. Jedynie zdegradowani za niekompetencję nie  
posiadali młodych  
sług. W  
związku z tym żaden człowiek w randze Stavrosa nie mógł postępować  
inaczej.  
Dlatego  
właśnie poseł wybrał sobie młodego adiutanta o dość wysokiej randze.  
Były to  
kryteria,  
których użyliby regule, wybierających przybocznych.

Praktycznie Duncan był służącym. Zapewniał Stavrosowi pewien status i wykonywał jego polecenia. Podczas akcji zakończonej zdobyciem Przystani był w czynnej służbie. Regule wiedzieli o tym i ten fakt dodatkowo zwiększał prestiż Stavrosa. Duncan zabrał dzisiejsze komunikaty i położył inne - pochodzące od Stavrosa - na odpowiednim stole, po czym wrzucił zamówienie na dzisiejszy posiłek do otworu, z którego wcześniej czy później trafi ono do właściwego departamentu, co sprowadzi pod ich drzwi automatyczny wózek z zamówionymi daniami - a przynajmniej z tym, co sobie wyobrażali regule - sporządzonymi z dostarczonych przez ludzi zapasów, które zabrali ze sobą. Jak egzotyczne zwierzęta - pomyślał poirytowany Duncan. Regule starali się - tam, gdzie im to nie przeszkadzało - podtrzymywać autentyczne środowisko. Podobnie jak w większości miejsc, gdzie pokazywano dzikie zwierzęta, widoczna była sztuczność całej inscenizacji. Wrócił tą samą drogą poprzez korytarz, rekreacyjny teren głównej sali oraz bibliotekę. Nigdy nie widział na oczy żadnego z reguli poza młodymi, które często odwiedzały to główne pomieszczenie wypoczynkowe dla personelu. Co ciekawe, Stavros również nigdy nie spotkał Hulagha. Znowu protokół. Było prawdopodobne, że przez cały czas, jaki musieli jeszcze spędzić wśród reguli, nigdy nie zobaczą czcigodnego, wielbionego baia Hulagha Alagn-ni, a jedynie młode, które służyły mu jako załoga, adiutanci i posłańcy. Starsi regule praktycznie nie mogli się poruszać. To jedno było pewne. Hulagh podobno był w bardzo zaawansowanym wieku. Osobiście Duncan przypuszczał, że starzy regule wstydzili się tej bezradności, gdy stawali twarzą w twarz z nieregularni, i dlatego zaaranżowali sprawę tak, by zapewnić sobie całkowitą izolację od obcych. A może uważali ludzi i mri za nieznośne brzydkich. Było pewne, że ludzie nie znajdowali w regulach wiele piękna. Otworzył nie zamknięte na klucz drzwi prowadzące do dwuosobowego apartamentu, który dzielił ze Stavrosem. Przedpokój należał do niego. Służył mu jako

sypialnia i miał też  
zaspokoić wszystkie jego pozostałe potrzeby w trakcie długiej  
podróży. Regulska  
zemsta -  
pomyślał skwaszony - za to, że ludzie upierali się przy długotrwałym  
locie w  
powolnym  
konwoju. Salon oraz właściwa sypialnia należały do Stavrosa, podobnie  
jak  
znajdujące się w  
sąsiednim pomieszczeniu urządzenia sanitarne. Ich również nie  
dostosowano do  
ludzkich  
potrzeb. Duncan zastanawiał się, jak stary już Stavros radził sobie z  
tą sprawą.  
Uznano  
jednak, że nie byłoby mądrze robić problemu z różnic dzielących ludzi  
od reguli  
pod tym  
względem. Przyjęto teorię, że ci drudzy czynili zaszczyt swym  
gościom, traktując  
ich  
dokładnie w ten sposób, jak gdyby byli ich pobratymcami, aż do  
tradycji  
utrzymywania  
kontaktów jedynie poprzez młodych pośredników oraz innej, która  
nakazywała  
umieścić  
kwaterę Duncana w tak niewygodnym miejscu - małym przedpokoju  
położonym pomiędzy  
mieszkaniami Stavrosa a zewnętrznym korytarzem.  
To wzbudza wielkie zaufanie do regulskiej cywilizacji - pomyślał  
Duncan z  
goryczą,  
zastanowiwszy się nad sprawą. Miał bronić czcigodnego ludzkiego pana  
przed  
niebezpieczeństwem, kontaktem z nieuprzejmymi nieznanymi i  
wszelkimi  
nieprzyjemnościami. Wydawało się, że założenie, iż należy się  
spodziewać  
podobnych  
incydentów, nie stanowi obelgi dla regulskiej gościnności.  
Stavros praktycznie pozostawał więźniem swej wysokiej rangi,  
zamkniętym w jednym  
pokoju i pozbawionym wszelkich możliwości kontaktu ze światem  
zewnętrznym, nie  
licząc  
swego adiutanta.  
Duncan zamknął drzwi zewnętrzne i zapukał do wewnętrznych.  
Przestrzeganie tej  
formalności było konieczne, po pierwsze dlatego, iż podsłuchujący  
regule  
(zakładając, że  
regule ich podsłuchiwali, o czym byli święcie przekonani) nie  
zrozumieliby  
żadnych  
poufałości pomiędzy starszym a młodym, a po drugie dlatego, że zbyt  
długo  
dzielili ze sobą  
ciasne pomieszczenia i obaj wysoko cenili możliwość odpoczynku od  
swego  
towarzystwa.  
Drzwi otworzyły się automatycznie uruchomione przez Stavrosa.  
Człowiek -

zwłaszcza drobny i wątły - wydawał się nie na miejscu na masywnym krzesłoślizgu skonstruowanym dla regulskich starszych. Było to biurko, ośrodek dowodzenia oraz środek transportu. Stavros nie zniżał się do jeżdżenia nim po pokoju. Duncan podszedł do niego i przekazał mu taśmy oraz papiery. Stavros wziął je w rękę i natychmiast zajął się nimi. Wszystko to odbyło się bez uśmiechu czy słowa wyrażającego przywitanie lub choćby nakazującego mu odejść. Na początku ich znajomości Stavros uśmiechał się niekiedy. Teraz już tego nie robił. Żyli pod nieustanną obserwacją reguli i Duncan podejrzewał, że Stavros traktuje go tak, jak gdyby rzeczywiście był regulskim młodym, nie okazując mu uprzejmości i nie licząc się z nim jako osobą. Miał przynajmniej nadzieję, że takie są przyczyny okazywanego mu przez tamtego chłodu. Wiedział, że wiele mu brakuje do zrozumienia człowieka takiego jak Stavros. Dostrzegał w nim pewne cechy, które szanował, na przykład odwagę. Uważał, że trzeba jej było mieć wiele, by udać się na podobną misję w tak zaawansowanym wieku. Potrzebny był do niej starszy człowiek, dyplomata, który - poza swymi obowiązkami jako administratora nowych terytoriów - potrafiłby zdobyć większy szacunek reguli - przyszłych sąsiadów ludzkości. Stavros, choć był już na emeryturze, podjął się tego zadania. Nie był to silny mężczyzna. Jego fizyczna postać nie przedstawiała się imponująco. Jak się dowiedział Duncan podczas ich jedynej osobistej rozmowy (a i ona miała miejsce przed wejściem na pokład statku), pochodził on z Kiluwy, jednej z kilku ofiar wojny w ciągu jej pierwszych lat. To mogło co nieco tłumaczyć. Kiluwanie słynęli z ekscentryczności. Ich znajdująca się na rubieżach kolonię zbyt długo pozostawiono samej sobie i rozwinęła się tam osobliwa religia, filozofia oraz obyczaje. Podobnie jak regule, Kiluwanie gardzili pismem. W ciągu lat, które upłynęły od upadku Kiluwy, Stavros pracował w Urzędzie Ksenologii. W ostatnich

czasach  
przeniósł się na uniwersytet. Miał dzieci. Stracił wnuka w wojnie o  
Elag, zwany  
teraz  
Przystania. Jeśli żywił nienawiść do reguli za Kiluwę lub z powodu  
wnuka, nigdy  
nie  
zdradzał się z tym uczuciem. Rzadko okazywał jakiegokolwiek emocje z  
wyjątkiem z  
lekka  
obsesyjnego zainteresowania regulami. Wszystko w nim było spokojne,  
lecz pod tym  
spokojem kryły się niezbadane głębie.  
Jasne oczy starego mężczyzny rozbliły się.  
- Dzień dobry, Duncanie - powiedział, po czym natychmiast wrócił do  
nauki. -  
Usiądź  
- dodał. - Zaczekaj.  
Duncan usiadł, rozczarowany, i czekał. Nie miał zresztą nic innego do  
roboty. Do  
tej  
chwili postradałby już zmysły, gdyby nie jego zdolność znoszenia  
długich okresów  
ciszy i  
bezczywności. Obserwował Stavrosa przy pracy, zastanawiając się po  
raz kolejny,  
dlaczego  
stary z taką determinacją próbuje nauczyć się języka reguli.  
Zajmowało mu to  
wiele godzin.  
Byli przecież regule, którzy znakomicie mówili potocznym podstawowym.  
Nigdy ich  
nie  
zabraknie. Stavros jednak osiągnął w czasie ich podróży wystarczająco  
wielkie  
postępy, by  
móc słuchać taśmy nagranej przez regulskiego kapitana statku,  
zawierającej  
harmonogram  
dnia oraz aktualne informacje. Jedynie od czasu do czasu musiał  
spoglądać na  
pisemne  
tłumaczenie, które do niej dołączano. Była to regulska propaganda  
wychwalająca  
starszych z  
ojczystego świata, Nuragu, oraz kierownictwo sprawowane przez  
dyrektora statku.  
Duncanowi wszystko to wydawało się kompletnie jałowe, nie licząc  
przelotnych  
uwag na  
temat postępów czynionych przez statek w jego wędrówce.  
Podobny materiał Stavros wykorzystywał jednak do nauki, aż wreszcie  
zdobył  
umiejętność płynnego wypowiedzenia przynajmniej uprzejmych banałów.  
Uczył się w  
tempie,  
które zdumiewało Duncana. Naprawdę rozumiał tę gmatwaninę dźwięków,  
która jego  
młodszemu towarzyszkowi wciąż wydawała się jedynie chaosem.  
Tak, człowiek - wykształcony, inteligentny, mający wnuki i prawnuki -  
porzucił  
wszystko, co ludzkie i znajome, wszelkie owoce swego długiego życia i  
wyruszył w  
towarzystwie nieprzyjaciela w podróż w nieznaną przestrzeń. Choć

stanowisko gubernatora stanowiło poważną zachętę, ryzyko, jakie podejmował Stavros, było więcej niż znaczne. Duncan nie wiedział, ile stary ma lat. Na Przystani krążyły na ten temat plotki ocierające się o granicę nie wiarygodności. Było mu jednak wiadomo, że jeden z prawnuków Stavrosa wstąpił właśnie do armii. Gdyby Duncan zdołał nawiązać ze swym przełożonym jakąkolwiek bliższą więź, zapytałby go, dlaczego zgodził się przyjąć to zadanie. Nie odważył się jednak tego zrobić. Każdorazowo, gdy odczuwał pokusę poddania się atmosferze uwięzienia oraz odczuwanego przez siebie strachu przed otaczającą ich niezwykłością, wspominał starego człowieka cierpliwie pogażonego w swych lekcjach i myślał z rezygnacją, że musi to jakoś przetrzymać. Nie uważał, że przydaje się do czegokolwiek Stavrosowi, czy to jako towarzysz, czy jako służący. Potrzebny był jedynie do zachowania niezbędnych pozorów przyzwoitości w oczach reguli. Stavros poświęcał mu tak mało uwagi, że mógłby obejść się bez niego. Departament Składu Osobowego przedstawił pół tuzina ludzi, by Stavros przeprowadził z nimi wywiad, a ten wybrał Duncana, jednego z oficerów Naziemnych Sił Taktycznych z Przystani. Duncan nadal nie wiedział dlaczego. Sam przyznał, że brak mu kwalifikacji, by objąć podobną placówkę. W takim razie będzie wiedział, że musi słuchać rozkazów - wynioskował Stavros w jego obecności. - Ochotnik? - zapytał go następnie, jak gdyby był to powód, by podejrzewać go o chorobę umysłową. Nie, sir - odpowiedział Duncan zgodnie z prawdą. - Wezwali wszystkich żołnierzy NST znajdujących się niedaleko od Przystani. Specjalność pilot? - zapytał Stavros. Tak jest - odparł. Czy żywi pan jakąś urazę do reguli? - padło następne pytanie. Nie - odparł po prostu Duncan, co również było prawdą. Nie lubił ich, nie była to jednak kwestia urazy, lecz wojny. Było to wszystko, co wiedział na ten temat. Stavros przeczytał jego dossier po raz drugi w jego obecności i przyjął go. W owej chwili wydawało mu się to czymś korzystnym, fantastycznie

atrakcyjnym.  
Przeniesiono go ze strefy działań wojennych, gdzie przewidywana  
długość życia  
mierzona  
była liczbą lotów bojowych, a on zbliżał się do swego statystycznego  
limitu, i  
wyznaczono  
łatwe zadanie na dyplomatycznym statku z silną eskortą oraz  
zagwarantowano  
powrót do  
domu i zwolnienie ze służby po pięciu latach - przeniesienie w stan  
spoczynku  
przed  
trzydziestką z emeryturą tak wysoką, że żaden żołnierz NST nie mógłby  
o podobnej  
marzyć,  
nie przekraczając granic zdrowego rozsądku, bądź też - i to była  
rzecz, nad  
którą Duncan  
szczególnie często zastanawiał się - przeniesienie na stałe do  
zarządu nowej  
kolonii, stały  
przydział na terytorium Stavrosa, bogactwo i wpływy na nowo  
rozwijającym się  
świecie. Za  
podobną szansę ludzie byliby gotowi zabijać lub ginąć. W obu  
przypadkach musiał  
jedynie  
przez pewien czas znosić towarzystwo reguli i zdobyć uznanie Stavrosa  
poprzez  
świadczony  
mu usługi. Miał pięć lat na osiągnięcie tego drugiego celu i  
zamierzał tego  
dokonać.  
Nie czuł zbyt wielkiego strachu, gdy wkraczał na pokład regulskiego  
statku.  
Zapoznał  
się z danymi, jakie ludzie posiadali na temat tego gatunku. Wiedział,  
że nie  
mają oni  
wojowniczych skłonności, wolą unikać przemocy i są w zasadzie  
bojaźliwą rasą.  
Walczyli za  
nich wojownicy mii, którzy prowokowali coraz to nowe konflikty, aż  
wreszcie  
regule  
nakazali im wycofanie się i przejęli nad nimi ścisłą kontrolę. Na ich  
ojczystym  
świecie  
władzę przejęli teraz nowi regule, pacyfistycznie nastawione  
stronnictwo.  
Zarządzało ono  
również statkiem, którym podróżowali, oraz światem, ku któremu  
zmierzali.  
Podczas długiej, ciągnącej się podróży poznał jednak inny rodzaj  
strachu -  
posępny i  
wyczekujący. Zaczął się domyślać, dlaczego chciano, by towarzyszem  
Stavrosa  
został  
żołnierz NST. Przechodził szkolenie w obcych środowiskach, był  
przyzwyczajony do  
samotności i niepewnej sytuacji, a nade wszystko nie wiedział nic o  
zamiarach

władz. Gdyby  
coś poszło nie tak, a zaczynał już dostrzegać ewentualności, które  
mogłyby do  
tego  
doprowadzić, jedyną dotkliwą stratę stanowiłby Stavros. Sten Duncan  
był nikim.  
Służył w  
wojsku i nie miał nawet rodziny, którą trzeba by zawiadomić. Można go  
było bez  
żalu spisać  
na straty. Jego niski numer klasyfikacyjny oznaczał, że mógłby  
wyśpiewać  
nieprzyjaciołom  
wszystko, co wiedział, nie czyniąc szkody żadnym istotnym  
instalacjom, sam  
Stavros zaś od  
dawna przebywał w izolacji, na uniwersytecie na Nowej Kiluwie.  
Być może - przyszła mu do głowy i taka myśl - Stavros byłby w stanie  
poświęcić  
go  
bez wahania, gdyby Duncan okazał się niewygodny. Był on dyplomata, z  
typu,  
jakiemu  
Duncan instynktownie nie ufał. Podobni jemu poświęcali w czasie wojny  
takich jak  
Sten  
Duncan setkami i tysiącami. Być może to właśnie odbierało Stavrosowi  
ochotę na  
rozmowę z  
nim, jak gdyby Duncan nie był niczym więcej niż częścią umeblowania.  
Regule  
załatwiali się  
ze zbuntowanymi - a nawet niewygodnymi - młodymi szybko i bez  
litości, jak gdyby  
były  
one łatwym do zastąpienia artykułem.  
Był to lęk zrodzony w nocy, jeden z tych, które narastają w  
ciemnościach.  
Pojawiał się  
podczas nazbyt długich godzin, gdy Duncan leżał w łóżku, myśląc o  
tym, że za  
jednymi  
drzwiami znajduje się obcy strażnik, u którego nie rozumiał nawet  
podstawowych  
procesów  
życiowych, za drugimi zaś człowiek o nieprzeniknionym umyśle,  
starzec, który  
uczył się  
myśleć jak regul, a starzy regule byli dla młodych postrachem.  
Gdy jednak przebywali razem, w czasie cyklu dziennego, gdy spoglądał  
Stavrosowi  
w  
twarz, nie był w stanie poważnie uwierzyć w rzeczy, o jakich myślał i  
jakie  
sobie roił nocą.  
Tak długo przebywał w zamknięciu, znosząc podobnie silne napięcie, że  
nie było  
nic  
dziwnego w tym, że jego umysł zaczęły ogarniać bezimienne,  
irracjonalne obawy.  
Pragnął jedynie dowiedzieć się, co Stavros miał nadzieję osiągnąć i  
czego  
oczekiwał  
od niego.



Taśma o biegu zamkniętym zakończyła swój trzeci cykl. Duncan zrozumiał przynajmniej przywitanie - kilka słów w języku reguli, które znał. Stavros słuchał tekstu i notował go w pamięci. Wkrótce będzie w stanie wyrecytować go w całości.

- Sir - przerwał ostrożnie myśli Stavrosa. - Sir, nasz... - taśma umilkła - nasz okres swobody zaraz się skończy. Jeśli potrzebuje pan czegoś jeszcze z biblioteki albo apteki...

Pragnął, by Stavrosowi przyszło do głowy coś, co mogłoby mu się przydać. Chciał nacieszyć się bezcennym czasem, jaki mógł spędzić poza ich kwaterą. Chodzić. Poruszać się. Stavros jednak zabronił mu wałęsać się tam, gdzie mogli go dostrzec regule, czy też próbować nawiązywania kontaktu z członkami załogi. Duncan rozumiał powody kryjące się za tym zakazem. Był to rozsądny środek ostrożności mający na celu zachowanie tajemnicy otaczającej ludzi w oczach reguli.

Niech, się zastanawiają, co też myślimy - powiedziałyby Stavros w wielu sytuacjach. Duncan jednak nie mógł znieść siedzenia w zamknięciu, podczas gdy kończył się ich okres swobody, a statek niedawno dopiero przekroczył granice regulskiej przestrzeni.

- Nie - odparł Stavros, niweczając jego nadzieje. Następnie, jak gdyby się namyślił, wręczył mu jedną z taśm. - Proszę. Oto pretekst. Sprawiaj wrażenie, że masz coś ważnego do załatwienia i trzymaj się tej wersji. Znajdź mi następną z kolei i przynieś obie. Przespaceruj się trochę.

- Tak jest, sir. - Wstał i ruszył w stronę starego, by mu podziękować, wyrazić wdzięczność za to, że zrozumiał jego cierpienia, lecz Stavros ponownie włączył taśmę i spojrzął w innym kierunku, przez co Duncan poczuł się niezręcznie. Zawahał się, po czym wyszedł, poprzez własny pokój, na zewnątrz. Zaczerpnął kilka głębokich oddechów, by przyzwyczaić się do odoru powietrza. Natychmiast poczuł się swobodniej, nawet w tych wąskich korytarzach. Pomieszczenia mieszkalne reguli były małe i nieciekawe. Było w nich tylko tyle miejsca, by ślizg mógł poruszać się swobodnie. Większość przedmiotów skupiona była w zasięgu ręki osoby

siedzącej. Duncan stłumił pragnienie przeciągnięcia się i narzucił sobie spokojne tempo, kierując się w stronę głównej sali korytarzem, w którym nie widział ani jednego regula. Sala ta służyła całej załodze do rekreacji i nauki. Mieścił się tam również terminal biblioteczny. Wygodniej, pomyślał Duncan, byłoby doprowadzić łącze biblioteczne do konsoli znajdującej się już w ich kwaterze i w ten sposób sprawić, by w ogóle nie potrzebowali z niej wychodzić. Czuł jednak ogromną radość, że regule tego nie uczynili. Dostarczało mu to pretekstu, jak powiedział Stavros. Być może istniały ograniczenia odnoszące się do pewnych pasażerów, którzy potrafili przeczytać i zrozumieć więcej niż oni. Duncan tego nie wiedział. Popatrzył na wijące się regułskie cyfry na kasecie, którą przyniósł, i z uwagą wcisnął klawisze oznaczające kolejny numer. Maszyna zaklekotała i po króciutkiej chwili kasecja, którą chciał otrzymać, znalazła się na miejscu. Duncan przekazał bibliotece ich specjalny kod, który zmieniał moduł alfabetyczny. Ta, powiadomiona, iż to ludzie pragną otrzymać rzeczona kasecja, sprawdziła pośpiesznie upoważnienia i zapewne przeszła przez następny proces, by podjąć decyzję, czy kasecie powinien towarzyszyć wydruk - w gruncie rzeczy zawsze otrzymywali trzy: dosłowny, transliterowany i tłumaczony - po czym wreszcie zaczęła pokrywać papier zawartością swej mikropamięci. Duncan spacerował po pokoju, podczas gdy maszyna wypuszczała z siebie stronę za stroną. Sprawdził czas. Zostało go niewiele. Wrócił do urządzenia, które wciąż jeszcze pracowało - wolniej niż jakikolwiek system przetwarzania danych ludzkiej produkcji, z jakim spotkał się Duncan. Reakcje maszyny były równie ospałe, jak reakcje samych regułów. By wypełnić czymś sekundy, zaczął liczyć zmiany zachodzące na makiecie ekranu panoramicznego, wypełniającej centrum ściany biblioteki. Ukazywała ona ich kurs poprzez opanowaną przez ludzi przestrzeń, co ciekawe nigdy nie ujawniając obecności

konwojujących  
ich, uzbrojonych statków, które były źródłem tak wielu kontrowersji.  
Była  
nieaktualna.  
Pokazywała poranną sytuację. Z każdym impulsem przechodziła w  
cyklicznym obiegu  
do  
innych obrazów, widoków fascynujących w swym obcym charakterze  
(Duncan nie  
wątpił, że  
poddano je starannej cenzurze, by ludzie nie dowiedzieli się zbyt  
wiele o  
regulach, gdyż nie  
było na nich widać żadnych żywych istot ani miast czy konstrukcji).  
Następnie  
pojawiały się  
pola gwiazdne, a potem znowu schemat ich podróży. Obraz dominował nad  
pokojem.  
Duncan  
obserwował, jak zmieniał się on powoli dzień za dniem, podczas gdy  
zbliżali się  
do miejsca  
skoku. Przestał już myśleć o tym, że ich podróż ma jakikolwiek cel.  
Specyficzna  
izolacja, w  
której przebywali, stworzyła odrębne środowisko, trudne do połączenia  
w myślach  
z życiem,  
jakie wiódł przedtem. Nie potrafił też sobie wyobrazić życia, jakie  
go czekało w  
przyszłości.  
Cel swej podróży znali jedynie z zapewnień reguły.  
Duncan przyglądał się obrazowi przez trzy podobne cykle, po czym  
zwrócił się z  
powrotem w stronę maszyny, która zatrzymała się w środku wydruku,  
błyskając  
sygnałem  
priorytetu. Ktoś ważny przerwał jej pracę, by otrzymać coś bardziej  
istotnego.  
Materiały  
Duncana zamarły bez ruchu w uścisku maszyny. Nacisnął przycisk  
anulowania, by  
odzyskać  
kasetę, lecz nic się nie wydarzyło. Nadal migał sygnał priorytetu, a  
biblioteka  
wykonywała to,  
co jej nakazywało jakieś inne źródło. Zaklął i ponownie sprawdził  
czas. Połowa  
wydruku była  
już gotowa, lecz jego część końcowa wciąż spoczywała w maszynie. Mógł  
odejść,  
trzymając  
się ściśle rozkładu, lub zaczekać krótką chwilę potrzebną urządzeniu  
do uporania  
się z  
zadaniem. Postanowił zaczekać. Zapewne przyczyną zwłoki był wydruk.  
Jego  
wykonanie  
było trudną i niewygodną operacją, z którą, zapewne rzadko robiąca  
podobne  
rzeczy  
biblioteka nie potrafiła się sprawnie uporać. Ongiś krażyły pogłoski,  
że regule  
w ogóle nie

używają pisma, odkryto jednak, że nie jest to prawda. Posiadali oni  
wyrafinowany  
i  
skomplikowany język pisany. Biblioteka jednak była przystosowana do  
odtworzenia  
akustycznego. Większość regulskich materiałów przekazywano drogą  
ustną. Mówiono  
- i  
zgodnie z ich obserwacjami wydawało się to prawdą - że regule nie  
muszą  
wysłuchiwać  
żadnej taśmy więcej niż jeden raz.  
Pamięć natychmiastowa i absolutna. Ejdetyczna. Duncan pamiętał, jak  
Stavros mu  
mówił, że u regule słowo „kłamstwo” jest ściśle związane z  
pokrewnymi  
konceptami  
perwersji i morderstwa.  
Gatunek, który nie potrafił niczego zapomnieć ani się oduczyć. Jeśli  
rzeczywiście tak  
było, istniała możliwość, iż mogą być pewni, że regule każdorazowo  
mówią im  
jedynie  
prawdę.  
Było też jednak możliwe, że gatunek niezdolny do kłamstwa nauczył się  
metod  
wprowadzania w błąd bez uciekania się do tego środka.  
Nie musiał się zastanawiać, co regule sądzą o ludziach, którzy  
przywiązywali  
wielką  
wagę do słowa pisanego, dla których trzeba było przygotowywać  
specjalne, odrębne  
materiały, by byli w stanie pojąć powoli to, co regule mogli wchłonąć  
za jednym  
wysłuchaniem, i którzy nie potrafili nauczyć się ich języka, podczas  
gdy oni  
opanowali język  
ludzi bardzo szybko, w miarę dostarczania im słów i nigdy nie musieli  
niczego  
powtarzać  
dwa razy.  
Czuł niepokój, gdy myślał o tym, a także o regulskich młodych. Mimo  
że były one  
tak  
bezzadnie powolne i ociężałe w swych ruchach, gdy spoglądały na  
człowieka, w ich  
małych,  
świńskich ślepiach przeblyskiwało jakieś uczucie wywołujące  
zmarszczki w  
kącikach ich  
oczek. Wiedział, że te młode, o ile nie zamorduje ich własny rodzic,  
mogą żyć  
kilkakrotnie  
dłużej niż człowiek i zapamiętać każdą chwilę swego życia, a także i  
to, że bai  
Hulagh,  
sprawujący władzę nad statkiem, na którym się znajdowali, oraz  
strefą, ku której  
zmierzali,  
dokonał właśnie tego.  
Miał im za złe zarówno długie życie, jak i dokładną pamięć, a także  
natarczywość  
ich  
wszechobecnych maszyn oraz zajadłość i bezczelność, z jaką trzymali

ich w  
zamknięciu i  
narzucali ścisły rozkład dnia, podczas gdy otaczające ich automaty  
czyniły  
reguli fizycznie  
więcej niż równymi ludziom. Nade wszystko jednak, z całą gromadzącą  
się  
frustracją  
wywołaną ich długim uwięzieniem, gniewały go drobne, irytujące  
przeszkody, jakie  
nieustannie stawiali na ich drodze regulscy gospodarze, którzy w  
wyraźny sposób  
gardzili  
ludźmi za słabe strony ich umysłu.  
Stavros zmierzał prostą drogą do klęski, jeśli szukał porozumienia z  
podobnymi  
sąsiadami. Było śmiertelnym błędem sądzić, że człowiek może stać się  
regulem i  
że uzyskał  
cokolwiek, imitując niewolniczo sposób zachowania istot, które nim  
gardziły.  
To był robak, który gryzł go już od pierwszych dni ich miękkiej jak  
jedwab  
niewoli w  
więzieniu z chromowych płyt. Zewsząd otaczały ich maszyny regule i  
sami regule -  
niezdarne  
bestie, bezradne bez swych automatów, przypominające wielkie,  
bezkształtne  
pasożyty,  
żyjące dzięki podłączeniu do urządzeń ze stali i chromu. Stavros  
popęłniał  
totalny,  
niebezpieczny błąd, jeśli sądził, że zdobył szacunek regule,  
wyrzekając się  
nielicznych rzeczy,  
w których ludzie mieli nad nimi przewagę. Regule spoglądali z pogardą  
na  
gatunek, którego  
umysł zapominał i który uwieczniał swą wiedzę na filmach i papierze.  
Szukał okazji, by powiedzieć to Stavrosowi, nie mógł jednak zbliżyć  
się do niego  
na  
tyle, by przekazać mu swoje obawy. Stavros był wykształconym  
człowiekiem, a  
Duncan nie.  
Był on jedynie doświadczony i to doświadczenie ostrzegało go  
dobitnie, że  
znajdują się w  
niebezpiecznej sytuacji.  
Uderzył dłonią w pulpit biblioteki. Czas dobiegł końca. Został  
pokonany przez to  
okropieństwo. Było niewiarygodne, że urządzenie mogło pracować tak  
powoli. Jego  
gest był  
równie jałowy i bezmyślny, jak trzepnięcie maszyny wyprodukowanej  
przez ludzi.  
Już w  
sekundę później Duncan zrozumiał jednak, że nie powinien tego robić.  
Gdy  
natychmiast zgasł  
sygnał priorytetu, przez chwilę był przerażony, sądząc, że to on w  
jakiś sposób  
to

spowodował i wzbudził wrogość jakiegoś wysoko postawionego reguła. Maszyna zaczęła jednak wypuszczać z siebie resztę papieru, a potem w przepisowy sposób wystrzeliła kasetę. Duncan zatrzymał się, by zabrać to wszystko. Potem, gdy odwracał się, by odejść, spojrział w górę na tablicę i zobaczył, że cały obraz się zmienił i że mieli teraz przed sobą wizualną prezentację układu o siedmiu planetach, a kurs ich statku przedstawiano jako zmierzający ku drugiej z nich. Miejscu ich przeznaczenia. Gdy na to patrzył, dostrzegł na symulacji wyobrażenie następnego statku zmierzającego na zewnątrz trasą nie przecinającą się z ich kursem. Znajdowali się wewnątrz układu, na zamieszkałych obszarach, gdzie panował intensywny ruch. Zbliżyli się do Kesrith. Czas ponownie ruszył naprzód. Jego serce zaczęło bić szybciej pod wpływem pokrzepiającej pewności, że rzeczywiście dotarli tam, gdzie mieli dotrzeć i że zbliżyli się do swego nowego świata. Zgodnie z owym diagramem, zanim przybiją do doku na stacji Kesrith, upłynie więcej niż tydzień, niemniej jednak zbliżyli się. Okres ich uwięzienia dobiegał końca. Po lewej stronie w korytarzu rozległy się kroki. Przez chwilę ignorował je. Wiedział, że przekroczył czas i spodziewał się pełnego zgryźliwości upomnienia od jakiegoś młodego. Dlatego nie dotarł do niego złowieszczy charakter dźwięku. Nagle zrozumiał, że jest on tu nie na miejscu. Był to miarowy odgłos butów uderzających w podłogę, a nie powolne człapanie stóp reguła czy nawet dźwięk delikatnych kroków Stavrosa. Odwrócił się, przerażony - zanim go jeszcze zobaczył - obecnością kogoś, kto nie był jednym z nich ani regulem. Ujrzał postać, która podobnie jak on zatrzymała się bez ruchu. Odziana była w czarne szaty ozdobione mnóstwem małych, lśniących dysków. Mri. Kel'en. Żłociste oczy ponad zasłoną wyrażały zdumienie. Szczupła, brązowa dłoń powędrowała do noża za pasem i zastygła w tym miejscu. Jeszcze przez chwilę żaden z nich się nie ruszał. Można było usłyszeć jedynie powolne zmiany zachodzące w projektorze. Nieprzyjaciel. Wróg, który zniszczył Kiluwę, Talos i Asgard. Duncan

nigdy nie  
widział żadnego z mri z tak bliska. Jedyne oczy i dłonie były odsłonięte.  
Wysoka postać zachowywała całkowity bezruch, rozsiewając aurę groźby i gniewu. Znalazł w sobie odwagę, by powiedzieć:  
- Jestem Sten Duncan.  
Wątpił, by mri zrozumiał cokolwiek, uważał jednak, że czas już, by słowa dokonały interwencji, zanim przemówi broń.  
- Asystent posła Federacji - dokończył.  
- Jestem kel Medai - odparł tamten w bezbłędnym podstawowym - i niedobrze się stało, że się spotkaliśmy.  
Powiedziawszy to, mri odwrócił się na pięcie i oddalił dumnym krokiem w kierunku, z którego przyszedł. Czarna postać zniknęła w mroku przy zakręcie korytarza.  
Duncan zauważył, że drży mu każdy mięsień. Widywał mri z tak bliska jedynie na fotografiach i wszyscy z nich byli martwi.  
Piękny - to niezwykle określenie przyszło mu do głowy na widok wojownika mri. Mógłby tak pomyśleć o jakimś zwierzęciu, wspaniałym, śmiertelnie groźnym egzemplarzu swego gatunku.  
Odwrócił się i krew, która podjęła już w pewnym stopniu swe normalne krążenie, zastęła w jego żyłach po raz drugi. W głównej sali stało regulskie młode. Jego nozdrza otwierały się i zamykały szybko pod wpływem podniecenia. Zapiszczało do niego ostrzegawczo. Duncan nie wiedział czy ze strachu, czy z gniewu. Przybrało odcień sianej bladości. - Idź do swojej kwatery - nalegało. -  
Czas upłynął.  
Idź do kwatery. Natychmiast!  
Duncan ruszył naprzód, przepchnął się obok młodego i pognął przed siebie, nie oglądając się. Gdy osiągnął już azyl własnych drzwi, ręce mu drżały. Wpadł do środka, zanim jeszcze skończyły się one otwierać, po czym zamknął je natychmiast. Nie uspokoił się, nim uszczelnienie nie zadziałało z sykiem. Osunął się na łóżko. Wiedział, że już za chwilę będzie musiał spotkać się ze Stavrosem i zdać mu relację z tego, co uczynił. Materiały z biblioteki wypadły z jego chłodnych dłoni. Niektóre z papierów spadły na podłogę. Nachylił się i podniósł je, nie czując palcami ich dotyku.  
Popełnił olbrzymi błąd i wiedział, że to nie koniec tej sprawy. Udawali się na planetę, która podobno była światem ojczystym mri - Kesrith

krażąca  
wokół gwiazdy Arain.  
Mimo to regule twierdzili, że prawo jej własności należy do nich i że  
mogą  
odstąpić ją  
ludziom. Utrzymywali, że są władni rozkazywać wszystkim mri oraz  
podpisywać  
traktaty w  
ich imieniu.  
Zdradzili mri, a mimo to na statku, który przywiózł rozkazy oddające  
Kesrith  
ludziom,  
znajdował się kel'en.  
„Niedobrze się stało, że się spotkaliśmy” - powiedział Duncanowi.  
Było oczywiste, że przynajmniej regule - a być może również mri - nie  
chcieli,  
by  
doszło do tego spotkania. Kogoś tu oszukiwano.  
Podniósł się, głęboko odetchnął, zastukał do drzwi Stavrosa i tym  
razem wszedł  
do  
środką, nie czekając na pozwolenie.  
Rozdział 4  
Tego wieczoru odlatywał kolejny statek, jeden z kilku wahadłowców  
przewożących  
pasażerów oraz towary z powierzchni Kesrith na stację, a stamtąd na  
gwiazdoloty:  
frachtowce, liniowce i okręty wojenne - wszystko, co mogło usunąć  
spanikowanych  
reguli z  
drogi nadciągających ludzi.  
Niun przyglądał się, co przyzwyczaił się robić każdego wieczoru, z  
owej wysokiej  
skały, która wznosiła się ponad morzem, nizinami oraz miastem. To  
była prawda.  
Pogodził  
się wreszcie z faktem, że wojna się skończyła, choć gdy obserwował  
odlatujące  
statki, wciąż  
ogarniało go poczucie nierealności. Nigdy za jego życia ani nawet -  
pomyślał -  
za życia  
członków starszyny nie startowały tak często. Faktem było, że  
regulskie miasto  
umierało.  
Ubywało w nim życia z każdym odlatującym statkiem. Niun był posłuszny  
rozkazowi  
she'pan  
i nie zbliżał się do miasta ani portu, sądził jednak, że gdyby udał  
się teraz na  
plac,  
stwierdziłby, że wiele budynków jest opustoszałych i ogołoconych z  
wszystkiego,  
co  
wartościowe. Każdego kolejnego dnia widział pojazdy zmierzające do  
miasta drogą  
wijącą się  
wzdłuż brzegu morza, która z jego punktu obserwacyjnego była ledwo  
dostrzegalną  
linią.  
Przywoziły one reguli z dalej leżących osiedli oraz stacji. Samoloty  
przylatywały do miasta,  
lecz coraz mniej z nich odlatywało na nowo. W jego umyśle  
ukształtował się obraz



ogromnego usypiska porzuconych na granicy miasta regulskich wehikułów, a także statków w porcie. Będą je musieli zrzucić na stosy i zostawić na pastwę rdzy. Krażyły pogłoski - czego dowiedział się Sathell z regulskich środków przekazu - że główną cenę zapłaconą przez reguli za pokój, który kupili, było odstąpienie wszystkich kolonii w pobliżu Kesrith. Ekonomia tsi'mri okazała się na koniec potężniejsza niż broń Kel i z pewnością ważniejsza - zdaniem reguli - niż honor mri. Kesrith co prawda była dla nich poważną stratą, gdyż planeta ta stanowiła ośrodek górniczy i bazę transportową, pełną kosztownych automatów. Niewątpliwie utrata podobnej kolonii okryła wstydem regulskich starszych, niewątpliwie było to obciążeniem dla ich interesów i handlu i niewątpliwie dla przebywających w uciekających statkach reguli niedogodność ta graniczyła wręcz z tragedią. Członkowie tego gatunku wysoko cenili różne osobliwe przedmioty. Różnice w ilości i jakości tych błahostek, a także posiadane stroje i wygody wyznaczały w ich oczach wartość jednostki. Utrata domów oraz cennych drobiazgów, których nie zdołają zabrać na statki, będzie dla nich bolesna. Nie mieli oni jednak Czczonych Przedmiotów ani niczego, czego strata mogłaby być dla nich równie dotkliwa, jak strata ojczystego świata dla Ludu. Wyróżnienia, których pożąдали, będą mogli kupić na nowo, jeśli im się poszczęści, w przeciwieństwie do wyróżnień mri, na które trzeba było zasłużyć. W związku z tym Niun nie mógł się zdobyć na większe współczucie dla żadnego z nich. Sam poniósł wystarczająco wielką stratę. Życie, jakie planował i jakiego pragnął dla siebie, wychodziło poza zakres rzeczy realnych z całą gwałtownością i szybkością tych odlatujących statków. Odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę, trwającą noc i dzień. Wypadki dowiodły, że osobiste plany Niuna s'Intel Zain-Abrin nie znaczyły nic dla mocy rządzących światami. Jednakże zagrożenie dla Domu było czymś, czego wyobrażenie sobie nie leżało w jego mocy. Możliwość, że moce rządzące światami w najmniejszym stopniu nie

dbają o los Ludu - to przekraczało wszelkie pojęcie.  
Próbował już przystosować swój umysł do tej zmiany losu.  
- Gdzie będziemy się bronić? - zapytał Eddana i kel'ein, zakładając,  
że jego  
naród  
zachował rozsądek i dojdzie do obrony ojczystego świata oraz Edunu  
Ludu.  
Eddan jednak, usłyszawszy to pytanie, odwrócił twarz i gestem odmówił  
mu  
odpowiedzi. Wobec nie podjęcia działania przez Kel, Niun odważył się  
zwrócić z  
tym  
pytaniem do samej she'pan. Intel popatrzyła na niego z dziwnym  
smutkiem, jak  
gdyby jej  
ostatniemu synowi brak było jakichś zasadniczych zdolności  
pojmowania.  
Odpowiedziała mu  
jednak łagodnym tonem, wygłaszając ogólniki o cierpliwości i odwadze.  
Z uwagą  
uchyliła się  
przed udzieleniem bezpośredniej odpowiedzi na jego pytanie.  
Dzień za dniem odlatywały regulskie statki. Na ich pokładach nie było  
kel'ein  
mri.  
She'pan zabroniła im tego.  
Patrzył na koniec. Teraz to zrozumiał. Przynajmniej to. Czego koniec  
miał to  
być, nie  
był jeszcze pewien, znał jednak smak nieodwołalności i wiedział, że z  
tego,  
czego pragnął  
przez całe życie, nie pozostało nic. Regule odlecieli i odtąd mieli  
panować tu  
ludzie.  
Żałował teraz z rozpaczliwą intensywnością, że nie poświęcił się  
jeszcze  
gorliwiej  
studiom nad ich zwyczajami. Gdyby tak postąpił, mógłby zrozumieć, co  
najprawdopodobniej  
uczynią. Być może starsi kel'ein, którzy spotykali się z nimi tak  
często,  
wiedzieli to. Być  
może w związku z tym sadzili, że on również powinien to wiedzieć i  
nie  
zamierzali nagradzać  
go za ignorancję wyjaśnieniami. A może byli równie bezradni jak on i  
nie chcieli  
przyznać się  
przed nim do oczywistej prawdy. Nie mógł mieć do nich o to pretensji.  
Rzecz w  
tym, że po  
prostu nie potrafił pogodzić się z myślą, iż nic się nie da zrobić i  
nie ma  
sensu czynić żadnych  
przygotowań, podczas gdy regule z takim niepokojem i desperacją  
uciekali w  
bezpieczne  
miejsce. Wierzył, z siłą całej wiary, jaka jeszcze pozostała w jego  
kurczącej  
się skarbnicy  
rzeczy zasługujących na zaufanie, że gdy nadejdzie koniec, członkowie  
Kel będą  
się bronić,

lecz - jeśli tak się stanie - zginą. Ich umiejętności były wielkie,  
jak sądził -  
większe niż  
jakichkolwiek żyjących kel'ain, lecz dziewięciu spośród nich było  
bardzo starych  
i ich liczba  
była o wiele za mała, by mogli przez dłuższy czas powstrzymać  
zmasowane ataki  
ludzi.  
Raz za razem wyobrażał sobie - w wizji równie straszliwej i  
nierealnej, jak  
odejście  
reguli z jego życia - przybycie ludzi, ludzki język i echo ludzkich  
kroków  
rozlegających się w  
sanktuarium Kaplicy edunu, ogień i krew oraz dziesięcioro  
zdesperowanych kel'ain  
usiłujących obronić she'pan przed hordą pragnących ją zbecześcić  
ludzi.  
Bracia, siostró - pragnął zapytać kel'ain - czy to możliwe, by  
istniała jakaś  
nadzieja,  
której nie potrafię dostrzec?  
Z drugiej strony jednak myślał: Albo, o bogowie, czy to możliwe, że  
mamy  
she'pan,  
która postradała zmysły? Bracia, siostró, spójrzcie, spójrzcie,  
statki! Nasza  
droga ucieczki z  
Kesrith. Przemówcie naszej she'pan do rozumu. Zapomniała, że są tu  
tacy, którzy  
pragną żyć.  
Nie mógł jednak powiedzieć podobnych rzeczy starszym kel'ain czy  
Eddanowi, a  
poza tym musiałby prędzej czy później wytłumaczyć się z nich przed  
samą Intel, a  
tego nie  
potrafiłby znieść. Nie mógł ich przekonać ani odbywać z nikim  
potajemnych  
dyskusji, jakie  
toczyli pomiędzy sobą. Zarówno oni, jak i ona - wszyscy poza nim i  
Melein -  
pamiętali czasy  
Nisrenu, życie takie, jakim było przed wojną. Przyjęli już raz pomoc  
reguli, gdy  
uciekali z  
ruin Nisrenu, teraz jednak odmówili skorzystania z niej. Zdecydowali  
o tym  
podczas narad, w  
których on, nie będący jednym z Mężów, nie mógł uczestniczyć. Uparcie  
chciał  
wierzyć, że  
jego przełożeni nie stracili rozumu. Byli zbyt spokojni i pewni  
siebie jak na  
szaleńców.  
Czterdzieści trzy lata temu podobne nieszczęście spadło na Nisren.  
Regulski  
statek,  
który uratował she'pan Intel, przewiózł święte Pana oraz ocalonych  
członków  
edunu na  
Kesrith. Nie mówili oni o tym dniu. Nawet w pieśniach niemal o nim  
nie  
wspominali. Ten ból

zapisany był w ich widocznych bliznach oraz w tajemnicach, które kryło ich milczenie.  
Czy im wstyd? - zastanawiał się, choć złe myśli na ich temat rozdzierały mu serce. -  
Wstyd tego, co zrobili albo czego nie zrobili na Nisrenie? Czy wstydzą się, że żyją, i nie chcą przeżyć kolejnego upadku ojczystego świata?  
Czasami podejrzewał, z narastającym lękiem, który gryzł go niczym jakiś obcy pasożyt, że to właśnie było przyczyną, że należał do she'pan, która zmęczyła się już uciekaniem, i do edenu, który świadomie postanowił zginać. Edenu, w którym znajdowały się Pana, Czczone Przedmioty, symbolizujące honor i historię mri, które oglądać wolno było jedynie Sen, których dotknięcie bez pozwolenia oznaczało śmierć, a których utrata...  
Utrata zabytków Ludu...  
Zapowiadało to zagładę, nie tylko edenu, lecz również Ludu jako gatunku.  
Zatrzymał na chwilę tę myśl, rozważył ją w swym umyśle, następnie pośpiesznie odrzucił na bok, po czym ze strachem podjął te rozważania ponownie.  
O bogowie - pomyślał. Sam ten koncept sparaliżował jego umysł.  
Wystartował kolejny wahadłowiec. Niun patrzył, jak wznosi się on wciąż w górę, niczym ruchoma gwiazda.  
O bogowie, o bogowie.  
To była shon'ai ich gra. Błysk noży w ciemności, śmiercionośna gra rytmu, blefu, groźby oraz lekkomyślnego ryzyka.  
Gra Ludu.  
Noże zostały rzucone. Postawili na jedną kartę życie, licząc na szybkość, spryt i zimną krew, jedynie w tym celu, by zasłużyć na ocalenie.  
Poczuł, że krew odpłynęła mu z twarzy do brzucha. Zrozumiał, dlaczego spoglądali na niego niewidzącymi oczyma, gdy zadawał swe bezcelowe pytania.  
Dołącz się do rytmu, dziecię Ludu. Stań się z nim jednością. Pogódź się z nim.  
Pogódź. Pogódź.  
Shon'ai!  
Krzyknął na głos. W jednej chwili zrozumiał wszystko. W całym znanym kosmosie mri zareagują na rzut wykonany przez she'pan z Kesrith. Przylecą, przylecą ze wszystkich stron przestrzeni, by walczyć, by stawić opór.  
Pana powierzono opiece Edun Kesrithun.  
Krań był szeroki, a noże leciały w pozornie przypadkowych kierunkach, lecz każda gra z reguły wykształcała własny, niepowtarzalny wzór, a najmądrzejsi gracze nie

pozwalali,  
by ich on zahipnotyzował.  
Intel dokonała rzutu. Teraz przyszła kolej na odpowiedź pozostałych.  
Pierwszy z bliźniaczych księżyców Kesrith był już tak jasny, że można  
go było  
dostrzec. Zalśniły gwiazdy, tworząc mglisty pas przebiegający po  
niebie.  
Powietrze stało się  
zimne, Niun nie czuł jednak żadnej potrzeby, by wrócić do edunu i  
podjąć  
codzienną rutynę  
swej egzystencji. Nie tego wieczoru. Nie gdy dręczyły go podobne  
myśli. Prędzej  
czy później  
kel'ein zauważa jego brak, wyjdą go poszukać, znajdą w jego ulubionym  
miejscu i  
zostawia  
w spokoju. Spędził tu wiele wieczorów. O tej porze nie było w edunie  
nic do  
roboty poza  
spaniem, jedzeniem oraz uczeniem się o rzeczach, które nie były już  
prawdą. Nikt  
z nich nie  
zaśpiewał żadnej pieśni od dnia, w którym nadeszły wieści o końcu  
wojny. Często  
siedzieli  
razem i rozmawiali ze sobą, wyłączając Niuna ze swego towarzystwa.  
Zapewne -  
pomyślał -  
poczuli ulgę, że sobie poszedł.  
Gejzer zwany Sochau buchnął parą daleko z drugiej strony nizin,  
tworząc wysoką  
fontannę. Jego rytm był równie przewidywalny, jak godziny na  
regulskich  
zegarach. Podobne  
cykle wyznaczały życie świata. Odmierzali czas dzielący ich od chwili  
nadejścia  
ludzi.  
Po raz pierwszy w ciągu wszystkich tych dni, odkąd usłyszał o  
zakończeniu wojny,  
Niun poczuł ślad radości, gorące przeczucie, że Lud jest jeszcze w  
stanie czegoś  
dokonać i że  
ludzie mogą się przekonać, iż ich zwycięstwo nie jest na razie faktem  
dokonanym.  
Gdy jedna z gwiazd wzbiła się już w górę, na niebie pojawiła się  
inna, szybko  
schodząca w dół i lśniaca niczym omen. Niun podniósł ku niej wzrok z  
rodzającym  
się  
zainteresowaniem, ożywiony przez coś - choćby i błahostkę - co nie  
było częścią  
codzienności. Wahadłowce zwykle nie schodziły do lądowania przed  
porankiem.  
Obserwował, jak statek rośnie, snując wizje zarówno przerażające, jak  
i pełne  
nadziei.  
Była to jedynie dziecinna zabawa, gdyż w gruncie rzeczy nie wierzył,  
by było to  
cokolwiek  
innego niż zmiana w regulskich harmonogramach, dokonana ze znanych  
tylko regulom  
powodów, coś równie zwyczajnego, jak wszystko inne w zorganizowanej  
rutynie

umierania  
Kesrith.  
Przyglądając się schodzącemu w dół statkowi, dostrzegł nagle, że w  
najodleglejszej  
części portu rozjarzyły się światła. Zdał sobie raptownie sprawę, że  
nie kieruje  
się on do  
obszaru przeznaczzonego dla frachtowców i wahadłowców, lecz na teren  
wydzielony  
dla  
okrętów wojennych. Ponadto nie był to wahadłowiec, lecz statek  
poważnych  
rozmiarów, jaki  
nie lądował w porcie na powierzchni planety od wielu lat.  
Widoczny z oddali w ciemności gwiazdolit nie był niczym więcej niż  
plamą  
światła,  
bez kształtu i nazwy. Nie było widać nic, co umożliwiłoby jego  
rozpoznanie. Niun  
nagle  
zrozumiał, że jego współbracia z pewnością musieli o nim słyszeć, że  
na pewno  
już ich o tym  
powiadomiono, a tylko on o niczym nie wie.  
Zerwał się ze swej skały i zaczął biec. Na początku trasy jego ręce  
nogi  
zmieniały  
niekiedy kierunek, w miejscach, gdzie krucha ziemia maskowała różne  
niebezpieczeństwa.  
Nie korzystał z drogi, lecz biegł na przełaj, starą ścieżką mri.  
Dotarł do drzwi  
edunu, z trudem  
łapiąc oddech.  
W korytarzach panowała cisza. Zatrzymał się tylko na chwilę, po czym  
pognał po  
schodach w stronę wieży she'pan. Pierwszą kondygnację pokonał niemal  
biegiem.  
I tam spotkał się z cieniem - starym Dahachą, który schodził w dół.  
Jego wielki,  
skory  
do gniewu dus podążał za nim ociężałym krokiem. Obaj zatrzymali się  
nagle. Dus  
zsunął się  
jeszcze o jeden stopień i wydał z siebie chrapliwe ostrzeżenie.  
- Niunie - powiedział stary. - Właśnie wybierałem się ciebie  
poszukać.  
- Przyleciał statek - zaczął Niun.  
- To żadna nowina - odparł Dahachą. - Wrócił Hazan. Yai! Chodź na  
górze,  
młodzieńcze. Brak nam było ciebie.  
Niun poszedł za nim, przepełniony wielką radością. Hazan - okręt  
dowodzenia  
strefy.  
Był już najwyższy czas, by wrócił, gdyż ogarnięci paniką regule  
wycofywali się w  
chaosie.  
Wreszcie zdobyli się na jakąś decyzję, znaleźli się wśród nich ktoś,  
kto był  
władny zapanować  
nad pogarszającą się gwałtownie sytuacją.  
I to Hazan! Jeśli nadleciał ten statek, oznaczało to, że Medai, jego  
kuzyn i  
współkel'en  
wrócił do domu z wojen z ludźmi i przywiózł ze sobą oświadczenie oraz

cały  
zdrowy  
rozsądek Kel z frontu.  
Wspomniał też inne cechy Medaia, które mniej kochał, nie miało to  
jednak  
znaczenia  
po sześciu latach, w chwili gdy świat pogrążał się w chaosie. Podążył  
za Dahachą  
w górę po  
krętych schodach, ogarnięty totalnym uniesieniem.  
Drugi kel'en.  
Tego mężczyznę pozostali wysłuchają tak, jak nigdy nie wysłuchaliby  
Niuna, który  
dotąd nie opuścił ojczystego świata.  
Medai, który służył przywódcom reguli i poznał ich myśli w stopniu, w  
jakim  
udało  
się to tylko nielicznym kel'ein. Kel'en ze statku baia strefy  
Kesrith.  
Rozdział 5  
Drzwi były zamknięte, jak działo się to zawsze w czasie, gdy nie  
wolno im było  
wychodzić. Sten Duncan po raz kolejny spróbował je otworzyć, choć  
wiedział, że  
to nic nie  
da. Walnął w nie pięścią i wrócił do swego towarzysza.  
- Odmówili odpowiedzi - oznajmił Stavros. Siedział w swym  
biurkokrześle. Ekran  
konsoli przy jego lewym łokciu był koloru monotonnej szarości.  
Stavros wyglądał  
na  
zaniepokojonego, co było u niego rzadkością, nawet w najgorszych  
momentach.  
Znajdowali się na powierzchni planety. To nie budziło wątpliwości.  
- Mieliśmy przybyć na stację - stwierdził wreszcie Duncan, dając  
wyraz  
najdrobniejszej ze spraw niepokojących jego umysł.  
Stavros nie zareagował na to spostrzeżenie. Gapił się tylko na niego  
bez wyrazu.  
Duncan odczytał w jego wzroku zarzut.  
- Jeśli doszło do zmiany planów, może to oznaczać, że coś poszło źle  
na niej  
albo na  
powierzchni świata - ciągnął Duncan, pragnąc otrzymać od starego  
najdrobniejsze  
pocieszenie, zaprzeczenie swych niepokojów, czy choćby wywołać jego  
otwarty  
gniew. Z  
tym potrafiłby sobie poradzić.  
Gdy jednak Stavros nie udzielił mu żadnej odpowiedzi, Duncan osunął  
się na  
krzesło  
przy stole z głową skrytą w dłoniach, wyczerpany napięciem  
oczekiwania. Tak  
wyglądała ich  
noc. Upłynęła już jej połowa.  
- Może regule śpią - odezwał się nieoczekiwanie Stavros, zaskakując  
Duncana  
tonem,  
w którym nie było śladu urazy. - Jeśli postanowili utrzymać po  
ładowaniu cykl  
czasowy  
statku albo akurat trwa lokalna noc, jest możliwe, że bai Hulagh śpi,  
a jego

ordynansi nie chcą  
nam odpowiedzieć bez jego upoważnienia. Regule nie zwykli sprawiać  
kłopotów  
starszym o  
wysokiej randze.  
Duncan spojrział na swego towarzysza. Nie uwierzył w to wyjaśnienie,  
cieszył się  
jednak, że Stavros wykonał ten gest, bez względu na to, czy w swym  
umyśle krył  
inną  
interpretację, o której nie mówił. W najmniejszym stopniu nie  
uspokajał Duncana  
fakt, że  
Stavros nigdy nie poruszył sprawy jego spotkania z mri. Zadawał  
jedynie ciche  
pytania o to,  
co wydarzyło się w głównej sali. Nie obwiniał go i niczym nie  
zdradzał, co na  
ten temat  
myśli. Nie zareagował też w żaden sposób, gdy wkrótce potem  
przedstawiono im  
nowy  
harmonogram, który skracał o połowę godziny ich wolności, a drzwi  
zaczęło  
nieustannie  
strzec regulskie młode, które zawsze podążało z dala za Duncanem, gdy  
ten  
opuszczał pokój.  
Skutki tego odwetu, rzecz jasna, najciężej odczuł Duncan, którego  
swoboda ruchów  
uległa dalszemu ograniczeniu. Stavrosowi nie przeszkadzało to  
zbyt, cała  
sprawa jednak  
źle wróżyła ich bezpieczeństwu oraz przyszłości regulsko-ludzkiej  
współpracy.  
Oficjalnie  
stosunek reguły do nich nie uległ zmianie. Wciąż przestrzegali  
wszelkich  
ceremonii i  
pozdrawiali ich w codziennych komunikatach. Co dla nich  
charakterystyczne, nie  
wspomnieli  
bezpośrednio o incydencie w korytarzu, a jedynie powiadomili ich, nie  
podając  
powodów, że  
rozkład uległ zmianie.  
- Przykro mi, sir - odezwał się wreszcie Duncan, kierowany odczuwaną  
frustracją.  
Stavros z początku zrobił zaskoczoną minę, po czym zmarszczył brwi i  
wzruszył  
ramionami. - Najpewniej chodzi po prostu o regulską procedurę i jakąś  
drobną  
zmianę w  
planach. Nie przejmuj się tym. - Ponownie wzruszywszy ramionami,  
dodał: -  
Prześpij się  
trochę, Duncan. W tej chwili nie ma wiele więcej do roboty.  
- Tak jest, sir - odparł. Wstał, wyszedł do przedpokoju, usiadł na  
własnym łóżku  
i  
podwinał nogi. Oparł łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Zaczął  
masować swe  
obolałe  
skronie.



Dzięki niemu zostali więźniami.  
Stavros był zaniepokojony. Z pewnością wiedział, o co w tym  
wszystkich chodziło  
i  
był zaniepokojony. Być może, gdyby regule przyjęli podobną ofiarę,  
mógłby  
zademonstrować, że ukarał ludzkie młode będące przyczyną tych  
trudności. Być  
może nie  
zrobił tego przede wszystkim dlatego, że obaj byli ludźmi i czuł z  
nim więź, do  
której się nie  
przyznawał, a może dlatego, że regulski starszy również nie  
postąpiłby w ten  
sposób w  
podobnej sytuacji.  
Było jednak w wystarczającym stopniu jasne, że padł na nich mroczny  
cień  
niezadowolenia reguli, który utrzymywał się już od wielu dni i że nie  
znajdowali  
się teraz w  
miejscu, w którym - jak im powiedziano w chwili startu - mieli  
wylądować.  
Dotarł do niego jakiś dźwięk. Ktoś posuwał się korytarzem. Jeden ze  
ślizgów  
przemknął po przebiegających na zewnątrz szynach. Duncan podniósł  
wzrok, gdy  
wydało mu  
się, iż maszyna się zatrzymała. Wbrew rozsądkowi poczuł przypływ  
nadziei, że  
przywiozła  
ona wieści dla nich.  
Drzwi otworzyły się. Duncan poderwał się, natychmiast przybierając  
właściwą  
postawę. Ślizg rzeczywiście zatrzymał się przed wejściem. Siedział w  
nim  
najstarszy i  
najbardziej masywny regul, jakiego w życiu widział. Cały szereg  
zwałów pokrytego  
fałdami  
cielska oraz zaskorupiała skóra ukrywały wszelkie ślady struktury  
kryjącej się  
wewnątrz jego  
szaro-brązowej postaci, poza kościstą płytą twarzy, w której widniały  
zatopione  
w okrężnych  
zmarszczkach czarne i lśniące oczy. Nadawały jej one, wraz z płaskim  
nosem oraz  
szparą ust,  
złudnie ludzki wygląd.  
Było to oblicze człowieka połączone z ciałem bestii. Ciało to otulone  
było w  
brązowe,  
lśniące szaty o srebrnych obszywkach - delikatna pajęczyna  
spowijająca wstrętna,  
pokryta  
zmarszczkami skórę. Nozdrza były skośnymi szparami, które mogły się  
otwierać  
bądź  
zamykać. Duncan wiedział, że u młodych ruch ten jest wyrazem emocji,  
jednym z  
nielicznych, do których były zdolne chronione kostną tarczą twarze  
reguli:  
wodzenie oczyma,

rozchylenie lub zaciśnięcie warg oraz poruszenie nozdrzy. Gdyby jednak nie wiedział, że istota pochodzi z dokładnie tego samego gatunku co młode, wydawałoby mu się to wątpliwe. Co niewiarygodne, stary regul podniósł się, dźwignął swe ciało do pozycji pionowej, a potem stanął wewnątrz ślizgu na niemal niewidocznych, zakrzywionych nogach.

- Stavros - powiedział chrapliwym basem. Ludzie nie potrafili naśladować wyrazu twarzy reguli, a ci drudzy - być może - nie umieli odczytać z ludzkiej twarzy uprzejmości bądź jej braku, Duncan jednak wiedział, że teraz niezbędna jest uprzejmość. Pokłonił się.

- Jeśli łaska - powiedział w języku reguli - jestem młode Sten Duncan.

- Zawołaj Stavrosa. Drzwi jednak już się otworzyły. Duncan odwrócił się z zamiarem wykonania rozkazu i nagle ujrzał Stavrosa, który stał w przejściu, nie posuwając się dalej. Nastąpiła chrapliwa wymiana regulskich uprzejmości. Duncan usunął się na bok pomieszczenia i oparł o ścianę, oszołomiony potokiem słów. Zdał sobie sprawę z tego, co podejrzewał już wcześniej. To sam bai złożył im wizytę. Bai Hulagh Alagn-ni, naczelny dowódca statku Hazan, następca Holn oraz tymczasowy gubernator strefy Kesrith na czas przekazywania przez reguli władzy ludziom. Duncan robił wszystko, by go nie zauważono. Nie zamierzał popełnić drugiego wykroczenia przeciw regulskim dobrym manierom i komplikować spraw, których nie rozumiał. Rozmowa była krótka. Zakończyła ją seria pokłonów oraz gestów, po której bai opadł na swój ślizg i zniknął. Stavros sam zamknął drzwi, zanim Duncan zdołał otrząsnąć się ze zmieszania na tyle, by to zrobić.

- Sir? - wydobył wreszcie z siebie głos Duncan. Przez dłuższą chwilę Stavros milczał. Wreszcie rozejrzał się wokół z poważną, zakłopotaną miną.

- Wylądowaliśmy na Kesrith - oznajmił. - Bai zapewnia nas, że lądowanie bezpośrednio w porcie jest całkowicie naturalną opcją dla statku tego typu i że decyzję podjęto w ostatniej chwili z powodów, które nie muszą nas niepokoić. Wyczuwam jednak, że panuje tu jakaś niestabilna sytuacja, której nie rozumiem. Bai

pragnie, byśmy  
pozostali na  
statku. Tymczasowo, jak powiedział.  
- Czy - zapytał Duncan - przyczyną kłopotów jest ta sprawa z mii?  
Stavros potrząsnął głową.  
- Nie wiem. Myślę, że cała załoga ma pozostać na pokładzie, dopóki  
sprawy się  
nie  
wyjaśnia. Tak przynajmniej... - Oczy Stavrosa powędrowały ku  
sufitowi,  
odpowietrznikom,  
źródłom światła oraz innym urządzeniom, których zasad działania nie  
rozumieli i  
do których  
nie mieli zaufania. To ostrzegawcze spojrzenie nie mówiło nic, niosło  
jednak  
jakaś obawę,  
której Stavros mógłby dać wyraz na głos, gdyby było to bezpieczne. -  
Bai  
zapewnia nas, że  
rankiem zostaniemy przeniesieni do centralnej kwatery głównej. W tej  
chwili  
panuje  
planetarna noc. Przeszliśmy już na podstawowy czas Kesrith. Bai  
twierdzi, że  
pogoda jest  
piękna, a niedogodności będą drobne. Mamy wyspać się dobrze i wstać  
późno, w  
oczekiwaniu na przyjemne spotkanie z nową planetą.  
Bai zachowuje się z ceremonialną uprzejmością - tak brzmiał właściwy,  
ukryty w  
słowach sens wypowiedzi Stavrosa. Regulowi nie można było wierzyć.  
Duncan skinął  
głową  
na znak zrozumienia.  
- W takim razie, dobranoc - powiedział Stavros, jak gdyby ta wymiana  
słów odbyła  
się  
na głos. - Myślę, że możemy być pewni, iż zatrzymają nas na pokładzie  
przez  
wiele godzin i  
zapewne mamy czas na to, by porządnie się wyspać.  
- Dobranoc, sir - odparł Duncan. Przyglądał się staremu, gdy ten  
wychodził do  
swej  
kwatery i zamykał drzwi.  
Nie po raz pierwszy żałował, że nie może zapytać Stavrosa  
bezpośrednio, co ten  
sądzi  
o sytuacji, ani domyślić się, na ile czcigodny Stavros pokładał wiarę  
w tym, co  
mu  
powiedziano.  
W czasie, gdy regule nie darzyli ich szczególną łaską, Duncan zabrał  
się do  
poznawania ich języka z tą samą gorączkową, rozpaczliwą pilnością, z  
jaką kiedyś  
przykładał  
się do nauki sztuki walki i przeżycia w NST. Rozpoczął od wkuwania na  
pamięć  
zdań i  
przeszedł do poznawania struktury języka. Przychodziło mu to znacznie  
łatwiej,  
niż mógłby

sobie wyobrazić. Nie posiadał wykształcenia. Zastępował mu je strach. Zaczął, z charakterystyczną dla koszmarów intensywnością, jaką przybrały jego lęki w samotności, zastanawiać się nad tym, że Stavros rzeczywiście jest bardzo stary, że musi upłynąć wiele czasu, zanim przybędą tu ludzie, i że regule, którzy z taką łatwością pozbywają się własnych młodych, nie zawahają się przed zabiciem ludzkiego młodego, które przeżyło swego zwierzchnika, jeśli uznają, że to młode jest dla nich bezużyteczne. Wiek Stavrosa, będący powodem, dla którego wybrano go na tę misję, zmniejszyła również prawdopodobieństwo jej powodzenia. Gdyby coś przydarzyło się czcigodnemu panu Stavrosowi, Duncan stałby się bezradny. Nie potrafiłby porozumieć się z przeciętnym młodym, a - jak wskazał ongiś Stavros - regulskie młode nie pozwoliłyby mu na kontakt z osobami o randze baia Hulagha, które były jedynymi regulami potrafiącymi płynnie posługiwać się ludzkim językiem. Wolał nie myśleć o możliwości, że któregoś dnia będzie musiał sam sobie radzić z regulami. Ponieważ zostały tylko godziny do zejścia z pokładu na powierzchnię Kesrith, a jego nerwy były zbyt napięte, by mógł zasnąć, Duncan wziął w rękę swe notatki i zaczął uczyć się z pilnością, która przyprawiła jego żołądek o skurcze. Dag - Jeśli łaska, proszę, uwaga. Ta sama sylaba, lecz wypowiedziana z intonacją gwizdka parowego oznaczała „czcigodny”, w piskliwym zaś tonie „krew”. Dag su-gl'inh-an-ant pru nnugk - Czy mogę nawiązać pośredni kontakt z wielbnym... Dag nuc-ci - Jeśli łaska, panie. Uczył się tak długo, aż notatki wypadły z jego odrętwiałych rąk. Duncan osunął się na łóżko, korzystając z drogocennych chwil snu, zanim regulscy ordynarni bez ostrzeżenia otworzyli drzwi i zaczęli wydawać mu przenikliwym tonem rozkazy, po grubiańsku porywając ich bagaże, nie pokłoniwszy się uprzednio. Te regulskie młode nie okazały mu żadnych oznak uprzejmości nawet wtedy, gdy zaczął protestować przeciwko brutalnemu obchodzeniu się z ich rzeczami. Zachowywały w stosunku do niego grubiańskie milczenie. Z gorączkowym pośpiechem, paplając coś

do siebie  
nawzajem, załadowały bagaże na ślizg transportowy, który miał je  
zabrać. Na nich  
czekał już  
następny wehikuł, ślizg pasażerski.  
- Szybko, szybko - powiedziało jedno z nich, wzywając do pośpiechu.  
Prawdopodobnie było to całe ludzkie słownictwo, jakie chciało mu się  
opanować.  
Dopiero,  
gdy pokazał się sam Stavros, młode zaczęły zachowywać się  
przyzwoicie.  
Jedynie człowieka w starszym wieku spotykał od reguli ten zaszczyt.  
Wydawało  
się,  
że młode spoglądają na Stavrosa z należytą dozą strachu.  
Gdy jednak Duncan obejrzał się za siebie, kiedy wsiadali na ślizg,  
spojrzał  
przypadkowo w twarz jednego z młodych, które nachyliło się, pomagając  
im wsiąść  
do  
wehikułu, nozdrza reguła zamknęły się, a wargi zacisnęły. Wyrażona tą  
miną  
nienawiść była  
łatwa do rozpoznania mimo różnic międzygatunkowych.  
Znajdowali się na Kesrith, pomiędzy regulami, którzy mieli być ich  
towarzyszami  
i  
doradcami w sprawach dotyczących ewakuacji innych reguli, od stuleci  
mających tu  
swoją  
dom. Przybyli tu jako zdobywcy, by odebrać im ten świat, jednakże  
przez co  
najmniej  
trzydzieści dni tych zdobywców miało być tylko dwóch i byli oni  
narażeni na  
atak. Ten świat  
należał dotąd do reguli i do mri. Było prawdopodobne, że niektórzy z  
członków  
załogi  
Hazana zwali Kesrith swym domem.  
Do Duncana dotarło natychmiast, że ich obecność na tej planecie może  
wzbudzać w  
regulach coś więcej niż prostą nienawiść międzygatunkową czy  
polityczną.  
Być może istniało wielu mieszkańców Kesrith, którzy nigdy nie  
wyrazili zgody na  
traktat odbierający im ich świat i przekazujący go ludziom.  
„Niedogodności będą drobne.” Tak Stavros przetłumaczył zapewnienie  
baia. Być  
może w oczach regulskiego przywódcy tak było, gdyż jego gatunek  
podobno nie  
potrafił  
posługiwać się kłamstwem. Jednakże oczy młodych, które im  
towarzyszyły, również  
nie  
mogły kłamać, a mówiły one coś całkiem innego.  
Podczas pobytu na Kesrith mieli być zakwaterowani w budynku o nazwie  
Nom, w  
centrum głównego miasta planety, co miało przez pierwsze, najbardziej  
krytyczne  
dni chronić  
ich przed drażniącą naturalną atmosferą tego świata oraz innymi  
drobnymi  
niedogodnościami

miejscowego klimatu. Spodziewano się, że się zaaklimatyzują.  
Widział też wyraz twarzy Stavrosa w chwili, gdy po raz pierwszy  
wydostali się z  
ciepłego statku na wolną przestrzeń i ujrzeli na własne oczy ten  
świat: wzgórze,  
góry i białe  
równiny oświetlone niezwykłym blaskiem czerwono-różowego słońca.  
Dla Stavrosa było to miejsce, w którym miał spędzić resztę życia.  
Jego zadaniem  
było  
przygotować je dla innych ludzi, kierować nimi, gdy już przybędą, i  
odbudować  
cywilizację.  
Duncan już w tej chwili zaczynał myśleć, że pięć lat spędzonych tutaj  
może się  
okazać bardzo  
długim okresem.  
Regule i zasadowe niziny. Gejzery, piasek, kopalnie oraz słońce,  
które wyglądało  
na  
niezdrowe i zbyt wielkie. W czasie swych podróży w ramach służby  
Duncan  
odwiedził  
dziesięć światów, od nagich skalnych kuł aż po planety pokryte  
kwitnącą puszcza,  
nigdy  
jednak nie był na żadnym, który na pierwszy rzut oka wywoływałby  
bardziej obce  
wrażenie  
niż Kesrith.  
Odpychający i nieprzyjazny dla ludzi. Samo powietrze zdawało się tu  
trujące i  
było  
przesycone drażniącymi gazami.  
Jeśli Stavros żałował, że tu przybył, nie okazał tego po sobie.  
Pozwolił, by  
traktowano  
go jak regulskiego starszego. Już od pierwszej chwili zaczął odgrywać  
tę rolę.  
Młode  
przeniosły go na lądowy ślizg, który czekał na dole. Dawno już minął  
świt.  
Słońce pokonało  
jedną czwartą drogi w górę nieba. Zamiast przywitania, którego się  
spodziewali -  
jak  
większość regulskich ceremonii starannie kontrolowanego i  
zaaranżowanego - w  
porcie  
czekała na nich nieruchoma, upiorna cisza, jak gdyby oni dwaj oraz  
regulskie  
młode były  
jedynymi żywymi istotami na jego terenie.  
Daleko zaś, wśród wzniesień, widniało coś, co sprawiło, że serce  
Duncana zabiło  
szybciej. Poczul w żołądku skurcz strachu nie mający nic wspólnego z  
rozsądkiem.  
Ujrzał  
osobliwą sylwetkę złożoną z czterech pochyłych wież tworzących  
nieregularną  
piramidę o  
płaskim szczycie.  
Edun mri. Duncan wiedział, że na Kesrith znajduje się jeden z nich.  
Widział

zdjęcia  
ruin edunu z Nisrenu. Nie był jednak przygotowany na to, że będzie on  
tutaj, tak  
blisko.  
Wznosił się nad miastem w sposób taki, że przed patrzącymi stamtąd  
nie można  
było ukryć  
niczego, co działo się na równinach.  
Jego posępna, złowieszcza, obca obecność przypominała im wszystkim,  
że istnieje  
jeszcze trzecia strona transakcji mającej przynieść pokój.  
- Szybko, szybko! - powtórzył regul, podenerwowany zwłoką bądź  
faktem, że  
człowiek zwrócił uwagę na edun. Duncan nie był pewien, co było  
powodem tego  
zachowania,  
nie chciał jednak wdawać się w spór, opuścił więc głowę i wszedł do  
ślizgu.  
Filtry oczyściły  
powietrze wewnątrz wehikułu z ostrego, gryzącego posmaku  
zatrującego atmosferę  
Kesrith.  
Ślizg ruszył ociężale w stronę miasta po nawierzchni, która stała się  
wyboista z  
uwagi  
na ławice piasku naniesionego z nizin. W Duncanie narastała pewność,  
że pojazd  
wiezie ich  
do więzienia górującego nad poprzednim jedynie większą powierzchnią.  
Rozdział 6  
Słońce wspinało się w górę po nieboskłonie. Innego dnia Niun  
wyruszyłyby już  
między  
wzgórza, by spacerować, polować, ćwiczyć z bronią, czy robić inne  
rzeczy,  
którymi zwykł  
wypełniać godziny samotności celem urozmaicenia jakoś monotonii swych  
dni.  
Tego dnia jednak nic nie mogłoby go przekonać do oddalenia się od  
edunu. Kręcił  
się  
w pobliżu stacji łączności mieszczącej się na szczycie wieży Sen,  
gdzie niekiedy  
go  
wpuszczano, gdyż w edunie ze względu na jego rozmiary nie  
przestrzegano zbyt  
ściśle  
przepisów. Czaił się pod głównym wejściem, aż wreszcie, zżerany  
niecierpliwością, wybrał  
się na skałę usytuowaną w najwyższym punkcie grobli i wpatrzył się w  
narastający  
poblask  
białych nizin, wyciągając wzrok, by dostrzec, czy nic nie zbliża się  
od strony  
portu.  
Od tak dawna już nie mógł oczekiwać żadnego przyjemnego wydarzenia.  
Teraz  
napawał się tym uczuciem. Nienawidził oczekiwania, lecz mimo to  
radował się  
faktem, że na  
coś czeka. Żywił mieszane uczucia odnośnie do tego spotkania, pragnął  
jednak  
rozpaczliwie  
braterstwa, które mu ono obiecywało. Nie kochał Medaia. Pamiętał swą

rywalizację

z

kuzynem, a także - po tylu latach mógł być ze sobą szczerzy - zazdrość, jaką w

stosunku do

niego żywił. Starał się zapomnieć o wszystkich swych negatywnych uczuciach.

Łaknął

obecności Medaia. Łaknął jej rozpaczliwie i gorączkowo. Wszystko byłoby lepsze

niż ta

długotrwała samotność, ta wiedza, że edun powoli, lecz w sposób nieodwołalny,

ginie.

U podstawy jego myśli również minimalny cień nadziei, podejrzenie, że Medaia

wezвано, że był on pierwszym z wielu, którzy mieli przybyć, że she'pan

przystąpiła wreszcie

do akcji i coś zaczęło się zmieniać w sprawach dotyczących przyszłości Ludu.

Podczas tysiąca poprzednich dni siedział tu tak samo jak teraz,

poszukując

jakiegokolwiek drobnego odchylenia w biegu codziennych zdarzeń, które przyciągnęłoby

jego uwagę - wysiłków owada, powolnego, niebezpiecznego rozkwitania wietrznego

kwiatu,

startu czy lądowania statków w porcie. Ku tym ostatnim kierował swe złe

życzenia.

Wyobrażał sobie katastrofy bądź też przybycie ważnych osób, które w jakiś sposób

zmieniłoby kształt jego egzystencji. Robił to tak często, że trudno mu było

sobie uzmysłwić,

iż tym razem jest to prawda, że zabawa stała się rzeczywistością tego poranka

tak podobnego

do tysiąca innych poranków. Wydawało mu się, że nawet samo powietrze pełne jest

życia.

Serce biło mu tak mocno, a mięśnie miał tak napięte, że czuł ból w klatce

piersiowej i

żołądka. Niemal zapomniał o oddychaniu za każdym razem, gdy oczy wprowadzały go

w

błąd, przekonując, że widzi na dole jakieś poruszenie.

W pełnym blasku południa dostrzegł jednak na nizinach pióropusz pyłu.

U podnóża

grobli pojawił się szereg ciemnych kształtów posuwających się powoli w górę.

Niun usiadł na

swej skale położonej w najwyższym punkcie grobli i opuścił chustę, by zasłonić

oczy przed

mgiełką wywołaną światłem dziennym, starając się rozróżnić

poszczególne obiekty.

Widował już kiedyś, przed laty, pojazdy nadciągające drogą. Sądząc po rozmiarach

przedmiotów widzianych z tej odległości oraz ilości wzbijanego przez nie pyłu,

to właśnie



miał przed oczyma. Narastało w nim poczucie, że coś tu jest nie w porządku.  
Ciężar leżący  
mu na żołądku pozostawał w równowadze z przyśpieszonym biciem serca.  
Zwarł  
ciasno  
wszystkie kończyny, oplatając długie ramiona wokół kolan, i  
obserwował wehikuły.  
Nie  
chciał zrywać się do biegu, by powiadomić innych. Regule. Nadciągali regule.  
Ongiś byłby zachwycony taką niezwykłą wizytą, lecz nie tego akurat dnia. Nie  
teraz.  
Nie w tej chwili, gdy ważyły się losy mri, istotniejsze niż regule. Losy, w które regule mogliby zapragnąć ingerować.  
Niun zdał sobie nagle sprawę, że she'pan rozpaczliwie potrzebna jest wiedza o  
tym, co  
zmierza w kierunku szczytu wzgórza. Teraz już je rozróżniał: sześć pojazdów oraz  
posuwająca się za nimi kropka, w której jego oczy nie mogły dostrzec żadnych  
szczegółów.  
Zapewne był to siódmy wehikuł.  
Nigdy za jego pamięci tylu reguli nie złożyło wizyty w edunie.  
Ześliznął się ze skały i ruszył w dół stoku. Jego długie kroki szybko przeszły w  
niekontrolowany bieg. Uchybiało to godności, lecz Niun był zbyt zaniepokojony,  
by dbać o  
pozory. Pognał w stronę edunu bez tchu w piersiach.  
Pozostali zaczęli wychodzić na zewnątrz, zanim zdążył przybyć do nich ze swym  
ostrzeżeniem. Widział czarne szaty Kel, lecz ani jednej złotej.  
Zwolnił kroku i  
podszedł do  
nich. Nie mógł złapać oddechu. Starał się ukryć swój ból. Jego skórę pokryła  
warstewka potu,  
która szybko wyschła, gdyż ukradło ją zgłodniałe wilgoci powietrze.  
Na Kesrith  
nie można  
było biegać. Powtarzano mu to setki razy - twarde realia świata narzucone  
naturze młodości.  
Płuca mu płonęły. W powietrzu, którym oddychał, czuł ostry posmak krwi. Żaden z  
Kel nie  
udzielił mu reprimendy za jego nieroztropność. Niun wyczuwał ich nastrój.  
Dostrzegał go też  
w postawie towarzyszących im dusei, które wyszły z edunu razem z nimi. Jedno ze  
zwierząt  
stanęło na tylnych łapach, wachając wiatr. Opadło ciężko z powrotem na cztery  
kończyny, co  
wzbiło w powietrze biały pył, wywołując parsknięcie niezadowolenia.  
- Yai, yai! - skarcił kel Dahacha wszystkie dusei. To pozbawione znaczenia słowo  
miało pomiędzy dusem a kel'eniem tysiące znaczeń. Dziewięć zwierząt, którym  
kazano

odejść, cofnęło się i zbiło w ciasną gromadkę w pobliżu edunu.  
Postawiły uszy.  
Niektóre z  
dusei usiadły. Od czasu do czasu jeden - za każdym razem inny -  
podnosił się i  
obchodził  
wkoło grupę, nieustannie spoglądając na zbliżającą się karawanę  
regulskich  
pojazdów i  
wydając z siebie ciche, ostrzegawcze sapnięcia.  
Twarze Kel były zasłonięte, na spotkanie z obcymi. Niun podniósł mez  
na  
przepisową  
wysokość i umocował ją, po czym zajął miejsce w czarnym szeregu, jako  
jeden  
wśród wielu.  
Jednakże kel'anth Eddan ujął go za łokieć i wyprowadził przed grupę.  
- Tutaj - powiedział. To było wszystko. Przy takim nastroju Kel nie  
można było  
zadawać czczych pytań. Niun zachowywał milczenie. Jego serce ogarnął  
skurcz  
paniki  
wywołany gestem Eddana. Mimo swego wieku był jeszcze nowicjuszem i  
nie powinien  
stać  
przed szeregiem, w miejscu gdzie wymieniano z regulami pytania i  
odpowiedzi,  
pomiędzy  
Eddanem a kel Pasev, najstarszymi mistrzami Kel. Chyba że sprawa  
dotyczyła go  
osobiście.  
Albo jego kuzyna.  
Nagle zrozumiał, że edun musiał otrzymać jakąś wiadomość za  
pośrednictwem wieży  
Sen i że posiadano tu pewną wiedzę o wypadkach, która do niego nie  
dotarła, gdyż  
siedział  
sobie sam, daremnie oczekując, by wreszcie wydarzyło się coś  
przyjemnego.  
Coś musiało być straszliwie nie w porządku, jeśli regule wtrącali się  
w sprawę  
rozgrywające się między kuzynami mri. Regulska karawana pięła się  
powoli, z  
trudem, pod  
górze. Słysząc już było odgłos silników. Słońce prażyło, blado-  
czerwonym  
blaskiem. Na  
nizinach trysnął gejzer Elu, jeden z tych niebezpiecznych, których  
nieobliczalne  
erupcje nie  
przestrzegały żadnego rozkładu. Przez jakiś czas widoczna była  
fontanna,  
dziesięciokrotnie  
wyższa od mężczyzny i charakterystycznie pochylona. Potem rozproszyła  
się  
szybko. Można  
było poznać każdy gejzer na nizinach po specyficznym zachowaniu i  
położeniu.  
Niun  
pomyślał, że jeśli doszło do erupcji Elu, wkrótce nadejdzie kolej na  
Uchana. Był  
to cenny  
moment, w którym mógł na chwilę oderwać myśli od złowieszczonego  
szeregu ciemnych

wehikułów posuwających się z wysiłkiem w górę zbocza.  
Jeden - dwa - trzy - cztery - pięć - sześć.  
Sześć ślizgów lądowych. Nigdy dotąd do edunu nie przyjechały  
jednocześnie więcej  
niż dwa. Nie wypowiedział tego spostrzeżenia na głos. Członkowie Kel  
stojący  
wokół niego  
zachowywali absolutnie sztywną postawę, niczym posągi, na których  
powiewały  
czarne szaty  
unoszące się na silnym wietrze. Prawa dłoń każdego z nich dotykała  
pasa, za  
którym  
spoczywały skryte w pochwach as'ei. Palce mieli wsunięte pod spód.  
Było to  
ostrzeżenie  
używane pomiędzy kel'ein. Regułom, którzy byli tylko tsi'mri,  
brakowało zapewne  
rozsądku,  
by je rozpoznać. Mimo to uprzejmie było powiadomić intruzów, że nie  
są mile  
widziani, bez  
względu na to, czy mieli oni wystarczająco wiele rozumu, by rozpoznać  
ostrzeżenie.  
Ślizgi przetoczyły się ponad ostatnimi koleinami prowadzącej w górę  
drogi i  
zatrzymały wreszcie pośród pyłu na wprost frontowego wejścia do  
edunu,  
naprzeciwko Kel.  
Wyłączono silniki i zapanowała nagła cisza. Regule otworzyli drzwi i  
zaczęli z  
wysiłkiem  
wydobywać się ze ślizgów: pełna dziesiątka młodych, poważnych i  
smutnych,  
pozbawionych  
wszelkiej widocznej arogancji. Jednym z nich był strażnik Nomu, Hada  
Surag-gi.  
Niun poznał  
go po odznakach oraz szatach, co było najlepszym sposobem na  
identyfikację  
danego regula.  
Było też prawdopodobne, pomyślał z goryczą, że regul Hada Surag-gi  
rozpoznał go  
po  
rzucającym się w oczy braku wszelkich odznak. Gdy jednak młode  
podeszło bliżej,  
by stanąć  
twarzą w twarz z Eddanem, a co za tym idzie i z nim, nie okazało po  
sobie nic  
takiego. Oczy  
Hady nawet się na nim nie zatrzymały. Nie było widać ani śladu buty.  
Hada Surag-  
gi wessał  
powietrze do płuc i zakołysał się do przodu w regulskim ukłonie. Mri  
znali na to  
należyta  
odpowiedź - gest oznaczający obustronną dobrą wolę. Eddan nie wykonał  
go jednak  
i w  
związku z tym żaden z nich się nie poruszył. Dłonie wciąż spoczywały  
na as'ei.  
- Jeśli łaska - odezwał się Hada Surag-gi. - Przynosimy nadzwyczaj  
tragiczne  
wieści.

- Jesteśmy przygotowani na wysłuchanie waszych słów - odparł Eddan.  
- Mamy nadzieję, że nasz przełożony poinformował was...  
- Czy przywieźliście nam Madaia? - zapytał ostrym tonem Eddan.  
Hada odwrócił się, przestawiając stopy, co dla reguli nie było łatwe.  
Złożył  
razem  
dłonie i wykonał gest nakazujący jego pomocnikom wykonać swe  
obowiązki. Ci  
podeszli,  
szurając nogami, do drugiego ślizgu, otworzyli jego ładownię i  
wyciągnęli z niej  
biały, skryty  
w plastiku kształt spoczywający na noszach. Przynieśli go i położyli  
ostrożnie  
na ziemi u stóp  
Hady Surag-gi, naprzeciwko Kel.  
- Przywieźliśmy szczątki Medaia - oznajmił Hada. Niun już wiedział.  
Poznał  
prawdę z  
pierwszych słów Hady. Nie poruszył się. Nawet nie opuścił chusty. Ten  
spokój  
niektórzy z  
jego braci mogli mylnie wziąć za panowanie nad sobą. Było to  
odrętwienie.  
Słyszał dźwięki  
wydawane przez poruszających się obok reguli tak, jak gdyby znajdował  
się w  
innym miejscu  
niż oni i obserwował ich z daleka od sceny wydarzeń, a ciało Niuna  
s'Intel,  
podobnie jak  
należące do Medaia s'Intel, było pozbawienie czucia i nie brało  
udziału w  
wypadkach.  
- Czy więc ludzie są już tak blisko? - zapytał Eddan. Było w  
zwyczaju, że tych  
spośród Ludu, którzy polegli na wojnie, oddawano zimnej przestrzeni w  
miejscu,  
gdzie  
zginęli, albo - jeszcze lepiej - ogniewi słońca, na pamiątkę narodzin  
ich rasy,  
zamiast  
odbywać długą, niedogodną podróż z frontu walk, by pochować ich w  
ziemi. Wszyscy  
z Ludu  
woleliby, gdyby mieli wybór, uniknąć takiego pochówku. Było dziwne,  
że regule,  
którzy  
znali mri choćby i w niewielkim stopniu dostępnym dla ich gatunku,  
nie  
zrozumieli tego i  
popełnili podobny błąd, oddając martwego mri jego edunowi.  
Regulskie młode, w których zachowaniu nie było teraz nawet krzty  
arogancji,  
pozwoliły, by ich nozdrza zatrzepotały. Również inne znaki zdradzały,  
że czują  
się  
skrępowane swą misją.  
Są winne - brzmiała gorzka myśl, która nawiedziła Niuna w chwili, gdy  
się im  
przyglądał. Wrócił do swego ciała i zaczął wpatrywać się w oczy Hady  
Surag-gi,  
pragnąc  
zmusić młode do odwzajemnienia jego spojrzenia. Hada uczynił to na

krótka  
chwile, po czym  
odwrócił wzrok.  
Byli winni, czuli się skrępowani całym tym spotkaniem i starali się  
nie  
powiedzieć  
nawet połowy z tego, co wiedzieli. Niun trząsał się z gniewu.  
Brakowało mu tchu.  
Wśród Kel  
nikt się nie poruszył. Stali absolutnie nieruchomo, zjednoczeni z  
umysłem  
Eddana, który nimi  
dowodził i który jednym słowem mógł ich skłonić do czynu, jakiego  
nigdy nie  
dopuścił się  
żaden mri.  
Hada Surag-gi przestąpił z jednej krzywej nogi na drugą i cofnął się  
nieco od  
spowitego w całun trupa leżącego pomiędzy nimi.  
- Kel'anthu Eddanie - powiedziała. - Bądź łaskaw. Ten kel'en zranił  
się sam i nie  
chciał  
skorzystać z pomocy naszej medycyny, choć - być może - moglibyśmy go  
uratować.  
Przykro  
nam z tego powodu, lecz nigdy nie było naszym zamiarem gwałcenie  
waszych  
przekonań.  
Przynosimy wam również wyrazy żalu baia Hulagha, w którego służbie ów  
kel'en  
odznaczył  
się chwalebnie. Bai Hulagh wyraża głębokie ubolewanie - swe  
najgłębsze  
ubolewanie - że do  
tego spotkania doszło w tak niepomysłnych okolicznościach i że  
nawiązał  
znajomość z  
Ludem w tak smutnym momencie. Przesyła swe kondolencje i zapewnia, że  
jest w  
najwyższym stopniu zasmucony z powodu tego nadzwyczaj nieszczęśliwego  
wydarzenia... A  
więc bai Hulagh jest nowym komendantem tej strefy. Co z baikiem Solgah?  
Co z Holn?  
- Odeszli. - Młode niemal połknęło to słowo, szybko jednak odzyskało  
rozpęd. -  
Ponadto bai pragnie cię zapewnić, kel'anthu...  
- Przypuszczam - odrzekł Eddan - że do śmierci kela Madaia doszło  
bardzo  
niedawno.  
- Tak - odparł Hada, odchodząc od przygotowanego tekstu. Jego usta  
poruszały  
się,  
jak gdyby szukały słów.  
- Samobójstwo. - Eddan użył wulgarnego regulskiego słowa, choć regule  
znali  
znaczenie terminu ika'a, używanego przez mri na określenie rytualnej  
śmierci  
kel'ena.  
- Zapewniamy... - Wydawało się, że spojrzawszy bezpośrednio na  
kel'antha,  
straciło  
wątek, co było niemożliwe u obdarzonych ejdetyczną pamięcią reguli. -  
Zapewniamy  
z całym

przekonaniem, kel'anthu, że ów kel'en był pogrążony w głębokiej melancholii, która nie miała nic wspólnego z objęciem stanowiska przez baia Hulagha, czy też utrata władzy przez Holn. Obawiamy się, że dochodzicie do błędnych konkluzji. Jeśli przypuszczacie...

- Nie formułowałem żadnych konkluzji - stwierdził Eddan. - Czy chcesz zasugerować, że można by to uczynić?

Reguł, któremu przerwano już więcej niż raz, był zdezorientowany dyskusją, która nie była dyskusją, a także zbity z tropu, co często przytrafiało się jego pobratymcom podczas kontaktów z mri. Zamrugał szybko powiekami i spróbował dokonać przegrupowania.

- Kel'anthu, bądź łaskaw, zapewniam cię, iż oświadczyliśmy jedynie, że przed swym czynem ów kel'en był pogrążony w głębokiej melancholii, z własnej woli zamknął się w swej kwaterze i nie reagował na żadne próby dowiedzenia się, czego mu trzeba. Nie miało to nic wspólnego z objęciem stanowiska przez baia Hulagha, żadną miarą, panie, żadną miarą. Bai Hulagh stał się pracodawcą owego kel'ena, który służył mu, odznaczając się chwalebnie podczas kilku akcji. Nie było żadnych uchybień. Gdy jednak obwieszczono zawarcie pokoju, kel Medai zaczął przejawiać narastającą melancholię.

- Jesteś z Nomu - przerwał mu Niun, który nie mógł już dłużej tego znieść. Hada Surag-gi spojrział w jego stronę, wytrzeszczając ze zdumienia czarne oczy, aż pokazały się ich białkówki. - Jak to możliwe, że potrafisz złożyć dokładny meldunek o stanie umysłu kel'ena, który przebywał na statku, daleko od ciebie? Nie powinien był się odzywać. Dla młodego kel'ena, w obecności obcych, podobny wybuch nie był możliwym do przyjęcia zachowaniem. Wszyscy w Kel jednak stali bez ruchu, co zaś do Hady Surag-gi, to jego usta rozwarły się szeroko, a potem zacisnęły, tworząc wąską linię.

- Starszy - zwrócił się ze sprzeciwem do Eddana.

- Czy rzecznik baia nie potrafi odpowiedzieć na pytanie? - odezwał się ten. Ta obrona wywołała przypływ gwałtownej wdzięczności.

- Z największą przyjemnością - odparł Hada. - Wiem, że to wszystko prawda, ponieważ dokładnie w ten sposób zrelacjonował mi to sam bai, twarzą w twarz,

przez własne  
usta. Nie mieliśmy pojęcia, że ów kel'en zamierza popełnić podobny  
czyn.  
Przyczyną nie  
była żadna uraza wywołana jego służbą.  
- Jest jednak aż nadto oczywiste - odparł Eddan - iż kel Medai  
sądził, że ma  
wystarczające powody, by porzucić służbę u was. Powody tak poważne,  
że  
zdecydował się na  
ika'al, by się od was uwolnić.  
- Niewątpliwie spowodował to koniec wojny, którego ów kel'en nie  
pragnął.  
- Jest ciekawe - zauważył Eddan - że wybrał ika'al, mimo że wiedział,  
iż wraca  
na  
świat ojczysty.  
- Był w rozpacz - odparł Hada Surag-gi. Reguł najwyraźniej nie  
potrafił  
dostrzec  
faktu, że w jego słowach brak jest logiki. - Nie mógł odpowiadać za  
swe czyny.  
- Przemawiasz przed jego kuzynem - powiedział ostrym tonem Eddan. -  
To był  
kel'en,  
nie dus, i nie mogło ogarnąć go szaleństwo. Leciał na swój ojczysty  
świat. To,  
co mówisz o  
jego postępowaniu, nie jest wiarygodne, chyba że bai obraził jego  
honor. Czy  
jest możliwe,  
by to właśnie się stało?  
Regule, pod naciskiem ochryplego głosu Eddana, zaczęli wycofywać się  
ukradkiem,  
poczynając od ostatniego.  
- Jeszcze nie skończyliśmy z pytaniami - ciągnął Eddan, przykuwając  
Hadę Surag-  
gi  
do miejsca swym spojrzeniem. - Powiedz nam, kiedy i gdzie nastąpiła  
śmierć kela  
Medaia.  
Reguł nie miał najmniejszej ochoty odpowiedzieć na to pytanie. Wessał  
do płuc  
powietrze i w widoczny sposób zmienił kolor.  
- Jeśli łaska, kel'anthu. To się stało poprzedniego wieczoru na  
statku baia.  
- Na statku baia Hulagha.  
- Kel'anthu, bai zapewnia...  
- Czy doszło do jakiegokolwiek dyskusji pomiędzy baiem a kel'enem?  
- Bądź łaskaw. Kel'en był w rozpacz. Koniec wojny...  
- To bai doprowadził tego mri do rozpacz - stwierdził Eddan,  
ostatecznie  
krzyżując  
szyki młodemu.  
- Bai - odparł Hada, którego nozdrza rozszerzyły się i kurczyły w  
rytm szybkich  
oddechów - zażądał od tego mri, by pozostał na statku i w jego  
służbie. Kel'en  
odmówił.  
Pragnął odejść natychmiast, choć bai odmówił tego przywileju  
wszystkim, nawet  
samemu  
sobie. Pozostały jeszcze ważne sprawy, które należało załatwić. Jest  
możliwe...

- Gdy młode  
mówiło, jego skóra stawała się coraz bledsza. Jego wargi nie mogły  
się uporać ze  
słowami. -  
Kel'anthu, zdaję sobie sprawę, że w twoich oczach możemy wydawać się  
winni, ale  
nie  
rozumiemy postępków tego kel'ena. Bai rozkazał mu czekać. A jednak  
kel'en  
dopatrzył się w  
tym rozkazie uchybienia wystarczająco wielkiego, by popełnić podobny  
czyn. Nie  
wiemy  
dlaczego. Zapewniamy cię, że to smutne wydarzenie wielce nas  
zmartwiło. Jest to  
godzina  
kryzysu dla Kesrith, w której ów kel'en mógłby się bardzo przydać  
baiowi, a z  
pewnością  
również i wam. Bai cenił sobie usługi kela Medaia. Po raz kolejny  
zapewniamy, że  
nie  
rozumiemy powodów urazy, jaką do nas żywił.  
- Być może go nie pytaliście lub nie chcieliście wysłuchać - rzekł  
kel'anth  
Eddan.  
- Bądź łaskaw. Kesrith została odstąpiona ludziom. Jesteśmy w trakcie  
ewakuacji  
wszystkich jej mieszkańców. Pomyślano również o tutejszych mri. Bai  
pragnie, by  
na jego  
statku przez cały czas znajdowała się załoga i rzecz jasna chce, by  
była ona...  
- Młode  
przesunęło się niespokojnie. Spojrzało na Eddana, który się nie  
poruszył. - Na  
te sprawy nie  
mamy wpływu. Gdyby tylko kel'en poinformował baia, że aż tak gorąco  
pragnie, by  
uczyniono dla niego wyjątek...  
- Kel Medai postanowił porzucić służbę - powiedział Eddan. - Zrobił  
to tak, jak  
należy. Nie chcemy więcej rozprawiać na ten temat z regulskimi  
młodymi.  
Odejdźcie już.  
Było to jasno powiedziane i regule, krok za krokiem, wycofali się. W  
miarę jak  
zbliżali się do ślizgów, posuwali się coraz szybciej. Hada nie był  
ani  
pierwszym, ani ostatnim,  
który zajął w nich miejsce. Zamknięto włązy i wyłączono silniki.  
Naziemne ślizgi  
dojechały  
ciężko do zakrętu przesmyku i wskoczyły w koleiny drogi, po czym  
oddaliły się po  
długim  
zboczu powoli, jak przybyły.  
Nikt się nie poruszył. Teraz, gdy regule odjechali, pozostawiając ich  
sam na sam  
ze  
zmarłym, w powietrzu czuło się aurę odrętwienia.  
Nagle w drzwiach pojawiły się szaty złote i biała: sen'anth i Melein  
oraz sama  
she'pan



na ich ramionach.  
- Medai nie żyje - powiedział Eddan - a świat ma być wkrótce przekazany ludziom, tak jak podejrzewaliśmy.  
Uniósł skryte pod szatą ramiona, by osłonić she'pan przed widokiem zwłok. Melein postąpiła naprzód o krok, tylko o krok. Było to dla niej zabronione. Skryła twarz za zasłoną i odwróciła się, pochylając głowę. She'pan i sen'anth również zasłonili twarze, co robili wyłącznie w obliczu tego, z czym nie można się było pogodzić. Odeszli z powrotem do edunu. Śmierć stanowiła wyłączną domenę Kel, czy chodziło o jej zadawanie, czy o żałobę po niej. Wykonanie właściwych obrządków należało do obowiązków tej kasty. W stosunku do kuzyna z Kel było to zobowiązanie o charakterze osobistym. Niun wiedział, że oczekują od niego, iż to on pokieruje tą sprawą. Widział też, że inni pragną mu pomóc, zrobić cokolwiek. Rozpostarł dłonie, udzielając im pozwolenia. Dotąd przyglądał się jedynie obrządkom, sam nigdy ich nie wykonywał i nie chciał zawstydzić siebie ani Medaia z powodu swej ignorancji. Podźwignęli nosze - on i wszyscy, którzy zdołali się dopchać, by mu pomóc - i przenieśli je przez drzwi edunu w stronę Pana'drin, Kaplicy, by umieścić Medaia po powrocie do domu, tam, gdzie sam udałby się najpierw, gdyby żył. Dłonie Niuna poczuły ciepły metal ramy noszy. Spojrzał w dół, na spowity w biel przedmiot, który ongiś był jego kuzynem, i szok do tej chwili utrzymujący go w odrętwieniu zaczął się przeradzać w inne uczucia, w głęboką, bezsilną wściekłość. Nie było w porządku, że coś takiego się wydarzyło. Jeśli mogło do tego dojść, znaczyło to, że nie ma sprawiedliwości. Niun niemal drżał z gniewu, pasji tak wielkiej, że zdołałby zabić, gdyby tylko miał kogoś lub coś, przeciwko komu mógłby zwrócić swą wściekłość. Nie było nikogo takiego. Starał się nie czuć nic. Było to łatwiejsze niż próby znalezienia ujścia dla kipiącego w nim oburzenia. Do tej pory żywił nadzieję. Teraz postara się jej wyzbyć. Świat ogarnęło szaleństwo, a Medai z własnej woli został jednym z jego elementów. „Mój ostatni syn.” Tak nazwała go she'pan. Teraz była to prawda.

W kaplicy Edunu Ludu znajdowała się wykonana z metali i szlachetnych kamieni bariera pokryta starożytnymi napisami. Była stara ponad wszelką rachubę. We wszystkich Kaplicach, jakie kiedykolwiek istniały, ta właśnie bariera stała ongiś pomiędzy lampami z brązu, które dorównywały jej wiekiem. Za życia wyznaczała ona granicę między Kel a Sen, linię, której Kel nie wolno było przekraczać. Po śmierci również nie było to dozwolone. Przed bariera, u samej jej podstawy, położyli spowite w biały całun ciało Medaia s'Intel Sov-Nelan. Kel'en nie mógł się bardziej zbliżyć do granicznej linii. Woń kadzidła wznosiła się w górę z palników ustawionych po obu stronach bariery, ciężka i sycąca. Wypełniała pomieszczenie i przesłaniała sufit niczym niematerialny baldachim. U Niuna, który stanowił orszak swego kuzyna, ów zapach kadzidła wywoływał szczególne wspomnienia, z czasów gdy był z Kath i obserwował święte obrządku z wewnętrznego, najmniej ważnego pomieszczenia. Był wtedy dzieckiem i u jego boku stali Melein oraz Medai, a także inni, którzy już odeszli i o których śmierci wiedział. Z owego zewnętrznego pomieszczenia mała kaplica Kel wydawała się tajemnicza i wspaniała - terytorium, na które nie mogli jeszcze wchodzić, gdzie wolno było przebywać tylko wojownikom w ich sigai, gardzącym Kath. Jego umysł przebiegł do późniejszego dnia, gdy ich troje przyjęto w skład noszących czarne szaty, gdy stali się jednym z Kel i po raz pierwszy pozwolono im wejść do środkowej kaplicy. Zdali sobie wtedy sprawę, że pomiędzy nimi a Pana, Tajemnicami, leży jeszcze jedna bariera. Wspomniał też jeszcze późniejszy dzień, gdy modlili się za pomyślność Medaia, który opuszczał edun, by wstąpić na służbę, obdarzony wielkim zaszczytem. Owej nocy Niun umierał w skrytości ducha z zazdrości i rozgorzyczenia. Jego modlitwy były nieszczerze, pełne nienawiści i zmieszane z myślami, które powróciły teraz do niego niczym pełne winy duchy. Jego uczucia były w tej chwili takie same jak wtedy. Medai po raz kolejny

odszedł,  
pozostawiając mu szpetotę i samotność Kesrith.  
Medai nigdy nie musiał znosić tego co on, który pozostał tutaj jako  
ostatni  
strażnik  
Domu i sługa pozostałych.  
Medaia uznano za wielkiego kel'ena z uwagi na to, co zrobił.  
Rozległ się szelest szat w świętej izbie, słabo widocznej za barierą,  
gdzie  
spotykali się  
członkowie Sen, by doglądać Świętych Przedmiotów. Z pewnością byli  
tam Melein i  
Sathell.  
Cały wiek temu troje dzieci stało razem w wewnętrznej sali Kath,  
łaknąc  
zaszczytów.  
Ich modlitwy zostały wysłuchane w niezwykle i przewrotny sposób: Niun  
stał  
wewnątrz  
kaplicy Kel, gdzie wszyscy oni pragnęli się wówczas znaleźć, Medai  
zdobył  
odznaczenia  
wojownika, lecz od niedawna wędrował przez Mrok, Melein zaś, Melein o  
lekkim  
sercu,  
przeszła poprzez kaplicę Kel do leżącego dalej miejsca, ku  
Tajemnicom, których  
kel'enowi  
nigdy nie będzie wolno ujrzeć.  
Pochylił głowę, drżąc z gniewu i frustracji. Pozostawał w tej pozycji  
przez  
pewien  
czas, usiłując odzyskać dech w piersiach i uspokoić się.  
Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Musnął go cień ciemnej szaty, gdy  
Eddan  
osunął  
się na podłogę obok niego. - Niunie - powiedział kel'anth cichym  
głosem - wzywa  
cię  
she'pan. Nie chce, byś musiał czuwać nad nim. Powiedziała, że  
pragnie, abys  
przyszedł i  
przesiedział tę noc z nią, zamiast iść na pogrzeb.  
Niun milczał przez chwilę, zanim był w stanie odpowiedzieć pewnym  
głosem.  
- Nie mogę uwierzyć - stwierdził po chwili - że nie zwolni mnie nawet  
z takiego  
powodu. Co powiedziała? Czy nie wyjaśniła tego w żaden sposób?  
- Chce, żebyś przyszedł zaraz.  
Oszołomiło go podobne nastawienie. On i Medai nie żywili do siebie  
miłości i  
she'pan  
dobrze o tym wiedziała, to jednak, co publicznie poleciła mu zrobić,  
było wręcz  
nieprzyzwoite.  
- Nie - powiedział. - Nie. Nie pójdę do niej.  
Palce wpiły się w jego ramię. Gdy podniósł wzrok, spodziewał się  
reprimendy,  
lecz  
stary zdjął zasłonę i ukazał mu nagą twarz, na której nie było widać  
gniewu.  
- Spodziewałem się tego, że tak powiesz - rzekł Eddan. Było to  
niewiarygodne,  
gdyż

Niun sam o tym nie wiedział. Pokierował nim impuls. Stary znał go aż tak dobrze.

- Zrób, co uznasz za słuszne - dorzucił Eddan. - Zostań. Ja ci tego nie zabronię.

Stary wstał i rozkazał pozostałym zabrać się do wyznaczonych im zadań. Jeden z nich przyniósł naczynia rytualne, dane im przez Sen, które służyły do pochówku.

Położył je u stóp Medaia. Pasev przyniosła wodę, Dahacha zaś szmatki do obmywania. Palazi napełnili lampy z myślą o długim czuwaniu, a Debas zagwizdał cicho na dusei, wyprowadził je z zewnętrznej sali i zagonił z powrotem do wieży Kel, by nie zakłócały powagi obrzędów. Niun, siedząc pośrodku całego tego ruchu, zdał sobie wreszcie sprawę, że rozdarł swą szatę, gdy pośpiesznie zbiegał ze wzgórz, że cały jest zakurzony, a ręce ma obrzydliwie brudne. Wokół niego słychać było tupot stóp. Przyszedł Sirain, na wpół ślepy Sirain, który podał mu wilgotną szmatkę. Niun odsłonił twarz, obmył ją i zasłonił z powrotem, wdzięczny za tę troskliwość. Liran przyniósł mu szatę i Niun zmienił swą sigę wewnątrz Kaplicy, gdyż czwanie przy zwłokach w nieporządnym stroju oznaczałoby brak szacunku. Usiadł ponownie. Zaczął się uspokajać pod wpływem ich cichej, sprawnej dbałości.

Następnie, na szept Eddana, zaczęli zdejmować z Medaia paskudny, biały całun. Cierpliwie, cierpliwie palce jednego czy drugiego z nich szarpały za taśmę, która owijała zwłoki ciasno jak kokon i była niemal nie do przebicia. Przypominała jedwab cho, gdyż trzeba ją było odwijać palcami. Pasev jednak wiedziała, że do regulskiego włókna należy przytknąć płonący knot, by w ten sposób rozdzielić niezwykłą pajęczynę. Materiał palił się opornie, ustąpił jednak. Jego chemiczna woń weszła w związek z unoszącym się nad nimi zapachem kadzidła, tworząc przyprawiający o mdłości odór. Wszyscy bez słowa zgodzili się, że nie pochowają kel'ena w regulskim całunie, mimo niedogodności. Stopniowo uwolnili Medaia z oplatającej go pajęczyny. Ujrzeni twarz, którą pamiętali, oblicze blade

i nieruchome.  
Martwe ciało było żałośnie małe i chude. Ważyło bardzo niewiele, choć Medai był silnym mężczyzną. Odznaczeń, które znaleźli przypięte do jego pasów, było dużo. Seta'al na jego twarzy wyblakły, przybierając kolor bladoniebieski. Medai s'Intel był młodzieńcem przystojnym i pełnym życia, nadzieją edunu w jego szczęśliwych dniach. Nawet teraz przyjemnie było na niego popatrzeć. Szpeciła go jedynie krew, która splamiła włókna pod środkowymi żebrami, tam gdzie zadał sobie śmiertelną ranę. Samobójstwo. Niun pracował, nie patrząc na twarz Medaia. Starał się nie myśleć o tym, co robia jego ręce, by nie zdradziły go drżeniem. Usiłował wspomnieć lepsze czasy, lecz nie udało mu się to. Zbyt dobrze znał Medaia. Jego kuzyn był w śmierci taki sam jak za życia: samolubny, arogancki jak sami regule i nade wszystko uparty. Nie należało żywić pretensji do zmarłych. Było to czymś bezbożnym. Na koniec jednak Medai okazał się równie bezużyteczny dla swych współbraci jak zawsze. Żył dla siebie i umarł z własnych powodów, nie zważając na to, czego inni mogą od niego potrzebować, a - bez względu na szczytne tradycje Kel - zimnego trupa mogło spotkać bardzo niewiele zaszczytów. Rozstali się ze sobą w gniewie. Niun pamiętał o tym, pamiętał przez każdy dzień sześciu lat swego późniejszego życia. Wiedział dlaczego she'pan chciała, by poszedł na górę, i co z pewnością myśleli jego bracia kel'ein siedzący obok niego. Doszło wówczas między nimi do kłótni - av'ein-kel, z wyciągnięciem długich mieczy. Stało się to z jego winy. Niun sięgnął po broń jako pierwszy, w korytarzu Kaplicy, na zewnątrz. Było to dnia, gdy Medai położył swą dłoń na Melein. A ona się temu nie sprzeciwiła. She'pan osobiście położyła kres tej awanturze. Wtedy, sześć lat temu, była jeszcze sprawniejsza. Zeszła z wieży po schodach, by zainterweniować. Nazwała go eshai'i -  
-  
pozbawionym honoru, oraz tsi'daith'em - niesynem. Ponieważ Niun ją wtedy kochał, był

zdruzgotany.  
Nigdy jednak nie udzieliła ani słowa reprimendy Medaiowi.  
Nie minęło pięć dni, a Medaia spotkał zaszczyt służby baiowi reguli,  
który mógł  
otrzymać jeden z Mężów, Melein zaś przypadła w udziale cnotliwość  
Sen.  
Tylko Niuna s'Intel nie czekało nic poza powrotem do nauki, długim,  
długim  
oczekiwaniem, przykuciem do boku Matki i pozbawieniem wszelkiej  
nadziei na  
opuszczenie  
Kesrith.  
Nigdy nie znalazł sposobu na odwrócenie skutków tego jednego,  
fatalnego dnia.  
Intel  
nie chciała pozwolić na jego odejście. Miał nadzieję, że teraz zawrze  
pokój i że  
w sprawach  
Ludu zajdzie zmiana.  
Medai jednak obrabował go również i z tej szansy. Służba na ojczystym  
świecie  
spoczęła wyłącznie na barkach Niuna. Nie było w tym wszystkim śladu  
sprawiedliwości.  
„Kiedy już zdecydujesz, co ci się należy od Ludu, przyjdź i powiedz  
to mnie” -  
oznajmił mu Eddan. Niun zadowoliliby się połową tego, co otrzymał  
Medai.  
W tej chwili jednak, rozpoczynając od Eddana, członkowie Kel zaczęli  
mówić o  
Medaiu. Każdy wygłaszał mowę pochwalną. Był to rytuał lij'aiaa,  
początek  
Czuwania nad  
Zmarłym. Głosy starych kel'ein drżały podczas przemowy.  
- Najtrudniej jest - powiedział Liran - gdy starzy chowają młodych.  
Potem przyszła kolej na Pasev, ostatnią ze wszystkich, nie licząc  
Niuna.  
- Nie ma wątpliwości - zaczęła, dotykając medalionów, j'tai, które  
lśniły w  
złotym  
świecie lamp, odznaczeń zdobytych przez Medaia podczas jego służby -  
że choć był  
młody,  
zawędrował bardzo daleko i dobrze poznał wojnę. Widzę tu odznaki  
służby na Shoa,  
Elagu,  
Soghrune, Gezenie, Sagurze i Hadriu. Nie ma wątpliwości, że służył  
Ludowi. Z  
pewnością, z  
pewnością ten nasz brat, to dziecko z naszego domu zrobiło  
wystarczająco wiele.  
Myślę, że  
na pewno był bardzo zmęczony. Myślę, że musiał już mieć serdecznie  
dosyć służby  
regulom i  
pragnął wrócić do domu w taki sposób, w jaki mógł, z takimi siłami,  
jakie mu  
pozostały.  
Rozumiem to. Mnie również bardzo już zmęczyła służba regulom i gdybym  
wiedziała,  
że  
dobiega ona końca, wybrałabym tę samą drogę, co on.  
Nadeszła kolej na Niuna. Teraz on powinien przemówić i wygłosić  
pochwałę swego  
kuzyna Medaia. Zebrał w sobie gniewne słowa, nie mógł jednak, po tym

wszystkim,  
ich  
wypowiedzieć i zaprzeczyć uczuciom Pasev, do której żywił głęboką miłość. Osunął się w dół i skrył głowę w skrzyżowanych ramionach, dygocząc z emocji. Członkowie Kel pozwolili mu na to. Najwyraźniej uznali, że wyraża w ten sposób żalobę po śmierci kuzyna. Oni jednak czuli prawdziwy, niesamolubny żal za dzieckiem, które kochali. Niun żałował samego siebie. W ten sposób dowiedział się, ile jest wart. Zrozumiał, jest zdolny do nikczemności i wielkiego egoizmu i że nawet w tej chwili nie jest równy Medalowi. Po chwili, gdy stało się jasne, że Niun nie zechce wygłosić rytualnej przemowy, pozostali zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Mówili i wysokich wzgórzach i o pochówku, którego muszą dokonać. W ich słowach i w ich planach dawało się wyczuć cichą desperację i wstyd. Byli starzy, wzgórza zaś leżały bardzo daleko, a szlak był bardzo stromy. Nawzajem pytali się tonem pełnym niepokoju, czy regule nie użyczyliby im zmotoryzowanego środka transportu, gdyby ich o to poprosili. Czuli jednak w swych sercach, że gdyby to uczynili, pohańbiliby Medaia. Dlatego więc nie chcieli tego zrobić. Zaczęli się zastanawiać nad tym, w jaki sposób mogą go tam zanieść.

- Nie martwcie się - odezwał się Niun, przerywając swe długie milczenie. - Dam sobie z tym radę sam.

Ujrzał w ich twarzach niedowierzanie. Gdy pomyślał stromych ścieżkach i srogiej pustyni, sam w to zwątpił.

- She'pan na to nie pozwoli - stwierdził Eddan. - Niunie, moglibyśmy go pochować niedaleko stąd.

- Nie - odparł Niun. - Nie - powtórzył, pomyślawszy o she'pan. Potem nie podsuwano mu już żadnych propozycji. Eddan nakazał pozostałym, by dali mu spokój. Zostawili go samego, gdy poprosił ich o to cichym głosem w należyty sposób.

Wyszli gęsiego na zewnątrz z szelestem szat i miarowym pobrzękiwaniem przypiętych do nich odznaczeń. Ten cichy, wysoki dźwięk chwycił Niuna za serce. Młodzieniec zastanowił się nad swoim samolubstwem, którego zakres przed chwilą poznał, oraz odwagą starszych,

którzy dokonali w życiu tak wiele. Poczul przeszywający go na wskroś wstyd.

Podczas przedłużającego się początku swego całonocnego czuwania, gdy w edunie panowała cisza, a pozostali przebywali gdzie indziej, pogrążeni we własnej żałobie, zaczął się jednak zastanawiać i zrozumiał, że nie chce umrzeć, bez względu na tradycje swej kasty, a już nade wszystko nie chce umrzeć tak, jak Medai. Ta myśl go gryzła, gdyż pozostawała w sprzeczności ze wszystkim, czym powinien być.

Medai potrafił zaakceptować podobne rzeczy, she'pan zaś zaakceptowała Medaia. I oto jaka spotkała go za to nagroda.

Podobne myśli w Kaplicy, w obecności bogów i zmarłych, były bluźnierstwem. Niun wstydził się za siebie. Pragnął uciec, jak to robił, gdy był dzieckiem, i skryć się wśród wzgórz, by zastanowić się w samotności i wypróbować swe siły w walce z żywiołami, aż wreszcie zdoła zapomnieć o małości innych i własnej.

Teraz jednak był uważany za mężczyznę i dawno już minęły chwile, gdy mógł sobie pozwolić na podobne reakcje. Dla edunu nastały niebezpieczne, ciężkie czasy i nie była to godzina, w której Niun s'Intel mógłby zachować się jak dziecko.

Istniała kwestia obowiązku oraz nakazów przyzwoitości. Medai żył i umarł zgodnie z tym prawem. Niun nie potrafił zapanować nad swą wewnętrzną jaźnią, mógł jednak przynajmniej sprawić, że na zewnątrz będzie wykonywał swe obowiązki względem tych, którzy na nim polegali.

Nawet jeśli będzie to czystym fałszem.

- Niunie.

Za barierą coś się poruszyło. Rozległ się szelest, który Niun wziął za nieustannie wyczuwalny w Kaplicy powiew. Podniósł wzrok i ujrzał jak przez mgłę złocistą postać, przeświecającą przez pogmatwany wzór. Poznał głos siostry. Podeszła aż do samej bariery, która oddzielała ich od siebie ze względów religijnych, choć mogli się spotykać twarzą w twarz w innych miejscach, w edunie i poza jego granicami.

- Odejdź - powiedział do Melein, gdyż gwałciła ona prawa swej kasty poprzez przebywanie w obecności zmarłego, nawet jeśli był to jej kuzyn. Jej kasta nie znała zobowiązań pokrewieństwa. Wyrzekła się ich wraz ze wszystkimi podobnymi obowiązkami.

Melein jednak nie poruszyła się. Niun podniósł się, zeszywniały od



klęczenia na  
zimnej  
podłodze i podszedł do kraty. Nie widział siostry dokładnie.  
Dostrzegał jedynie  
cień jej dłoni  
na koronkowym okratowaniu. Pokrył go własną, większą dłonią w geście  
sympatii,  
nie mogąc  
jej dotknąć. Był nieczysty i znajdował się w obecności zmarłego. Nie  
będzie  
mogła do niego  
podejść, dopóki Niun nie pochowa kuzyna.  
- Wolno mi tu być - odparła. - She'pan mi pozwoliła.  
- Wszystko zrobiliśmy - zapewnił ją. Serce przeszło mu wspomnienie o  
tym, że  
Medaia i Melein wiązało uczucie, kuzynowskie, a na koniec może  
również  
silniejsze. -  
Zabierzemy go do Sil'athen. Zrobimy wszystko, co tylko zdołamy.  
- Nie sądziłam, że będziesz tu czuwał - powiedziała. Nagle, z  
odcieniem  
najgłębszej  
goryczy, dodała: - A może zrobiłeś to tylko dlatego, że ci tego  
wyraźnie  
zabroniono?  
Jej atak zbił go z tropu. Upłynęła chwila, zanim odpowiedział. Nie  
wiedział,  
przed  
jakim dokładnie podejrzeniem się broni.  
- To mój kuzyn - odparł. - Wszystko, co było dawniej, teraz jest  
nieważne.  
- Kiedyś sam chciałeś go zabić.  
To była prawda. Usiłował dojrzeć twarz Melein poprzez barierę,  
widział jednak  
tylko  
jej zarys, złocisty cień za złotą kratą. Nie wiedział, jak jej  
odpowiedzieć.  
- To było dawno - odrzekł. - Pojednałbym się z nim, gdyby żył.  
Chciałem to  
zrobić.  
Bardzo chciałem to zrobić.  
- Wierzę ci - powiedziała wreszcie.  
Po tych jej słowach zapadła cisza. Czuł, jak opada ona na niego  
nieprzyjemnym  
ciężarem.  
- To była zazdrość - przyznał. To, nad czym przemyśliwał, nabrało  
kształtu i  
narodziło  
się. Poród był bolesny, nie w takim stopniu, jak Niun się tego  
spodziewał. Na  
sprawę  
wreszcie padło światło. Melein była jego drugim ja. Był jej ongiś tak  
bliski jak  
własna myśl.  
Wciąż jeszcze potrafił sobie wyobrazić ową bliskość pomiędzy nimi. -  
Melein,  
kiedy w Kel  
jest tylko dwóch młodych mężczyzn, jest niemożliwe, by nie  
porównywali się ze  
sobą i by  
inni również tego nie robili. On jako pierwszy osiągnął wszystko to,  
w czym  
chciałem  
celować. Byłem zazdrosny i rozżalony. Wtrąciłem się pomiędzy was. To

był  
najbardziej  
małostkowy czyn, jaki w życiu popełniłem. Płaciłem za to przez sześć  
lat.  
Przez chwilę Melein się nie odzywała. Niun nabrał pewności, że  
kochała Medaia.  
Była  
jedyną córką starzejącego się coraz bardziej edunu i w sposób  
nieunikniony ona i  
Medai -  
jako kel'en i kel'e'en - wydawali się ongiś, gdy Melein również  
należała do Kel,  
naturalnie  
dobraną parą.  
Być może - ta myśl od dawna go dręczyła - byłaby szczęśliwa, gdyby  
pozostała w  
Kel.  
- Wysłała mnie she'pan - oznajmiła wreszcie Melein, nie  
odpowiedziawszy na  
wyznanie, które jej złożył. - Słyszała o zamiarach Kel. Nie chce,  
żebyś tam  
szedł. W mieście  
panuje niepokój. Sytuacja jest niepewna. To jest jej najbardziej  
stanowcze  
życzenie, Niunie.  
Zostań. Inni zajmą się Medaiem.  
- Nie.  
- Nie mogę jej przekazać takiej odpowiedzi.  
- Powiedz jej, że nie chciałem cię wysłuchać. Powiedz, że Medaiowi  
należy się od  
niej  
coś lepszego niż dziura w piasku, a ci starcy nie zdołają zanieść go  
do  
Sil'athen, lecz umrą po  
drodze z wysiłku.  
- Nie mogę jej tego powiedzieć! - syknęła Melein. W jej głosie  
słyszał się  
strach i to  
właśnie sprawiło, że postanowienie Niuna stało się niezłomne.  
Nie było to bardziej rozsądne niż inne pragnienia Intel, she'pan,  
która mogła  
stawiać  
na szalę życie członków Ludu czy wypaczać i niszczyć przyszłość swych  
dzieci z  
tak  
całkowitym lekceważeniem ich pragnień i nadziei. Przekazała mi swe  
cnoty -  
zrozumiał nagle  
z goryczą: zazdrość, samolubstwo, zaborczość... och, była zaborcza w  
stosunku do  
Melein i  
do mnie, dzieci Zaina. Wysłała Melein do Sen, a Medaia do reguli, gdy  
zobaczyła,  
ku czemu  
zmierzają sprawy pomiędzy nimi. Zniszczyła nas. To wielka she'pan,  
wielka, ale  
jest w niej  
skaza. Dusi nas, przyciska do siebie, aż wreszcie połamię nasze  
kości, stopi  
nasze ciała i  
tchnie w nas swój oddech.  
Aż nie pozostanie z nas nic.  
- Zrób to, co będziesz musiała - powiedział. - Co do mnie, wypełnię w  
stosunku

do  
niego obowiązek kuzyna, prawdziwa siostró. Ale przecież ty jesteś  
sen'e'en i nie  
masz już  
kuzynów. Wracaj i powiedz she'pan, co tylko zechcesz.  
Żywił rozpaczliwą nadzieję, że zdoła ją rozgniewać, przebić się przez  
jej strach  
przed  
Intel. Chciał, by jego słowa ubodły ją na tyle silnie, aby tego  
dokonać.  
Jednakże jej dłoń  
cofnęła się z bariery, a cień oddalił się i zlał w jedno ze światłem  
po drugiej  
stronie.  
- Melein - szepnął. - Melein! - powtórzył na głos.  
- Nie obwiniaj mnie o niewypełnianie obowiązków - dotarł do niego jej  
głos,  
odległy i  
bezciesny. - Kiedy żył, byłam dla niego kuzynką, a ty zazdrościłeś  
mu  
wszystkiego, co miał.  
Teraz mam inne zobowiązania. Powiedz nad jego ciałem, że jego śmierć  
przyniosła  
radość  
she'pan. To właśnie miała do powiedzenia w tej sprawie. Co do mnie,  
nie mam  
wpływu na  
twoje postępowanie. Pochowaj go. Zrób, co zechcesz.  
- Melein - powiedział. - Melein, wróć.  
Usłyszał jednak odgłos jej kroków oddalających się w górę po  
niewidocznych  
schodach, a potem dźwięk kolejno zamykanych drzwi. Został na miejscu,  
z jedną  
dłonią  
wspartą na barierze. Aż do ostatniej chwili sądził, że Melein zmieni  
zdanie i  
wróci, zadając  
kłam odpowiedzi, której mu udzieliła. A jednak odeszła. Nie mógł  
nawet się  
gniewać, gdyż to  
właśnie nakazał jej zrobić.  
Stworzyła ją Intel. I on również.  
Miał nadzieję, że gdzieś w wieży Sen Melein odłoży na bok swą dumę i  
zapłacze  
nad  
Medaiem, wąpił w to jednak. Chłód, starannie wypracowany chłód  
brzmiący w jej  
głosie  
wykluczał wszelką skruchę. Wycwiczony obiektywizm Sen.  
Odszedł wreszcie od bariery i usiadł przy zwłokach Medaia. Złączył  
dłonie z tyłu  
szyi  
i pochylił głowę nad kolanami, ogarnięty podwójnym żalem.  
Lampy skwierczały, a ich ogień migotał, gdyż drzwi do edunu  
pozostawiono dziś w  
nocy otwarte. Zgodnie ze starożytną tradycją był to wyraz szacunku  
dla zmarłego.  
Cienie  
poruszały się, sprawiając, że wydawało się, iż napisy na ścianach  
wija się,  
obdarzone  
niezależnym życiem. She'pan mówiła, że zawierają one w sobie historię  
i mądrość  
Ludu.

Przez całe życie Niuna otaczały podobne rzeczy. Napisy pokrywały  
każdą ze ścian  
głównej  
komnaty, Kaplicy i wieży she'pan, a także wejścia do wież Kath i Kel.  
Zgodnie ze  
słowami  
she'pan, identyczne napisy znajdowały się w każdym edunie Ludu, jaki  
kiedykolwiek istniał,  
skopiowane dokładnie i bez żadnych zmian. Za ich pośrednictwem  
sen'ein zdobywali  
wiedzę.  
Kel'ein nie mogli tego zrobić. Niun wiedział tylko o tym, co zdarzyło  
się w  
czasie jego życia i  
w zasięgu jego oczu oraz o tym, o czym usłyszał ze wspomnień  
starszych.  
Melein jednak potrafiła je odczytać i wiedziała, jak brzmi prawda,  
podobnie jak  
she'pan. Ta wiedza uczyniła ją chłodną i niezwykłą. Kiedyś, gdy  
Melein  
przeniesiono do Sen,  
zapytał, czy nie mógłby podążyc w jej ślady, gdyż nigdy dotąd nie  
byli  
rozdzieleni. She'pan  
jednak ujęła tylko jego dłonie i zwróciła je ku górze, ukazując ich  
szorstkość.  
- To nie są  
dłonie uczonego - orzekła i odrzuciła jego prośbę.  
Coś poruszyło się w korytarzu. Rozległo się powolne szuranie stóp  
oraz stukot  
pazurów o kamienie. Jeden z dusei przybłąkał się tutaj z wieży Kel. Z  
reguły  
chodziły one  
tam, gdzie tylko chciały i nikt im tego nie zabraniał, nawet gdy  
przeszkadzały  
lub coś  
niszczyły. Nie było nawet pewne, czy można by im tego zabronić, gdyż  
były tak  
silne, że nie  
mogło być mowy o zastosowaniu przymusu. Wyczuwały, na specyficzny  
sposób dusei,  
kiedy  
ich obecność jest pożądana, a kiedy nie, i rzadko zostawały tam,  
gdzie ich nie  
chciano.  
Uważano powszechnie, że rozumieją one kel'ein, których myśli były  
wolne od  
strachu  
i nieskomplikowane. Z tego powodu każdy dus wybierał sobie kel'ena  
lub kel'e'en  
i zostawał  
z nim przez całe życie. Żaden z nich nigdy nie obdarzył swymi  
uczuciami Niuna  
s'Intel, choć  
ten raz spróbował - ogarnięty zawstydzającą desperacją - złapać w  
pułapkę  
młodego dusa i  
zmusić go do tego. Zwierzę uciekło przed jego dziecinnymi zamiarami.  
Rozwaliło  
pułapkę,  
uderzając go tak mocno, że stracił przytomność.  
Od tej chwili nigdy nie znalazł w sobie umiejętności niezbędnych, by  
zwać go  
do

siebie, jak gdyby tamten, którego oszukał, ostrzegał wszystkich swych pobratymców, jaka jest prawdziwa natura Niuna s'Intel. Starsi kel'ein mówili, że to dlatego, iż był zbyt zamknięty w sobie i nigdy prawdziwie nie otworzył serca przed dusem. Niun uważał, że to nieprawda, gdyż próbował to zrobić, podejrzewał też jednak, że mógł się wydać wrażliwym dusei zgorzkniały i niezadowolony, czego nie potrafili znieść. Wierzył w to i miał nadzieję, że sytuacja się zmieni. W głębi serca jednak zastanawiał się, czy powodem mógł być fakt, że nie urodził się na kel'ena. Dla kobiety z Ludu otwarte były wszystkie kasty, lecz dla mężczyzny jedynie Kel i Sen, Niun zaś był pod jednym względem pokrzywdzony, a pod innym go rozpieszczano, z tego tylko powodu, że był ostatnim synem Domu. Oznaczało to, że wysiłki wszystkich nauczycieli skupiały się na nim i że pracowali oni z nim, aż wszystko zrozumiał, a jego umiejętności stały się wystarczające. Sądził jednak, że w edunie pełnym synów i córek mogłoby mu się nie udać przeżyć, gdyż jego doprowadziłby do tego, że szybko rzucono by mu wyzwanie, co uwolniłoby Lud i Dom od źródła irytacji, jakie stanowił. Myślał też, że mógłby zostać lepszym kel'enem, gdyby nie ingerencja Matki, ale z drugiej strony wiele spraw mogłoby wyglądać inaczej, gdyby Niun nie był ostatnim, w tym również i jej zachowanie. Medai podobał się Matce, ale Medai nie żył, on zaś - zbuntowany syn - siedział tutaj żywy. Intel będzie mu miała coś do powiedzenia po tym, jak już pochowają Medaia pośród wzgórz. Po powrocie będzie musiał stawić jej czoło. Padną gorzkie, gorzkie słowa, którym nie będzie mógł przeciwstawić żadnych argumentów, Melein zaś stanie po stronie she'pan. Wzdragał się na myśl o tym, co Intel może mu zarzucić. Będzie jednak musiała to zrobić. Niun nie mógł odwołać słów, które wyrzekł. Ponownie usłyszał drapanie pazurów. To był dus. Buchające sapanie oddechu oraz ciężkie kroki jasno świadczyły, że intruz się zbliża. Niun siłą swej woli nakazał mu oddalić się od Kaplicy, gdyż dusei nie były tu mile widziane. Mimo to zwierzę

weszło do  
środku.  
Usłyszał, jak wkroczyło do zewnętrznej sali. Odwrócił się i ujrzał je  
w mroku -  
wielki cień o  
pochyłych barkach. Ponownie wydało z siebie ów osobliwy, rozpaczliwy  
głos i  
zbliżyło się  
powoli.  
- Yai! - odezwał się Niun, odwracając się na jednym kolanie. Z  
wściekłością  
nakazał  
mu w myślach odejść.  
Nagle ujrzał, że dus jest zakurzony, a jego skórę pokrywają  
zaskorupiałe rany.  
Serce  
zamarło mu w piersi. Wstrzymał oddech. Zdał sobie sprawę, że nie jest  
to jedno z  
ich  
oswojonych zwierząt, lecz obcy przybysz.  
Czasami dzikie dusei schodziły z wyżynnych równin, by kręcić się po  
terenach  
należących do edunu i siał spustoszenie wśród swych oswojonych  
pobratymców. Niun  
pamiętał, jak kel'ein ginęli, próbując zbliżyć się do podobnych  
zwierząt, mimo  
że byli  
uzbrojeni. Dusei wyczuwały intencje. Posiadały niesamowitą zdolność  
przewidywania.  
Niewiele było stworzeń bardziej niebezpiecznych w trakcie  
podchodzenia.  
Dus stał z pochyloną głową. Jego masywne barki wypełniały przejście.  
Kołysał się  
do  
tyłu i do przodu, wydając z siebie ów żalospny dźwięk. Wepchnął się  
siłą do  
środku, aż tynk  
poodpadał w niektórych miejscach, choć drzwi celowo zbudowano wąskie  
i  
niewygodne dla  
dusei, by uchronić Tajemnice przed ich nierozumnym brakiem szacunku.  
Zwierzę nadchodziło w niepowstrzymany sposób. Było chudsze niż dobrze  
odżywione  
dusei z edunu. Niun usunął się na bok. Jedna z lamp przewróciła się z  
trzaskiem,  
gdy dus  
tracił ją barkiem. Zwierzę skomlało i sapało, na szczęście jednak  
rozlana ciecz  
zgasła, choć  
gorący olej poparzył stopy intruza i sprawił, że ten się cofnął.  
Potem dus  
zbliżył się do ciała  
Medaia i tracił je pazurami długimi jak dłoń mężczyzny. Były one  
jadowite. W  
ostrogach  
znajdowały się przewody jadowe. Jeden ich cios, zadany od niechcienia,  
wystarczył, by  
rozpruć brzuch mri lub regula. Niun przykucnął w cieniu, obok  
przewróconej  
lampy,  
nieruchomy niczym mebel. Ciało zwierzęcia wypełniało większą część  
pomieszczenia  
i  
blokowało wyjście. Bił od niego przerażający, niezdrowy smród, który

przebijał  
się nawet  
przez woń kadzidła. Gdy odwróciło masywną głowę, by spojrzeć na  
wątlego mri  
skulonego w  
kącie, ukazały się jego kaprawe oczy, z których ropa skapywała na  
poświęconą  
podłogę.  
Miuk! Zwierzę było ogarnięte szaleństwem. Wydzieliny jego ciała  
utraciły  
równowagę. To miuk. Szaleństwo jego gatunku, było odpowiedzialne za  
zachowanie  
dusa i  
spowodowało, że wtargnął on do siedziby mri. Niun nie znał niczego -  
czy to  
zwierzęcia czy  
istoty rozumnej - czego należałoby obawiać się bardziej. Gdyby dusei  
z edunu nie  
były dziś w  
nocy zamknięte na górze, nigdy by nie pozwoliły, by dus będący  
miuk'ko zbliżył  
się do  
budynku. Prędzej zginęłyby w obronie wejścia, niż wpuściły zwierzę do  
środka.  
Niun s'Intel przygotował się na śmierć, najokropniejszą z możliwych,  
w  
przestrzeni  
tak małej, że dus nie zdoła nawet wyrzucić jego ciała spod swych  
stóp. Bracia  
odnajdą je  
rozdarte na strzępy. Zwierzę szturchnęło zwłoki Medaia, jak gdyby  
miał to być  
wstęp do tego  
czynu, zawahało się jednak. Groteskowa, okropna bestia kołysała się w  
obie  
strony, stojąc  
okrakiem nad trupem. Z jej oczu wypływał oślepiający ją płyn. Gdzieś  
daleko, w  
wieży Kel,  
rozległ się niski jęk. Jakiś nie przyzwyczajony do tego dus  
denerwował się, że  
go zamknięto,  
lub też wyczuwał nastrój pogrążonego w żałobie Kel albo inwazję, do  
której  
doszło na dole.  
Zwierzę rozpaczliwie usiłowało się wydostać. Inne dołączyły do niego,  
lecz  
ucichły nagle,  
być może na rozkaz kel'ein.  
Niun wstrzymał oddech, podczas gdy przybliżył swe oślepione  
przez ropę  
oczy ku źródłu owego dźwięku. Jego ruchliwe wargi zadrżały nerwowo.  
Zakołysał  
się. Wydał  
z siebie kolejne buchające parsknięcia, po czym odsunął się na bok.  
Jego bark  
uderzył w  
barierę, która przewróciła się z metalicznym brzękiem. Zwierzę  
odwróciło się  
gwałtownie,  
skapane w blasku bijącym z wewnętrznej kaplicy. Przerażony Niun  
zasłonił sobie  
oczy  
ramieniem, by nie ujrzeć Zabronionego, po czym z pewnością w sercu

sięgnął po  
pistolet,  
bezużyteczny przeciw dusowi.  
Musiał atakować wszystko, co zagrażało Zabronionemu, zapobiec, jeśli  
zdoła,  
wtargnięciu do kaplicy Sen. Wycelował w mózg, pierwszy z dwóch,  
wiedząc  
doskonale, że  
wskutek konwulsji, do których dojdzie, sam zginie wraz z dusem.  
Zwierzę jednak nie przekroczyło granic. Pochyliło swą ociekającą ropą  
głowę i  
szturchnęło nosem zwłoki, rozsuwając całun. Uczyniwszy to, zajęczało  
i powoli, w  
sposób  
niemal roztargniony, obróciło głowę, przez co skryła się ona przed  
pistoletem za  
masywnym  
barkiem. Następnie zaczęło wycofywać się z Kaplicy.  
Gdy już to zrobiło i znalazło się w korytarzu na zewnątrz, wciąż  
wydając z  
siebie swój  
charakterystyczny odgłos zagubionego niemowlęcia, Niun rozpoznał je  
wreszcie.  
To był dus Medaia.  
Żaden mri nie mógł twierdzić, gdy brak mu było dodatkowych wskazówek,  
że potrafi  
rozpoznać jakiegokolwiek dusa poza swym własnym, a i to nie było  
możliwe, jeśli  
upłynęło  
wiele czasu. Dusei były zbyt podobne do siebie i zbyt szybko się  
zmieniały.  
Można było co  
najwyżej powiedzieć, że dany dus przypomina innego, którego się  
znało.  
To akurat zwierzę nie zabiło jednak Niuna, było zainteresowane przede  
wszystkim  
zwłokami i odeszło nie usatysfakcjonowane. Rozumiał jego  
postępowanie. Dusei  
niepokoiła  
śmierć. Inne zwierzęta ignorowały zwłoki, lecz dusei nie potrafiły  
zrozumieć tej  
sprawy ani  
się z nią pogodzić. Zamartwiały się i gryzły. Nie przestawały szukać,  
aż  
wreszcie z reguły  
same umierały. Rzadko przeżywały swych panów, gdyż marniały, nie  
zaprzestając  
poszukiwań.  
Ten zaś szukał czegoś, czego nie znalazł.  
To był dus Medaia, który przyszedł go odnaleźć. Był schorowany,  
pokryty ranami  
oraz ogarnięty głębokim szaleństwem, które nie mogło rozwinąć się  
szybko, choć  
regule  
mówili, że Medai umarł nie dalej niż wczoraj.  
Był również chudy i wygłodzony, jak jego nieżyjący pan. W Niunie  
narastało  
przyprawiające o dreszcz uczucie. Wreszcie zaczął fizycznie dygotać,  
nie tylko  
ze strachu  
przed dusem. Schował pistolet do kabury i spojrzał z bojaźnią na  
nagość  
wewnętrznej kaplicy,  
której nigdy nie powinien oglądać.



Niedobrze się stało, że do tego doszło. Niun umył ręce wodą z naczyń  
ofiarnych i  
nie  
przekraczając stopą zakazanej linii, ustawił barierę z powrotem na  
miejscu. Jego  
palce z czcią  
dotykały nieożywionego metalu. Ocalił życie. Bogowie, podobnie jak  
ludzie, mogli  
wybaczyć  
brak szacunku okazywany przez dusei, on zaś ujrzał wewnątrz kaplicy  
Sen i czuł  
się  
wstrząśnięty, ale nie w śmiertelnym stopniu. Widział jasność, lecz  
nie dostrzegł  
żadnego z  
Przedmiotów ani niczego, co potrafiłby zidentyfikować jako Święte.  
Starał się  
wyrzucić to  
wspomnienie ze swego umysłu. Kel'en nie powinien tego oglądać. Nie  
chciał tego  
zapamiętać.  
Medai zaś...  
Ustawił na nowo lampę, napełnił ją olejem i zapalił, przywracając jej  
przynoszacy  
otuchę blask. Następnie opadł na kolana i wytarł rozlany olej, który  
dzięki  
miłosierdziu  
bogów zgasł. Przez cały czas, gdy pracował, drżąc z wyczerpania  
wywołanego  
czuwaniem,  
nie przestawał myśleć. Pielęgnował owo chłodne uczucie, które  
zagnieździło się  
pod jego  
sercem.  
Wreszcie umył dłonie na znak szacunku i położył je na ciele Medaia,  
by dopuścić  
się  
zbezczeszczenia. Musiał je popełnić, gdyż w przeciwnym razie myśl  
rodząca się w  
jego  
umyśle nie dałaby mu spokoju. Gdy zebrał się już na odwagę, zrobił to  
szybko.  
Odwinął  
ostrożnie tkaninę i przyjrzał się ranie. Stwierdził - co przyniosło  
wstyd jego  
podejrzeniu i jego  
czynowi - że regule mówili prawdę.  
Ika'al.  
- Wybacz mi - powiedział do ducha Medaia, po czym z czcią zasunął na  
nowo szaty,  
umył oblicze trupa i przykrył je zasłonami. Następnie rzucił się na  
twarz  
wewnątrz kaplicy i  
odmówił odpowiednie modlitwy do kilku bogów-przodków swej kasty za  
spokój duszy  
Medaia. Były one bardziej szczerze niż te, które odmawiał za swego  
kuzyna, gdy  
ten jeszcze  
żył.  
To powinno go rozgrzeszyć i przynieść mu spokój, gdyż uczynił to, co  
było  
słuszne i  
uczciwe. Tak się jednak nie stało.  
Narastała w nim pewność, że bez względu na świadectwo jego oczu oraz

słowa  
reguli,  
Medai nie wyrzekł się życia dobrowolnie.  
Dus, którego łączność z umysłem kel'ena była tak bliska, stał się  
miuk'ko i  
schudł do  
tego stopnia, że mógł się przecisnąć przez drzwi do kaplicy, a ciało  
Medaia,  
ongiś nabite  
mięśniami, było chude niczym mumia.  
Kwatery Kel planowano na regulskich statkach jako wyłączone  
pomieszczenia, z  
uwagi na dusei, których regule bali się ponad wszelką logikę, oraz  
surowe prawa  
kastowe,  
jakich musiał przestrzegać kel'en podczas kontaktu z obcymi.  
W rzeczywistości jednak był on zawsze zdany na łaskę i niełaskę  
reguli.  
Dostarczali  
oni do jego kwatery jedzenie i wodę, a nawet powietrze, którym  
oddychał.  
Jedynym, co  
kel'en mógł zrobić dla okazania swej niezależności, było zamknięcie  
drzwi.  
Gdyby pragnęli jego śmierci, mogliby odciąć dopływ powietrza i  
wyrzucić go potem  
w zimną przestrzeń. To jednak byli tsi'mri, a co więcej, nie  
wiedzieli nic o  
Ludzie. Mieli do  
czynienia z nową, nieznaną grupą reguli, którym mogło brakować wiedzy  
o tym, jak  
sobie  
poradzić z kel'enem. Regule nie potrafili walczyć.  
Nie bezpośrednio.  
Trawiony myślą, która nabierała w nim kształtu, Niun podniósł się i  
wyszedł z  
Kaplicy. Zabrał ze sobą ofiarne naczynie z wodą oraz metalowy kubek,  
po czym  
przeszedł  
przez zewnętrzne pomieszczenie ku drzwiom do edunu, pod którym wciąż  
siedział  
ogarnięty  
szaleństwem dus.  
Niun wiedział, że zwierzę z pewnością tam czeka. Znajdowało się  
niedaleko od  
tego,  
czego pragnęło, lecz nie potrafiło tego odnaleźć. Był pewien, że  
wciąż tam tkwi,  
w równym  
stopniu jak tego, w jaki sposób doprowadzono je do szaleństwa. Fakt,  
że ongiś  
było  
oswojone, nie czynił go mniej niebezpiecznym. Mogło poderwać się z  
miejsca i  
zabić go pod  
wpływem impulsu. Gdy jednak Niun postawił przed nim naczynie z wodą,  
dus  
powąchał je z  
zainteresowaniem, co czym w końcu ruszył się z miejsca i wsadził nos  
do wody.  
Zawartość  
kubka zniknęła. Niun napełnił go po raz drugi, trzeci i czwarty.  
Dopiero za  
ostatnim razem

zwierzę odwróciło nagle głowę na znak odmowy.  
Niun przykucnął i przyjrzał się stworzeniu. Było chude i w wielu miejscach wyliniało mu futro. Na jednym z jego boków widniała wielka, świeża, otwarta rana.  
To był dus Medaia, który zaznał regulskiej opieki, przemocy oraz głosu. Nie porzuciłby pana z własnej woli, nawet gdyby ten już nie żył. Regule nie postępowali na sposób mri. Byli zdolni do spisków, przekupstwa, oszustwa czy zabijania własnych młodych, lecz nie do zamordowania dorosłego osobnika. W żadnym wypadku. Nie potrafili kłamać ani zabijać z zimną krwią. Wynajmowali mri, by ci zajęli się ich wrogami. Tego zawsze uczyli go ci, którzy znali reguli lepiej niż on i mieli z nimi do czynienia przez całe życie.  
Do tej pory wierzył w to bez zastrzeżeń. Podobnie jak Medai. Podniósł się i wszedł do środka. Wrócił do Kaplicy i usiadł przy zwłokach swego kuzyna. Otulił się ramionami i wbił nie rozumiejące spojrzenie w wijące się jak węże napisy, które opowiadały, a zarazem ukrywały, historię Ludu. W taki czy inny sposób dokonano morderstwa, bez względu na to, jak nazywali to regule. Pracodawcy zabili kel'ena, jego dusa zaś osłabili do tego stopnia, że mogli go przepędzić, by umarł śmiercią naturalną. Jedno ciało zwrócone Kel - uczynek regulskich ignorantów - drugie zaś oddane na pastwę drapieźników i padlinożerców, a w każdym razie niezdolne zdradzić prawdy o tym, co się wydarzyło. Regulskie ręce oraz sumienia z pewnością były czyste. Medai na koniec zrobił to, czego od niego chcieli. Niun rozpaczliwie pragnął wejść na górę i opowiedzieć o tym komuś. Chciał pobiec do Eddana po radę lub zaalarmować she'pan. Nie miał jednak żadnych dowodów poza zwierzęciem, które leżało przed drzwiami. Nie mógł na niczym wesprzeć podobnego oskarżenia. Jego podejrzenia nie były skonkretyzowane. Nie potrafił sobie wyobrazić żadnego motywu, który mógłby popchnąć reguli do zmuszenia kel'ena do podobnego czynu. Jest w tym pewna ironia, pomyślał, że spośród wszystkich, na których pomstę Medai mógł liczyć, pozostał mu tylko odwieczny rywal, zaś jedynym świadkiem prawdy był miuk'ko.

Dusei, jak mówiono, żyły w czasie terażniejszym. Nie pamiętały tego, co się zdarzyło, a jedynie osoby i miejsca. Ten dus szukał domu, miejsca gdzie uprzednio żył, oraz Medaia. Znalazł pierwsze, ale nie drugie.

Rozdział 8

Niun zaczął, zanim pozostali zdążyli choćby się poruszyć, przygotować się do podróży ku Sil'athen. Napompował wody i zgromadził rytualny zapas żywności - jedynie symboliczny - a także prawdziwy prowiant, dla żywych. Z wielkim wysiłkiem dźwignął ciało Medaia z małej Kaplicy i przywiązał je sznurami do regulskich noszy, na których tu przybyło. Dus czekający u drzwi widział to, lecz nie zwracał uwagi na jego poczynania. Zaczęli zjawiać się inni: Eddan, Pasev, Dahacha oraz reszta Kel. Dusei również zeszły na dół i miuk'ko u drzwi cofnął się nieco. Tam, w świetle słońca, osunął się na ziemię. Położył masywną głowę pomiędzy łapami. Był w głębokim szoku. - Miuk - szepnął Debas, z przerażeniem ujrzawszy to, co siedziało u ich bram. Jednakże Pasev, która - choć zabiła wielu ludzi - miała łagodną naturę, podeszła i spróbowała przemówić do zwierzęcia, pozostając poza jego zasięgiem. Dźwignęło się na tyle łapy z lamentem wściekłości i odskoczyło na bok, po czym w niewielkiej odległości opadło z powrotem na ziemię, wyczerpane tym wysiłkiem. Dusei z edunu cofnęły się od niego podniecone. Wyczuwały niedolę swego towarzysza oraz zagrożenie, jakie stanowił. Zbiły się w ciasną grupkę wokół Kel i rozpoczęły swe charakterystyczne okrażanie przez dusa-strażnika, chroniąc swych panów przed grożącym niebezpieczeństwem. Wszystkie oczy spoczęły na Niunie z pytającym wyrazem. Ten wzruszył ramionami i złapał za sznury improwizowanych sań Medaia. - Przyszedł - wyjaśnił - dziś w nocy do kaplicy. - Spojrzał na Eddana. - Szukał kogoś. Ujrzał, jak paskudne przypuszczenie zalśniło w oczach kel'antha. Eddan był mądrym człowiekiem, choć kel'eniem. Odwrócił się cicho i wskazał na Pasev, Lirana, Debasa i Lietha. - Zostańcie tutaj - rozkazał. - Strzeżcie she'pna. - Eddanie - odezwała się Pasev. - She'pan zabroniła... - Każdy, oprócz wymienionych, który również chce zostać, może to zrobić. Strzeż

she'pan, Pasev.  
Niun, nie czekając na nich, ruszył naprzód. Opór stawiany przez sanie zdradził mu, że drogo zapłaci za swój upór. A przecież she'pan i wszyscy pozostali dali mu szansę na wymiganie się od tego kuzynowskiego obowiązku. Powoli, boleśnie, miuk'ko, dźwignął się na łapy i spróbował podążyć za saniami. Zdołał dotrzeć jedynie do traktu. Tam osunął się na ziemię, wyczerpany. Zabrakło mu sił. Inne dusei oskrzydliły go. Jeden z nich wciąż kroczył pomiędzy przybłądą a tymi kel'ein, którzy zostali na miejscu, obserwując tego pierwszego. Zwierzęta nie podążyły za konduktem pogrzebowym. Nie były tam potrzebne. Strzegły edunu. Eddan i pozostali kel'ein dogonili Nuina na stoku prowadzącym na wzgórze i wyciągnęli ręce po sznur. Niun nie sprzeciwił się temu. Sprawilo mu ból, że musieli wykonywać ten gest i okazywać mu swą solidarność, jak gdyby trzeba było jej dowodzić. Jedną ręką założył zasłonę i opuścił chustę. Zaczął już oszczędzać wilgoć, którą marnotrawiły jego zdyszane oddechy. Zabrał ze sobą więcej niż zwykły przydział wody, gdyż wiedział, że podróż będzie ich kosztowała wiele wysiłku. Na Kesrith nie można było pracować. Pozostawiano to regulskim młodemu i regulskim maszynom. Wysilek wyciskał z ciała wilgoć i jeśli nie zachowywało się należytej ostrożności, mógł doprowadzić do krwotoku. Nikt z nich jednak nie powiedział oczywistej prawdy, że ta podróż jest nierozważnym czynem. Nigdy dotąd Kel nie sprzeciwiło się otwarciu Matce. Niun pojął nagle, że miała ona wyjście z tej sytuacji: mogła wydać Eddanowi bezpośredni rozkaz. Nie uczyniła tego. Pełen urazy do niej, nie tłumaczył tego miłością, lecz tym, że znowu napisała się komal i dlatego nie można jej było dobudzić, gdy Melein przyniosła jej jego odmowę. Taka była Intel, she'pan z Kesrith. Zdarzało się to już wcześniej. Trzymał się tego uchybiającego jej gniewu, nie chcąc uwierzyć, że Intel zmiękła, gdyż nic takiego nie wydarzyło się nigdy dotąd przez te wszystkie lata, gdy występował do niej z prośbami. Nie sądził, by mogła to uczynić po raz pierwszy teraz, gdy

się jej  
sprzeciwił.  
Nie chciał okazać skruchy za swój upór, nawet gdy ścieżka stała się  
jeszcze  
bardziej  
stroma, kamienie dręczyły jego stopy, a powietrze wypełniające mu  
płuca wydawało  
się  
zimnym ogniem.  
Po niebie wciąż przemykały regulskie statki. Ich szybkość wyglądała  
na drwinę z  
męczarni maleńkich postaci mri. Unosiły one w bezpieczne miejsce  
coraz więcej  
swych  
właścicieli, którzy uciekali przed ludźmi mającymi objąć panowanie  
nad tym  
światem.  
Szlak wiodący do Sil'athen nie był właściwie szlakiem, lecz trasą  
pamiętaną  
przez  
wszystkich mri, którzy kiedykolwiek ją pokonali. Wśród skał nie było  
widać  
żadnego jej  
ślądu, poza tym, że droga była wolna od większych przeszkód i  
zmierzała od  
jednego punktu  
orientacyjnego do drugiego. Niun znał ją, gdyż pogrzeby były częstym  
wydarzeniem  
w jego  
życiu. Nigdy jednak nie widział ceremonii towarzyszących narodzinom.  
Gdy  
urodziła się  
Melein, był za młody. Ciągnął teraz sam za sznury sań, podążając za  
wysoką,  
szczupłą  
postacią Eddana. Włókł za sobą sanie po małych kamieniach, aż  
wreszcie musiał  
owinać  
fałdem szaty swe pocierane dłonie, by je ochronić. Oddychanie  
przychodziło mu z  
trudem.  
Czuł ból w płucach. Był przyzwyczajony do zajęć z bronią, a nie do  
fizycznej  
pracy, jak  
tsi'mri. Za każdym razem gdy wspinał się o kilka kroków wyżej,  
oddychanie  
stawało się  
jeszcze trudniejsze.  
- Niunie - odzywał się od czasu do czasu któryś z jego braci. -  
Pozwól, niech ja  
przez  
chwilę pociągnę.  
On jednak odtrącał ich pomocne dłonie. W tę podróż wyruszyli jedynie  
najstarsi,  
poza  
Pasev, której Eddan powierzył dowództwo nad pozostającymi w edunie.  
Niuna  
dręczyło teraz  
sumienie. Martwił się, że jego upór może się stać przyczyną śmierci  
któregoś z  
tych  
odważnych, starych mężczyzn. Z pewnością, pomyślał, she'pan  
przewidziała to,  
lecz on był

zbyt zaślepiiony i zapatrzony w siebie, by rozważyć możliwość, że mogło jej wcale nie chodzić o niego. Był ongiś jak najgorszego zdania o Medaiu i wyraził za to skruchę. Zaczynało do niego docierać, że w innych sprawach również mógł się mylić. Teraz jednak, kiedy wyruszyli już w drogę, powrót okryłyby tych mężczyzn wstydem. Sprowadziła ich tutaj jego uparta duma. Z radością witał ból, który wypędzał z jego mózgu jasne myśli. Była to pokuta za małostkowość, którą okazał w stosunku do nich i do zmarłego. Medai nie był tchórzem ani nie był lekkomyślny. Niun czuł już teraz pewność, że jego kuzyn długo opierał się perfidii swych pracodawców i bogowie wiedzą czemu jeszcze. Dlaczego jednak się to stało, wciąż nie potrafił pojąć.

- Eddanie - powiedział cicho, gdy spoczęli na chwilę w cieniu wysokiej skały, a na piasku poniżej ukazały się zmarszczki uwidaczniające się w czerwonym świetle stojącej w zenicie Arain. Na rozciągającej się dalej równinie miał swe legowisko ryjec. Niun widział, jak na powierzchni pojawiają się wytwarzane przez niego leje, do których osypywał się piasek. Reagował w ten sposób na powiew wiatru, myśląc, że to zdobycz.

- Ai?

- Myślę, że według ciebie regule nie powiedzieli prawdy o przyczynach śmierci Medaia.

Edden, z twarzą skrytą za zasłoną, poruszył dłonią w geście wyrażającym zgodę.

- Sądę - ciągnął Niun - że w Kel rozmawiano już na ten temat i ja jestem zapewne jedynym człowiekiem, dla którego było to zaskoczeniem. Eddan spoglądał na niego przez dłuższy czas. Migotki przesłoniły jego oczy, po czym cofnęły się znowu.

- Niunie - powiedział. - Czynisz nam niesprawiedliwość, jeśli sądzisz, że świadomie ukryliśmy przed tobą swe myśli w podobnej sprawie.

- Być może jednak, panie, mieliście powód.

Dłoń Eddana zamknęła się na nadgarstku jego rozmówcy w mocnym uścisku. To on uczył Niuna yin'ain. Nikt nie potrafił tak sprawnie i delikatnie jak on i Pasev oddzielić ciała od duszy. Nie można było nawet dostrzec ruchu miecza. Ponadto jego dłoń miała jeszcze siłę.

- Nie szukaj służby u reguli, Niunie s'Intel Zain-Abrin. Służysz she'pan.

Pewnego  
dnia znajdziesz się na moim miejscu. Myślę, że ten dzień nadejdzie  
już niedługo.  
- Jeśli miałbym zostać kel'anthem - odparł Niun, którego te wróżebne  
słowa  
przeszyły  
chłodem, niepewny, co miały one oznaczać - to będzie to bardzo małe  
Kel. Wszyscy  
pozostali  
są starsi ode mnie.  
- Doczekasz się swoich zaszczytów, Niunie. W naszych umysłach nigdy  
nie było co  
do tego wątpliwości, jedynie w twoim. Tak się stanie.  
Śmiertelna powaga, z jaką Eddan wypowiedział te słowa, wywołała u  
Niuna głęboki  
niepokój. - Nigdy nie brałem udziału w walce - sprzeciwił się. - Jak  
mogę być  
zdatny do  
czegokolwiek?  
Eddan ponownie wzruszył ramionami.  
- My jesteśmy Ręką. Inni układają plany. Bądź jednak pewien, że coś  
cię czeka i  
że  
she'pan uwzględniała cię w swoich zamiarach. Pamiętaj o tym.  
Rozważono  
kandydaturę  
Medaia i odrzucono ją. O tym również pamiętaj.  
Niun usiadł, oszołomiony. Wszystkie jego wyobrażenia zostały w jednej  
chwili  
rozbite i unicestwione.  
- Panie - zaczął, lecz Eddan odsunął się od niego, wstał i odwrócił  
twarz, co  
jasno  
wskazywało, że nie życzy sobie dalszej dyskusji na ten temat. Niun  
podniósł się,  
szukając  
jakiegoś sposobu, by zadać mu pytanie, lecz pozwolił, by jego ręka  
opadła w dół  
bezzradnie.  
Jeśli Eddan nie chciał mu odpowiedzieć, to nic tego nie zmieni. Było  
całkiem  
możliwe, że  
usłyszał już wszystko, co kel'anth mógł mu powiedzieć. Wszystko, co  
potrafił  
powiedzieć.  
„Jego śmierć przyniosła radość she'pan” - oznajmiła mu Melein. Chłód  
tych słów  
wciąż przeszywał go dreszczem. Eddan zaś stwierdził: „Rozważono  
kandydaturę  
Medaia i  
odrzucono ją”.  
Po raz pierwszy poczuł litość dla swego kuzyna. Wszystko wydało mu  
się wywrócone  
do góry nogami.  
On sam ze swoją młodzieńczą zazdrością oraz Medai, którego jedyną  
zbrodnią było  
to, że spojrział na Melein, podczas gdy she'pan miała inne plany.  
Kesrith była  
twardym,  
bezlitosnym światem. Matka z Kesrith, podobnie jak jej planeta, nie  
znała  
litości.  
Jego upór stanął na przeszkodzie jej woli. Niun sprzeciwił się Intel,  
nic nie



wiedząc o  
jej motywach. Zrobił coś, czego kel'ain nie zwykli robić, by  
sprawdzić, w jakim  
stopniu jest  
zdecydowana go powstrzymać, i to w chwili, gdy Lud absolutnie nie  
mógł sobie  
pozwolić na  
podziały.  
Było możliwe, pomyślał, że nie tylko regule przyczynili się do  
śmierci Medaia,  
że  
she'pan i nawet Melein również miały w tym swój udział.  
Czuł litość do Medaia i strach o siebie. Żałował, że nie może  
porozmawiać z  
kuzynem  
teraz, gdy obaj już, a nie tylko jeden z nich, byli mężczyznami, aby  
dowiedzieć  
się od niego  
rzeczy, których nie mógł mu przekazać Eddan. Spojrzał na spowitą w  
czarny całun  
postać na  
noszach i ponownie ujął sznury w dłonie, przekonał się jednak, że  
opuściła go  
cała pewność.  
Nagle pomyślał, że nie musiał być sam przez te wszystkie lata, a  
Medai nie  
musiał  
umierać. Tak wiele rzeczy nie musiałyby się wydarzyć, gdyby nie  
zmusił she'pan  
do  
dokonania wyboru pomiędzy nimi.  
Nie tylko regule przyczynili się do śmierci Medaia.  
Był już wieczór, gdy dotarli do świętego miejsca - urwisk i  
wietrznych nisz,  
gdzie  
groty Sil'athenu ukrywały tych zmarłych spośród Ludu, których kres  
został z dala  
od  
możliwości pochówku w słońcu. Było tu bardzo wiele grobów. Najstarsze  
z nich  
pochodziły z  
czasów, gdy Kesrith nie znała jeszcze reguli, zaś najświeższe kryły  
tych, którzy  
urodzili się na  
Nisrenie i uciekli tutaj w poszukiwaniu schronienia.  
Dolina była długa i odludna. Od szczytów urwisk zaczynał się następny  
poziom  
wyżyn. Poczynając od nich, piaski stawały się czerwone, w  
przeciwieństwie do  
jasnych nizin,  
a przez krwawą skałę przebiegały od czasu do czasu białe żyły. Tam,  
gdzie  
tworzyła ona  
twardą czapę, erozja wywołana wiatrem oraz żrącymi deszczami  
wyrzeźbiła w niej  
niezwykłe  
kolumny oraz ciężkie, niezdarne kształty strzegące drogi przez  
Sil'amen i  
rzucające dziwnie  
wyglądające cienie w czerwonym świetle zachodzącej Arain. Jedną z  
turni objął  
w  
posiadanie wietrzny kwiat. Jego witki lśniły niczym szklane nici  
splamione

czerwienia  
zachodu. Po lewej stronie wejścia od wielu lat znajdowało się  
legowisko ryjca.  
Ominęli tego  
strażnika szerokim łukiem.  
Niun wstydził się, że potyka się tutaj, u samego krańca drogi.  
Poczuł, jak  
piasek  
osuwa mu się pod stopami. Przewrócił się. W pierwszej chwili obawiał  
się, że to  
mniejszy  
ryjec, którego nie wykryli, była to jednak tylko stara dziura,  
wypełniona  
miękkim piaskiem.  
Podniósł się, otrzepując kolana, na które upadł, i pociągnął mocno za  
sznury,  
odtrącając kilka  
wyciągniętych ku niemu rąk. Jego pole widzenia przesłaniał czarny  
cień otoczony  
czerwoną  
obwódką. Migotki zakryły mu połowę oczu, nie słuchając już nakazów  
świadomej  
woli.  
Powietrze, którym oddychał, było słone od jego własnego parującego  
potu.  
Minęli stare groby, tysiące dawnych kath'ein, z przedregulskich  
czasów, a  
następnie  
dwanaście mogił ich własnych członkiń tej kasty, pochowanych zgodnie  
z tradycją  
po  
zachodniej stronie doliny, z twarzą ku wschodzącemu słońcu, nowej  
nadziei. One  
były tymi,  
które wydawały na świat potomstwo. Obok znajdowała się garstka  
smutnych grobów  
dzieci,  
które były zbyt delikatne, by znieść okrutne wiatry Kesrith. Ich  
życie można  
było ocalić dla  
Ludu, gdyby Intel nie wybrała tej planety na świat ojczysty. Regule  
oferowali  
jej wiele  
światów, pięknych i zielonych, lecz ona chciała tylko Kesrith. Tak im  
powiedziała.  
Kuznia nowego Ludu - wyraziła się o tej planecie. Jednakże delikatna  
kasta Kath  
wymarła w tej kuźni, pozostawiając ich w żałobie.  
Ku zachodzącemu słońcu zwrócone były tysiące mogił Sen oraz  
dziewiętnaście  
świeżych grobów ich własnych członków tej kasty. Oni również, na swój  
sposób,  
byli  
delikatni i wrażliwi i nie przetrzymali oczyszczenia Intel,  
pozostawiając swą  
służbę jedynie  
Melein i Sathellowi.  
W najwyższych urwiskach kryły się groby she'panei oraz kel'ein,  
którzy strzegli  
swych władczyń po śmierci. Nie było pewne, ile she'panei mieszkało na  
Kesrith w  
jej historii.  
Niun słyszał o pięćdziesięciu dziewięciu, wiedział też jednak, że  
żaden kel'en

nie znał całej  
prawdy. Zastanawiał się nad tym, spowity w czerwonej i czarnej  
mgiełce innych  
myśli, gdy  
zwrócili się w stronę grobów Kel. Było ich na Kesrith tylko kilkaset,  
w  
przeciwieństwie do  
tysięcy innych, niemal tak mało, jak grobów she'panei. Zmarli z tej  
kasty byli  
znacznie  
liczniejsi niż zmarli Sen, lecz bardzo niewielu spośród nich miało  
swe groby w  
ziemi.  
Zatrzymali się przy najnowszej grocie, gdzie byli pochowani weterani  
z Nisrenu.  
Niun  
siłą woli zmusił się do utrzymania na nogach, by pomóc pozostałym w  
jej  
otworzeniu. Nosił  
głazy, aż ręce mu zdrętwiały, gdyż ci uparci starcy zrobiliby  
wszystko sami,  
gdyby ich nie  
ubiegł. Cały był obolały i jego własna krew splamiła kamienie, z  
których usypał  
miejsce  
spoczynku dla Medaia.  
Kel'ein nie chowano tak, jak pozostałych. Inne kasty były zwrócone  
twarzą ku  
dolinie  
Sil'athen, oni jednak spoglądali na zewnątrz, na północ, w kierunku,  
który  
tradycyjnie  
symbolizował zło. Zmarli leżeli w mroku, jeden szereg za drugim. Gdy  
przybysze  
zapalili  
swa jedyną lampę, ujrzeli ich - zbutwiałe, czarne cienie w zasłonach  
i szatach  
spróchniałych i  
zniszczonych. Ich zakryte twarze zwrócone były w kierunku północnej  
ściany  
jaskini.  
Powietrze wewnątrz było zimne i przesycone niezwykłym odorem  
rozkładu. Mrok  
przygniatał. Niun zatrzymał się, uradowany tym, że może tylko stać, i  
pozwolił  
starcom  
ułożyć Medaia na miejscu, pomiędzy pozostałymi. Następnie zatrzymali  
się,  
zwrócili  
twarzami na północ i odmówili nad nim Shon'jir, rytuał przejścia.  
Niun powtarzał  
słowa  
wypowiadane podczas narodzin i pogrzebów, które oznajmiały przyjście  
na świat  
członka  
Ludu oraz jego odejście z niego.  
Od Mroku na początku  
Do Mroku na końcu,  
W Przerwie między nimi Słońce,  
Lecz potem przychodzi Mrok,  
A w tym Mroku,  
Jeden koniec.  
Słowa rozlegały się echem wewnątrz jaskini, w spowijającej ich  
ciemności. Niun

spojrzał na zmarłych, a potem na swych towarzyszy. Zadumał się nad kruchością tych, którzy śpiewali o Mroku, oraz delikatnym oddechem stanowiącym różnicę pomiędzy wargami, które się poruszały, a tymi, które nie mogły tego robić. Ogarnęło go przerażenie, bunt, pragnienie ucieczki na zewnątrz, w otwartą przestrzeń. Nie poddał mu się jednak. Jego wargi wciąż formowały słowa. Od Mroku do Mroku To jedna podróż. Od Mroku do Mroku To nasza podróż. Ale po Mroku, O bracia, o siostry, Przybywamy do domu. Nigdy dotąd nie zastanawiał się nad tymi słowami. Jego usta je wypowiadały, lecz jego uczucia nie były poruszone. Teraz, gdy rozejrzał się wokół, sprawa się zmieniła. Do domu. Tutaj. Stał bez ruchu, podczas gdy pozostali wychodzili jeden po drugim na zewnątrz. Zmusił się do tego, by wyjść jako ostatni, zapanować nad swym strachem, nawet jednak gdy nad jego głową zalśniło światło gwiazd oraz pierwszego z księżyców Kesrith, wciąż czuł w sobie ten chłód, którego nie zdoła odpędzić ciepło wielu słońc. - Zamknij grotę - rozkazał Eddan. Niun zaczął zbierać kamienie, jeden po drugim, i upychać je ciasno w przejściu, tworząc barierę pomiędzy sobą a Medaiem. Trudno mu było oddychać. Poczuli, że po policzkach płyną mu łzy, wywołane wstydem, jakim okrył się przed zmarłym. Nie jestem do ciebie podobny, kuzynie, nie jestem podobny - nie przestawał myśleć, gdy z determinacją układał kamienie na miejscu. Mur, który budował, miał chronić uświęconych zmarłych przed wiatrem, piaskiem oraz wścibskimi palcami suruin, które kręciły się po wysokich wzgórzach, a także samego Niuna, przed skrytą prawdą. Skończyli robotę. Spłacili wszystkie długi. Bracia zdmuchnęli zaczerpnięty w dłonie piasek na wiatr. Niun również wziął jego garść i uczynił to samo, w pożegnalnym geście. Następnie odpoczywali chwilę, zanim rozpoczęli długą, uciążliwą podróż z powrotem do edunu.

Soah dołączyła nad ich głowami do pierwszego księżyca, co sprawiło, że wędrówka stała się bezpieczniejsza. Ruszyli w drogę. Eddan szedł jako pierwszy, posługując się swą laską, by szukać wietrznych kwiatów w mrocznym powietrzu przed nimi. Zachowywał ostrożność, jak musiał to robić każdy, kto wędrował po pustkowiach Kesrith, nie mając ze sobą dusa. Niun dotrzymywał towarzystwa Sirainowi, który był na wpół ślepy, bardzo wątły i zbyt dumny, by przyjąć pomoc. Sam często przesadnie okazywał zmęczenie, by zwolnić tempo ich marszu, zupełnie jakby otarcia na dłoniach, długa wędrówka oraz brak snu doprowadziły go do kompletnego wyczerpania. Duma nagle przestała być dla niego istotna. Liczyło się tylko to, by zachować honor Siraina i by starzec nie umarł. Nie popisywał się już przed nimi swoją młodością. Odnalazł łączącą ich więź braterstwa, jak gdyby tak oni, jak i on, zrozumieli wreszcie coś, co powinni zrozumieć już dawno temu. Podzielili się wodą i jadłem. Usiedli w szóstkę w ciemności, gdy księżyc już zaszły i zjedli śniadanie. Bracia litowali się nad jego dłońmi i kierując się własnym doświadczeniem, udzielali mu rozmaitych porad, jak je uleczyć. Wreszcie Eddan przeciął łożygę młodego luina i wtarł w rany jego sok, uważany za niezastąpione lekarstwo na wszelkie obrażenia, gdyż łagodził ból. Od tej chwili tempo ich podróży spadło jeszcze. Być może Sirain od początku przejrzał jego starannie ukrywane oszustwo, gdyż wreszcie zacisnął słabą dłoń na ramieniu Niuna i przyznał, że tym razem to on musi chwilę odpocząć. Takimi etapami posuwali się w stronę domu. Gdy wrócili, znowu zapadł wieczór i u wejścia do edunu zapalono dla nich światło. Przy drzwiach widać było potężne cielsko chorego dusa. Pod koniec nie trzeba było się już śpieszyć. Niun obawiał się, że będzie musiał nieść Siraina, co staremu wojownikowi przyniosłoby porażający wstyd. Ze względu na niego, a także Eddana, który już z trudem posuwał się naprzód, szli wolno, mimo że gorąco pragnęli wrócić do edunu, dręczeni obawą, że pod ich nieobecność mogło się wydarzyć coś

złego.

W drzwiach jednak czekała na nich Melein, która przywitała ich cichym głosem.

Twarz miała odsłonięta. Oni również zdjęli zasłony, gdyż wracali do domu.

- Czy wszystko w porządku? - zapytał Eddan.

- Wszystko - odparła. - Wchodźcie. Bądźcie spokojni.

Weszli do środka. Byli zmarznięci i stopy mieli obolałe. W pierwszej kolejności przeszli długim korytarzem do Kaplicy. Każdy z nich osobiście odmówił modlitwy.

Następnie

obmyli sobie dłonie oraz twarze i zrobiwszy to, zwrócili się ku schodom wiodącym do wieży

Kel, gdyż byli wyczerpani.

Na zewnątrz Kaplicy czekała jednak Melein.

- Niunie - powiedziała. - Matka w dalszym ciągu chce, byś przyszedł.

Był zmęczony. Obawiał się tego spotkania. Odwrócił się do niej grubiańsko tyłem

i

wyszedł z sali. Udał się na ganek, by sprawdzić, jak wiedzie się dusowi. Dał mu

kawałek

mięsa, który zaoszczędził z własnych racji podróżnych. Ktoś inny jednak wypełnił

już kubek

wodą.

Dus odwrócił się od jego daru. Nie chciał mieć z nim nic wspólnego.

Niun

spodziewał

się tego, podjął jednak próbę. Osunął się, wyczerpany, na ganek i wbił w zwierzę

bezzadne

spojrzenie.

Dusei nigdy nie mogły go znieść, temu zaś, osieroconemu i

cierpiącemu, nie był w

stanie pomóc.

Wydał z siebie głośne westchnienie, które było niemal łkaniem i

spojrzał w

światle na

swe pokrwawione dłonie.

Były tak wrażliwe i delikatne, że mogły władać yin'ei, a teraz

zostały

doprowadzone

do podobnego stanu. Nie siedział tu żaden wojownik, nie taki, którego potrafiłby

wykryć dus.

Zwierzę postanowiło umrzeć, tak jak Medai. Nie znalazło w Niunie nic, co mogłoby

przywrócić mu zainteresowanie życiem.

Choć miał on seta'al, broń i czarne szaty, a także posiadał

umiejętności, w

głębi serca

był przerażony i rozgniewany. Dus, wrażliwy na podobne rzeczy, nie

chciał go

zaakceptować.

Ściągnął mez i zaidhe, po czym zatknął je sobie w zagięciu ramienia.

W prawą

dłoń

nabrał odrobinę piasku z pobliza ganku i natarł nim swe czoło, w

charakterze

pokuty za

zazdrość.

Następnie wszedł do środka i udał się na górę po schodach najgłębiej położonej wieży, która należała do she'pan. Otworzył ostrożnie drzwi do jej komnaty i ujrzał, że Melein klęczy u lewego boku Intel, poprawiając poduszki.

- Cicho - odezwała się, oskarżając go spojrzeniem. - Właśnie przed chwilą zasnęła.

Dziś przyszedłeś za późno. Bądź cicho.

She'pan jednak poruszyła się, gdy Niun zbliżył się do niej. Jej złociste oczy otworzyły się, a migotka cofnęła, odsłaniając je w całości.

- Niunie - powiedziała bardzo cicho Intel.

- Mała Matko.

Przyklęknął u jej prawego boku i pochylił głowę, pozwalając, by dotknęła jej delikatnie. Członkowie Kel nie pozwalali na podobną poufałość nikomu, jedynie she'pan i partnerkom. Poczul ciepły dotyk jej dłoni na swej zziębniętej skórze.

- Nic ci nie grozi - powiedziała. - Wróciłeś bezpiecznie.

Później, jak gdyby to stanowiło istotę wszystkich jej pragnień, pograżyła się z powrotem w swych snach niczym dziecko zasypiające z ulubioną zabawką pod ręką.

Niun nie poruszył się. Oparł głowę o ramię jej fotela i stopniowo pograżył się we śnie.

Jej dłoń wciąż spoczywała na jego barku. Dręczyły go niespokojne sny. Od czasu do czasu budził się, widząc grotę i ciemność, wtedy jednak dostrzegał otaczające ich złote światło i czuł ciężar dłoni she'pan. To mówiło mu, gdzie się znajduje.

Matce coś się śniło. Ponownie uznała go za swego. Być może myliła go z tamtym drugim. Niun tego nie wiedział. Był kel'eniem, podobnie jak tamten.

Siedział u jej boku i od czasu do czasu zasypiał. Wiedział, że jego obowiązki wobec niej sprowadzają się do tego, by ocalić życie i pozostać u jej boku. Odrzuciła Medaia i nigdy nie wyrzekła ani słowa żalu czy smutku nad jego losem.

„Nic ci nie grozi” - powiedziała.

Więzy, z których tak niedawno się wymknął, usidliły go na nowo. Niun zaprzestał wreszcie walki i zrozumiał, że musi pełnić służbę, która przypadła mu w udziale.

Su-she'pani kel'en a'anu.

Kel'en she'pan, taki sam, jak ci spoczywający w urwiskach.

W dawnych dniach, o których już tylko szeptało, gdy nie było jeszcze wojny, istnieli podobni kel'ein. Mri walczyli wtedy przeciwko mri, a dom przeciw domowi, she'pan zaś stawała do walki z she'pan.

Jej ostatni kel'en - przewidywał Niun w czymś, co wydało mu się prawdziwym objawieniem - rzeczywiście nigdy nie pozna Mroku jaskiń Sil'athen. Zamknie barierę za pozostałymi i zostanie na zewnątrz jako strażnik. Rzucił spojrzenie w stronę Melein i ujrzał, że ona również nie śpi. Jej oczy wpatrywały się w cienie. Zrozumiał jak musiała się czuć, gdy przebywała tu sama z Intel. O nią również się bał.

#### Rozdział 9

Był to już ich dwudziesty dzień w Nomie. Wreszcie okazało się, że jest możliwe, by ludzki organizm przystosował się do dłuższego dnia Kesrith. Duncan wstał i powędrował do swej własnej łazienki. Ich naziemne lokum zapewniało mu przynajmniej ten luksus, choć musiał się zadowalać przydziałem ponownie wprowadzonej do obiegu wody, która była dostępna wewnątrz instalacji Nomu. Gmach ów był całkowicie zależny od podtrzymujących życie systemów, takich samych jak na statku. Regułem życie na powierzchni nie odpowiadało zbyt, choć byli w stanie je znieść. Duncan podejrzewał, że nie będzie ono łatwe również dla ludzi. Przepuszczano przez filtry powietrze i ponownie wprowadzano do obiegu wodę, którą na dodatek uzyskiwano z morza tak przesyconego zasadami, że nic nie mogło w nim żyć. Nieliczne zwierzęce formy życia występowały wyłącznie na wyżynach. Sądząc z informacji, które uzyskał z przetłumaczonych regujskich poradników poświęconych temu zagadnieniu, niewiele istot narodzonych na Kesrith było nieszkodliwych. Wewnątrz Nomu kryły się ogrody, które w pewnym stopniu nawilżały powietrze i czyniły otoczenie przyjemniejszym, jednakże obca chropowatość liści oraz wyczuwalna woń reguli sprawiały, że ogrody były mniej miłe, niż mogłyby być. Jak sądził, przyzwyczał się już prawie do reguli. Nauczył się znosić wiele rzeczy, które ongiś uważał za nie do przyjęcia, i to w ciągu zaledwie dwudziestu dni bliskich kontaktów. A kontakty były naprawdę bliskie. Nie mieli ściśle określonego rozkładu godzin ani nie byli zamknięci w kwaterach, zabroniono im jednak opuszczania Nomu o jakiegokolwiek



porze. Stavros, rzecz jasna, i tak nie zamierzał tego robić, dopóki na Kesrith przebywali regule. Nie był to zbyt długi okres oczekiwania. Pozostało dziesięć dni do chwili, gdy miały przylecieć pierwsze ludzkie statki z załogami, które zastąpią reguli. Duncan doszedł wreszcie do wniosku, że przez tak krótki czas mogą nie postradać zmysłów. W jego umyśle ukształtował się obraz ich pierwszego spotkania z owymi nadlatującymi ludźmi. Wyobrażał sobie, że przybywającej ekipie oni obaj wydadzą się zmienieni, dziwaczni i przeobrażeni przez pobyt na Kesrith. Nie był już tym samym człowiekiem, który wyruszył w tę podróż. Żołnierz NST Sten Duncan z Przystani był zdolny do daleko bardziej impulsywnego zachowania niż Stan Duncan, asystent nowego gubernatora Kesrith. Nauczył się cierpliwości i zdolności powolnej kalkulacji, a także co nieco regulskich manier, choć ich zwyczaje były niewygodne i niezręczne dla ludzi. „Jeśli łaska, mój panie” oraz „Bądź łaskaw, starszy”, zaczęły przychodzić mu równie naturalnie, jak „Tak, sir” i „Nie, sir”. Obiecali mu przejście w stan spoczynku po pięciu latach, lecz jeśli spędzi tak długi okres w tym posępnym otoczeniu, nie będzie się potem nadawał do przebywania w ludzkim towarzystwie. Było możliwe, że za pięć lat uzna czyste powietrze za rzecz dziwną, zaś światło Przystani wyda się jego oczom czymś egzotycznym. Możliwe też, że uzna ludzkie obyczaje za miałkie i osobliwe po pobycie w surowej zorientowanej na przeżycie kolonii, jaką ludzie będą musieli założyć na Kesrith. Był w trakcie procesu adaptacji. Każdy świat, każdy klimat, każda operacja na nieprzychylnym terenie wymagająca bezpośrednich działań ludzi na powierzchni planety, wszystko to było naturalnym zadaniem dla żołnierza NST. Duncan zaczynał uczyć się Kesrith. Stavros robił to samo, na swój intelektualny sposób. Przyswajał każdy osobliwy fakt znajdujący się w jego zasięgu. Wydawało się, że podobnie jak regule nigdy nie potrzebuje

notatek. W czasie rzadkich wycieczek ze swego pokoju do ogrodów po prostu przyglądał się i słuchał.

Tego ranka miał umówione spotkanie w gabinecie Hulagha. Było to ważne wydarzenie.

Na zewnątrz rozległ się jakiś huk, odmienny od dobrze znanego ryku odlatujących statków. Duncan nacisnął przełącznik, by wpuścić światło do środka przez czarne okna

Nomu. Rozciągał się przed nim widok na cały horyzont, od morza po prawej stronie aż do wzgórz po lewej. Nie mogli jednak dostrzec stąd edunu mri ani portu - dwóch rzeczy, które interesowały ich najbardziej. Rzecz jasna nie było przypadkiem, że umieszczono ich akurat w takim miejscu. W ciągu dwudziestu dni na rozciągającym się przed nimi pustkowiu nie zaszła żadna zmiana, teraz jednak ponad wzgórzami coś się zmieniło.

Nadciągała burza.

Nad morzem gromadziły się szare, połyskujące czerwone chmury. Błyskawice uderzały z niewiarygodną szybkością.

Pogoda - twierdziły raporty przygotowywane przez personel baia - jest nieprzewidywalna, niezależna od pory roku i niekiedy staje się gwałtowna. Deszcz wywiera umiarkowanie żrące działanie, zwłaszcza podczas ulew następujących po burzach piaskowych. Jeśli zostanie się przez niego zaskoczonym, dobrze jest się potem wykapać.

Nade wszystko konieczne jest jeszcze znalezienie odpowiedniej osłony, gdy tylko pojawiają się pierwsze oznaki burzy. Wiatry mogą osiągać znaczną porywistość. Jeśli zetkną się fronty nadciągające ze strony morza oraz wzgórz, często dochodzi do aktywności cyklonicznej.

Czerwone światło zamontowane w oprawie na suficie rozjarzyło się, wzywając go.

Stavros się obudził. Duncan szybko napełnił kubek soi pochodząca z dozownika wbudowanego w ścianę. Soi była regulskim pobudzającym napojem. W przeciwieństwie do większości ich potraw miała łagodny smak. Stanowiła jeden z nielicznych regulskich przysmaków, jakie nauczyli się lubić. Z odrobiną słodzika była całkiem smaczna.

Duncan dodał dwie jego krople, postawił kubek na małej tacce, wyciągnął ze szczeliny poranne komunikaty i zaniósł to wszystko do kwatery Stavrosa, do której,

podobnie jak na  
statku,  
można było wejść jedynie przez jego apartament.  
- Dzień dobry, sir - powiedział półgłosem. Za tę uprzejmość Stavros  
regularnie  
odwdzięczał mu się jedynie grzecznym skinieniem głową, a i z tym  
czasem się  
spóźniał. Dziś  
rano był w wyjątkowo dobrym nastroju. Naprawdę się uśmiechnął. Ten  
gest sprawił,  
że jego  
wąskie usta wydały się jeszcze szczelniej zaciśnięte.  
- Odsłoń okna - polecił Duncanowi. Znowu zaczęło grzmieć.  
Duncan nacisnął przełącznik i wpuścił do środka posępne światło dnia.  
Pierwsze krople zaczęły zbryzgiwać pył pokrywający szyby.. Szkło  
drżało i  
grzechotało pod wpływem uderzeń gromów. Stavros podszedł do okna, by  
nacieszyć  
się  
widokiem. Duncan również poczuł, że zmysły mu się wyostrzyły na  
skutek  
stymulacji rzadko  
dostępnej w ich starannie kontrolowanym środowisku. Było to zjawisko,  
któremu  
regule nie  
mogli narzucić harmonogramu ani go ocenzurować - gwałtowność samej  
natury.  
Duncan  
widział, jak burza opada na morze, gdzie białe grzbiety fal nabrały  
różowej  
barwy. Cały dzień  
spowity był w czerwonym mroku, rozświetlanym kapryśnymi błyskawicami.  
- To będzie jedna z najpoważniejszych przeszkód w rozwoju tutejszej  
kolonii -  
zauważył Stavros.  
Duncan odniósł wrażenie, że tamten oczekuje od niego, by wyraził swe  
zdanie w  
tej  
kwestii. Nie wiedział jednak, co ma powiedzieć. Uczono go, jak  
zdobywać światy,  
a nie jak je  
cywilizować.  
- Regule dali nam tu punkt zaczepienia - zauważył. - To miasto  
posłuży jako  
baza.  
- Powiedziano mi, że stopień zużycia maszynierii na Kesrith jest  
znaczny, a  
ponadto z  
jakiegoś idiotycznego powodu regule podążyli za przykładem mri i  
wybudowali  
znaczną  
liczbę osad z ubitej ziemi połączonej spoiwem. Kosztowały tanio, ale  
są  
kompletnie nie  
przystosowane do klimatu.  
- Cóż, jeśli ma się pod dostatkiem siły roboczej, można je budować  
wciąż na  
nowo.  
- Ludzka kolonia nie może funkcjonować w taki sposób.  
Stavros rozmyślał, popijając ciepły napój. Grom ponownie zatrzęsł  
szybami. Wiatr  
zadał tak silnie, że ściana wody oddzieliła ich od świata,  
przesłaniając  
wszystko. Duncan

zaklął, zaskoczony i wstrząśnięty.  
- Zasunąć osłony przeciwburzowe - poleciał mu Stavros. Zaczął padać grad, którego szybki stukot zagrażał całości okien. Duncan pośpiesznie uruchomił żaluzje, które zasunęły się błyskawicznie, przesłaniając światło dnia. Lampy w pokoju rozjaśniły się, by osiągnąć poprzedni poziom oświetlenia. Duncan wrócił szybko do swojej kwatery, aby zająć się oknami. Był zatroskany. Bał się wręcz zbliżyć do okien, w które burza uderzała z taką gwałtownością. W chwili, gdy sięgnął w stronę przełącznika, wprost nad jego głową uderzył grom. Serce mu waliło, gdy osłona przeciwburzowa nasuwała się na okno. Słyszał w oddali rozbrzmiewający gdzieś w budynku sygnał alarmowy. Syk powietrza w przewodach ucichł na chwilę. Duncan poczuł ucisk w uszach, jak podczas startu samolotu. Podeszedł do drzwi i otworzył je. Regulskie ślizgi przemykały po korytarzach w szalonym zamieszaniu. Ucisk zelżał. Duncan usłyszał niski dźwięk, niemal na krawędzi słyszalności, pod wpływem którego budynek zadrżał.  
- Nai chiug-ar? - „Co to jest?” - zapytał pierwszego wędrującego na piechotę  
regula,  
którego ujrzał. - Nai chiug-ar?  
- Sak noi kanuchdi hoc-nar - odszczeknęło młode. Miało to coś wspólnego z portem,  
lecz Duncan nie potrafił zrozumieć nic więcej. - Sa-ak toc dac - syknęło do niego następne.  
„Nie opuszczaj kwatery, jeśli łaska.”  
Duncan wycofał się, zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do dyżurnego o informacje.  
Nikt nie odpowiadał na jego wezwania. W końcu zaczęło wyglądać na to, że wszystko na zewnątrz się uspokaja. Pozostał jedynie szum deszczu uderzającego o osłony przeciwburzowe. Wreszcie Duncan odważył się je odsłonić, nie ujrzał jednak nic poza strumieniem wody zniekształcającym wygląd wszystkiego na zewnątrz. Zasunął je ponownie.  
Z pokoju Stavrosa przez długi czas nie dobiegało nic oprócz ciszy. Duncan skupił swe nadwerężone władze umysłowe i, czyniąc sobie wymówki za wpadanie w panikę, wszedł do środka, by zobaczyć, co się dzieje ze starym. Spodziewał się cynicznych kpin z żołnierza NST, który boi się burzy. Kubek leżał na podłodze. Na dywanie widniała brązowa plama. Duncan ujrzał, że Stavros leży niemal w poprzek łóżka, wciąż w nocnym ubraniu.

- Sir?! - zawołał. Podeszedł do niego i dotknął z obawą jego ramienia, po czym przewrócił go na drugą stronę, co wywołało słabe poruszenie, westchnienie i drżenie prawej powieki. Lewa pozostała zamknięta. Usta po lewej stronie były osobliwie wykrzywione. Stavros spróbował coś powiedzieć, lecz jego słowa były całkiem niezrozumiałe. W następnej chwili Duncan wybiegł z pokoju, przebiegł przez swą kwaterę, wypadł na korytarz i pobiegł do biurka dyżurnego. Uciekał się do wszystkich słów, jakie mu przyszły do głowy, by wyrazić swą potrzebę. - Stavros - powiedział wreszcie. - Stavros! To na koniec najwyraźniej wywarło wrażenie na młodym. Podniosło się ono i udało za nim ociężałym krokiem. Przez dłuższy czas stało u stóp łóżka. - Starszy - powiedziało wreszcie, z regulskim odpowiednikiem wzruszenia ramionami. Na łóżku leżał starszy. Wyglądało na to, że nie jest w stanie się podnieść, co w jego wieku było naturalne. Duncan złapał je za masywne ramię. - Chory - nalegał podniesionym głosem. Powoli, ostentacyjnie powoli, młode odwróciło się i podeszło do konsoli. Wcisnęło odpowiedni numer i porozumiało się z władzą zwierzchnią. Władza zwierzchnia odpowiedziała oszałamiającym potokiem słów. Duncan osunął się na podłogę i skrył głowę w dłoniach. W żołądku czuł skurcz rozpaczny. Gdy przybyła procesja ważnych reguł, która zaczęła z pośpiechem ładować Stavrosa na jeden ze ślizgów transportowych, Duncan cały czas trzymał się blisko i pełnymi wyrazu gestami dawał do zrozumienia, że ma zamiar nie opuszczać przełożonego. Jeden z reguł złapał go i zatrzymał, stanowczo, lecz bez użycia przemocy, podczas gdy ślizg ruszył z miejsca i odjechał. Wtedy reguł go puścił. Nie trzeba już było powstrzymywać Duncana, gdyż nie było sposobu, by mógł on wytropić ślizg w tej pajęczynie torów. Osunął się na krzesło w swej kwaterze. Dygotał z gniewu i przerażenia. Nie był w stanie zrobić dla Stavrosa absolutnie nic. Na zewnątrz burza tłukła jeszcze w osłony przez godzinę czy więcej. W tym czasie Duncan wychodził z pokoju cztery razy, by podejść do biurka dyżurnego i zażądać

informacji  
o stanie Stavrosa. Za każdym razem uzbierał się w odpowiednie zdania  
ze swego  
słownika  
oraz notatek.  
Pełniący służbę regul szybko się nauczył, że nie musi zachowywać  
milczenia, by  
okazać swą pogardę. Wystarczyło, by zasypywał go słowami tak szybko,  
jak tylko  
potrafił, co  
demonstrowało Duncanowi wyraźnie, że nie jest w stanie go zrozumieć.  
- Dal - powiedział wreszcie - seo-gin.  
„Odejdź”. Powtórzył to jeszcze kilka razy.  
Duncan odwrócił się, lecz nie skierował do swego apartamentu, ale ku  
zakazanej  
dla  
niego rampie na parterze, gdzie mieściły się gabinety baia Hulagha.  
Pomknęły za  
nim  
wypowiedziane przenikliwym tonem słowa. Trójka regul zagrodziła mu  
drogę i  
zaprowadziła  
go stanowczo z powrotem pod drzwi jego pokoju, po czym, popychając  
go, zmusiła,  
by  
wszedł do środka.  
- Stavros chory - powiedział wreszcie jeden z nich. Aż do rana Duncan  
nie  
otrzymał  
już więcej informacji.  
Całą noc nie spał z niepokoju.  
O świcie jednak nadeszła znaczna liczba regul. Przenieśli owinięty w  
brazowa  
tkaninę tłumok ze ślizgu na łóżko. Duncan - który brutalnie wepchnął  
się  
pomiędzy nich -  
ujrzał, że Stavros jest przytomny, lecz lewą stronę ciała nadal ma  
bezwładną.  
Nagle wśród młodych rozbrzmiały liczne wyrazy szacunku, gdyż pod  
drzwiami  
rozległo się brzęczenie i konsola ślizgu wcisnęła się do środka przez  
szerokie  
wejście, by  
zatrzymać się pomiędzy nimi.  
Bai Hulagh.  
Stavros wypowiedział jakieś słowa, zniekształcone i niemożliwe do  
zrozumienia w  
żadnym z języków.  
- Czcigodny Stavrosie. Teraz odpoczywaj. - Bai podniósł się z wielkim  
wysiłkiem  
ze  
swego ślizgu i spojrzał prosto na Duncana. - Młode, to schorzenie  
dotyczy układu  
nerwowego.  
- Baiu - odparł Duncan. - Pomóż mu.  
Regul wzruszył ramionami.  
- Ludzka budowa jest dla nas obca. Ubolewamy z tego powodu.  
Znajdujemy się w  
samym centrum katastrofy o znacznych rozmiarach. Burza przewróciła  
wieżę w  
porcie. Było  
wielu zabitych. Ta sytuacja stanowi poważne obciążenie dla naszych  
zasobów. Mamy  
bardzo

niewiele informacji na temat ludzkiego organizmu.  
- Mogę wam... mogę wam zaoferować siebie, baiu, jeśli wasi medycy zechcą...  
- Młode - odparł regul głębokim basem wibrującym tonami pogardy - brak nam informacji. Nie eksperymentujemy na żywych istotach. Zdołaliśmy osiągnąć to umiarkowane przywrócenie funkcji, ale nic więcej. To jest członek starszyny waszego ludu. Dostarczymy mu wszelkich wygód znajdujących się w zasięgu naszych możliwości. Czy podajesz w wątpliwość moje oświadczenie, młode?  
- Bądź łaskaw - szepnął Duncan, pozostawiając decyzję innym. Podeszedł do Stavrosa i uścisnął jego zdrową dłoń. Tamten odwzajemnił mu się słabym uściskiem. Jasne oczy starego mężczyzny zalśniły wilgotnym blaskiem. Były żywe i w pełni świadome. Ich surowy, karcący wyraz starał się przekazać mu jakiś rozkaz. Duncan zacisnął dłoń, by go uspokoić i podniósł wzrok na baia.  
- Jeśli łaska, wielebny. Niepokoję się o niego. Bai nakazał mu gestem się zbliżyć. Duncan wypuścił z dłoni palce Stavrosa i wykonał polecenie. Pozwolił, by regulski bai go dotknął. Jego szorstkie palce spoczęły znacznym ciężarem na ramieniu Duncana. Bai przemówił krótko do swych przybocznych, którzy pośpiesznie zajęli się swymi zadaniami. Następnie jego otoczone zmarszczkami oczy spojrzały prosto w oczy Duncana. Palce baia zacisnęły się tak mocno, że człowiekowi trudno było nie skrzywić się z bólu.  
- Młode, powiadomiono mnie, że zaniedbałeś jedzenie i picie. Czy to wyraz żałoby? Kwestia religijna?  
- Nie, wielebny. Będę jadł.  
- Dobrze. Wypowiedział to słowo huczącym głosem, tak niskim, że niemal nie można go było zrozumieć. Ucisk stawał się coraz silniejszy, aż Wreszcie Duncan poczuł, że jego staw nie wytrzyma. Wzdrygnął się. Bai natychmiast opuścił dłoń. Następnie regul odwrócił się ociężałe, dźwignął z powrotem na swój ślizg i usiadł na nim. Maszyna zapiszczała, cofnęła się, odwróciła i odjechała. Duncan stał bez ruchu, wpatrując się w odjeżdżający ślizg, a także w pozostałych, którzy wycofali się niemal równie szybko. Stavros wydał z siebie jakiś dźwięk.  
- Sir? - zapytał go natychmiast, starając się, by jego głos zachował

naturalne  
brzmienie. Odwrócił się i ujrzał, że stary wskazuje ręką w stronę stołu. Leżały tam jego notatki. Duncan zebrał je i wręczył mu, lecz Stavros swą prawą dłonią poszukiwał jedynie bloczka. Duncan zrozumiał jego zamiar, znalazł pióro i dał mu je. Uklęknął przy łożu, podtrzymując bloczek, podczas gdy Stavros pisał, ciężko i niezgrabnie jak dziecko.  
Regule nie Zaniepokojeni - odczytał. - Ten stan na starość u nich naturalny.  
Zdolność ruchu może powrócić. Nie ma powodów do paniki.  
Niezgrabne, pochyłe pismo dotarło do granic kartki. Duncan odwrócił bloczek i umieścił go wyżej.  
Ludzie wkrótce przybędą - zaczął na nowo Stavros. - Katastrofa w porcie - prawda.  
Harmonogram ewakuacji reguli zaburzony. Hazan uszkodzony. Regule bardzo zaniepokojeni.  
Mri - trzeba się dowiedzieć, co robią mri. To najpilniejsze. Słuchaj rozmów reguli, dowiedz się o mri, unikaj prowokacji.  
- Czy mam opuścić Nom, jeśli będzie to konieczne?  
Żołnierz NST - stań się teraz dyplomata. Ostrożność. Korzystaj z moich instrukcji.  
Regule zabijają tu młode - wiele. Radź się, zanim cokolwiek zrobisz. Przenieś' mnie. Teraz.  
Konsola.  
Duncan nie chciał go ruszać z miejsca, lecz Stavros zaklął niewyraźnie i wydał mu rozkaz na głos. Najwyraźniej był zdeterminowany. Duncan ostrożnie i delikatnie podniósł starego mężczyznę i umieścił go wewnątrz konsoli ślizgu stojącego w kącie, podtrzymał przez chwilę i poprawił dopasowujące się do kształtu ciała poduszki, tak by utrzymywały go w bezpiecznej pozycji. Prawa ręka Stavrosa sięgnęła ku urządzeniom sterującym i dokonała dalszych poprawek. Konsola ślizgu obróciła się, podobnie jak - niezależnie od niej - ekran. Po jego niewielkiej powierzchni przebiegł tekst napisany za pomocą klawiatury.  
Można się nauczyć nawet tego.  
- Tak jest, sir - odparł Duncan, czując ucisk w gardle. Ogarnęła go nagle troska o tego człowieka, o Stavrosa osobiście.  
Wędrówka tekstu rozpoczęła się na nowo.



Zamówiłem dla ciebie jedzenie. Idź się położyć.  
- A dla pana, sir?  
Stavros odwrócił ślizg i rwanymi ruchami podprowadził go w sąsiedztwo łóżka.  
Użył  
ramienia konsoli, by przygasić światła.  
Zaczekam - oznajmił ekran. - Niczego mi nie trzeba.  
Rozdział 10  
- Prawdziwy bracie.  
Stojący na ganku obok dusa Niun obejrzał się przez ramię. Rzadko teraz spotykał się z Melein nieoficjalnie, jak brat i siostra, daithen i daithe, jak działało się to ongiś. Zaskoczyła go, gdy był zajęty dusem. Zawstydzził się, że przyłapała go na tym akcie miłosierdzia. Wytworzył się teraz między nimi dystans, choć spędzali ze sobą wiele czasu w komnacie she'pan. W tej chwili nie chciał już przebywać z nią sam na sam. Sprawiało mu ból, że bliskość pomiędzy nimi zniknęła.  
Przez chwilę próbował jeszcze skusić dusa kawałkiem jedzenia, gdyż zanim nadeszła Melein, wmawiał sobie, że w ciemnych oczach zwierzęcia dostrzega słaby błysk zainteresowania. Teraz nie chciał on powrócić. Niun jednak oszukiwał sam siebie w ten sposób już wiele razy, odkąd dus przyszedł do edunu. Wzruszył ramionami i od niechcienia rzucił zwierzęciu kasek tak, by wylądował pomiędzy wyposażonymi w masywne pazury przednimi łapami. Niekiedy, po jakimś czasie, dus zjadał to, co otrzymał. Przyjmował akurat tyle, by wystarczyło to do utrzymania się przy życiu. Czasami Niun widział, że rzucony danego wieczoru kasek usychał porzucony, a dus przenosił się w jakieś niedalekie miejsce, dopóki pożywienia nie zabrano, gdyż był bardzo dumnym zwierzęciem i tak naprawdę nie chciał jeść.  
Ktoś inny pilnował, by miska stojąca przy ganku była zawsze pełna wody, co było na Kesrith wielką rozrzutnością. Z reguły chory dus po prostu skarżył się, gdy był spragniony, i otrzymywał to, czego potrzebował, zdrowy zaś uzyskiwał cały niezbędny płyn ze spożywanego jedzenia. Niun podejrzewał, że to kel Pasev jest odpowiedzialna za to marnotrawstwo i dobroczynność. Miała własnego dusa, lecz była zdolna do podobnych uczuć

w stosunku do dobrego zwierzęcia. On sam nie potrafił wręczać swych  
darów równie  
zręcznie  
jak Pasev. Niewątpliwie wszyscy w edunie wiedzieli, z jaką desperacją  
usiłował  
nakarmić  
zwierzę i zdobyć je dla siebie i jak ono uparcie mu odmawiało.  
Niewątpliwie inny kel'en karmiłby je, gdyby Niun tego nie robił. Dus  
zawstydził  
ich  
wszystkich swą wierną żalobą. Nie uznał żadnego z nich za godnego, by  
zostać  
jego panem.  
Dusei rzadko przenosiły swe uczucia na kogoś innego, lecz Niun wciąż  
żywił  
desperacką  
nadzieję, że ocali życie zwierzęcia.  
- Czasami - zauważyła Melein - po prostu nie da się ich uratować.  
Usiadła na zakurzonej ganku obok niego, nie zważając na swe kastowe  
szaty.  
Ziarnisty piasek z terenów otaczających edun nie przylegał jednak do  
nich tak  
mocno, jak  
biały pył z nizin. Wychodząc na zewnątrz, zarzucała na swą jedwabistą  
grzywę  
lekki welon,  
gdyż kasta Sen gardziła zakrywaniem twarzy.  
Ciało kel'ena samo w sobie jest Tajemnicą Ludu - twierdziły mądrości  
- i dlatego  
Kel  
zakrywa twarz. Ciało sen'ena stanowi zasłonę tego, co kryje się w  
środku i co  
jest Tajemnicą  
Ludu, i dlatego Sen nie zakrywa twarzy.  
Chyba że przed tym, z czym nie można się pogodzić.  
Po burzy szalejącej w ciągu ostatnich dni, podczas której klęska i  
zniszczenie  
spłynęły  
w dół z przełęczą, powodując spustoszenie w regulskim mieście,  
nastąpiła piękna  
pogoda. Dym  
z pożarów szalejących na nizinach był widoczny nawet mimo deszczów.  
Gdy  
najgorsza burza  
już przeszła, kel'ein spojrzeli w dół ze szczytu wieży Sen ze świecą,  
gorzką  
satysfakcją.  
- Ach - powiedział Eddan, gdy zauważyli dym i ogień - Kesrith wciąż  
jeszcze  
postępuje z naszymi pracodawcami po swojemu.  
Było prawdopodobne, że w pożarze zginęło wielu reguli. Ongiś żadnemu  
mri nie  
przyszłoby do głowy, by czuć z podobnego powodu satysfakcję. Było to  
jednak,  
zanim  
jeszcze doszło do nie wyjaśnionej śmierci kel'ena na regulskim statku  
i zanim  
stało się jasne,  
że ich świat przejdzie w posiadanie ludzi.  
Wieczorne gwiazdy zaczęły już rozbłyskiwać na czystym niebie. Nie  
było wiatru,  
który wzbijałby w górę piasek i sprawiał, by wskazane było założenie  
mez. Tak  
kryształowo

czyste wieczory często zdarzały się po największych burzach, jak  
gdyby sama  
planeta  
odpoczywała, wyczerpana po wybuchu szaleństwa.  
Niun opuścił zasłonę i zawiązał ją sobie pod brodą. Nie było  
prawdopodobne, by  
zjawili się tu tsi'mri, nie potrzebował jej więc.  
- Może się przejdziemy? - zasugerowała Melein.  
Niun nie planował niczego w tym rodzaju, lecz obecnie Melein rzadko  
już prosiła  
go o  
cokolwiek. Wstał i wyciągnął do siostry rękę, by pomóc jej się  
podnieść.  
Następnie ruszyli,  
obok siebie, w kierunku wybranym przez Melein, wąskim szlakiem  
prowadzącym od  
narożnika edunu ku skałom piętrzącym się w najwyższym punkcie grobli.  
Niun  
wspomniał  
czasy, gdy we troje pokonywali ten dystans biegiem, zwinni niczym  
pokryte  
piaskiem  
jaszczurki - dzieci bez zasłon, dwaj drobni chłopcy o szczupłych  
kończynach i  
jeszcze  
drobniejsza dziewczynka. Pędzili, nie zważając na zakazy, ku punktowi  
obserwacyjnemu, z  
którego mogli się przyglądać statkom startującym i lądującym w  
porcie.  
A były to statki o magicznych nazwach, statki mri i reguli:  
Mlereinei, Kamrive,  
Horagh-no. Przylatywały od odległych gwiazd, okryte chwałą w bitwach.  
Jako  
dzieci bawili  
się w wojnę oraz pojedynki i wyobrażali sobie, że są wielkimi kel'ein  
obwieszonymi  
lśniącymi odznaczeniami, podobnie jak przybyli z daleka członkowie  
tej kasty,  
którzy  
składali w edunie wizyty, schodząc ze swych statków, po czym ponownie  
odlatywali  
w swoją  
drogę. Jak ich prawdziwa matka oraz ojciec, którzy wyruszyli na  
statkach - każde  
osobno - i  
nigdy już nie odwiedzili ojczystego świata.  
Dziś w nocy maszerowali w tamto miejsce - on członek Kel, a ona Sen -  
obciążeni  
swymi kastowymi szatami oraz odrębnymi prawami. Gdy wreszcie dotarli  
do skały  
wznoszącej - się ponad doliną, Niun wskoczył na górę jako pierwszy i  
wciągnął ją  
za sobą  
jednym szarpnięciem. Wewnątrz tych złotych szat wciąż kryła się  
dziewczyna  
Melein, szybka  
i zwinna jak kel'e'en, co było niestosowne dla jej poważnej kasty.  
Siedzieli razem, gdy czerwone słońce znikало za horyzontem i  
obserwowali całą  
dolinę, blask światła w miejscu, gdzie znajdował się port, oraz ranę  
pozostawioną tam przez  
burzę - ciemność widoczną pomiędzy światłami w pobliżu Hazana.  
- Dlaczego przyprowadziłaś mnie tutaj? - zapytał ją wreszcie.  
- Żeby z tobą porozmawiać.

Nie podobał mu się ten jej sposób zachowania. Ostatnie blaski zachodzącego słońca dotknęły jej twarzy, która przez chwilę stała się dla niego obliczem nieznanym, kogoś, kogo powinien pamiętać, lecz nie mógł sobie przypomnieć. Nie była to Melein taka, jaką znał, lecz sen'e'en kryjąca w sobie ciche, tajemne myśli. Nagle pożałował, że skorzystała z szansy, jaką jej dał. Przewidywał, że może go obrabować z jego spokoju, a on nie mógł jej przed tym powstrzymać.

- Już się teraz nie uśmiechasz - powiedziała. - Nawet nie podnosisz wzroku, kiedy wymieniają twoje imię.

- Nie jestem dzieckiem.

- Nie kochasz she'pan.

- Przychodzę. Siedzę. Czekam. Wydaje się, że to wszystko, czego ona ode mnie oczekuje. Ma do tego prawo.

- Rzadko wychodzisz z edunu.

- Dałem za wygraną, Melein. To wszystko.

Podniosła wzrok ku lśniącym gwiazdom. Jej wsparta na wzniesionym w górę kolanie ręka wskazała na tę, wokół której krążył Elag.

- Tam teraz są ludzie - powiedziała. - Kesrith to jednak inna sprawa. To świat ojczysty. Sanktuarium Ludu. Świętość.

Spojrzał na nią, markotny i przerażony.

- Pamiętaj, że jestem kel'enem.

- Kel musi pozostać niewysztalcone, gdyż wyrusza tam, gdzie czyhają nasi wrogowie i gdzie bezużyteczna dla Kel wiedza nie może się przedostać. Wszystkie tradycje, nawet te najdrobniejsze, mają swe uzasadnienie. Jesteś kel'enem ze świata ojczystego i usłyszysz to, czego kel'en zamieszkały gdzie indziej słyszeć nie powinien.

Podniósł się i oparł plecami o skałę. Stał z założonymi rękoma. Wiejący coraz silniej wiatr przeszywał go nieprzyjemnym chłodem. Była już noc. Ostatni fragment słońca zniknął za horyzontem. Nie wiedział, dlaczego Melein zapragnęła przyjść akurat tutaj. Na wzgórzach pełno było niebezpieczeństw. Ha-dusei, dzikim kuzynom oswojonych towarzyszy kel'ein nie można było ufać. Były tu wietrzne kwiaty, ryjce oraz węże kryjące się pomiędzy skałami.

Jego obowiązkiem było chronić sen'e'en. Fakt, że przebywał po zmroku w tym miejscu, mając pod swą opieką Melein, był wierutną głupotą. Jej wartość dla edunu była

nieporównanie większa od jego wartości.

- Możemy porozmawiać później, gdzie indziej - stwierdził. - Nie sadzę, byśmy

powinni przychodzić tutaj o tej porze.

- Wysłuchaj mnie!

Jej ostry, okrutny głos ogłuszył go niczym uderzenie. Melein była jego

siostrzyczka.

Nigdy nie przemawiała do niego podobnym tonem.

- Dzisiaj - powiedziała - she'pan wezwała mnie na rozmowę na osobności. Dzisiaj

dała mi rangę równą z Sathellem. Rozumiesz, co to znaczy.

Następczyni she'pan. Jej Wybranka.

W najbardziej skrytej części swego umysłu Niun wiedział, że to się stanie, gdyż

był to

jedyny rozsądny powód, dla którego Intel mogła przenieść Melein z Kel do Sen.

Nie miała rodzić dzieci, lecz uczyć się Pana, Tajemnic, nie przedłużać istnienia

Ludu,

lecz rządzić nim.

Intel zatrzymała również jego, by strzegł jej i chronił przed wyzwaniem, by -

jeśli

zajdzie taka potrzeba - zabił każdą zbyt niecierliwą następczynię oraz

popierającego ją

kel'ena.

Zrozumiawszy to, wyrzucił z siebie krótkie, gorzkie przekleństwo.

Ujrzał, że w

oczach

Melein pojawił się wyraz bólu.

- Przykro mi, że tak to przyjąłeś - powiedziała.

- Dlaczego musiała zatrzymać u swego boku mnie, a nie Medaia?

- Tobie ufała, a Medaiowi nie.

Zastanowił się nad tym, jakie mogły być tego powody.

- Tobie ufała - powiedział cicho - wtedy, gdy ja strzegłem jej snu.

Gdy mogła

użyć

mnie przeciwko tobie.

Ból przeszedł w szok. Wydawało się, że ta myśl nią wstrząsnęła.

- Nie - odparła. - Nie jest możliwe, bym rzuciła jej wyzwanie.

- Dopóki zależy ci na mnie - odparł. - Intel czuje, że zbliża się kres. W

przeciwnym

razie nie wyznaczyłaby cię jeszcze. Jakiś kel'en będzie musiał strzec jej grobu.

- Nie wybrałaby ciebie. Eddan albo Sirain - oni pragnęliby tego zaszczytu. Ale

nie ty.

- Może zresztą to jałowe rozważania. Zbliżają się ludzie. Wychodzę myślą poza

chwilę bieżącą, a to nie przystoi mojej kaście. Będziesz musiała się nad tym

zastanowić,

prawdziwa siostrzo. Daleko mi do tego, bym znał przyszłość. Mogę się wypowiadać

jedynie o

tym, co jest prawdziwe teraz.

- Ona nie ma zamiaru oddać świata ojczystego bez oporu, Niunie.

Jestem młoda. W

porównaniu z doświadczeniem Intel jestem niczym. Inne she'panei zawahałyby się

przed  
rzuceniem jej wyzwania. Ona wie zbyt wiele. Zabicie jej obrabowałoby  
Lud z tak  
wielu  
rzeczy. Nie wiesz nawet jak wielu. To byłby czyn... Nie wiem, Niunie.  
Nie wiem.  
Gdybym  
miała zostać jej następczynią jako she'pan świata ojczystego, taka  
młoda i  
niedoświadczona,  
jestem pewna, że zjawiłaby się jakaś starsza she'pan, by rzucić mi  
wyzwanie, i  
wtedy na mnie  
przyszłaby kolej, aby umrzeć. Pragnę, żeby żyła, rozpaczliwie pragnę,  
żeby żyła,  
ale ona  
umiera, Niunie.  
Trząsł się cały. Aż do bólu pragnął dodać jej otuchy, nie było to  
jednak  
możliwe.  
Mówiła o rzeczach wykraczających poza pojmowanie jego kasty, sądził  
jednak, że  
wyłożyła  
mu całą prawdę, okradając go w ten sposób z resztek pokoju ducha i  
nadziei.  
Zawsze dotąd  
sądził, że siostra go przeżyje.  
- Mieliśmy pecha - powiedziała - gdyż urodziliśmy się jako ostatni z  
Ludu. Nie  
tylko  
na Kesrith, Niunie, lecz z całego Ludu. Nie mieliśmy wyboru, po  
prostu dlatego,  
że jesteśmy  
ostatni. Wolałabym, by było inaczej.  
Jej słowa podważyły inne rzeczy, których był dotąd pewien. Podniósł  
ku niej  
wzrok.  
Wiatr smagał ich, przeszywając skórę Niuna takim chłodem, że przestał  
on już  
nawet  
dygotać.  
- Z całego Ludu?  
- Edunei upadły - odparła - i dzieci poumieraly, a kel'e'ain były  
zajęte wojną i  
nie  
miały czasu na nic innego. Nie powinnam ci odpowiadać na to pytanie -  
dodała -  
ale z  
naszego pokolenia pozostało ich niewiele. Te, które są starsze, mogą  
jeszcze  
mieć nowe  
dzieci. Nie jest za późno.  
Próbowała dać mu otuchę. Niun przekonywał sam siebie, że Melein  
wierzy w ich  
przyszłość. To mu wystarczyło.  
- Ale w takim razie - wypowiedział myśl, która właśnie przyszła mu do  
głowy -  
Intel z  
pewnością nie ma zamiaru cię utracić. Może się przecież okazać, że  
jesteś po  
niej najlepsza i  
jeśli przekaże ci w spadku moje usługi, jeśli rzucisz wyzwanie lub  
będziesz  
musiała stawić

mu czoło, Melein, potrafię cię obronić. Nie jestem do tego niezdolny.  
Dobrze  
władam yin'ein.  
Szkolili mnie przez dziewięć lat. Musiałem się czegoś nauczyć.  
Przez długą chwilę milczała. Wreszcie się podniosła.  
- Chodź - powiedziała. - Wracajmy do edunu. Zmarzłam.  
Gdy schodzili w dół szlakiem i wracali do domu, cały czas pogrążona  
była w  
milczeniu. Płakała. Niun ujrzał to w świetle gwiazd. Zdjął swą  
zasłonę i  
zaoferował jej w  
geście głębokiej czułości.  
- Nie - odparła gwałtownie. Skinął głową i przerzucił sobie mez przez  
ramię,  
idąc  
obok niej. - Masz rację - powiedziała wreszcie. - Nie zrezygnuję z  
urzędu i nie  
umrę bez  
walki, jeśli rzuca mi wyzwanie. Będę zabijać, by go utrzymać.  
- To wielki zaszczyt dla ciebie - stwierdził, gdyż uważał, że  
powinien był  
powiedzieć  
coś w tym rodzaju, gdy po raz pierwszy usłyszał od niej tę wiadomość.  
Ciężko westchnęła.  
- Cóż to za zaszczyt? Udać się do jakiegoś obcego edunu, do obcego  
Kel i zabić  
jakaś  
kobietę, która nigdy nie wyrządziła mi krzywdy? Nie chcę takiego  
zaszczytu.  
- Ale Intel dopilnuje, byś nie była bezbronna - sprzeciwił się. -  
Przygotuje cię  
do tego.  
Z pewnością planowała to od wielu lat.  
Podniosła ku niemu wzrok. Twarz miała nieruchomą i spokojną.  
- Myślę, że nie pomyliłeś się wiele - stwierdziła - sądząc, że  
pragnęła cię mieć  
u  
swego boku dlatego, iż wie, że mogę się stać przyczyną kłopotów w  
Domu. Tobie  
ufa, a mnie  
nie.  
Zadrżał, gdy usłyszał w jej głosie tyle goryczy. Zawsze podejrzewał,  
że Melein  
ja  
czuje. Cienie wtargnęły pomiędzy niego a wieżę Sen i she'pan.  
Przypomniał sobie,  
jak  
Melein każdego wieczoru przygotowywała kubek napoju, który pomagał  
she'pan  
zasnąć, a ta  
każdego wieczoru wypijała go, nie zadając pytań. Wyobrażał sobie,  
jakie paskudne  
myśli  
musiały lęgnąć się w oszołomionym narkotykiem umyśle Intel - she'pan  
przewidującej  
własną śmierć i nie bez powodu nie ufającej swej następczyni.  
Intel chciała rozbroić Melein. Wysłała Medaia na służbę, a jej brata  
zatrzymała  
u  
swego boku. Jakiś kel'en będzie musiał strzec jej grobu. W normalnych  
warunkach  
byłby to  
jeden z Mężów, a nie syn. Mogła jednak pozostawić inne polecenia na  
wypadek,

gdyby  
umarła ze starości, a inne, gdyby stało się to z ręki Melein.  
Ponadto, gdyby ta druga chciała rzucić jej wyzwanie, musiałaby wyzwąć  
Niuna,  
który  
zginałby przed Intel. Musiałaby też znaleźć kel'ena, który by dla  
niej walczył,  
a żaden z  
obecnych na Kesrith by się na to nie zgodził.  
Intel podjęła trafną decyzję, gdy wygnała Medaia.  
Melein jednak nie była zdolna do rzeczy, o które podejrzewała ją  
she'pan. Niun  
uparcie wierzył, że tak było. Zmiana kasty, pobierane nauki oraz  
gorycz wywołana  
uwięzieniem nie mogły do tego stopnia zmienić jego prawdziwej  
siostry. Nie  
chciał uwierzyć,  
by obawy Intel były usprawiedliwione.  
„Pragnę, żeby żyła, rozpaczliwie pragnę, żeby żyła” - powiedziała mu  
Melein.

- Ile - zapytał wreszcie - kazała mi przekazać? - Mniej - odparła -  
niż ci  
powiedziałam.

- Tak jest - rzekł - tak właśnie myślałem.

Wrócili razem do edunu. Gdy wchodzili do środka, Melein szła przed  
nim. Niun

spojrzał w bok, na dusa, który odwrócił od niego wzrok. Gdy uniósł  
głowę, jego

siostra

zniknęła już w mroku, udając się w kierunku swej własnej wieży.

Nie obejrzała się za siebie.

Ruszył w kierunku wieży she'pan - tam gdzie było jego miejsce - by  
objąć swą

władzę.

Rozdział 11

Nad Kesrith zapadła cisza. Po tak wielu niebezpieczeństwach, po dwóch  
dniach

zwłoki, podczas których port pogrążony był w chaosie wywołanym burzą,  
ostatni

wahadłowiec wystartował ze swym ładunkiem w kierunku stacji, na  
której

frachtowiec

Restrivi kompletował ostatni oficjalny cywilny wykaz tych, którzy  
mieli opuścić

świat. Potem

był jeszcze czas, niezbędny czas, by uporządkować resztę spraw. Pod  
czerwonym

słońcem

Kesrith pozostał jedynie Hazan - uzbrojony i, gdy ukończone zostaną  
drobne

naprawy, zdolny

do międzygwiazdowego lotu. Czekał z załogą pozostającą nieustannie na  
pokładzie.

Na jego

taśmach zarejestrowana była droga powrotna na Nurag, ojczysty świat  
reguli. Miał

zanieść do

bezpieczeństwa i cywilizacji kilkuset tych, którzy wciąż przebywali  
na Kesrith.

Dziesięć razy każdego dnia bai Hulagh Alagn-ni, pracujący w  
ogrzewanych

gabinetach kompleksu Nomu, podnosił wzrok ku oknom, niepokojąc się o  
stan

Hazana.



Posiadający dwoiste zdolności statek, pod swoimi osłonami  
wystarczająco mocny,  
by  
wytrzymać udział w walce, był jednak na ziemi niebezpiecznie kruchą  
konstrukcją.  
Bai od  
początku wahał się, czy sprowadzać go na powierzchnię. Przeżywał  
prawdziwe  
katusze, gdy  
zbliżała się burza, lecz w końcu postanowił, że nie wyda mu rozkazu  
odlotu na  
stację.  
A potem - potem bezmyślny pilot samolotu próbował prześcignąć żywioł  
i naraził  
się  
na podmuch wiejącego z boku wiatru - dobrze znane niebezpieczeństwo  
kesrithańskiego  
ładowiska. Wskutek tego wydarzenia cała misja omal nie zakończyła się  
klęską.  
Hulagh  
przeklinał za każdym razem, gdy o tym myślał. Pilotujące młode oraz  
pasażerowie  
byli, rzecz  
jasna, poza zasięgiem kary. Cieszył się, że przynajmniej uszkodzenia  
ograniczyły  
się do  
wieży i urządzeń załadowniczych, zaś konstrukcja Hazana niemal nie  
ucierpiała.  
Miał  
szczęście. Hazana powierzono jego pieczy mimo obiekcji nadzwyczaj  
wpływowych  
czynników na ojczystym świecie. Zaryzykował wszystko, by zdobyć dla  
siebie i  
swych  
kapitałów tę placówkę, na której zastąpił starego Grurana oraz Solgah  
Holnni.  
Jego wiek oraz  
erudycja predysponowały go do objęcia podobnego stanowiska. W ten  
sposób zdobył  
dla  
doch Alagn status, który już od dawna się jej należał.  
Jednakże w kwestii lądowania statku, podobnie jak przy innych  
decyzjach, które  
podjął, trzeba było zdobyć się na ryzyko, by osiągnąć korzyści.  
Trzeba było  
zademonstrować  
tym na świecie ojczystym kompetencję, którą - jak twierdził -  
posiadał on sam, a  
także doch  
Alagn. Tylko w ten sposób można było zdobyć trwałe wpływy.  
Mógł to uczynić przez ocalenie możliwie największej części dóbr z  
Kesrith, po  
utracie  
tej planety przez Grurana Holnni i jego potomstwo oraz Solgah Holnni.  
Pomyślał z  
niesmakiem i pogardą o płodnej samicy, która zarządzała  
przedsiębiorstwem Holn  
na Kesrith.  
Sprawowała ona całkowitą władzę nad strefą oraz wojną, którą sama  
wywołała.  
Solgah była  
teraz w drodze na świat ojczysty, pogrążona w totalnej dezorientacji.  
Pozbawiono  
ją

dowództwa, a większość jej młodych pozostała na miejscu.  
Zdziesiątkowano teraz  
ich szeregi  
na osobisty rozkaz Hulagha, zaś niedobitki wysłano do wielu różnych  
kolonii.  
Doch została  
kompletnie zdezorganizowana. Solgah będzie miała szczęście, jeśli jej  
wpływy na  
świecie  
ojczystym pozwolą na wymiganie się od przesiewu oraz egzekucji reszty  
jej  
młodych. W  
najlepszym razie Holn czekało sporo lat zepchnięcia na margines.  
Wciąż napawało go przyjemnością wspomnienie tego, jak Solgah przyjęła  
szok  
wywołany nie zapowiedzianym i nie usankcjonowanym lądowaniem Hazana,  
jak  
podniecała  
się i zasypywała go zakazami i sprzeciwami, aż wreszcie uświadomił  
jej, że  
posiada  
upoważnienia ze świata ojczystego, pozwalające mu przejąć władzę.  
Teraz jego zadaniem było dokończenie ewakuacji, którą rozpoczęła  
Solgah i  
zmniejszenie do minimum strat wywołanych ustępstwami, jakie poczynił  
jej słaby  
kuzyn  
Gruran Holnni podczas prowadzonych na Elagu negocjacji, próbując  
uchronić  
wewnętrzną  
część rozległego imperium Holn. To Hulagh miał przygotować Kesrith na  
przyjęcie  
ludzkiej  
okupacji oraz ocalić z niej tyle regulskiego majątku oraz personelu,  
ile tylko  
było możliwe, a  
także dopilnować, by ludzie wyciągnęli jak najmniej korzyści z tego,  
co zdobyli  
drogą wojny  
i negocjacji.  
Hulagh kontaktował się pośrednio z ludźmi już od trzech  
ojczystościowych lat,  
a po  
zastąpieniu Grurana spotkał się z kilkoma osobiscie. Wzbudzili w nim  
oni - w tym  
również ci  
dwaj, którzy przylecieli tu na Hazanie - ukryty, lecz łagodny  
niesmak, w gruncie  
rzeczy  
łżejszy niż ten, który czuł do służących regulom mri. Wojna z nimi  
była, rzecz  
jasna,  
całkowitą pomyłką, błędem w kalkulacjach, za który nie była  
odpowiedzialna doch  
Alagn.  
Dla światłej szych regulskich umysłów już od niemal pięciu lat było  
całkowicie  
jasne, że  
kompanie doch Holn zaangażowały się w będące absolutnym fiaskiem  
przedsięwzięcie, z  
którego nie potrafili ich wyciągnąć mri. Naprawiono by ten błąd już  
wtedy, gdyby  
było  
możliwe przewyciężenie uporu oraz powstrzymanie militarnej potęgi

Holn, która wynajmowała najemników kel'ein oraz była w oczywisty sposób zainteresowana utrzymaniem spornych terytoriów, przez co odwlekała zmianę linii politycznej. Teraz jednak, gdy konsekwencje pierwotnego błędu zostały pomnożone, pociągając za sobą wielkie koszty, gdy regule zaczęli ginać, gdy utracono ich majątek, a nawet ojczyste terytorium, imperium Holn zaś znalazło się na krawędzi katastrofy, jej wojskowi przekazali wreszcie odpowiedzialność za uporanie się z tą skomplikowaną i niebezpieczną sytuacją - i to z oporami - starszym i mądrzejszym umysłem na Nuragu. Ponadto nie przewidziany przez Holn obrót wydarzeń na scenie politycznej oddał wreszcie jej władzę w ręce Alagn i wyniósł tę doch do statusu, który - jeśli odpowiedni jej członek będzie sprawował dowództwo - pozwoli na całkowite zniszczenie doch Holn. Holn pozostawiła za sobą niezły bałagan. Bai Hulagh nie był bynajmniej zadowolony z warunków traktatu, zgodnie z którymi musiał działać, stanowiły one jednak dziedzictwo Holn, opieczętowane, legalne i zarejestrowane. Ich zmiana nie leżała w jego mocy. Z drugiej strony, jeśli odstąpienie trzech skolonizowanych układów, choć kosztowne, wytworzy trwałą, pewną granicę między terytoriami ludzi i reguli, może się okazać, że jest to jeden z mądrzejszych kroków podjętych przez doch Holn w czasie, gdy sprawowała zarząd. Z pewnością - myślał Hulagh - ludzie wiedzieli już dobrze, że nie mogą, nie przekraczając granic rozsądku, spodziewać się, że to przedsięwzięcie przyniesie im równie tanim kosztem więcej korzyści. Musieli zdawać sobie sprawę, że od tej chwili regule będą stawiać bardziej zaciekły opór. Najwyraźniej byli oni zbici z tropu i zaniepokojeni nagłą zmianą władzy na pograniczu, wyglądało jednak na to, że zależy im na dotrzymaniu warunków traktatu. Kesrith stanowiła realistyczną i rozsądną granicę. Martwa przestrzeń Głębi zniechęcała do eksploracji w kierunku światów reguli, chyba że wzdłuż znacznie dłuższego szlaku prowadzącego przez

Hesoghan - planetę, która od dawna spoczywała mocno w regulskich rękach. Wabik, jakim były gwiazdy Mgiełki, prędzej czy później poprowadzi ludzi z Kesrith w kierunku krawędzi. Tak wyglądały strategiczne plany Hulagha, który sporządził mapę tego, co uważał za nowe kierunki regulskiej polityki. Ludzi przyciągnie bogactwo, etapem do zdobycia którego miała być Kesrith, regulskie gwiazdy jednak również posiadały wystarczająco wiele zasobów mineralnych, by podtrzymać funkcjonowanie przemysłu bez dogodnego luksusu, jaki stanowiły najdalej położone kolonie doch Holn. Na ojczystym świecie skutki ekonomiczne dadzą się odczuć, lecz jedynie w niewielkim stopniu, a dopóki potrzeby tamtejszych starszych będą zaspokajane w wystarczającym stopniu, będą oni przychylnie spoglądać na działania Alagn. Ponadto odcięto tylko jeden z kierunków regulskiej ekspansji. Pozostawały jeszcze dwa. Jeden z nich stanowiły skąpe jak dotąd posiadłości doch Alagn. Kierować, kształtować, rządzić, zapisać się na wieki w pamięci nie tylko doch Alagn, lecz również centrum na Nuragu - to było marzenie, którym delectował się Hulagh. Dzięki swej ogromnej długowieczności przeżył rywali i ujrzał, jak zamienili się w proch. Jego pamięć i jego plany sięgały daleko. Wytępił młode swych największych nieprzyjaciół. Zaryzykował teraz wszystko, przejmując osobiście dowództwo na Kesrith. Jeśli coś się nie uda, zostanie zapamiętane, że Hulagh z Alagn sprawował kierownictwo, gdy do tego doszło. Tu na Kesrith znajdowało się jednak bogactwo, którego rozpaczliwie potrzebował. Warunki ludzko-regulskiego traktatu oddawały ludziom jedynie naga glebę światów, które mieli przejąć. Nie wyszczególniono żadnych żądań odnośnie do wartościowej maszynerii, miast czy zasobów. Naga gleba będzie wszystkim, co znajdą ludzie, gdy już tu wtargną. Ponowne zagospodarowanie nieustępliwych pustkowi Kesrith zajmie im wystarczająco wiele czasu, by rasa reguli miała chwilę wytchnienia. Ponadto łupy z Kesrith w całkowicie legalny sposób trafią do skarbców doch Alagn i Holn nie będzie mogła zgłaszać

do nich żadnych pretensji.

A wszystko to działo się na oczach ludzkich posłów.

Dyskrecja człowieka, którego wysłano, by nadzorował przekazanie władzy,

sprawiała

Hulaghowi równie dużą przyjemność, jak cała reszta. Nagła choroba ludzkiego

starszego i

rozumiała bojaźliwość jego jedynego młodego były dla niego

niezmiernym

udogodnieniem.

Starszy regul w takiej sytuacji zażądałby, by nieustannie

zaopatrywano go w

szczegółowe

raporty odnoszące się do działań gospodarzy, a gdyby był kompetentny,

domagałby

się, by

dostarczono mu ich tak wiele i w takim tempie, że nic nie mogłoby

umknąć jego

uwadze,

gdyby zaś był zaradny, użyłby oczu swego młodego, by zobaczyć to,

czego nie

chciano mu

pokazać. Ludzki poseł nie zdołał jednak dokonać żadnej z tych rzeczy

na większą

skalę.

Koncentrował się na niewłaściwych materiałach. Uczył się pilnie

języka po to, by

wysłuchiwać raportów, które już otrzymał w tłumaczeniu na własną

mowę. Ponownie

sprawdzał stare informacje, jak gdyby podejrzewał, że może się z nich

dowiedzieć

czegoś

nowego, jak gdyby w prostych komunikatach znajdowały się sprzeczności

lub

nieprawdy.

Być może ludzie praktykowali podobne oszustwa, lecz regule tak nie

postępowali.

To, co się

działo, było widoczne jak port i jawne jak startujące z niego

codziennie statki.

Gdy za jakieś

kilka dni przybędą ludzie, znajdą ogołoczone i zrujnowane posiadłości

oraz swego

delegata

zarządzającego jałowym pustkowiem niezdolnym do podtrzymywania życia

na

jakakolwiek

większą skalę.

Już to samo było triumfem, który zachwyci radę na Nuragu, gdy ta o

nim usłyszy.

Hulagh czuł się początkowo zdumiony, że dwaj ludzie nie potrafili

znaleźć

żadnego

sposobu na obejście uciążliwych ograniczeń, które na nich nałożono.

Jedynie raz

wyrwali się

z kwarantanny, której żaden regul z zasady nigdy by nie zaakceptował,

a i ten

sukces sprawił

wrażenie nie zaplanowanego. Ponadto zakłopotany poseł pominął go

całkowitym

milczeniem.

Ludziom udało się go osiągnąć jedynie dlatego, że takie zachowanie

było dla nich  
nietypowe.  
Cały incydent stanowił ich drobne zwycięstwo jedynie ze względu na  
swe  
nieszczęsne skutki,  
nie przyniósł im jednak żadnych faktycznych korzyści. W rezultacie  
ucierpiał  
jedynie kel'en,  
a i to całkiem niepotrzebnie, wskutek typowego dla swego rodzaju  
braku  
praktyczności. Ów  
mri był kimś ważnym w swym przeklętym, upartym gatunku. Być może  
mógłby okazać  
się  
wartościowy, lecz spotkała go zguba. Ludzie nie dowiedzieli się  
jednak nawet o  
tej  
niewielkiej zemście, jaką udało im się wyrzucić na swych dawnych  
wrogach.  
Siedzieli w  
zamknięciu, posłuszni i bezradni.  
Teraz na Kesrith nie pozostało już nic wartościowego, poza towarami,  
które  
czekały  
na załadowanie. Brygady robocze mogły już przystąpić do usuwania  
gruzów z doków.  
Trzeba  
było jeszcze podłożyć ładunki, ogołocić kilka niewielkich instalacji  
i pozamykać  
kopalnie,  
lecz najbardziej cenne materiały czekały już w porcie.  
Spośród personelu zostali jedynie ci o najniższym priorytecie  
ewakuacyjnym,  
którzy  
mieli odlecieć wraz z nim na Hazanie.  
Archiwa pozostawione mu w spadku przez doch Holn wskazywały, że w  
chwili, gdy  
rozpoczęła się procedura ewakuacyjna, na Kesrith znajdowało się około  
osiemnastu  
milionów  
dorosłych reguli. Była to ongiś ciesząca się nadzwyczajnym dobrobytem  
kolonia,  
która  
utrzymywała własny uniwersytet oraz miała kilku starszych o umysłach  
pierwszej  
klasy (nie  
licząc Holn, których Hulagh miał w pogardzie jako przecenianych).  
Znał dokładną  
liczbę  
mieszkańców oraz rozporządzenia wydane przez Holn, a także te, które  
ogłosił on  
sam w  
sprawie pozostających na planecie obywateli oraz majątku od chwili,  
gdy przejął  
kierownictwo. Wiedział też, jakie zapasy na drogę umieścił na  
statkach  
ewakuacyjnych, ile  
osobistego bagażu będzie można zabrać oraz co zdołał ocalić celem  
zabrania dla  
siebie. Znał  
wagę tego wszystkiego aż do miligramu i wiedział, ile miejsca będzie  
potrzeba,  
by to  
załadować. Pochłoniął wszystkie te dane aż do najdrobniejszych

szczegółów. Od czasu do czasu sporządzał notatki na wypadek nieoczekiwanej śmierci lub też nagłej utraty zdrowia i przejęcia władzy nad doch Alagn przez jego bezpośrednich dziedziców. Nie ufał ludziom w pełni. Prowadził jednak te zapiski jedynie z myślą o podobnej sytuacji. Gdy sprawy biegły normalnym trybem, w ogóle nie potrzebował zaglądać do notatek. Było fizycznie niemożliwe, by zdrowy na ciele i umyśle regul zapomniał coś, co kiedykolwiek postanowił zapamiętać. Było też całkiem prawdopodobne, że będzie pamiętał coś, co usłyszał jedynie przypadkowo. Hulagh wierzył bez zastrzeżeń w prawdziwość danych zawartych w aktach otrzymanych przez niego od Solgah Holnni, mimo że była ona jego wrogiem, podobnie jak w to, że nie była ona chora umysłowo. Było niewyobrażalne, by Solgah, choć niezbyt bystra i mająca zbyt wysokie mniemanie o własnych umiejętnościach jako administratorka nie potrafiła sobie przynajmniej dokładnie przypomnieć, ilu reguli zamieszkuje jej świat, a także jaki zgromadzili majątek i jakie wydano w jego sprawie dyspozycje. Hulagh wiedział więc, że oprócz niego poza statkiem przebywało trzysta dwadzieścia siedem regulskich młodych, co stanowiło absolutne minimum niezbędne do przeprowadzenia demontażu i że trzy z nich były niemal dorosłe. Większość stanowiły młode w wieku poniżej dwudziestu pięciu lat, których płeć była jak dotąd nieokreślona (ujawni się ona około trzydziestki). Potrafiły one poruszać się znacznie sprawniej, niż będzie to dla nich możliwe, gdy zaczną już nabierać dorosłej wagi. Mógł je wykorzystywać do wykonywania rozmaitych poleceń, uciążliwych prac oraz obserwowania ewakuacji. Wspomnienia o niej zostaną potem wydobyte z ich pamięci przez uczonych ekspertów na Nuragu. Pamięć ta obecnie - nie licząc niepowtarzalnych doświadczeń z ostatnich dni oraz wiedzy o rozgrywających się wokół nich wydarzeniach - nie zawierała jeszcze żadnych danych, które nadawałyby im istotną

wartość  
dla jakiegoś starszego, po prostu dlatego, że nie żyły one  
wystarczająco długo  
ani nie  
podróżowały wystarczająco wiele, by móc się mierzyć z doświadczeniem  
czy  
większymi  
zdolnościami obserwacji starszego. Należały jedynie do doch, w której  
się  
urodziły, i nie  
wiedziały, co mogą w przyszłości osiągnąć. Ponieważ jeszcze przez  
kilka lat nie  
będą się  
zajmować seksem i rozmnażaniem, te sprawy nie odwracały ich uwagi.  
Jedynie ci, którzy byli w pełni dojrzałi i chronił ich dokonany w  
dorosłym wieku  
wybór doch (nawet Holn), odlecieli w bezpieczne miejsce z główną falą  
ewakuacji  
- oni oraz  
te niemowlęta, które można było zamknąć w torbach ich matek na czas  
trwania  
podróży, co  
umożliwiło utrzymanie ich przy życiu bez nadmiernego zużycia zasobów  
zatłoczonych  
statków ratunkowych.  
Te ostatnie przebywające na planecie młode miały więcej szczęścia niż  
masy tych,  
które należały do Holn i nie zostały zaliczone do żadnej z tych  
kategorii,  
wiedziały jednak, że  
wciąż mogą zostać spisane na straty, a także jaki jest tego powód.  
Dlatego też  
okazywały  
podenerwowanie zbliżaniem się ludzi oraz rozdrażnienie z powodu  
poniesionych  
strat. Ich  
niepokoje świadczyły o bezdennej głupocie, która była nieodłączną  
cechą  
młodości.  
Wprowadzone w błąd przez swe ograniczone doświadczenie, wierzyły, iż  
są  
pierwszymi i  
najważniejszymi młodymi w historii gatunku, które muszą być narażone  
na podobne  
rzeczy.  
Jedno z nich stało teraz niespokojne na zewnątrz, już po raz piąty  
domagając się  
dopuszczenia przed jego oblicze. Chciało mu przekazać jakąś pilną  
wiadomość,  
niewatpliwie  
protest przeciwko warunkom, w jakich młode były przetrzymywane w  
Nomie, temu że  
zabroniono im wałęsać się po placu w wolnych godzinach lub też  
przedłużonemu  
czasowi  
pracy, jakiego od nich wymagano od chwili kryzysu w porcie. Możliwe  
też, że  
chciało dać  
wyraz narastającemu strachowi młodych wywołanemu zbliżaniem się ludzi  
oraz  
faktem, że  
nie znalazły się jeszcze na bezpiecznym pokładzie Hazana, co  
stanowiło podłoże  
niezadowolenia. Hulagh odpowiedział już na wystarczająco wiele



podobnych  
interpelacji  
zarówno ze strony regujskich młodych, jak i tępogłowych ludzi. Był  
zajęty.  
Młode, o którym  
była mowa, nie pełniło służby w pobliżu ludzkiego delegata, nie  
chodziło więc o  
nagła  
interwencję w tej sprawie, nic innego zaś, co zaszło w obrębie Nomu,  
nie mogło  
go naprawdę  
zainteresować. Poradził sobie ze zniszczeniami wywołanymi burzą  
najlepiej, jak  
potrafił,  
naprawiając w ten sposób skutki jedynego błędu, jaki popełnił - tego,  
że  
zapomniał spytać  
Solgah, jak wyglądają pory roku oraz klimat na Kesrith. Nie miał  
wiele czasu dla  
poirytowanych i wystraszonych asystentów. Młode nie rezygnowało.  
Wreszcie Hulagh  
westchnął, nacisnął przycisk i wpuścił je do środka, gdyż podniecenie  
przybysza  
osiągnęło  
krańcowy stopień.  
- Bądź łaskaw, baiu.  
Było to młode imieniem Suth Harari, wychowane w uniwersyteckiej  
baidach. Wessało  
uprzejmie powietrze do płuc.  
Hulagh odwzajemnił się tym samym. Suth, który w chwili rozpoczęcia  
służby był  
niewychowany i bojaźliwy, co było niestosowne w jakimkolwiek wieku,  
nauczył się  
przynajmniej trochę dobrych manier. Z pewnością to lata wojny  
obejmujące sobą  
całe  
doświadczenie młodych z Kesrith były odpowiedzialne za ich powszechny  
brak  
wychowania.  
Kesrithańskie młode pozostawione pod jego opieką nauczyły się go w  
pewnym  
stopniu.  
Hulagh pamiętał, by nieustannie udzielać im reprimendy, dzięki czemu  
po  
przybyciu na  
wewnętrzne światy nie będą nie przystosowane i nie okryją się  
wstydem. To  
również uważał  
za część swego zadania polegającego na ocaleniu z Kesrith  
wszystkiego, co się  
da.  
Spodziewał się przy tym, że najlepsze z nich, wyszkolone przez niego  
osobiście,  
zaciągną się  
do Alagn, gdy dorosną, i zasila jego prywatny sztab, czyniąc go  
równym sztabowi  
gubernatora kolonii.  
Dotarł już do miejsca, w którym przerwa w pracy nie byłaby dla niego  
zbyt  
niewygodna, pozwolił jednak, by młode poczekało jeszcze chwilę ze swą  
petycją,  
podczas  
gdy on popijał soi. Gdy wychylił już połowę kubka, uznał za stosowne  
okazać

gestem, że jest  
gotów wysłuchać przybysza.  
- Bądź łaskaw - wydyszał Suth, po czym wyrzucił z siebie z  
rozpaczliwym  
pośpiechem. - Baiu, stacja zameldowała, że zbliża się statek mri.  
To przebiło się przez wszelkie uprzejmości czy ich brak, przyciągając  
uwagę  
Hulagha.  
Bai odchylił się do tyłu, pozostawiając na konsoli zapomniany kubek i  
spojrzał  
na młode z nie  
ukrywaną trwogą.  
Najemnicy Kel - w chwili, gdy ludzie znajdowali się w odległości  
zaledwie kilku  
dni  
od Kesrith. Serca Hulagha zabiły w nagłym podnieceniu. Gniew rozognił  
jego  
twarz. Mri jak  
zwykle byli przyczyną kłopotów. Zawsze zjawiali się w momencie, w  
którym inne  
elementy  
sytuacji osiągały najbardziej niebezpieczny punkt.  
- Czy powiadomili nas o swych intencjach? - zapytał Hulagh.  
- Zapowiedzieli, że wylądują. Nalegaliśmy, by skorzystali z urządzeń  
stacji. Nie  
udzielili na to odpowiedzi. Oznajmili, że przybyli do swych  
pobratymców na  
powierzchni i  
zamierzają wylądować.  
- Mri nigdy nie kłamia - powiedział Hulagh, by poinformować o tym  
młode, jeśli  
nigdy dotąd nie kontaktowało się ono bezpośrednio z najemnikami. -  
Ale nie  
zawsze też  
mówią prawdę. Pod tym względem przypominają reguli.  
Suth zamrugał powiekami i wessał powietrze do płuc. Do tego młodego  
podobne  
subtelności nie docierały. Hulagh przybrał zaszępioną minę i wydmuchał  
przez  
nozdrza  
ogrzane powietrze.  
- Czy powinniśmy im udzielić zezwolenia na lądowanie? - zapytał Suth.  
- Baiu, co  
mamy im powiedzieć?  
- Odpowiedz mi młode, gdzie są statki, które miały bazę na naszej  
stacji?  
- Ależ odleciały, łaskawy panie. Wszystkie oprócz frachtowca i  
wahadłowców  
odleciały z ewakuowanymi.  
- A więc raczej nie możemy zabronić im lądowania, prawda? Możesz  
odejść, młode.  
- Jeśli łaska - wyszeptał Suth i wycofał się, pośpiesznie i bez  
uprzejmości.  
Hulagh,  
który pograżył się już głęboko w myślach, nie reagował na tę  
prowokację.  
Mri.  
Kłopotliwi niczym uparty kel'en, którego odziedziczył po Gruranie.  
Mający krew  
na  
rękach, porywczy i niezdolni do logicznej argumentacji.  
Jego pamięć poinformowała go, że na Kesrith nieustannie przebywała  
garstka mri,  
co

nie było prawdą w przypadku żadnego innego świata od chwili, gdy Nisren wpadł w ręce ludzi, czterdzieści trzy lata temu. Trzyznaścioro mri zamieszkiwało tu stale. Nie było żadnych wskazówek mówiących, dlaczego Kesrith spotkało podobne wyróżnienie, poza faktem, że mri mieli tendencję, by wybierać jakiś świat na swą stałą bazę. Nadawali mu nazwę świata ojczystego i od tej chwili odnosili się do niego w irracjonalny, emocjonalny sposób, jak gdyby rzeczywiście był on miejscem, w którym się narodzili. Do tej pory w czasie związku reguły z mri istniały trzy takie światy ojczyste. Wszystkie znajdowały się w obrębie domeny Holn, ponieważ mri przez cały czas podlegali jurysdykcji tej doch i byli nieznani na ojczystych terytoriach reguły. Co ciekawe, najemników nie zaangażowano z inicjatywą ziomek Hulagha. To mri wystąpili z podobną propozycją dwa tysiące dwieście dwa lata temu, bez żadnego widocznego powodu i niczym nie przymuszani. Najwyraźniej podobny układ spełniał jakąś ich głęboką emocjonalną potrzebę. Regule poszukiwali wyjaśnienia tej osobliwej cechy mri, nie znaleźli jednak zadowalającej odpowiedzi. Krążył wśród nich żart, mówiący, że mri poczynili zapiski odnoszące się do swej ojczyzny i pochodzenia, lecz zapomnieli, gdzie je zostawili, co skazało ich na los koczowników. Fakt, że mri nie posiadali wspomnień, wydawał się śmieszny tym, którzy nie mieli osobiście do czynienia z tymi trudnymi w kontaktach istotami. Nie można się było z nimi spierać ani dyskutować, skłonić ich do przeniesienia swej lojalności na kogoś innego, zaś nade wszystko wpłynąć na ich wyobrażenie o nakazach przyzwoitości. Hulagh z drzeniem wspominał samobójstwo Medaia. Nie posiadali wspomnień, byli uparci i skłonni do przemocy. Było dla nich typowe, że woleli przelew krwi od rozsądku, nawet jeśli to ich własna krew miała być przelana. Medai, urodzony na Kesrith, nie chciał zawrzeć kompromisu: traktat między regulami a mri

obowiązywał tylko  
dopóty,  
dopóki regule utrzymywali dla nich świat ojczysty, który chronił  
przed inwazją.  
Medai  
widział to, co widział, i nie potrafił rozumować w inny sposób.  
Dlatego  
postanowił się  
sprzeciwić swym prawowitym pracodawcom.  
Hulagh przypomniał sobie, że owo samobójstwo miało w jakiś sposób  
zawstydzić,  
czy  
napiętnować w oczach społeczeństwa tego, kto obraził mri, o którego  
szła rzecz.  
Ten akt  
samozniszczenia miał stanowić wyrzut, czy całkowite wyparcie się  
zwierzchnika i  
wstrząsnąć  
dogłębnie jego emocjami.  
Kel'en mri był skłonny uczynić coś podobnego, mimo iż wiedział, że na  
regulach  
nie  
wyrze to wrażenia. Wolał odrzucić swe cenne życie niż zawrzeć  
kompromis w  
jakiejś  
drobnej, dotyczącej jego obowiązków sprawie, która w ostatecznym  
rozrachunku  
była dla  
niego nieistotna. Mri niewątpliwie wyobrażali sobie, że ma ona jednak  
jakieś  
znaczenie.  
To właśnie ta ich srogość przyciągnęła na początku uwagę reguli,  
którzy byli  
zdumieni, że tak barbarzyński, straszliwy gatunek przyszedł w pokoju  
do  
regulskich docha i  
zaoferował im swe usługi, bez których mogłoby nigdy nie dojść do  
kolonizacji  
położonych w  
kierunku ludzkiej przestrzeni światów oraz rozkwitu Holn, a już z  
pewnością nie  
udałoby się  
tej doch osiągnąć monopolu. Ta sama srogość jednak powinna też  
wskazać rozsądnie  
myślącym regulom, jaka jest natura mri. Byli oni najemnikami z  
wychowania i  
wyboru. Ich  
sztywne, tępołowe kodeksy postępowania uczyniły z nich początkowo  
godnych  
całkowitego  
zaufania strażników dla pozaświatowych operacji handlowych docha. Nie  
zmieniali  
pracodawców w trakcie służby i nie można ich było przekupić ani nawet  
zwolnić z  
obowiązku wykonania raz wydanego rozkazu, dopóki tego nie zrobili lub  
nie  
popełnili  
samobójstwa. Byli zbyt nierozsądni, by brać pod uwagę odwrót. Brak im  
było  
silnego  
instynktu samozachowawczego. Ten fakt równoważył ich niezmierną  
płodność  
wywołaną  
tym, że wszyscy mężczyźni z Kel mieli prawo swobodnie współżyć z

kobietami z  
różnych  
kast. Dlatego mogliby w latach pokoju rozmnażać się w zastraszającym  
tempie,  
gdyby nie  
ofiary, jakie powodował ich tryb życia, fakt, że odrzucali wiedzę  
medyczną oraz,  
nigdy ich  
nie opuszczająca, namiętność do pojedynków. Skąd ci srodzy wojownicy  
czerpali  
środki  
utrzymania, zanim znaleźli reguli, którzy ich wynajęli, było dla tych  
drugich  
kolejną  
tajemnicą. Mri nigdy nie zechcieli im jej zdradzić. Nie pracowali  
fizycznie,  
nawet po to, by  
zdobyć dla siebie żywność. Mri wolał umrzeć z głodu niż dźwigać  
ciężary czy  
uprawiać  
ziemię dla kogoś innego. Czynie wyjątek od tej zasady jedynie po to,  
by budować  
i  
utrzymywać w porządku swe wieże oraz obsługiwać nieliczne statki,  
które  
przyznano im do  
osobistego użytku. Poza tymi dwoma wyjątkami nie byli jednak gotowi  
nawet ruszyć  
ręka,  
jeśli mieli reguli, którzy by im usłużyli. Hulagh pamiętał  
zdarzenie, gdy  
pewien statek z  
kel'eniem na pokładzie spotkały kłopoty nie wywołane przez ludzi -  
awaria  
urządzeń  
nawigacyjnych, która doprowadziła załogę do paniki. Jej członkowie  
wezwali swego  
kel'ena -  
była to stara kel'e'en, która bez pośpiechu przyszła zobaczyć, na  
czym polega  
trudność,  
usiadła za konsolą i dokonała niezbędnych poprawek, po czym - z  
całkowitą  
arogancją -  
wróciła do swych pomieszczeń. Nie odezwała się ani słowem, nie  
zaoferowała  
żadnych  
uprzejmości ani nie przyjęła podziękowań.  
A mimo to owa kel'e'en nie potrafiła odczytać prostego znaku, który  
pomógłby jej  
trafić do mesy, gdy wychodziła na przepustkę na stację i musiała  
korzystać ze  
wskazówek  
swych regulskich pracodawców.  
Nic nie mogło się równać z arogancją ani z ignorancją kel'ena mri.  
Byli  
drażliwi. Gdy  
obrazili ich regule, popełniali samobójstwo, zaś gdy zrobili to inni  
mri,  
wyzywali ich do  
walki. Nie sposób było odgadnąć, jakie były prawdziwe pobudki  
członków tego  
gatunku.  
Hulagh osobiście sądził, że lepiej zna ludzi niż mri, choć z tymi

pierwszymi  
kontaktował się  
od trzech, z drugimi zaś jego przodkowie mieli do czynienia od dwóch  
tysięcy  
dwustu dwóch  
lat. Ludzie posiadali po prostu instynkt terytorialny, jak regule, i  
choć  
podobnie jak mri byli  
stworzeniami o krótkiej pamięci i małym mózgu, nie brak im było  
pracowitości i  
potrafili  
zrekompensować niedostatki swych uzdolnień za pomocą godnej podziwu  
techniki.  
Było ciekawe, że w ciągu czterdziestotrzyletniej wojny regule  
nauczyli się ufać  
ludziom znacznie bardziej niż mri, a także mniej się ich bać.  
Nieustannie  
musieli nakazywać  
tym drugim zachowywanie przyzwoitej powściągliwości. Naprawdę byli  
zmuszeni  
interweniować, by zapobiec eskalacji przez mri wojny poza  
terytorialną strefę  
konfliktu, na  
obszary znajdujące się daleko poza regulskim zasięgiem, gdzie  
osiągnęłaby ona  
skalę, przy  
której regulska technika mogłaby nie wystarczyć do zapewnienia obrony  
mających  
kluczowe  
znaczenie światów ojczystych. Mri, choć byli specjalistami od wojny,  
nie  
potrafili tego  
dostrzec. Nawet Holn miała więcej rozsądku i pohamowała eskalację  
walk, gdyż w  
przeciwnym razie doszłoby do niewiarygodnych zniszczeń oraz  
ekonomicznego  
zakłamania.  
Mri mogli tracić jeden świat ojczysty po drugim i przenosić się w  
inne miejsce,  
lecz byli oni  
koczownikami. Być może - jak sądził Hulagh - to właśnie było  
przyczyną ich  
pogardy dla  
granic państwowych. Regule nie mogli pogodzić się z myślą o utracie  
choćby  
jednego ze  
światów rodzinnej przestrzeni, z ich sztuką, techniką i  
przebiegającymi między  
nimi szlakami  
handlowymi. Ani przez chwilę nie zamierzali angażować się w wojnę z  
tak totalnym  
poświęceniem jak mri.  
W ostatecznym rozrachunku najpoważniejsze straty ponieśli sami mri.  
Gdy  
rozpoczęła  
się wojna, ich liczebność wynosiła, według regulskiego spisu, milion  
dziewięciuset  
pięćdziesięciu siedmiu kel'ein. Nawet ta niewielka liczba stanowiła  
znaczny  
wzrost w  
porównaniu z ich uprzednią populacją. Fakt ten był odbiciem  
pomyślności, jaką  
się cieszyli w  
ciągu dwóch tysięcy dwustu dwóch lat swej służby u reguli. Było ich

jedynie sto  
tysięcy w  
momencie, gdy ich przywódcy zwrócili się do reguli po raz pierwszy,  
by błagać o  
przyjęcie  
na służbę u ich gatunku. Najświeższe dane wskazywały jednak, że w  
znanym  
kosmosie  
pozostało przy życiu jedynie pięciuset trzydziestu trzech mri ze  
wszystkich  
kast.  
Nie istniała możliwość - biorąc pod uwagę tę małą liczbę oraz  
niepowstrzymane  
gwałtowne skłonności mri - by ich gatunek mógł przetrwać obecny  
kryzys, chyba że  
- o  
ironio - regule wzięliby ich pod opiekę, dopóki nie wróciliby do  
siebie. Wraz z  
utrata przez  
Holn podstaw jej wpływów oraz wyginięciem kel'ain skończyła się pewna  
era.  
Garstkę mri  
mogła jeszcze uratować Alagn, gdyby w tej ostatecznej sytuacji  
pozwolili oni  
przemówić  
sobie do rozsądku. Hulagh dostrzegał korzyści, jakie mogliby mu  
przynieść, choćby  
dlatego,  
że gwałtowność Kel wzbudzała w regulach przerażenie. Trzeba ich było  
jednak  
usunąć z  
drogi marszu ludzi, gdyż w przeciwnym razie nie przestaną oni niczym  
automaty  
rzucić się  
na nieuniknione i ginać w walce z nim.  
Na dodatek w samym środku całego zamieszania jeden mri musiał  
popęłnić  
samobójstwo, a teraz cała ich grupa przyleciała przeszkadzać w  
ewakuacji swego  
świata  
ojczystego na statku, który z pewnością był uzbrojony. Statki mri,  
przynajmniej  
te, które  
należały wyłącznie do nich, były małe, lecz mri nie ruszali się  
nigdzie bez  
bronii.  
Ludzie przybywający, by objąć w posiadanie Kesrith, również będą  
mieli broń.  
Hulagh zastanawiał się przez pełną szaleństwa chwilę, czyby nie  
porzucić w  
haniebny  
sposób swych obowiązków na Kesrith, załadować się dziś w nocy wraz z  
ocalałymi  
młodymi  
na pokład Hazana i pozostawić mri i ludzi samym sobie.  
Hazan jednak nie był gotowy do lotu. Nie ukończono jeszcze napraw.  
Nie można też  
było przenieść do jego ładowni cennych towarów, zanim nie wyremontuje  
się  
maszynerii  
portowej. Poza tym Hulagh nie chciał uciekać w podobny sposób.  
Opowiadano by o  
tym na  
ojczystym świecie, co by go skompromitowało. Pod tym przynajmniej

względem  
rozumiał  
odczuwany przez mri przymus stawiania oporu.  
Sięgnął ręką w lewo i nacisnął guzik kontaktujący go z Hada Surag-gi,  
kosajem  
Nomu, który osobiście wypełniał jego dostatecznie ważne polecenia.  
Liczący sobie  
dwadzieścia lat Hada wykazywał się nadzwyczajną kompetencją na swym  
odpowiedzialnym  
stanowisku.  
- Hada - powiedział - przyślij mi akta dotyczące osady mri na  
Kesrith.  
- Bądź łaskaw - odpowiedział głos Hady. - Te akta obejmują sobą dwa  
tysiące  
dwieście dwa lata. Kesrith była jedną z pierwszych planet objętych w  
posiadanie  
przez mri.  
Uważa się tutaj, że mieszkali oni na niej jeszcze przed pierwszym  
kontaktem.  
Jakie dokładnie  
informacje życzy sobie otrzymać bai? Być może pamiętam coś, co  
mogłoby się  
przydać.  
Było przejawem skrajnej zuchwałości, że podobne młode mogło sądzić,  
iż jego  
osobista wiedza wystarczy, by zaspokoić potrzeby starszego.  
- O młoda ignorancjo - powiedział poirytowanym tonem Hulagh.  
Przypomniał sobie  
jednak, że jest jedynym starszym przebywającym w tej chwili na  
Kesrith i że  
młode, choć  
zuchwałe i zarozumiałe, zapewne złożyło tę propozycję w jak  
najlepszej intencji,  
chcąc  
zaoszczędzić jego cenny czas i siły. Ostatecznie nie był to Nurag.  
Czas oraz  
cierpliwość  
wszystkich - a zwłaszcza jego własne - były ograniczone. - Hada, jak  
sądzisz, co  
mogło  
sprowadzić statek mri na Kesrith w tej chwili?  
- To jest - odparł Hada - ich obecny świat ojczysty. - Być może  
zamierzają go  
bronić.  
Nie są przyzwyczajeni do odwrótów.  
Nie było to pocieszające domniemanie. Hulagh wysunął na własną rękę  
dokładnie  
takie samo przypuszczenie. Ale przecież mri zaakceptowali traktat  
zawarty z  
ludźmi przez  
reguli. Przy każdym etapie negocjacji powiadamiano ich, że nie mogą  
dalej  
prowadzić wojny.  
- Hada, ilu jest obecnie mri na Kesrith?  
- Baiu, jest ich trzynastu. Większość stanowi starszyzna edunu,  
całkowicie już  
niezdolna do walki.  
To go zaskoczyło. Nie interesował go dotąd mały edun, ponieważ nic w  
nim nie  
przyciągnęło jego uwagi. Wiedział dokładnie, ilu ma on członków, lecz  
nie jaki  
jest stan ich  
zdrowia.  
- Tak czy inaczej, przyślij akta. Wszystko, co dotyczy osobiście



przywódców oraz  
historii gatunku na tej planecie.  
Zatrącenie - pomyślał zdeprimowany Hulagh - mri przebywali na Kesrith  
zdecydowanie zbyt wiele lat, bym mógł dokonać przesiewu podobnych  
akt. Nie ma na  
to  
czasu. Będzie ich niesamowicie wiele.  
- Hada.  
- Jeśli łaska?  
- Skontaktuj się z ich kel'anthem. Powiedz mu, że chcę, by  
natychmiast zgłosił  
się do  
mojego gabinetu.  
Nastąpiła bardzo długa przerwa.  
- Bądź łaskaw, baiu - odważył się wreszcie powiedzieć Hada. -  
Kesrithańskim  
edunem  
kieruje she'pan, nie jaka Intel. Na powierzchni planety kel'anth musi  
wykonywać  
polecenia  
she'pan. Nie jest przywódcą mri na Kesrith.  
Przekleństwo Hulagha przerwało młodemu. Jego jazgot umilkł na chwilę.  
Zapanowała  
mile widziana cisza. Hulagh wchłonał nową informację, zawstydzony, że  
musi  
polegać na  
wiedzy młodego. Zdał sobie sprawę, że - gdy chodziło o mri - nikt  
naprawdę nie  
wiedział, jak  
wygląda hierarchia wewnątrz ich społeczności. Hada twierdził, że  
posiada tę  
wiedzę. Być  
może zdobył ją od starszych z doch Holn, którzy od pokoleń sprawowali  
dowództwo  
nad mri.  
Zaraza i zatrącenie - pomyślał Hulagh - nie ma czasu. Nie ma czasu.  
Niech  
wszystkich  
mri trafi szlag.  
Wiedział jednak przynajmniej tyle, że nie można wezwać do siebie  
she'pana. Nikt  
spoza kasty Kel nie reagował na wezwania nakazujące opuszczenie  
społeczności mri  
i  
spotkanie z obcymi. Trzeba było stawić czoło procesowi przeszukiwania  
akt bądź też  
zignorować nadlatujący statek, wraz ze wszystkimi wiążącymi się z nim  
paskudnymi  
możliwościami.  
Albo też trzeba było porzucić swe biurko, pracę oraz ważne obowiązki  
i zostawić  
je na  
łaskę niekompetentnych młodych pomocników w samym środku tak groźnego  
kryzysu,  
by  
osobiście udać się z długotrwałą wizytą grzecznościową do religijnej  
przywódczyni mri,  
której pamięć była zawodna, której uprzejmość pozostawiała zapewne  
wiele do  
życzenia, i  
która stanowiła zawadę w prostych relacjach między regulską doch a  
keranthem  
mri. On i  
wódz wojowników z Kel mogliby załatwić tę sprawę drogą prostej

wymiany zdań, gdy  
jednak  
w grę wchodziła jedna z ceremonialnych przywódczyni mri, której władza  
miała  
mglisty  
charakter, a której autorytet oraz kierujące nią motywy były w jakiś  
sposób  
powiązane z  
religią jej gatunku, na czym by ona nie polegała, regulski petent  
będzie musiał  
odbyć nudną i  
bezsensowną dyskusję, która jedynie z pewnym prawdopodobieństwem  
mogła  
doprowadzić  
do pożądaných przez niego skutków.  
- Hada - odezwał się Hulagh, dając za wygraną - sprowadź mi mój  
wehikuł i  
najbardziej godnego zaufania kierowcę - młode, które nie wystraszy  
się mri.  
Zgodził się znosić wiele upokorzeń podczas kontaktów z ludzkimi  
najeźdźcami oraz  
negocjacji poprzedzających zawarcie porozumienia. Wyraził zgodę na  
dopuszczenie  
dwóch  
niewygodnych obserwatorów, których obecność - jeśli wyszłaby na jaw -  
mogłaby  
spowodować niewyobrażalne komplikacje w sprawie traktatu zawartego z  
mri. Udało  
mu się  
uporać z ludźmi, co uważano za najważniejszą kwestię. Wymanewrował  
ich w sposób,  
który  
zapewni mu wzrost prestiżu. A teraz doszło do tego, że musiał  
przerwać działania  
mające na  
celu ratowanie życia reguli oraz ich majątku, by odbyć konferencję z  
najmitami  
mri, dla  
uratowania niewdzięcznego ludu, którego członkowie najprawdopodobniej  
nie  
wynagrodzą  
jego wysiłków uprzejmym traktowaniem.  
Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.  
- Hada - powiedział.  
- Jeśli łaska?  
- Czy jest, czy też nie jest możliwe, by mri wiedzieli, że nadlatuje  
jeden z ich  
statków?  
- Nasz urząd nie opublikował tej informacji - odparł Hada. Następnie  
dodał: -  
Bądź  
łaskaw, baiu. Mri już uprzednio dowiadywali się o rzeczach, których  
nasz urząd  
nie ujawniał.  
Mają własne środki komunikacji.  
- Niewątpliwie - zgodził się Hulagh. Przerwał połączenie i przystąpił  
do  
mozolnego i  
bolesnego procesu wstawania. Już dwieście dziewięćdziesiąt lat  
dzieliło go od  
chwili, gdy  
opuścił klasę młodych. Jego nogi były relatywnie krótsze, zmysły  
przytępione,  
zaś ciało

wielokrotnie cięższe. Gdy jego pomarszczona skóra stykała się bezpośrednio z suchym, zimnym powietrzem Kesrith, często pękała i pojawiały się na niej owrzodzenia. Dwa serca mozoliły się ciężko, by sprostać wysiłkowi, jakim było podźwignięcie ciężaru dorosłego cielska, mięśnie zaś drżały, nie przyzwyczajone do takiego obciążenia. Jako regulski starszy, Hulagh zajmował się przede wszystkim kwestiami umysłu i intelektu. A doszło do tego, że musiał złożyć wizytę mri.

### Rozdział 12

Edun Mri pojawił się w polu widzenia - zestaw przyciętych od góry stożków o wspólnej podstawie. Sprawiał złowieszczo obce wrażenie. Rzecz jasna wzniesiono go w najbardziej niedogodnym i najmniej dostępnym z możliwych miejsc. Hulagh siedział, zaniepokojony, na swych poduszkach na tylnym siedzeniu ładowego ślizgu i obserwował, jak budowla się zbliża. Zbudowano ją z przesyconej minerałami gleby nizin spojonej cementem. Jej matowa powierzchnia była tej samej barwy co ziemia, lecz mimo to odpychająco surowe zarysy gmachu przyciągały wzrok. Pochyłe ściany powodowały marnotrawstwo przestrzeni, lecz przecież mri nigdy nie robili niczego w prosty sposób. Wiele to mówiło, pomyślał, o ich umyśle - nieutilitarystycznym, cechującym się obcymi wzorcami rozumowania oraz rozmyślnie izolującym się od innych. Ślizg z wysiłkiem piał się w górę grobli, którą deszcze, druga z plag powierzchni Kesrith, doprowadziły do stanu bliskiego nieużywalności. Rozpuściły one sole tworzące w tych okolicach grube pokłady, co stworzyło w ziemi i skale drogi niebezpieczne kanały. Po obu stronach rozciągała się śmiertelnie groźna przepaść, na której dnie znajdowała się cienka skorupa pokrywająca niziny. Były one wulkanicznie aktywne i nieustannie wznosiły się nad nimi bijące z jednego czy drugiego otworu opary. Hulagh starał się nie myśleć o głębiach rozciągających się pod gąsienicami ślizgu, gdy torował on sobie drogę przez następujące po sobie koleiny, które niemal pochłonięły trakt. Mri nie mieli zamiaru go naprawiać. Co prawda byli starzy, lecz nawet

gdyby  
znajdowali się w pełni sił fizycznych, nie raczyliby tego zrobić,  
dopóki na  
powierzchni  
planety pozostałby choć jeden regul, na którego mogliby rzucić tę  
odpowiedzialność. Droga  
zostanie kompletnie splukana, zanim mri zechcą się ruszyć, by ją  
naprawiać, a  
Hulagh nie  
miał najmniejszego zamiaru wyświadczać ludziom podobnej przysługi.  
Miał jedynie  
nadzieję,  
że droga będzie wystarczająco dobra, by mógł po niej dotrzeć do celu  
i z  
powrotem, a i to  
tylko raz.  
Pojazd pokonał, podskakując, ostatnie kilka stóp podjazdu i zatrzymał  
się przed  
głównym wejściem do edunu. Sama budowla również była zniszczona. Już  
w tej  
chwili  
ustępowała ona pod naporem deszczów, które w końcu ją pochłoną i  
zamienią na  
powrót w  
białą ziemię. Na pochyłych ścianach widniały niewyraźne ślady barw,  
które ongiś  
musiały  
być jaskrawe.  
Hulagh oglądał zdjęcia edunei, nigdy jednak nie widział żadnego w  
rzeczywistości  
ani  
też żadnego, który byłby w podobnym stanie. Z pewnością była to  
starożytna  
budowla.  
Obecnie zamieniała się w smętną ruinę. Mri z reguły mieli więcej  
dumy. Nawet  
prowadząca  
do głównego wejścia ścieżka zryta była erozyjnymi kanałami. Gdy ślizg  
zatrzymał  
się ze  
zgrzytem, bai Hulagh z lękiem spojrział na tę nieregularną  
powierzchnię. Czekala  
go długa,  
trudna wędrówka po miękkim gruncie. Ponadto wejścia strzegł dus -  
masywne,  
brązowe  
cielsko, całe pokryte zmarszczkami i zwałami tłuszczu. Najwyższym  
punktem  
zwierzęcia był  
garb znajdujący się na wysokości barków, od którego obniżało się ono  
ku obu swym  
końcom.  
Wydawało się, że bestia śpi. Gdy leżała na ziemi, jej grzbiet sięgał  
jednej  
czwartej wysokości  
drzwi. Gdyby się podniosła, znalazłby się on znacznie wyżej. Hulagh  
żywił jednak  
gorączkową nadzieję, że zwierzę tego nie zrobi. Dusei można było  
znaleźć  
wszędzie, gdzie  
zawędrowali mri, lecz na statkach siedziały zamknięte w kabinie  
kel'ena i nie  
pozwalano im  
wałęsać się po pokładzie. Hulagh nigdy nie zetknął się z bliska z

żadnym z nich.  
Pozwalał, by  
ten nieprzyjemny obowiązek spadł na jego młode. Wiedział tylko to, co  
mu  
powiedziano: że  
podczas gdy mri byli oficjalnie uważani za istoty rozumne drugiej  
klasy w skali,  
która  
pierwszą przyznawała regulom, dusei tymczasowo zaliczono do  
dziesiątej, choć  
wielu z tych,  
którzy mieli do czynienia z tymi przyprawiającymi o frustrację  
stworzeniami,  
uważało, że  
powinno sieje sklasyfikować znacznie wyżej bądź niżej. Wiedział też,  
że były one  
miejscowym gatunkiem dominującym i Kesrith była ich światem  
ojczystym, choć żyły  
w  
stanie dzikim wszędzie, gdzie mri przebywali przez dłuższy czas, to  
znaczy na  
każdym  
świecie, na który kiedykolwiek ich dopuszczono. Na szczęście żaden z  
nich nie  
leżał w  
obrębie wewnętrznych terytoriów regulskiej przestrzeni. Stawały się  
plagą na  
pustkowiach  
każdej z planet, na które trafiły. Były niebezpieczne. Z pewnością  
wśród wzgórz  
i równin  
mnożyły się liczne dzikie osobniki. Te powolne, cierpliwie,  
wszystkożerne  
zwierzęta  
stanowiły dar, jaki regule z radością pozostawiali ludziom. Mri drogą  
swej  
służby nabywali  
jedzenie dla dusei, które z tego powodu kręciły się po ich domostwach  
i  
towarzyszyły im w  
kosmos. Dusei jednak nie robiły nic, nie pomagały mri w niczym, nie  
walczyły,  
jeśli nie  
przyparto ich do muru, i nigdy ich nie zjadano. Jediną widoczną  
korzyścią, jaką  
przynosiły,  
był fakt, że swą bliskością sprawiały przyjemność mri, którzy  
najwyraźniej  
zdobywali wśród  
swych pobratymców pewien status przez to, że hodowali i utrzymywali  
tak  
bezużyteczne,  
kosztowne stworzenia. Hulagh osobiście kolekcjonował klejnoty,  
kamienie oraz  
geologiczne  
ciekawostki. Usiłował zrozumieć mentalność mri, którzy gromadzili  
podobne, żywe  
i  
niebezpieczne, okazy.  
Ten egzemplarz sprawiał wrażenie chorego. Jego skóra pokryta była  
plamami.  
Zachowywał się nienaturalnie leniwie, nawet jak na dusa. Nie podniósł  
nawet  
głowy, gdy

pojazd zatrzymał się przed wejściem.  
Widok brzydkiego stworzenia urazał estetyczny zmysł Hulagha w  
większym stopniu  
niż oznaki upadku samego edunu. Gdy wydobył już swe okazałe cielsko z  
ciasnego  
ślizgu i  
czekał, aż kierowca, niejaki Chul Naggi, pomoże mu w podejściu do  
drzwi,  
przyglądał się  
zwierzęciu, choć wolałby na nie nie patrzeć. Wyglądało na to, że Chul  
również  
spogląda na  
dusa z niesmakiem, lecz gdy posuwali się razem w stronę ganku,  
sumiennie kroczył  
po  
bliższej zwierzęciu stronie i nieustannie miał na nie oko. Gdy  
zbliżyli się do  
drzwi, dus uniósł  
głowę, by się przekonać, kto idzie. Jego zaropiałe oczy miały  
niezdrowy wyraz.  
Zatrącenie - pomyślał zakłopotany Hulagh - to zwierzę umiera z powodu  
choroby u  
ich progów, a oni go nie zabijają? Ze względu na higienę, jeśli nawet  
nie litość.  
Dus zbadał ich, węsząc wilgotnym nosem, i wydał z siebie dziwaczny  
odgłos, niski  
pomruk i sapanie, które nie wyrażały zadowolenia, nie były też jednak  
w pełni  
groźbą.  
- Z drogi! - zawołała Chul głosem, w którym brzmiała nuta paniki.  
Hulagh  
przemknął  
obok dusa z największą możliwą szybkością, podczas gdy Chul odpędził  
stworzenie  
gwałtownym kopniakiem. Młode dognało go już w ciemności za drzwiami.  
Ponownie  
pozwoliło mu się wesprzeć na swym ramieniu, po czym wspólnie  
rozpoczęli długą  
wędrówkę.  
Jakiś mir ujrzał ich i zniknął - czarny cień pośród cieni.  
Nikt nie zaoferował im przewodnictwa. Hulaghowi nie było ono  
potrzebne. Przed  
opuszczeniem Nomu zapoznał się z planem edunei, który miał charakter  
uniwersalny.  
Wiedział, jak wygląda rozkład parteru i gdzie powinien się wznosić  
czwarty  
stożek, należący  
do she'pan. Posuwał się ku niemu powoli, dysząc ciężko. Przywołał  
wszystkie swe  
siły, gdy  
ku jego przerażeniu okazało się, że będzie musiał wspiąć się po  
krętych schodach  
wijących  
się w górę ku szczytowi wieży.  
Nad nimi rozległ się echem jakiś krzyk. Hulagh nie widział jednak  
nikogo.  
Posuwał  
się naprzód, udręczony, własnym tempem, krok za krokiem, mijając  
pokryte glina  
ściany  
tandetnie udekorowane prymitywnymi znakami czy symbolami,  
namalowanymi w sposób  
tak  
nieregularny i stylizowany, że odczytanie ich wydawało się czymś

niemożliwym,  
nawet jeśli  
znało się pismo mri. Czarne, złote i niebieskie desenie wiły się  
wzdłuż krętego  
korytarza na  
jego ścianach i suficie. Mogły mieć naturę religijną - to była  
kolejna rzecz,  
której mri nigdy  
nie zdradzali - odwracać zło bądź sprowadzać je na intruzów. Możliwe  
też, że po  
prostu  
wydawały się mri piękne. Trudno było pogodzić coś takiego z  
nowoczesnym  
oświetleniem  
oraz innymi dowodami na to, że mri wykorzystują regulską maszynę.  
Lud, który  
znał  
podróże międzygwiazdne, mieszkał w tak prymitywnych warunkach. Drzwi  
zamykające  
komnatę, w której she'pan sprawowała urząd - w gruncie rzeczy  
większość drzwi w  
edunie -  
były ze stali, produkcji regulskiej. Zapewne zbrojenia całej  
konstrukcji z gliny  
i spoiwa  
również wykonano ze stali.  
- Nie mają nic przeciwko wyposażeniu swych lepiarek w zbrojenia z  
dobrego,  
regulskiego metalu - zauważył Chul półgłosem. Młode zachowało jednak  
dalsze  
komentarze  
dla siebie, odkąd Hulagh obdarzył je ostrym spojrzeniem. Ostrość  
słuchu mri była  
legendarna.  
- Otwórz drzwi - rozkazał Hulagh.  
Gdy młode spełniło polecenie, wciągnęło ze świstem oddech, gdyż tuż  
za drzwiami  
stał mri - kel'en z czarną zasłoną na twarzy. Hulagh sądził, że on  
również był  
jeszcze  
zaledwie młodym. Na to przynajmniej wskazywały pozabawione zmarszczek  
czoło i  
jasna,  
złocista skóra. Wyglądał srogo, zuchwale i barbarzyńsko - złocisty  
mężczyzna  
przystrojony  
czernią i bronią. W skład zestawu śmiertelnych przyborów wchodził  
nawet  
archaizm w  
postaci długiego noża za pasem. Hulagh natychmiast, z przykrością,  
przypomniał  
sobie o  
Medaiu, który wyglądał tak samo jak ten. Zupełnie jakby spotkał  
ducha.  
Młode stanęło naprzeciw młodego i to regul cofnął się nieco. Jego  
słabość  
spowodowała, że głowę Hulagha zalała fala palącego gniewu.  
- Gdzie jest she'pan? - zapytał ostrym tonem, zawstydzony  
niepewnością okazaną  
przez swego kierowcę. Starał się odzyskać regulską godność. - Młode  
mri, wyjdź z  
tych drzwi  
i zawołaj kogoś znaczącego. Powiadomiono was, że złożę wizytę  
she'pan.

Mri odwrócił się zgrabnie na pięcie i odszedł w milczeniu, pełen wdzięku i lekceważenia. Wojownik mri. Hulagh nienawidził całej ich rasy. Wszyscy jej członkowie byli całkowicie pozbawieni dobrych manier i zachęcali swe młode do takiego samego zachowania. Młodzieniec, podobnie jak cały edun, cuchnął kadzidłem, którego zapach unosił się w powietrzu. Hulagh starał się powstrzymać przed kichnięciem, które oczyściłoby jego podrażnione przewody powietrzne. Nogi mu drżały od długiego marszu w górę po schodach. Wszedł do środka, ugiął kolana i opuścił swe ciężkie ciało w niewielkim stopniu, niezbędnym do tego, by spocząć na dywanach. Meble mri - w pomieszczeniu znajdowały się jedynie ceremonialne krzesło she'pan oraz dwie ławy w pobliżu wejścia - były zbyt wysokie i łamliwe dla dorosłego regula, nie mógł on też utrzymywać przez dłuższy czas swego ciężaru w pozycji stojącej. Gdyby młode było należycie uprzejme, powinno wezwać kogoś ze swych pobratymców, by przyniósł mebel odpowiedni dla gościa. Wszystko jednak wskazywało na to, że jest to bardzo biedny edun i być może jego mieszkańcy nie byli przyzwyczajeni do regularnych wizyt. Dywany były przynajmniej czyste. Krzyki rozchodziły się echem w głębiach komnaty, za parawanem, który przesłaniał centralną część sali. Hulagh skrzywił się w myśli na to niestosowne zachowanie. Chul poruszył się niespokojnie. Po chwili do pomieszczenia zaczęli wchodzić kolejni wojownicy. Oni również byli uzbrojeni i mieli zasłonięte twarze. - Baiu - odezwał się Chul. W jego głosie słychać było strach. Hulagh poradził sobie z tym za pomocą paskudnego spojrzenia. To młode było ignorantem. Mri, choć pozbawieni poczucia przyzwoitości i aroganccy, wciąż byli poddanymi reguli i to nie z przymusu, lecz z wyboru. Można ich było oskarżyć o wiele rzeczy, a także byli niesympatyczni, lecz nie stanowili zagrożenia, przynajmniej nie w bezpośrednim sensie. Nie dla reguli. Do komnaty wlaźło kilka dusei. Trzymały swe głowy o masywnych kościach nisko ponad dywanem. Wyglądały, jakby coś zgubiły i zapomniały, co to właściwie było.



Ułożyły  
swe wielkie cielska w kacie, położyły głowy między przednimi łapami i  
przyglądały się  
regulom ze lśnieniem maleńkich, niemal niewidocznych oczek. Jeden z  
nich wydał z  
siebie  
złowieszczy, chrapliwy dźwięk, lecz uspokoił się, gdy kel'en  
przysunął się do  
niego,  
używając jego szerokiego barku jako oparcia dla swych pleców.  
Kichnięcie wreszcie nadeszło, nieoczekiwane i gwałtowne. Hulagh  
stłumił je  
najlepiej, jak potrafił. Żaden z mri nie sprawiał wrażenia, by  
zauważył to  
straszliwe  
pogwałcenie etykiety. Hulagh policzył obecnych. Było ich  
jedenaścioro, w tym  
dziewięcioro  
miało zasłonięte twarze - mężczyźni i być może jedna kobieta z Kel.  
Inna, młoda  
kobieta w  
złoty szatach miała twarz odsłoniętą. Obok niej stał jeden z  
najstarszych -  
jak się zdawało  
mężczyzn, członek ubierającej się na złoto kasty. Byli oni jedynymi  
mri, których  
twarze  
Hulagh kiedykolwiek widział. Nie mógł nie wytrzeszczyć oczu ze  
zdumienia,  
wywołanego  
pełną gracji delikatnością rysów młodej kobiety.  
To dziwne - pomyślał - że u tego opóźnionego w rozwoju gatunku  
podział na płcie  
następuje w młodości, a z wiekiem różnice zanikają. Zachował tę myśl  
w pamięci,  
by  
rozważyć ją później, gdyby miało się zdarzyć tak, że mri przetrwają  
obecną erę i  
zachowają  
znaczenie dla żyjących.  
Z cichym szelestem przybyła sama she'pan, wsparta na ramieniu młodego  
kel'ena.  
Usiadła pomiędzy nimi na swym krześle, z odsłoniętą twarzą. Ona  
również była  
bardzo stara,  
a ponadto, jak się zdawało Hulaghowi, choć nie mógł być tego pewien,  
jedna  
strona jej  
twarzy była zniekształcona. Młodsi mri byli szczupli i mieli gładką  
skórę, zaś  
włosy młodej  
kobiety lśniły w świetle lamp niczym ozdobna powierzchnia naczyń z  
brązu.  
She'pan  
jednak była zwiędła i krucha, zaś jej skroń po stronie, która zdawała  
się chora,  
pociemniała.  
Młody wojownik klęknął u jej boku. Jego złociste oczy ciskały na  
gości  
spojrzenia pełne  
nieufności i wrogości. We wzroku she'pan natomiast widać było spokój  
wywodzący  
się z  
wieku i bardzo długiego doświadczenia, które to cechy Hulagh cenił

wysoko.  
Zmienił nagle  
zdanie i doszedł do wniosku, że być może jednak łatwiej będzie się  
porozumieć z  
tą  
podstarzałą kobietą niż z nieustępliwym wodzem wojowników, pod  
warunkiem, że  
rzeczywiście sprawowała ona kierownictwo nad swym ludem w sprawach  
innych niż  
tajemnicza religia mri.  
Było wyraźnie widoczne, że regule nie wzbudzają w niej wielkiego  
zachwytu, nie  
była  
też jednak wrogo nastawiona czy nierozgarnięta. Oszacowała przybyłych  
byстрым  
spojrzeniem swych oczu. Krył się w nich wyraz rozumności wysokiej  
próby.  
- She'pan - odezwał się Hulagh, uznając, że wiek daje prawo do  
szacunku, nawet w  
przypadku mri.  
- Hulaghu - odparła, odzierając go z tytułów.  
Zamknął z trzaskiem nozdrza i wydmuchnął powietrze, poirytowany.  
Przypomniął  
sobie o obecności u swego boku młodego Chule, który w tej chwili nie  
był  
szczególnie  
pożądanym świadkiem. Palący gniew kipiał w nim z siłą nie spotykaną  
od wielu  
lat, podczas  
których chroniono go przed podobnymi sytuacjami.  
- She'pan - powtórzył Hulagh, upierając się przy dobrym wychowaniu -  
przygotowaliśmy dla was miejsce na naszym statku.  
Była to, zasadniczo, prawda. Zarezerwował dla nich przestrzeń, mając  
nadzieję,  
że nie  
będzie ona musiała być zbyt obszerna. Liczył na to, że znajdzie  
młode, które  
będzie można  
ucywilizować i ukształtować na nowo pod przewodnictwem Alagn. Widział  
ich jednak  
tylko  
dwoje. Zmienił szybko opinię. Być może ci starsi potrafią zapanować  
nad młodymi  
mri,  
którzy przebywali w innych miejscach, i sprawić, by stali się oni  
posłuszni, a  
być może też  
zgrupować kolonię mri na terytorium Alagn. Ponownie pomyślał o  
młodym kel'enie,  
który  
popełnił samobójstwo, i doszedł do wniosku, że mogłoby do tego nie  
dojść, gdyby  
na miejscu  
był starszy mri, który ukazałby owemu młodemu jego czyn w należyłym  
świecie.  
Jeśli zaś nawet starsi, tacy jak ci, nie mieli wystarczającej  
powściągliwości i  
rozsądku,  
by wyperswadować młodemu podobny czyn, to w takim razie cała  
cywilizacja mri  
zbankrutowała i nie było sposobu na ocalenie jej przed sobą samą.  
- Naszym pragnieniem jest - oznajmił Hulagh - byście znaleźli się na  
pokładzie  
już

dziś w nocy.

She'pan wbiła w niego wzrok. Nie była ani uradowana, ani przerażona tym krótkim terminem.

- Doprawdy, baiu?

- Jak najszybciej tylko można. Załadunek osiągnął już ten etap. She'pan wpatrywała się w niego, zastanawiając się nad tym w milczeniu.

- A nasze dusei? - zapytała.

- Dusei też, po jednym dla każdego - zgodził się niechętnie Hulagh. W pamięci

odjął

liczbę zapasów dwukrotnie większą, niż byłaby konieczna dla samych mri. Miał

nadzieję, że

nie zabierze żadnych dusei, po zastanowieniu doszedł jednak do

wniosku, że

antypatyczne

bestie mogą sprawić mri zadowolenie, jako symbol ich bogactwa, a

bardzo mu

zależało na

tym, by mri byli zadowoleni.

- Naradzimy się w tej sprawie - oznajmiła she'pan z dłonią

spoczywającą na

ramieniu

młodego wojownika, który siedział obok niej. Po drugiej stronie

przysiadła w

milczeniu

młoda kobieta w złotych szatach.

- Nie ma już czasu na długie narady - sprzeciwił się Hulagh.

- Ach - odparła she'pan - więc słyszeliście o statku.

Krew odpłynęła z twarzy Hulagha. Dopiero po chwili wznowiła należyte krażenie.

Nie

patrzył na młode. Miał nadzieję, że okaże się wystarczająco bystre, by nie

rozpowiadać o tej

obeldze i upokorzeniu swym towarzyszom. Szczerze jednak wątpił, by

rzeczywiście

tak się

stało.

- Tak - odparł - oczywiście, że słyszeliśmy. Nie mniej gorąco

pragniemy odlecieć

jak

najszybciej. Nic nam nie wiadomo o tym nadlatującym statku, ale z pewnością... -

zająknął

się, wypowiadając nieprawdę. Po raz pierwszy w życiu poczuł się

zmuszony do

kłamstwa, że

względu na reguły, dobro młodych powierzonych jego opiece, a nade

wszystko z

myślą o

własnych ambicjach i ocaleniu posiadanej przez siebie władzy. Czuł

się jednak

skalany i

splugawiony tym czynem. - Z pewnością, gdy już znajdziecie się na

pokładzie,

będziemy

możli zatrzymać ten wasz statek i jego również skierować w bezpieczne

miejsce,

ku naszym

wewnętrznym strefom.

- Czy pozwolilibyście na to? - Oschły, stary głos wypowiadający słowa

z wyraźnym  
akcentem, był pełen ostrożności. Nie dało się w nim usłyszeć żadnych  
intonacji,  
które  
mogłyby zdradzić emocje oraz ukryte znaczenia. - Czy mri będą się  
wreszcie mogli  
udać na  
ojczysty świat reguli? Nigdy nam nie zdradziliście jego lokalizacji,  
baiu.  
- Niemniej... - Nie potrafił rozwinąć swego kłamstwa. Nie był w  
stanie dokończyć  
tego czynu, tej ostatecznej niemoralności - dokonać fałszerstwa,  
wprowadzić do  
pamięci  
nieprawdę, której nie będzie można się oduczyć. Wiedział, że obcy  
czynią podobne  
rzeczy.  
Przyglądał się, jak to robią, zdumiony i przerażony. Dowiedział się,  
że wśród  
ludzi kłamstwo  
jest powszechnie stosowaną praktyką. Poczul, że skóra mu cierpnie na  
myśl o tej  
potworności. Ścisnęło go w gardle, gdy spróbował nadać dalszy kształt  
swej  
fikcji, wiedział  
jednak, że jeśli jej nie rozwinie, nie uwierzą mu w ogóle, a gdy  
zostanie  
przyłapany na  
kłamstwie, utraci wiarygodność, co będzie miało fatalne skutki dla  
mri, a także  
przyniesie  
niefortunne rezultaty dla reguli znajdujących się pod jego dowództwem  
i dla jego  
własnej  
przyszłości.  
Gdyby dowiedziano się o tym na Nuragu...  
To jednak byli tylko mri, mniej wartościowa rasa. Nie mieli pamięci  
takiej jak  
regule i  
kłamstwo nie mogło żyć wśród nich tak, jak żyłoby wśród jego  
pobratymców. Być  
może  
oznaczało to, że ów czyn będzie mniej niemoralny.  
- Niemniej, she'pan - ciągnął, z uwagą panując nad głosem - taka jest  
prawda.  
Sprawy  
wyglądają teraz inaczej. Nie będziemy czekać tutaj tak długo, jak  
planowaliśmy.  
Wsiądziemy  
na pokład najszybciej, jak tylko można.  
- Czy obawiacie się, że ludzie mogą pozyskać nasze usługi?  
Ten strzał był zbyt bliski celu. Hulagh siedział bez ruchu,  
spoglądając na  
she'pan.  
Doszukiwał się w jej słowach ukrytego znaczenia. Mri, podobnie jak  
regule, byli  
prawdomówni. Wiedział o tym z przekazów wszystkich swych  
poprzedników.  
Sporządzili oni  
akta, których się nauczył, a od prawdziwości relacji przodków  
zależała cała  
przeszłość i w  
związku z tym również cała przyszłość.  
Czy przodkowie również odczuwali pokusę, by kłamać, uprawiać drobne

gierki z  
prawdą i rzeczywistością?  
Czy faktycznie czynili coś podobnego? Sama ta wątpliwość sprawiła, że  
przeciążone  
serca Hulagha zaczęły bić szybciej. Myśl owa burzyła fundamenty jego  
najbardziej  
ugruntowanych przekonań i sprawiała, że wszystko pogrążało się w  
niepewności. Bo  
przecież, wbrew tradycji pochodzącej od przodków, regulski bai przed  
chwila  
skłamał.  
Uczył to po to, by uratować wiele istnień. Działał w słusznej  
sprawie, dla  
dobra dwóch  
gatunków, niemniej jednak prawda została zniekształcona i teraz  
kłamstwo  
nadawało kształt  
prawdzie, by się pod nią ukryć.  
- Gorąco pragniemy - ciągnął Hulagh, brodząc coraz głębiej w tym  
obcym żywiole -  
zapewnić wam bezpieczeństwo przed ludźmi, a także przyspieszyć odlot  
ze względu  
na  
bezpieczeństwo zarówno nasze, jak i wasze. Zagrożone są nasze młode  
oraz ja sam  
i moja  
reputacja. Ponieważ jestem kimś niezwykle wartościowym w oczach  
mojego ludu,  
możecie  
być pewni, że podejmiemy nadzwyczajne kroki celem zapewnienia  
bezpieczeństwa  
tego  
statku. Jeśli chcecie odlecieć z nami, a radzę wam, byście to  
uczynili, she'pan,  
bardzo  
stanowczo wam radzę, przygotujcie się do natychmiastowego wejścia na  
pokład.  
- Służyliśmy regulom - odparła she'pan - przez dwa tysiące lat. Nasza  
służba  
trwała  
bardzo długo i niewiele otrzymaliśmy za nią w nagrodę.  
- Dawaliśmy wam wszystko, o co prosiliście, a nawet więcej.  
Proponowaliśmy wam  
usługi naszych techników, którzy podzieliliby się z wami wszystkimi  
dobrodziejstwami  
naszego doświadczenia, a także dostęp do naszych archiwów, naszej  
historii i  
naszej techniki.  
- Nie pożądamy tej waszej wiedzy - odparła she'pan.  
- Tym gorzej dla was - odrzekł bai. Spotkał się już przedtem z tą  
głupotą mri -  
u  
Medaia. - She'pan, przebywacie tylko we własnych domostwach i na  
statkach, lecz  
te statki są  
produkcji regulskiej. Nawet waszą broń wytwarzają regule, podobnie  
jak żywność.  
Bez nas  
zginęlibyście z głodu. A mimo to udajecie, że pogardzacie naszą  
wiedzą.  
- Nie pogardzamy nią - odpowiedziała she'pan. - Po prostu jej nie  
pożądamy.  
Hulagh odwrócił wzrok od jej barku i zaczął się przyglądać samej  
kominie,

wyrażając w ten sposób pogardę dla warunków, w jakich she'pan  
sprawowała swój  
urząd - w  
pomieszczeniach zaledwie spełniających wymogi higieny, komnatach  
pozbawionych  
wszelkich wygód i udekorowanych tymi przerażająco prymitywnymi, lecz  
wywierającymi  
potężne wrażenie symbolami. Hulagh wątpił, by sami mri pamiętali ich  
znaczenie.  
Byli  
przesadnym ludem. Jeśli jeden z nich zachorował lub został ranny,  
odmawiał  
przyjęcia  
regulskiej pomocy, woląc umrzeć niż przyznać się do słabości. Pragnął  
jedynie  
obecności  
innego mri bądź dusa. Tak w praktyce przejawiała się ich religia.  
Mimo tej pomocy, na ogół umierali.  
Jesteśmy wojownikami - słyszeli często od nich regule - nie  
nosicielami  
ciężarów,  
sprzedawcami towarów lub uprawiającymi sztukę zależnie od  
nadarzającej się  
okazji albo  
spodziewanych korzyści.  
Mri mieli w pogardzie wszystkie takie rzeczy, jak medycyna,  
inżynieria,  
literatura,  
rolnictwo, czy praca fizyczna jakiegokolwiek rodzaju, dopóki pod ręką  
był choć  
jeden regul  
mogący wykonać ją za nich.  
Zwierzęta - pomyślał Hulagh - zaraza i zniszczenie, to nic więcej jak  
tylko  
zwierzęta.  
Uwielbiają wojnę. Tę ostatnią celowo przeciągnęli w swej głupocie.  
Nigdy nie  
powinni byli  
wykorzystywać ich na wojnie. Za bardzo ją lubią.  
Młodzieńca, aroganckiego, młodego kel'ena, który siedział obok kolana  
she'pan,  
zapytał:  
- Młode, czy nie pragnęłobyś się uczyć? Posiadać rzeczy, które mają  
regule,  
poznać  
przeszłość i przyszłość i dowiedzieć się, jak budować z metalu?  
Migotki przesłoniły na chwilę złociste oczy, co było u mri wyrazem  
zaskoczenia.  
- Jestem z Kel - odparł młody wojownik. - Wykształcenie nie jest  
odpowiednie dla  
mojej kasty. Zapytaj Sen.  
Teraz z kolei spojrzała na niego młoda kobieta w złotych szatach. Jej  
odsłonięta  
twarz  
stanowiła doskonałą, pozbawioną wyrazu maskę.  
- Sen słucha przewodnictwa she'pan. Jej zapytaj, baiu, czy pożąda ona  
twojej  
wiedzy.  
Jeśli tak rozkaże, nauczę się wszystkiego, co masz do przekazania.  
Bawili się z nim, udając ignorancję. Humor mri. Hulagh dostrzegł jego  
błysk w  
oczach she'pan, która podczas tej określonej wymiany zdań siedziała  
nieruchomo.  
- Wiemy - odezwała się wreszcie - że zawsze mogliśmy otrzymać te

rzeczy. My  
jednak pragnęliśmy innych nagród za służbę niż to, co macie do  
zaoferowania, a w  
ostatnich  
latach dostawaliśmy ich bardzo niewiele.  
Zagadki. Mri uwielbiali swe niedopowiedzenia, swą niezrozumiałość.  
Nie sposób  
było  
pomóc podobnym istotom.  
- Gdyby któryś z was - powiedział Hulagh ze starannie zachowywaną  
cierpliwością  
-  
raczył kiedykolwiek wyjaśnić, jakiej nagrody oczekujecie, być może  
zdołalibyśmy  
znaleźć  
sposób na to, by wam ją dać.  
She'pan jednak nie odpowiedziała nic. Mri nigdy nie udzielali  
informacji na ten  
temat.  
„Służymy w zamian za wynagrodzenie” - mówili niektórzy z nich z  
pogardą, gdy  
zadawano  
im podobne pytanie, nie uchylali jednak nawet rąbka całej prawdy. Ta  
she'pan,  
podobnie jak  
jej poprzedniczki, nie odpowiedziała ani słowem.  
- Moi ziomkowie czuliby się podniesieni na duchu - stwierdził Hulagh,  
uciekając  
się  
do starożytniej sztuczki - odwołania się do litery przysięgi oraz  
sumienia mri.  
Była to zresztą  
przynajmniej w części prawda. - Jesteśmy przyzwyczajeni do ochrony  
mri. Nie  
jesteśmy  
wojownikami. Gdyby choć jeden lub dwóch z was znajdowało się na  
pokładzie w  
chwili  
startu, czulibyśmy się bezpieczniej podczas podróży.  
- Jeśli żądasz przydzielenia mri do ochrony - odparła she'pan - muszę  
jednego  
wysłać.  
- She'pan - powiedział Hulagh. Po raz kolejny spróbował odnaleźć  
jakiś element  
rozsądku, zapominając o własnej godności oraz obserwujących go oczach  
Chula. -  
Czy  
wysłałabyś jednego mri, samego, bez jego pobratymców, na wędrowkę tak  
długą, w  
jaka się  
udajemy, bez realnych szans powrotu? To byłoby okrutne. Co w rejonie  
Kesrith  
może się  
znajdować takiego, by was tu zatrzymać, gdy już odlecimy?  
- Dlaczego nie mielibyśmy - zapytała she'pan - podążyć na naszym  
własnym statku  
za  
wami aż na Nurag? Dlaczego tak gorąco pragniesz, byśmy wsiedli na  
pokład  
twojego, baiu  
Hulaghu?  
Obowiązują nas pewne prawa - odparł Hulagh. Serca mu waliły. - Z  
pewnością  
zdajesz sobie sprawę, że musimy przestrzegać zasad ostrożności.

Będziecie tam  
jednak  
bardziej bezpieczni niż tutaj.  
- Tu przybędą ludzie - zauważyła she'pan. - Czyż nie postaraliście się, by do tego doszło?  
Hulagh w swej rozległej pamięci nie odnalazł niczego, co umożliwiłoby mu zrozumienie tej odpowiedzi. Prześliznęła się ona niepokojąco przez jego myśli, wywołując paskudne podejrzenia.  
- Czy - zapytał Hulagh, zmuszony postawić sprawę jasno - pragniecie zmienić pracodawców i pójść na służbę do ludzi?  
She'pan wykonała jakiś ledwo widoczny gest, pozbawiony znaczenia dla reguli.  
- Naradzę się z moimi Mężami - stwierdziła. - Jeśli uznasz to za stosowne, wyślę z tobą jednego z moich kel'ein, o ile tego zażadasz. Pełnimy służbę u reguli.  
Byłoby nie na miejscu i sprzeczne z prawem, gdybym odmówiła wysłania z tobą jednego z nas, jeśli jest ci potrzebny, o Hulaghu, baiu Kesrith.  
Teraz, dopiero teraz padły uprzejme słowa. Choć mri nie potrafili kłamać, w Hulaghu ta tak późna zmiana zachowania nie wzbudzała zaufania. On również sądził, że nie umie kłamać przed tą konferencją i chwilą konieczności. A i tak wszystko poszło na mamę. Mri faktycznie mogli nie kłamać, nie wydawało się też jednak prawdopodobne, by she'pan nie była zdolna do żadnych podstępów. Być może śmiała się z niego, ukrywając to pod tymi pozorami uprzejmości. Członkowie Kel zaś mieli zasłonięte twarze i byli nieprzeniknieni.  
- She'pan - zapytał - co masz do powiedzenia o tym statku, który nadlatuje?  
- Co mam do powiedzenia? - powtórzyła jak echo.  
- Kim są mri na jego pokładzie? Z jakiej pochodzą rodziny? Czy są z tego edunu?  
Po raz drugi dostrzegł ów osobliwy gest dłoni she'pan, która ponownie zaczęła głaskać głowę młodej kobiety opartej o jej kolano.  
- Statek ów, baiu, nazywa się Ahanal. Czy składasz formalną prośbę, by jeden z nas ci towarzyszył?  
- Powiadomię cię o tym, gdy już naradzisz się ze swymi Mężami i odpowiesz mi na resztę pytań - odparł Hulagh, zauważając, że uchyliła się od odpowiedzi na jego pytanie.  
Narastał w nim gniew.



To byli mri. Niewiele więcej niż zwierzęta. Nie wiedzieli nic i pamiętali jeszcze mniej, a wazyli się próbować wystrychnąć na dudków reguli. Znajdował się jednak na ich terytorium, a ponadto był jedynym przedstawicielem prawa na tym zakazanym świecie. Po raz pierwszy postrzegał mri nie jako źródło otuchy, nie jako coś interesująco dziwaczne czy nawet irytującego, lecz jako tępogłową, złowieszczą siłę, taką jak dusei. Zauważył u odzianych w ciemne szaty wojowników niewzruszoną obojętność na autorytet reguli, którzy zawsze wydawali im rozkazy. Przez cały czas, gdy mri służyli różnym regulskim docha i ośrodkom władzy, nigdy nie wydarzyło się, by sprzeciwili się woli pracodawców. Nie bezpośrednio. Hulagh dokonał przeglądu swej pamięci i nie odnalazł w niej żadnego świadectwa mówiącego o tym, jak postępowali mri w przypadku, gdy nie chodziło o tradycyjne posłuszeństwo. To była najbardziej przykra ze wszystkich możliwych sytuacji - taka z jaką nie zetknął się dotąd żaden regul, którego wspomnienia zarejestrowano. Obszerna pamięć Hulagha, pozbawiona wszelkich niezbędnych danych, była w tym przypadku równie bezradna, jak pamięć młodego. Regule ogarnięci daleko posuniętym uwiadem starczym twierdzili niekiedy, że posiadają wspomnienia o sprawach, które znajdowały się jeszcze w przyszłości, dostrzegają rzeczy, których jeszcze nie było i na ten temat których nie można było mieć żadnych danych. Czasem wygłaszane na wczesnym etapie sądy tych starców okazywały się w wysokim stopniu trafne, który to fakt uragał i wymykał się wszelkiej analizie. Później jednak proces ulegał przyspieszeniu i mącił wszystkie ich wspomnienia. To, co prawdziwe, mieszało się z tym, co jeszcze nie było oraz z tym, co nigdy nie miało być prawdziwe, aż wreszcie reguli ogarniało nieodwracalne szaleństwo. Nagle Hulagh poczuł coś w tym rodzaju. Dokonał projekcji potencjalnych możliwości kryjących się w zaistniałej sytuacji i uzyskał w efekcie szalone przecucie mówiące, że te wojownicze stworzenia rzucają się na niego i zabijają jego i Chwała jednocześnie, w akcie wywołanego krwiożerczym szaleństwem buntu

przeciwno  
regulskim  
docha. Jego dwa serca zabiły mocno z przerażenia spowodowanego nie  
tylko tą  
wizją, lecz  
również faktem, że w ogóle go ona nawiedziła. Miał trzysta dziesięć  
lat. Zbliżał  
się już do  
chwili, gdy jego zdolności umysłowe zaczną się zmniejszać, obecnie  
jednak  
znajdował się  
wciąż u ich szczytu i spodziewał się, że sytuacja ta nie ulegnie  
zmianie jeszcze  
przez całe  
dziesięciolecie. Przeraziła go myśl, że schyłek mógł się zacząć  
tutaj, pod  
wpływem napięcia  
wywołanego tak wielką dozą niezwykłości. Przyjmowanie na jeden raz  
równie  
wielkich jej  
dawek nie było zdrowe dla starych reguli.  
- She'pan - zaczął - podejmując ostatnią, naprawdę ostatnią próbę  
przełamania  
jej  
nieugiętości. - Zdajesz sobie sprawę, że ta nierozsądna zwłoka może w  
efekcie  
doprowadzić  
do tego, że żaden z was nie zdoła bezpiecznie wejść na pokład.  
- Naradzimy się - odparła. Nie było to ani „tak”, ani „nie”, Hulagh  
uznał jednak  
te  
słowa za absolutną odmowę i doszedł do wniosku, że nie otrzyma żadnej  
wiadomości  
od  
she'pan, dopóki nie wyląduje ów statek.  
Mri coś knuli. Wiazało się to w jakiś sposób z Kesrith. Nie chcieli  
dopuszczać  
reguli do  
tej tajemnicy. Hulagh przypomniał sobie młodego kel'ena, który  
popełnił  
samobójstwo, gdy  
odmówiono mu pozwolenia na opuszczenie statku. Gdyby mu na to  
zezwolono,  
zaniósłby już  
she'pan wiadomość o obecności ludzi. Mri byli tak przewrotni, że  
jeśli odebrano  
by im ich  
wojnę, mogliby popełnić gatunkowe samobójstwo, broniąc się aż do  
końca przed  
ludźmi,  
którzy nadejdą, by objąć w posiadanie ten świat. Gdyby ludzie  
spotkali się z  
czymś  
podobnym, nigdy by nie uwierzyli, że mri działali na własną rękę.  
Skończyliby z  
nimi i  
przystąpili do akcji przeciw regulom. Było to kolejne przeczucie, o  
przerażającej naturze.  
Mri wycofają się jedynie na bezpośredni rozkaz, a jeśli wymknęli się  
już spod  
kontroli, żadnego odwrotu nie będzie. Przeklął nagle reguli, którzy  
byli skłonni  
uwierzyć, że  
mri podporządkują się im w tej sprawie - Grurana, który przekazał mu

tę  
informację i sprawił,  
że Hulagh w nią uwierzył. Przeklął sam siebie za to, że potwierdził  
te dane i  
nie uznał mri za  
problem priorytetowy, lecz zajął się przede wszystkim załadunkiem  
cennych  
towarów na  
pokład Hazana oraz sprawą ludzi.  
Spróbował wstać, przekonał się jednak, że mięśnie ma nadal zbyt  
zmęczone po  
wspinaczkę na górę, by mogły z łatwością podźwignąć jego ciężar. Nie  
oszczędzono  
mu  
upokorzenia, jakim był fakt, że młode Chul musiało go uratować przed  
ponownym  
osunięciem się na podłogę. Objęło go ono ramieniem i podtrzymało z  
całą siłą.  
She'pan strzeliła palcami. Młody, arogancki kel'en siedzący u jej  
kolana  
podniósł się  
z łatwością i podtrzymał Hulagha z prawej strony.  
- To jest bardzo męczące dla baia - powiedział Chul. Hulagh przeklął  
młode w  
myśli. -  
Jest bardzo stary, she'pan. Ta długa podróż wyczerpała go, a ponadto  
szkodzi mu  
tutejsze  
powietrze.  
- Niunie - odezwała się she'pan do swego kel'ena - odprowadź baia na  
dół, do  
jego  
pojazdu.  
She'pan podniosła się bez niczyjej pomocy. Przyglądała się z twarzą  
bez wyrazu i  
niewinnymi oczyma, jak Hulagh sapał z wysiłku wywołanego posuwaniem  
się naprzód  
krok  
za krokiem. Bai nigdy nie żałował swej dawno utraconej młodości i  
związanej z  
nią łatwości  
poruszania się. Starość miała wiele zalet - rozległe wspomnienia i  
zaszczyty,  
wolność od  
strachu oraz usługi i szacunek ze strony młodych. Wśród mri jednak  
wyglądało to  
inaczej.  
Zdał sobie z palącym oburzeniem sprawę, że she'pan celowo dokonała  
tego  
porównania  
pomiędzy ich sprawnością w zaawansowanym wieku. Urządziła dla swych  
ziomków  
spektakl, demonstrując im bezradność regulskiego starszego  
pozbawionego swych  
ślizgów i  
krzeseł.  
Mri, którzy poruszali się lekko i szybko oraz zachowywali sprawność  
nawet w  
skrajnie zaawansowanym wieku, musieli uważać tę słabość za coś  
osobliwego.  
Hulagh  
zastanowił się, czy nie stroili oni sobie z tego żartów, podobnie jak  
regule z  
inteligencji mri.

Przez całe dwa tysiące dwieście dwa lata nikt nie widział, by jakiś mri wybuchnął otwartym śmiechem. Hulagh obawiał się, że teraz ich zasłonięte twarze były roześmiane. Spojrzał na oblicze Chula, by się przekonać, czy młode to rozumie. Sprawiało wrażenie jedynie oszołomionego i przestraszonego. Dyszało i sapało. Musiało na dodatek do własnego dźwigać ciężar Hulagha. Młody mri po drugiej stronie nie spoglądał bezpośrednio na żadnego z nich, lecz z szacunkiem odwrócił oczy niczym przykład dobrego wychowania. Wyrazu jego skrytej za zasłoną twarzy nie sposób było odczytać. Przeszli przez stalowe drzwi i ruszyli przyprawiającymi o zawrót głowy meandrami pomalowanych korytarzy. Wędrówka w dół po schodach przyprawiała Hulagha o straszliwe katusze. Wszystko stało się dla niego jedną plamą cierpienia, kolorów, dławiącego powietrza oraz możliwości śmiertelnego upadku. Gdy wreszcie dotarli na dół, poczuł błogosławioną ulgę. Zatrzymał się tam na chwilę, dysząc, po czym ponownie ruszył naprzód, krok za krokiem, wspierając się na Chulu i Niunie. Kiedy minęli drzwi, z radością przywitał ostre, gryzące powietrze oraz nieprzyjazne słońce. Jego zmysły odzyskały ostrość. Zatrzymał się po raz drugi i zamrugał powiekami w czerwonym świetle. Odzyskał dech w piersiach, wsparty na swych dwóch pomocnikach.

- Niunie - odezwał się, przypomniawszy sobie imię kel'ena.
- Panie? - odpowiedział młody mri.
- A gdybym wybrał ciebie, byś towarzyszył mi na statku?

Złociste oczy spojrzały prosto na niego, szerokie i - jak się zdawało - przestraszone. Hulagh nigdy nie widział u mri podobnych przejawów uczuć. Zdumiało go to.

- Panie - powiedział młody kel'en. - Mój obowiązek wiąże mnie z she'pan. Jestem jej synem. Nie mogę jej opuścić.
- Czy wszyscy nie jesteście jej synami?
- Nie, panie. Większość z nich to jej Mężowie. Ja jestem synem.
- Ale nie synem z jej ciała.

Mri wyglądał, jakby go uderzono. Był wstrząśnięty i oburzony zarazem.

- Nie, panie. Mojej prawdziwej matki już tutaj nie ma.
- Czy odleciałbyś na Hazanie!
- Gdyby she'pan mnie wysłała, panie.

Ten mri był młody. Nie było w nim dwulicowości ani skomplikowanych motywów kierujących she'pan. Młody, co prawda arogancki, lecz kogoś takiego jak ten Niun

można  
było wyszkolić i ukształtować. Hulagh utkwiał wzrok w jego twarzy,  
zasłoniętej aż  
do  
wysokości oczu, i wydała mu się ona bardziej podatna na atak, niż  
było to typowe  
dla mri.  
Podobne gapienie się było nieuprzejme, lecz Hulagh skorzystał z  
przywilejów  
przysługujących bardzo starym regulom, do ostrego i obcesowego  
obchodzenia się z  
młodymi.  
- A gdybym powiedział ci teraz, w tym momencie, żebyś wsiadł do  
ślizgu ze mną?  
Przez chwilę wydawało się, że młody mri nie wie, jak; na to  
odpowiedzieć. Być  
może  
jednak po prostu gromadził „w sobie ową rezerwę, tak ważną dla  
wojownika z jego  
gatunku.  
Oczy widoczne ponad zasłoną pełne były otwartego strachu i  
cierpienia.  
- Mógłbym ci zapewnić bezpieczeństwo - powiedział Hulagh.  
- Tylko she'pan może mnie wysłać - odpowiedział młody kel'en - a  
wiem, że tego  
nie  
zrobi.  
- Obiecała mi jednego mii.  
- Wybór, kto ma odejść, a kto zostać, zawsze był przywilejem edunu.  
Powtarzam  
ci,  
że nie pozwoli mi odejść z tobą, panie.  
Było to jasno powiedziane, a uzyskanie pozwolenia poprzez dyskusję z  
pewnością  
wymagałaby kolejnej, pełnej cierpienia wspinaczki na szczyt budowli  
oraz  
następnej debaty z  
she'pan - długiej, denerwującej i o wątpliwej skuteczności. Hulagh  
poważnie  
rozważył tę  
możliwość, odrzucił ją jednak. Spojrzał na młodą twarz, starając się  
utrwalić  
sobie w pamięci  
szczegóły, które czyniły tego mri innym od pozostałych.  
- Jak brzmi twoje imię, twoje pełne imię, kel'enie?  
- Niun s'Intel Zain-Abrin, panie.  
- Pomóż mi wsiąść do pojazdu, Niunie.  
Mri sprawiał wrażenie, że poczuł pełną niepewności ulgę, jak gdyby  
zrozumiał, że  
to  
było wszystko, o co poprosi go Hulagh. Zabrał się z całą siłą do tego  
zadania i  
ze znaczną  
pomocą Chula opuścił powoli, ostrożnie i z wielką delikatnością  
ciężkie ciało  
Hulagha na  
poduszkę. Wyczerpany bai wydał z siebie drugie westchnienie. Na  
chwilę  
zamroczyło go, gdy  
krew napłynęła mu do głowy. Następnie niecierpliwym gestem nakazał  
mri odejść.  
Przyglądał  
się, jak Niun zawraca ku drzwiom po zniszczonej erozją ścieżce. Dus u  
drzwi

podniósł głowę,  
by sprawdzić, kto idzie, po czym przekręcił nagle ciało w drugą  
stronę i położył  
się z łbem  
między przednimi łapami. Jego oddech wzbił pył w powietrze. Młody mri  
przystanął  
na  
chwilę, a następnie zniknął w głębi edunu.  
- Jedziemy - powiedział Hulagh do Chula, który uruchomił pojazd.  
Maszyna ruszyła  
naprzód z turkotem. - Młode, skontaktuj się z moim biurem i dowiedz  
się, czy  
wydarzyło się  
coś nowego - odezwał się ponownie bai.  
Z niepokojem myślał o nadlatującym statku, choć niewątpliwie  
znajdował się on  
jeszcze daleko. Martwiły go też inne sprawy, które dziś rano wydawały  
się proste  
i pewne.  
Wciągnął w płuca przyjemne oczyszczone i ogrzane powietrze  
wypełniające wehikuł  
i  
spróbował uporządkować myśli. Powstała nieznośna sytuacja. Ludzie  
mieli wkrótce  
przybyć,  
a jeśli odkryją obecność mri w pobliżu Kesrith i będą podejrzewać  
zdradę lub  
zasadzkę, mogą  
się zjawić szybciej. Mogą się zjawić znacznie szybciej.  
Niewątpliwie dojdzie do konfrontacji pomiędzy mri a ludźmi, o ile  
Hulagh nie  
zdoła  
uwolnić Kesrith oraz jej otoczenia od tych pierwszych - w taki czy  
inny sposób.  
Teraz zaś,  
gdy nagle został zmuszony do uwzględnienia w swych kalkulacjach  
she'pan Intel,  
nie potrafił  
już określić, jak stoją sprawy między mri a regulami.  
Albo między mri a ludźmi.  
- Baiu - usłyszał przez radio głos Hady Surag-gi - bądź łaskaw.  
Nawiązaliśmy  
bezpośredni kontakt z nadlatującym statkiem mri. Nazywa się Ahanal.  
- Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem, młode.  
Na moment zapadła cisza. Hulagh żałował swego wybuchu, gdyż Hada miał  
dobre  
intencje, a jego pozycja nie była godna pozazdroszczenia. Musiał się  
uporać z  
arogancją mri i  
z niecierpliwością baia jednocześnie.  
- Baiu - odezwał się bojaźliwie Hada. - Ten statek nie ma bazy na  
Kesrith, lecz  
mimo  
to zamierza lądować. Mri powiedzieli... baiu...  
- No gadaj, młode.  
-... że wylądują jutro, gdy nad kesrithańskim miastem będzie  
zachodziło słońce.  
Są już  
blisko. Niebezpiecznie blisko, baiu. Nasza stacja monitorowała  
regularne trasy  
podejścia -  
szlaki kosmiczne - ale oni je zignorowali.  
Hulagh wypuścił cicho powietrze z płuc. Powstrzymał się od  
przekleństwa.

- Bądź łaskaw - powiedział Hada.  
- Młode, co jeszcze?  
- Z miejsca odrzucili naszą sugestie, by dokowali na stacji. Chcą wylądować w porcie.  
Oznajmiliśmy im, że w myśl traktatu nie mają do tego prawa i wyjaśniliśmy, że nasze urządzenia portowe zostały uszkodzone na skutek straszliwej pogody. Nie chcieli nas słuchać.  
Powiedzieli, że potrzebne im zaopatrzenie. Zapewniliśmy ich, że mogą otrzymać je na stacji.  
Nie chcieli nas wysłuchać. Żądają pełnych zapasów oraz wyposażenia koniecznego dla statku pierwszej klasy posiadającego uzbrojenie używane w stanie wojny. Tłumaczyliśmy im, że nie jesteśmy w stanie spełnić ich żądań, lecz oni nadal się tego domagają, baiu.  
Twierdzą...  
twierdzą, że na tym statku znajduje się ponad czterystu mri. Przez grubą skórę Hulagha przebiegł dreszcz.  
- Młode - odezwał się bai - w całej znanej przestrzeni - jak nam wiadomo - ocalało jedynie pięciuset trzydziestu trzech przedstawicieli tego gatunku, z czego trzynastu znajduje się obecnie na Kesrith, a jeden niedawno zmarł.  
- Bądź łaskaw - bronił się Hada. - Baiu, jestem całkowicie pewien, że usłyszałem to dokładnie. Poprosiłem ich o powtórzenie tej liczby... Istnieje możliwość - dodał drżącym głosem Hada, sapiąc z niepokoju. - Istnieje możliwość, że są to wszyscy mri, jacy pozostali przy życiu w całym wszechświecie.  
- Zaraza i zatracenie - powiedział cicho Hulagh, poczym wyciągnął rękę, by szturchnąć Chula w ramię. - Doportu.  
- Baiu - zapytał Chul, mrugając powiekami.  
- Do portu - powtórzył Hulagh. - O młoda ignorancjo, do portu. Jedź do portu.  
Pojazd skręcił w lewo, skorygował kurs, przez pewien konieczny odcinek podążał jeszcze wzdłuż grobli, po czym na umożliwiającym przejazd terenie na skraju miasta, oddalił się od niej i pognał, podskakując, między zaroślami. Można było z niego dostrzec na przemian różowe niebo oraz odległe kesrithańskie góry lub białe, jałowe piaski i cienkie, poskręcane pnie karłowatych drzew zwanych luinami. Wszystko to pozostawiali w spadku ludziom. Niech sobie z tym robia, co chcą.  
Ponownie zaczął myśleć o mri, który popełnił samobójstwo, a także - co raz za

razem  
przyprawiało go o dreszcze - o pozostałych członkach tego gatunku,  
zmierzających  
w tej  
chwili w stronę Kesrith. Wszyscy mri, którzy żyli jeszcze, wracali na  
sвій świat  
ojczysty,  
który miał przejść pod władzę ludzi.  
Aby umrzeć?  
Chciałby mieć pewność, że było to tak proste i ostateczne.  
Powstrzymać ludzi,  
tchnąć  
nowe życie w wojnę, zniszczyć pokój, a wraz z nim reguli, a potem -  
jako że byli  
nieliczni -  
zginać i pozostawić regulski gatunek na łaskę i niełaskę  
rozwścieczonych wrogów:  
to było  
podobne do mri.  
Zaczął się zastanawiać nad tym, jaki wybór mu pozostał w sprawie  
najemników.  
Jego  
dwa serca biły ciężko ze strachu. Podobnie jak nigdy nie kłamał,  
dopóki nie  
zadał się z mri,  
tak samo nigdy nie rozważał możliwości dopuszczenia się  
własnoręcznego aktu  
przemocy,  
bez wynajmowania mri jako pośredników.  
Ślizg skręcił gwałtownie w stronę bramy portu, podskakując  
nieprzyjemnie na  
koleinach. Nawet tu wkradało się zniszczenie. Z wszechogarniającym  
lękiem  
dojrzał, że  
ponad wzgórzami leżącymi za miastem znowu gromadzą się chmury.  
Rozdział 13  
Nadszedł deszcz łagodny nieprzyjaciel, który zaczął uderzać o ściany  
edunu.  
Rozpętały się wiatry, lecz bariera gór oraz piętrzących się w pobliżu  
wysokich  
skał odarła je z  
mocy i skierowała ze świstem w stronę regulskiego miasta i portu.  
Przez całe dwa  
tysiące lat  
silne wichry ani razu nie tknęły edunu.  
Miło było w taką noc spożywać wspólny posiłek, na który wszystkie  
kasty  
gromadziły  
się w wieży she'pan. Przez cały wieczór w powietrzu wisiało osobliwe  
uczucie,  
gwałtowne i  
przyjemne, dające satysfakcję równie silną, jak huczące wichry.  
Dusei, wrażliwe  
na podobny  
nastrój, stały się tak niespokojne, że trzeba je było wygnąć z edunu,  
by  
wałęsały się owej  
nocy tam, gdzie zechca. Zniknęły w mroku wszystkie, oprócz miuk'ko  
przy bramie,  
któremu  
niepokój ogarniający świat nie przysparzał dolegliwości.  
Kel'ein byli podniesieni na duchu. Ich stare oczy lśniły. Nie  
wspomniano o  
zbliżającym się statku, znajdował się on jednak w centrum uwagi



wszystkich.  
Niun, podobnie jak inni kel'ain, poczuł nagły przypływ nadziei  
wywołany  
przybyciem  
Ahanala. Nagle otworzyły się przed nim przyprawiające o zawrót głowy  
możliwości  
i  
perspektywy. Inni. Bracia. Rywale. Wezwanie oraz nadzieja na życie.  
Ponadto, choć Niun był niedojrzały i nie miał doświadczenia w walce,  
przez co  
nie był  
nikim ważnym, mieszkał na świecie ojczystym i był członkiem jego Kel,  
zaś nade  
wszystko  
był kel'eniem she'pan. Nie był przyzwyczajony do tego uderzającego do  
głowy  
uczucia.  
Przestał być ostatnim i stał się jednym z pierwszych.  
- Nawiazaliśmy kontakt ze statkiem mri - to było wszystko, co she'pan  
powiedziała im  
dziś rano, przed przybyciem regulskiego baia. Poza jego nazwą było to  
wszystko,  
co  
wiedzieli. Pani Matka zebrała ich razem o brzasku i przemówiła do  
nich cicho i  
spokojnie.  
Było to dla niej wielkim wysiłkiem, gdyż przez większość czasu leżała  
bez  
czucia. Na chwilę  
jednak, na krótką chwilę, zjawiła się wśród nich Intel, jakiej Niun  
nigdy nie  
widział. Poczuł  
głęboki respekt dla tej nieznanym o spokojnym głosie i jasnym  
umyśle, która ze  
znajomością rzeczy mówiła o słabo monitorowanych przez reguli  
szlakach i trasach  
wiodących wokół Kesrith. Zdarzało się, że przemawiała zagadkami, to  
jednak nie  
była jedna z  
tych chwil.  
- Już niedługo - powiedziała. - Bardzo niedługo. Nie spuszczaście oka  
z reguli,  
kel'ain.  
I szybko, szybciej, niż się spodziewali, zjawił się regulski bai, by  
przedstawić  
im swe  
propozycje.  
Regule byli zaniepokojeni. Zetknęli się z czymś, co nigdy dotąd się  
nie  
wydarzyło,  
byli więc zaniepokojeni i zbici z tropu.  
- Intel - odezwał się Eddan, jej najstarszy Mąż, gdy skończyli już  
obiad i Niun  
wrócił  
do komnaty, odniósłszy naczynia do zmywalni, która - wraz z  
magazynami - była  
jedyna  
częścią wieży Kath, jaka wciąż pozostawała otwarta. - Intel, czy Kel  
może prosić  
o  
pozwolenie na zadanie pytania?  
Niun usiadł szybko pomiędzy kel'ain, podenerwowany i zarazem  
wdzięczny  
Eddanowi, że ten zaczekał na niego. Spojrzał na twarz Intel w

poszukiwaniu  
jakiejś nadziei,  
której by im nie odmówiła.  
She'pan zmarszczyła brwi.  
- Czy Kel ma zamiar zapytać o statek?  
- Tak - odparł Eddan - albo o cokolwiek, co warto wiedzieć.  
She'pan rozpostarła dłonie, udzielając pozwolenia.  
- Gdy on już wyladuje - zapytał Eddan - odlecimy czy zostaniemy?  
- Kel'ein, powiem wam tyle: dostrzegam, że przydatność Kesrith  
dobiega końca.  
Tak  
jest, odlecimy. Powiem wam też coś więcej: to, że jestem dłużna  
regulskiemu  
baiowi jednego  
kel'ena, ale nic więcej. Bardzo też wątpię, by wrócił tu po to, co mu  
obiecałam.  
Stary Liran, który zdjął z twarzy zasłonę, tak jak zrobili to wszyscy  
podczas  
spożywanego w odosobnieniu wspólnego posiłku, uśmiechnął się i  
poruszył pokrytą  
bliznami  
ręka.  
- Cóż, she'pan, Mała Matko, jeśli wróci, wyślij mnie. Chciałbym się  
przekonać,  
czy  
wszystko, co opowiadają o Nuragu, jest prawdą, a raczej się nie  
przydam przy  
budowie  
nowego edunu. Ten, choć cały popękany, jest moim domem, i jeśli nie  
mogę w nim  
pozostać,  
to, cóż, mogę ponownie przyjąć służbę.  
- Czy służba wśród Ludu nie byłaby równie dobra, Liranie?  
- Tak, Mała Matko, z pewnością - odpowiedział Liran. W jego starych  
oczach  
błysnęło zainteresowanie. Spojrzał przelotnie na Eddana. Była to  
prośba: zadawaj  
pytania,  
najstarszy. Całe Kel siedziało absolutnie nieruchomo. She'pan jednak  
uchyliła  
się od  
odpowiedzi na ich pytanie, a Eddan nie zadał następnego.  
- Sathellu - powiedziała Intel. - She'pan?  
- Przytocz na użytek Kel warunki traktatu, który zobowiązuje nas do  
służby  
regulom?  
Sathell pochylił głowę, po czym podniósł ją na nowo.  
- Słowa układu pomiędzy doch Holn a mri stanowią traktat, który każe  
nam służyć  
regulom. Istotny fragment brzmi: „Dopóki, dopóty jedynie regule i mri  
zamieszkują świat  
ojczysty, na którym spoczywa edun Ludu... albo do chwili, gdy regule  
opuszczą  
świat  
ojczysty, na którym spoczywa edun Ludu...” Jedynie tak długo jesteśmy  
zobowiązani pełnić  
służbę u reguli, gdy tylko sobie tego zażyczą. Uważam, she'pan, że  
regule  
pogwałcili już  
 ducha tego traktatu, jeśli nawet nie jego literę.  
- Z pewnością - stwierdziła she'pan - niewiele nas dzieli od tego  
punktu.  
Zawarliśmy  
kontrakt z doch Holn i doch Holn mogła powiedzieć, jak należy z nami,

postępować, lecz ten  
bai Hulagh najwyraźniej pochodzi z samego Nuragu i nie sądzę, by znał  
Lud.  
Popełnił  
poważny błąd, gdy nie zadbał bez zwłoki o to, by ewakuowano nas już  
dawno.  
- Holn postępowała mądrzej - zauważył Sathell.  
- Ale Holn nie zechciała przekazać swym następcom wszystkiego, co  
mogła im  
powiedzieć. Stara bai Solgah zachowała milczenie. Ponadto regule na  
ogół nie  
radzą się  
pisemnych notatek. Nie są oni dobrymi wojownikami, lecz na swój  
sposób potrafią  
się  
sprytnie mścić.  
Intel uśmiechnęła się. W tym zmęczonym uśmiechu kryła się pewna  
satysfakcja.  
- Czy Kel - zapytał Eddan - może prosić o pozwolenie na zadanie  
pytania?  
- Pytaj.  
- Czy sądzisz, że Holn celowo wyłączyła nas z listy aktywów, jakie  
przekazała  
temu  
baiowi Hulaghowi?  
- Tak jest, sądzę, że Holn uzna to za akt zemsty, balsam dla swej  
dumy. Bai  
Hulagh  
utracił mri. W taki właśnie sposób regule walczą pomiędzy sobą. Cóż  
to ma dla  
nas za  
znaczenie? Jestem jednak pewna jednego - powiedziała twardym tonem -  
tego, że  
Medai był  
ostatnim z moich dzieci, które odleciało na regulskim statku,  
ostatnim, które  
zginęło za  
sprawę reguli. Od tej chwili, od tej chwili kel'ain, nie  
spodziewajcie się, że  
mri będą znowu  
walczyć przeciwko mri. Nie. Nie będziemy walczyć.  
Przez całe Kel przebiegła wyczuwalna trwoga.  
- Czy Kel może zapytać... - zaczął Eddan, niewzruszenie oficjalny.  
- Nie - odparła. - Kel nie może zapytać. Powiem wam jednak coś, o  
czym  
powinniście  
wiedzieć. Liczebność Ludu uległa niebezpiecznemu zmniejszeniu. Był  
czas, gdy  
podobne  
walki dobrze nam służyły, ale z tym koniec, kel'ain, z tym koniec.  
Powiem wam  
coś, o co nie  
zapytaliście. Na statku Ahanal znajdują się wszyscy, którzy pozostali  
z Ludu. Wy  
jesteście  
resztą. Więcej nas już nie ma.  
W pokoju powiało chłodem. Nikt się nie poruszył. Niun oplótł ciasno  
ręce wokół  
kolan, starając się wchłonąć w siebie wszystko, co powiedziała Matka.  
Miał  
nadzieję, że to  
alegoria, gdyż Intel często przemawiała zagadkami, nie istniała  
jednak  
możliwość, by uznać

to za metaforę.

- Na Elagu - ciągnęła Intel wysokim, twardym głosem - regule ewakuowali swych pobratymców, a jednocześnie raz za razem rzucali przeciwko ludziom swych kel'ain.

Wezwali też tych z edunei na Mlassulu i Seleth i ich również wytracili. To jednak nie było ważne dla reguli, dla tego nowego baia, Hulagha, dla tego nowego pana przysłanego z Nuragu.

Nagle rozległ się dźwięk, odgłos uderzenia pięści w ciało. Eddan, który nigdy nie

przeklinał, zaklął.

- She'pan - powiedział później - czy Kel może zapytać...

- Nie ma już o co pytać, Eddanie - odparła Intel. - To właśnie się wydarzyło.

Kosztowało to życie dziesięciu tysięcy mri, a także statki. Nie znam ich

dokładnej liczby.

Bardzo wiele z nich należało do reguli, lecz nie miało regulskiej załogi na

pokładzie, gdyż ich właściciele bali się tam zostać. Zabili dziesięć tysięcy mri.

Przeklinam

she'panei, które

użyczyły swych dzieci na podobne przedsięwzięcie.

Delikatny pot sperlił twarz Intel. Jej skóra przybrała blady kolor.

Słysząc było

chrapliwy odgłos jej oddechu przebijający się przez dobiegający z zewnątrz

dźwięk deszczu.

Nigdy dotąd łagodna Matka nie przeklinała nikogo. Potworność, jaką była klątwa

rzucana na

she'panei, przeszywała chłodem serce, lecz na twarzy Intel nie było widać

skruchy. Niun

ostrożnie wciągnął powietrze. Wsysał je do płuc, jakby wydobywał je z ogrzanych

słońcem

południa piasków. Mięśnie zaczęły mu drżeć. Tym mocniej zaciskał dłonie w

obawie, że ktoś

to zauważy, jak gdyby w tej straszliwej chwili ktokolwiek mógł

zwrócić uwagę na

coś innego

niż bicie własnego serca.

- Mała Matko - błagał ją Sathell. - Starczy tego. Starczy.

- Kel - odparła - uważa za konieczne zadawać pytania. Nie powinny one pozostać

bez

odpowiedzi. - Przerwała na chwilę, chwytając potężne oddechy, jak gdyby

zamierzała za

chwilę dokonać czegoś koniecznego, czegoś nie cierpiącego zwłoki. -

Kel'ain -

powiedziała -

zaśpiewajcie mi Shon'jir.

Pomiędzy kel'ain nastąpiło poruszenie. Pojawiły się oznaki otwartej paniki i

trwogi.

Ona umiera - brzmiała pierwsza myśl Niuna, następna zaś: O bogowie,  
cóż to za  
fatalny omen!  
Nie potrafił wypowiedzieć słów, o które ich prosiła.  
- Czy jesteście dziećmi - zapytała swych Mężów - by wierzyć, że coś  
przynosi  
szczęście lub pecha? Zaśpiewajcie mi rytuał Przejścia.  
Popatrzyli na Eddana, który pochylił głowę w geście poddania się i  
zaczął cicho  
nucić.  
Niun przyłączył się do nich, zdezorientowany tym szaleństwem, w  
którym kazano im  
uczestniczyć.  
Od Mroku na początku  
Do Mroku na końcu,  
W Przerwie między nimi Stonce,  
Lecz potem przychodzi Mrok,  
A w tym Mroku,  
Jeden koniec.  
Od Mroku do Mroku  
To jedna podróż  
Od Mroku do Mroku  
To nasza podróż.  
Ale po Mroku,  
O bracia, o siostry,  
Przybывamy do domu.  
Intel słuchała ich z zamkniętymi oczyma. Gdy skończyli, nastąpiła długa  
cisza.  
Wreszcie jej oczy otworzyły się i spojrzała na nich wszystkich, jak  
gdyby  
przebywała gdzieś  
daleko.  
- Powiem wam - oznajmiła - rzeczy, które kel'ain wiedzieli ongiś,  
lecz które od  
tego  
czasu wyszły poza zakres wiedzy Kel. Zapamiętajcie je na nowo.  
Ogłaszam to za  
dozwolone.  
Kesrith jest jedynie przerwą, Arain zaś jednym z wielu słońc.  
Zbliżamy się do  
końca. W  
historii Ludu, kel'ain, było wiele podobnych Mroków, a regule  
zapewnili nam  
jedynie ostatni  
z wielu naszych domów. Dlatego właśnie nazywamy to Shon'jir, a w  
pospolitym  
języku  
rytuałem Przejścia. Dlatego właśnie odmawiamy go na początku i na  
końcu życia  
każdego z  
członków Ludu, a także na początku i na końcu każdej ery. Aż do  
chwili, gdy inna  
she'pan  
nakaże dzieciom twoich dzieci, Niunie, zapomnieć o tym, co wam  
powiedziałam, Kel  
może  
pamiętać.  
- Matko - powiedział, unosząc rękę, by zwrócić się do niej z  
błaganiem. - Matko,  
czy  
masz na myśli przeniesienie świata ojczystego?  
Była dla niego matką zbyt długo. Dopiero gdy wypowiedział swe  
pytanie, zdał  
sobie

sprawę, że należy się jej więcej uprzejmości. Siedział z bijącym sercem.

Spodziewał się, że Intel udzieli mu chłodnej odprawy, zapytując Eddana, czy Kel chce zadać jakieś pytanie.

Ona jednak nie zmarszczyła brwi ani nie odmówiła mu odpowiedzi.

- Niunie, zdradzę ci więcej z prawdy, byś mógł ją rozpatrzeć. Regule uważają się za starych, ale Lud jest starszy. Dwa tysiące lat, o których wiesz, to jedynie przerwa. Jesteśmy koczownikami. Powiedziałam, że Kel nie będzie walczyć, Kel jednak ma inne zadania.

Ostatni z moich synów, Kel Mroków jest inne niż Kel Przerwy. Ostatnia z moich córek, she'panat Mroków jest obowiązkiem, którego ci nie zazdrozczę. W jednej chwili przez całe Kel, od jednego do drugiego z zebranych, przebiegła fala pełnej strachu i zdumienia uwagi.

Przekazano władzę, nie faktycznie, niemniej jednak w formie deklaracji. Niun spojrział na swych dotychczasowych braci i dostrzegł ich trwożę. Spojrział na Melein i dostrzegł, że jest blada i wstrząśnięta. Zasłoniła twarz i odwróciła się od nich. Nagle poczuł się całkowicie samotny, nawet wśród Kel. Pochylił głowę i pozostał w tej pozycji, podczas gdy Eddan przyciszonym głosem błagał o pozwolenie na zadanie pytania. She'pan mu odmówiła.

- Sen pyta - odezwał się wtedy głos Sathella. Jemu zadania pytania nie można było zabronić. - She'pan, nie możemy czynić takich planów, nie naradzając się ze sobą.

- Czy to pytanie, Sen? - odparła she'pan oschłym tonem. To zderzenie woli z wola sen'antha wywołało szok, po którym nastąpiło milczenie. Niun popatrzył na nich, na jedno, a potem na drugie, przerażony faktem, że ci, którzy władali jego życiem, nie zgadzali się ze sobą.

- To jest pytanie - odrzekł Sathell.

She'pan przygryzła wargę i skinęła głową.

- Niemniej - odparła - poczyniliśmy te plany, nie naradzając się z nikim. Nie pytałam nikogo, gdy sprawiłam, że Ahanal nie wziął udziału w szaleństwie Elagu ani wtedy, gdy zachowałam naszą bazę na Kesrith, mimo że niektórzy nalegali, by ją porzucić.

Przygotowałam te plany, nie naradzając się z nikim i nie pozostawiłam

Ludowi  
żadnego  
wyboru.  
- Co spowodowało śmierć wszystkich z naszego Kath i większości z Kel,  
podczas  
gdy  
mogliśmy dostać na świat ojczysty Lushain, gdzie jest woda i łagodny  
klimat.  
Mogliśmy mieć  
bogata planetę, she'pan.  
- To stary spór - odpowiedziała cichym głosem. - Postawiłam na swoim,  
Sathellu,  
ponieważ to she'pan, nie sen'anth, kieruje Ludem. Pamiętaj o tym.  
- Sen pyta - odezwał się sen'anth drżącym głosem. - Dlaczego.  
Dlaczego to  
musiała  
być Kesrith?  
- Czy twoja wiedza jest wystarczająco obszerna? Czy znasz ostatnie  
Tajemnice,  
sen'anthu?  
- Nie - przyznał Sathell z najwyższą niechęcią.  
- Kesrith stanowiła najlepszy wybór.  
- Nie wierzę w to.  
- Powiedziałam wtedy - ciągnęła Intel stanowczym głosem - że podjęłam  
taka  
decyzję,  
jaka uważałam za trafną. To nadal jest prawda. Nie żądam od ciebie,  
byś w to  
wierzył.  
- O tym wiem - odrzekł Sathell.  
- Kesrith jest surowa. Zabija słabych. Spełniła swe zadanie.  
- Ta kuźnia Ludu, jak ją nazwałeś, spełniła swe zadanie zbyt dobrze.  
Jest nas za  
mało.  
A Elag nie pozostawił nam nic.  
- Elag pozostawił nam grupę podobną do ocalałej z Kesrith -  
stwierdziła Intel. -  
Taka,  
która przeszła przez ogień.  
- Garstkę.  
- Daliśmy Ludowi - powiedziała - miejsce, w którym mógł się  
zatrzymać.  
Pozostaniemy tutaj, dopóki ludzie nie postawią stopy na Kesrith.  
Później  
nadejdzie Mrok.  
Później decyzję będą podejmować inni niż ty i ja, Santhellu.  
Zapadła cisza. Santhell podniósł się nagle. Oparł się o ścianę, by  
się nie  
przewrócić.  
Pokonała go własna słabość.  
- A więc - powiedział - niech inni przejmą to prawo już teraz.  
Wyszedł z komnaty. Odgłos jego kroków podążał w dół wieży.  
Eddan pochylił głowę, podszedł do Intel i ujął jej dłoń.  
- Mała Matko - powiedział łagodnym głosem. - Kel udziela ci aprobaty.  
- Kel wie mało - odparła. - Nawet teraz.  
- Kel zna she'pan - odpowiedział słabym głosem, po czym spojrzał na  
wszystkich  
po  
kolei, na samym końcu na Melein.  
- Sen Melein. Przygotuj dla niej kubek.  
- Dziś w nocy go nie wypiję, Eddanie - odparła Intel. Wyras jego  
twarzy  
nakazywał  
jednak co innego. Melein skinęła głową, przystępując do milczącego

spisku  
przeciwko woli  
she'pan. Podniosła się i napełniła kubek wodą i komalem,  
przygotowując napój,  
który  
zapewni Intel odpoczynek.  
- Odejdźcie - powiedział Eddan do Kel.  
- Niun zostanie - oznajmiła Intel i Niun, który podniósł się wraz z  
pozostałymi,  
zatrzymał się.  
Na dole główne drzwi otworzyły się i zamknęły z głuchym łoskotem.  
- Bogowie - wydyszała Pasev. Rzuciła spojrzenie na Intel. - On  
opuszcza edun.  
- Pozwólcie mu odejść - nakazała Intel.  
- She'pan - w głosie Melein słyszalna była wyraźna nutka bólu. - Nie  
może  
spędzić  
całej nocy na zewnątrz przy tej pogodzie.  
- Pójdę po niego - zaproponował Debas.  
- Nie - odparła she'pan. - Pozwólcie mu odejść.  
Po chwili stało się jasne, że nic nie zmieni jej zdania. Nie można  
było w tej  
sprawie  
nic zrobić. Melein usiadła u boku Intel. Twarz wciąż miała  
zasłoniętą. Odwróciła  
wzrok.  
- Kel może odejść - powiedziała Intel. - Z wyjątkiem Niuna. Śpijcie  
dobrze,  
kel'ain.  
Eddan nie miał zamiaru odchodzić. Pozostał w komnacie, gdy inni już  
wyszli,  
Intel  
jednak odprawiła go gestem.  
- Idź już - poprosiła. - Dziś w nocy nie mogę ci już powiedzieć  
więcej, Eddanie.  
Rankiem jednak wyślij jednego z kel'ain, by obserwował port z  
wysokich skał.  
Teraz idź  
spać. Burza powstrzyma reguli przed wszelkimi działaniami, jutro  
sprawy mogą  
jednak  
wyglądać inaczej.  
- Nie - odparł Eddan - pójdę za moim bratem.  
- Bez mojego błogosławieństwa.  
- Wszystko jedno - powiedział Eddan i odwrócił się, by odejść.  
- Eddanie! - zawołała.  
Spojrzał znów na nią.  
- Zaczyna nas być zbyt mało - zauważył - byśmy mogli odbyć wiele  
podróży do  
Sil'athen. Sathell nie opuściłby Nisrenu z własnej woli. Ja również.  
Teraz nie  
opuścimy  
Kesrith. Powędrujemy do Sil'amen, on i ja. Będziemy zadowoleni.  
- Daję ci moje błogosławieństwo - powiedziała po chwili.  
- Dziękuję ci, she'pan - odrzekł.  
To było wszystko. Eddan wyszedł. Niun wpatrywał się w mrok komnaty, w  
którym  
zniknął kel'anth. Drżał mu każdy mięsień.  
Eddan i Sathell byli już praktycznie martwi. Dokonali wyboru. Sathell  
postąpił  
zgodnie ze zwyczajami swej kasty, zaś Eddan w sposób nietypowy dla  
swojej  
wyruszył w  
długą podróż razem z nim. Niun widział twarz Eddana. Nie było w niej



smutku.  
Słyszał teraz  
kroki kel'antha, który schodził szybko i lekko w dół spirali. Potem  
drzwi  
zamknęły się  
również za nim. Było pewne, że edun utracił dwóch spośród swych  
członków, i to  
wielkich.  
- Usiądźcie przy mnie - rozkazała im Intel.  
- She'pan - powiedziała Melein słabym, pełnym napięcia głosem. -  
Przygotowałam  
dla  
ciebie kubek. Wypij go, proszę.  
Podała go jej, trzymając tacę w drżących rękach. Intel przyjęła od  
niej  
naczynie,  
wypiła jego zawartość i odstawiła je z powrotem. Odchyliła się do  
tyłu w chwili,  
gdy Niun  
ukłęknał u jej lewej ręki, a Melein u prawej.  
W ten sposób spędzili wiele nocy od chwili śmierci Medaia, gdyż Intel  
spała  
niespokojnie i nie mogła zasnąć, jeśli w komnacie nikogo nie było.  
Tej nocy Niun zazdrościł jej kotnalu. Nie chciał na nią patrzeć w  
chwili, gdy  
czekała,  
aż napój zadziała. Opuścił głowę i wpatrywał się we własne dłonie  
spoczywające  
na  
kolanach. Był wstrząśnięty i zdruzgotany aż do głębi duszy.  
Eddan. Eddan i Sathell. Stanowili część całego jego życia. Łkał z  
odkryta  
twarzą. Łzy  
skąpy wały mu na dłonie. Wstydził się podnieść rękę, by je otrzeć,  
gdyż Kel nie  
wolno było  
płakać.  
- Sathell jest bardzo chory - powiedziała Intel cichym głosem - i  
dobrze  
wiedział, co  
robi. Nie sądz, że rozstaliśmy się w nienawiści. Melein to wie. Eddan  
również.  
Sathell był  
wiele wart. Nasz spór trwał długo, bardzo długo. Nigdy się ze mną nie  
zgadzał, a  
mimo to  
przez czterdzieści trzy lata służył mi dobrze. Nie mam mu za złe, że  
na koniec  
szczerze  
wyraził swe zdanie. Byliśmy przyjaciółmi. Nie czuj też żalu z powodu  
Eddana.  
Byłabym  
zaskoczona, gdyby postąpił inaczej.  
- Jesteś twarda - powiedział Niun.  
- Tak - przyznała. Jej lekkie dotknięcie zeszło w dół po jego  
ramieniu i  
odchyliło na  
bok zaidhe. Niun zrzucił ją i zwinął tkaninę w zaciśniętych  
pięściach. Głowę  
wciąż trzymał  
pochyloną, gdyż oczy miał wilgotne.  
- Mój ostatni synu - zapytała wtedy she'pan. - Czy mnie kochasz?  
To pytanie, zadane tak bezpośrednio, uderzyło w niego niczym grom. W  
tej chwili

nie  
potrafił odpowiedzieć gładko „Tak, Matko”. Nie mógł się na to zdobyć.  
- Matko - wypowiedział z trudem ten z jej licznych tytułów, który był  
najbliższy  
i  
najdroższy dla Kel.  
- Czy mnie kochasz, Niunie?  
Jej delikatne palce przebiegły przez jego grzywę i dotknęły  
wrażliwego ucha,  
przeczesując puszyste kosmyki na jego czubku w intymnym geście,  
zwykle  
dozwołonym  
jedynie dla kuzynek i kochanek.  
Oto tajemnica - mówił ten dotyk - coś ukrytego. Słuchaj uważnie.  
Brak mu było teraz siły na tajemnice. Nie zniósłby dodatkowego  
brzemienia.  
Podniósł  
ku niej wzrok, starając się udzielić jej odpowiedzi. Spokojna twarz  
she'pan  
spojrzała w dół na  
niego z wyrazem osobliwej tęsknoty.  
- Wiem - powiedziała Intel. - Siedzisz tutaj. Wykonujesz swe  
obowiązki względem  
mnie. Tak czy inaczej, jest to dobry i pobożny uczynek, moje dziecko.  
Wiem też,  
że  
pozbawiłam cię i odmówiłam ci wielu rzeczy, a także zmusiłam cię do  
wszystkiego,  
co dotąd  
zrobiłeś i co jeszcze zrobisz.  
- Wiem, że miałaś ku temu ważne powody.  
- Nie - odparła. - Jesteś kel'eniem. Nie wiesz. Wierzysz. Jest jednak  
właściwe,  
że to  
powiedziałeś. Masz zresztą rację. Jutro - jutro się przekonasz, gdy  
ujrzysz  
Ahanala. Melein...  
- Słucham, she'pan.  
- Czy czujesz żalobę po Sathellu?  
- Tak, she'pan.  
- Czy mi się sprzeciwiasz?  
- Nie, she'pan.  
- Na Ahanalu przybędzie she'pan - stwierdziła Intel. - Nie jest ona  
tak godna  
sprawowania tej funkcji, jak godną uczyniłam cię.  
- Mam tylko dwadzieścia dwa lata - sprzeciwiła się Melein. - She'pan,  
mogłabyś  
objąć  
dowództwo nad Ahanalem, ale jeśli rzuca wyzwanie, gdyby mieli to  
uczynić...  
- Niun mnie obroni i zrobi to dobrze. Obroni też cię, gdy  
nadejdzie twoja  
godzina.  
- Czy przekazujesz mi jego służbę? - spytała Melein.  
- Gdy nadejdzie czas - odparła - zrobię to. Gdy nadejdzie twój czas.  
- Nie wiem wszystkiego, co muszę wiedzieć, she'pan.  
- Zabijesz - powiedziała Intel - każdą, która spróbuje odebrać ci  
Pana. Jestem  
najstarszą ze wszystkich she'panei i przygotowałam moją następczynię  
na swój  
własny  
sposób.  
- Zgodnie z sumieniem... - sprzeciwiła się Melein.  
- Zgodnie z sumieniem - powtórzyła she'pan - słuchaj mnie i nie

zadawaj pytań.  
Narkotyki zaczął działać. Oczy Intel zaszyły mgłą. She'pan osunęła się na poduszki  
i  
znieruchomiała.  
Po pewnym czasie zasnęła głęboko.  
W Kel opowiadano, że w chwili upadku Nisrenu ludzie naprawdę wtargnęli do edunu,  
ignorując podejmowane przez mri próby wyzwania ich do a'ani. Była to pierwsza i  
najbardziej gorzka pomyłka, jaką popełnił ich gatunek w swych stosunkach z  
ludźmi.  
Żołnierze napastników wpadli do komnat. Przerażone kath'ein próbowały uciekać,  
Intel zaś  
stanęła między ludźmi a nimi i własnoręcznie podpaliła pomieszczenie.  
Nie  
wiadomo, czy  
sprawiła to sama Intel czy też ogień, lecz ludzie jej nie zaatakowali.  
Powstrzymała ich na czas  
wystarczająco długi, by niektórym spośród Kath udało się uciec.  
Wreszcie  
ustawiony w szyku  
bojowym oddział Kel zdołał dotrzeć do tej komnaty i zabrać she'pan bezpiecznie  
na regulski  
statek.  
Aż do tej nocy Niun nigdy nie był w stanie uwierzyć, by łagodna Intel mogła się  
zachować w podobny sposób.  
Rozdział 14  
Duncan usłyszał brzęczenie maszynerii. Obudziło go ono, mówiąc mu natychmiast,  
że  
Stavros czegoś potrzebuje. Dźwignął się z tapczanu i skupił swe przytępienie ze  
zmęczenia  
zmysły. Nie rozbierał się. Nie położył Stavrosa do łóżka.  
Ostrzegające przed  
burzą alarmy  
sprawiły, że przez większą część nocy panował chaos. Był moment, w którym przez  
komunikatory bez przerwy płynęły instrukcje na temat postępowania podczas burzy.  
Usłyszał, że osłony przeciwburzowe w pokoju Stavrosa cofnęły się na swe miejsce.  
Wszedł do środka i ujrzał, że alarm odwołano, a ekrany są czyste.  
Nadszedł świt,  
mroczny i  
czerwony. Przez szkło napływał jego osobliwy blask. Stavros znajdował się w  
centrum tego  
lśnienia. Sprawiał niezwykle wrażenie, spoczywając w swym ruchomym ślizgu.  
Obrócił nagle  
maszynę ze swobodnym znanstwem, by skierować ją w stronę Duncana.  
Rozjarzył się  
ekran  
komunikacyjny.  
Spójrz na zewnątrz.  
Duncan podszedł do spryskiwanego deszczem okna i wyjrzał przez nie.  
Przemknął

wzrokiem przez pustkowia z piasków i skał, po czym spojrział ku morzu  
oraz wieżom  
systemu  
uzdatniania wody. Coś tam było nie w porządku. W szeregu stojących  
jeszcze  
wczoraj wież  
widoczna była przerwa.  
Ponad wybrzeżem ciągnęła się strefa szczególnie ciemnych chmur,  
spłaszczonych  
przez wiatr, porozrywanych i porozciąganych nad morzem niczym  
bandery.  
Ekran Stavrosa ożywił się.  
Właśnie ogłoszono instrukcję: użycie wody dozwolone jedynie do picia  
i  
przygotowywania posiłków. „Drobna naprawa stacji.” Proszę o  
zachowanie  
cierpliwości.  
- Wkrótce przybędą tu ludzie - sprzeciwił się Duncan.  
Podejrzewam dalsze uszkodzenia w porcie. Regule mocno podenerwowani.  
Bai  
„nieosiągalny”.  
Deszcz osłabił wyraźnie. Na okno padały teraz już tylko pojedyncze  
krople.  
Półmrok  
stał się na chwilę czerwony, jak gdyby rozjaśniał go ogień. To  
promienie Arain  
przebijały się  
przez grubą warstwę chmur. Na długiej grani przebiegającej poza  
miastem widoczny  
był  
poruszający się cień. Spojrzenie Duncana wróciło błyskawicznie w to  
miejsce i  
skupiło się w  
jednym punkcie. Nie dostrzegł już nic.  
- Coś tam widziałem.  
Tak - powiadomił go ekran, gdy spojrział na niego. - Wiele. Wiele.  
Może powódź  
wygnała zwierzęta z ich kryjówek.  
Przez chwilę na szczycie grani widoczny był kolejny cień. Duncan  
przyjrzał się i  
dostrzegł następny, następny i następny. Jego spojrzenie obiegło  
wokoło  
otaczające ich  
wzgórza. Na tle posępnego światła widać było gromadzący się szereg  
czarnych  
kształtów,  
które poruszały się i kręciły bezładnie.  
Mri - pomyślał ze strachem.  
Nie byli to jednak mri, lecz zwierzęta. Przypominał sobie wielkie,  
niesympatyczne  
bestie znajdujące u boku martwych mri, niedźwiedziopodobne  
stworzenia, które  
potrafiły  
być tak niebezpieczne, jak na to wskazywały ich rozmiary.  
- To zwierzęta należące do mri - powiedział Stavrosowi. - Otoczyły  
cały teren.  
Regule nazywają je dusei. Kesrith to ich ojczysty świat. Przeczytaj  
swoje  
instrukcje.  
- One towarzyszą mri. Ilu ich tu przebywa? Myślałem, że tylko  
garstka.  
Tak zapewnia nas bai. Symboliczna grupka, która zostanie usunięta.  
Spojrział na horyzont. Chmury przesłaniały go bez żadnych przerw.  
Dusei stanowiły

ciągłą linię przebiegająca przez całą grań. Otaczały widocznym kręgiem obszar pomiędzy morzem a miastem. Duncan odwrócił wzrok od tego widoku. Zadrżał i ponownie spojrzął w tamtą stronę. Zastanowił się nad deszczem i charakterem terenu, po czym zatarł spocone dłonie i spojrzął na Stavrosa.

- Sir, chciałbym tam wyjść.  
- Nie - szepnął Stavros.  
- Proszę mnie posłuchać. - Duncan stwierdził, że niewygodnie mu przemawiać, gdy jest nachylony pod podobnym kątem, opadał więc na jedno kolano tak, by móc spoglądać staremu prosto w oczy i oparł dłoń na chłodnym metalu ślizgu. - Mamy tylko słowo reguli na to, że regule nie kłamią. Mamy tam na zewnątrz mri i mamy misję kolonialną, która nadleci za kilka dni. Zabrał mnie pan ze sobą. Zakładam, że przeczuwał pan, iż mogę się okazać panu przydatnym. Potrafiłbym wyjść na zewnątrz, rozejrzeć się i wrócić tak, by nikt tego nie zauważył. Może pan ukrywać fakt mojej nieobecności przez tak krótki czas. Kogo obchodzi jedno młode więcej czy mniej? Nie zauważą mnie. Niech pan pozwoli mi wyjść i przekonać się, jak wyglądają sprawy. Wkrótce przylecą te statki. Nie wiemy, jak zła jest sytuacja z wodą. Nie wiemy, w jakim stanie jest port. Czy jest pan pewien, że zawsze mówią nam prawdę? Pogoda niebezpieczna. Prawdopodobny incydent z regulami.  
- To jest coś, czego potrafię uniknąć. Na tym polega moja robota. Wiem, jak ją wykonać. Argument przekonujący. Czy możesz zagwarantować brak incydentu?  
- Daję za to głowę. Ocena trafna. Jeśli do incydentu dojdzie, obowiązuje tu regulskie prawo. Rozumiesz to. Zbadaj urządzenie, stację, port i wróć. Mogę ukryć twą nieobecność do zmierzchu.  
- Tak jest, sir. Odczuł częściową ulgę. Nie palił się zbytnio do tej misji. Zdawał sobie sprawę z ryzyka być może lepiej niż Stavros. Tym razem jednak on i czcigodny Stavros byli tego samego zdania. Lepiej było poznać niebezpieczeństwa niż je ignorować. Podniósł się, wyrzwał na zewnątrz i stwierdził, że ciemna linia dusei zniknęła

podczas  
krótkiej chwili ich rozmowy. Zamrugał powiekami, starając się  
zobaczyć coś  
poprzez mgiełkę  
deszczu, lecz nie dostrzegł w oddali wiele.  
- Sir - szepnął do Stavrosa w charakterze pożegnania. Stary pochylił  
głowę,  
nakazując  
mu odejść. Ekran się nie zapalił.  
Duncan ruszył szybko do swej kwatery i zmienił mundur. Założył  
nieprzemakalny  
uniform koloru khaki oraz wodoszczelne buty. Wszystko to wyglądało na  
tyle  
zwyczajnie, że  
nie sądził, by regule dostrzegli różnicę. Włożył do kilku kieszeni  
ciasno  
zwinięty zwój sznura,  
nóż, paczkę koncentratów i kieszonkową latarkę - wszystko co można  
tam było  
wepchnąć tak,  
by nie rzucało się w oczy z zewnątrz. Założył kaptur, chowając go pod  
kołnierz,  
i pozasuwał  
zamki błyskawiczne.  
Następnie wyszedł na korytarz, podobnie jak robił to kilka razy  
dziennie od  
chwili,  
gdy zbadał rozkład budynku. Podążył nim w lewą stronę, w kierunku  
okna pomostu  
obserwacyjnego. Na korytarzu nie było nikogo. Duncan otworzył drzwi i  
wyszedł w  
oziębione deszczem powietrze. Obszedł wokoło otoczony niskim murkiem  
pomost  
obserwacyjny i obejrzał się przez ramię, by się upewnić, czy korytarz  
za  
drzwiami nadal jest  
pusty.  
Był.  
Całkiem po prostu usiadł na krawędzi murku, złapał się jej rękoma,  
zsunął w dół  
i  
zwolnił uchwyt. Regulskie kondygnacje były niskie według ludzkich  
standardów.  
Wylądował  
na cementowym podłożu na dole. Nie był to groźny upadek. Tylko kolana  
ugięły się  
pod nim.  
Nie pozostawił na cemencie żadnych śladów. Gdy dotarł do krawędzi  
pokrytego nim  
obszaru  
i zniknął w łagodnie pofałdowanym terenie, czuł się już pewien, że  
nikt go nie  
zauważył.  
Ruszył w kierunku stacji uzdatniania wody. Założył po drodze kaptur  
uniformu,  
gdyż  
słyszał ostrzeżenia dotyczące przesyconych solami mineralnymi  
deszczów i starał  
się uniknąć  
wystawiania na nie skóry. Teraz, gdy zszedł już z pokrywającej drogi  
w mieście  
nawierzchni,  
pozostawiał w mokrym piasku wyraźnie widoczne ślady, nie sądził  
jednak, by

ktokolwiek  
miał go tropić. Czuł spore zadowolenie z powodu tej akcji, o której  
myślał przez  
wiele dni.  
Było to jałowe ćwiczenie jego profesjonalnego umysłu podczas długiej  
bezczynności w  
Nomie. Fakty wyglądały tak, że żaden regul nie mógłby dokonać tego,  
co przed  
chwilą zrobił  
on, i w związku z tym regule nie zabezpieczyli się przed podobną  
możliwością.  
Zeskok z  
murku byłby niemożliwy dla ich ciężkich, krótkonogich ciał. Podobnie  
też żaden  
regul nie  
potrafiłby doścignąć go na bezdrożach.  
Do tego potrzebny byłby mri.  
Była to jedyna ewentualność, która sprawiała, że czuł się nieco mniej  
zadowolony  
z  
siebie, niż byłoby to możliwe w podobnej sytuacji. Na początku  
podróży zażądał,  
by  
wyposażono go w broń, lecz dyplomaci nie wyrazili na to zgody.  
Uznali, że nie  
byłaby mu  
ona potrzebna i sprawiałaby wrażenie prowokacji. Z tego powodu jego  
jedynym  
uzbrojeniem  
był wojskowy nóż, który miał w kieszeni i wojownik mri zdążyłby go  
posiekać na  
drobne  
kawałeczki, zanim zdołałby zbliżyć się do niego na tyle, by móc  
zrobić użytek z  
tego  
narzędzia.  
Ewidentnym faktem było, że gdyby regule wysłali jego śladem mri,  
byłby trupem,  
sądził jednak, że o ile odważyliby się oni zrobić coś takiego,  
oznaczałoby to,  
że traktat nie jest  
nic wart, a o tym lepiej było dowiedzieć się jak najwcześniej.  
Istniała też  
możliwość, że mri  
przebywali tu w wielkiej liczbie i że regule nad nimi nie panowali.  
Gdyby tak  
było, o tym  
przede wszystkim należałoby się dowiedzieć.  
Z tego powodu posuwał się naprzód ostrożniej, niż robiłby to, gdyby  
obawiał się  
wyłącznie reguli. Obserwował granie i cienie w rozpadlinach. Nie  
zapominał też,  
by oglądać  
się za siebie. Pamiętał ciemne kształty, które poruszały się na  
wzgórzach. Dusei  
gdzieś tak się  
czaiły. Mijał ślady pozostawione przez ich łapy o długich pazurach -  
złowieszcze  
przypomnienie tego, że grasują tu łowcy inni niż regule czy mri.  
Biuletyny  
mówiły, że te  
zwierzęta nie zbliżają się do regulskich budynków. Ostrzegały też  
jednak, że nie  
zaleca się

schodzenia z dróg na obszarze nizin.  
Para tryskająca z gejzerów oraz chrząst cienkiej skorupy pod jego stopami ostrzegały Duncana, że istnieją powody tych zaleceń. Musiał posuwać się naprzód krętą trasą, omijając strefy gorąca, by dotrzeć na najniższą część nizin położoną nad brzegiem morza, nie opodal stacji uzdatniania wody. Było tam coś w rodzaju drogi prowadzącej wzdłuż wybrzeża, która była jednak paskudnie rozmyta. Część jej znajdowała się pod wodą. Regulski ślizg lądowy leżał w rowie, w miejscu, gdzie zsunął się z krawędzi. Duncan usiadł. Rzadkie, zimne powietrze sprawiło, że zabrakło mu tchu. Bolała go głowa i brzuch. Obserwował z oddali, jak regulska załoga usiłuje wydobyć pojazd. Z miejsca, w którym stał, wyraźnie widział stację uzdatniania. W niej, za otaczającym ją ogrodzeniem, również panował chaos. Wieże ciągnęły się daleko w pokrytą białymi bałwanami wodę, a kilka z nich leżało w ruinie. Sądząc z tego, co widział, nie było możliwe choćby uprzątnięcie szczątków w stopniu umożliwiającym rozpoczęcie prac naprawczych w ciągu kilku dni pozostałych do przybycia ludzkich statków. Z pewnością nie przy panującej obecnie pogodzie. Co więcej, nie dostrzegał żadnych śladów ciężkiej maszynierii niezbędnej do dokonania podobnych napraw. Oceniając realistycznie, stacja nie zostanie naprawiona w ogóle. Liczne ludzkie siły okupacyjne, które wylądują, będą musiały polegać wyłącznie na urządzeniach uzdatniających znajdujących się na statkach. Będzie to irytujące, lecz możliwe do przeprowadzenia, o ile będą mieli gdzie wylądować. Spojrzał w prawo, wzdłuż linii brzegowej, w stronę miasta i dalej, gdzie mógł dostrzec niskie zarysy Nomu. Nie było tam żadnego budynku wystarczająco wysokiego, by zasłaniał widok na port. Rozpoznał Hazana. Jego obcy kształt otaczała metalowa pajęczyna suwnic bramowych. Nie było sposobu, by posadzić statek na wulkanicznej skorupie, która pokrywała większą część nizin. Jeśli port był w takim samym stanie jak stacja uzdatniania



wody, to gdy  
ludzkie siły spróbują wylądować, zapanuje kompletny misz-masz. A  
regule nie  
raczyli ich  
nawet poinformować o zakresie uszkodzeń urządzeń stacji. Nie okłamali  
ich, nie  
zdradzili też  
jednak dobrowolnie prawdy.  
Wciągnął w płuca zanieczyszczone powietrze i obejrzał się nagle za  
siebie. Z  
trwogą  
zdał sobie sprawę, że przez kilka sekund myślał o czymś zupełnie  
innym niż  
własne  
bezpieczeństwo. Horyzont był czysty. Widać było jedynie chmury.  
Człowiek nie  
zawsze miał  
tyle szczęścia w chwilach, gdy popełnił błąd. Wypuścił powoli  
powietrze z płuc i  
podniósł  
się. Czuł pulsowanie w głowie oraz walenie serca wywołane  
rozrzedzonym  
powietrzem.  
Wypatrzył trasę, która pozwoliłaby mu ominąć grupę niskich skał oraz  
piaszczystą  
mieliznę i  
w ten sposób przemknąć się pomiędzy miastem a morzem w kierunku  
portu. Mówiono,  
że  
regule mają słaby wzrok, a właściwie, że wszystkie ich zmysły są  
kiepskie. Miał  
nadzieję, że  
tak jest w istocie.  
Stavros, siedzący w objęciach swej regulskiej maszyny, powiedział, że  
potrafi  
ukryć  
jego nieobecność. Duncan sądził, że może on dobrze sobie radzić z  
podobnymi  
rzeczami,  
gdyż był biegły w dyskusjach i wprowadzaniu w błąd przeciwnika.  
Tutaj, na zewnątrz, Duncan znał swoją robotę. Czuł całkowitą pewność,  
że  
instynkt  
trafnie podpowiedział Stavrosowi, by wybrał sobie jako towarzysza  
podróży na  
Kesrith  
żołnierza NST. Stary nie wydał mu rozkazu. Zdał się spokojnie na  
niego. Czekał,  
aż Duncan  
przystąpi do dzieła z własnej inicjatywy. Być może rozumiał, że  
człowiek  
wyszkolony w  
opanowywaniu obcego środowiska potrafi wyczuć odpowiedni moment.  
Nie mógł sobie pozwolić na popełnienie błędu. Czuł strach, innego  
rodzaju niż  
towarzyszający mu w dotychczasowych misjach. Działał już uprzednio sam.  
Siał  
zniszczenie, a  
potem uciekał. Jego własne życie lub śmierć zależały tylko od niego.  
Nie był  
jednak  
przyzwyczajony, by na jego barkach spoczywała odpowiedzialność za  
innych -  
ciężar

podjęcia decyzji, czy licząca sobie setki członków ekspedycja, której implikacje polityczne sięgały daleko poza Kesrith, może wylądować tu bezpiecznie. Nie podobało mu się to. Nie podobało mu się to w najmniejszym stopniu. Chętnie przekazałby tę odpowiedzialność komuś wyżej postawionemu, lecz Stavros, przykuty do swej maszyny, musiał zaufać regulom albo własnemu adiutantowi, a ten ostatni rozpaczliwie pragnął udzielić mu właściwej odpowiedzi.

Rozdział 15

Edun przebudził się spokojnie. Lud przystąpił cicho do codziennych czynności.

Niun

wrócił do wieży Kel. Wydawało się teraz, że panuje w niej pustka. Jej mieszkańcy

siedzieli

pograżeni w żałobie. Eddan nie wrócił, zaś oczy Pasev były podkrażone w sposób,

który

świadczył, że nie zaznała ona wiele snu. Siedziała jednak z

odsłoniętą twarzą,

panując nad

emocjami. Niun podał jej przy śniadaniu specjalną porcję. Zrobiło mu się

przykro, gdy nie

chciała jej zjeść.

Po posiłku bracia Liran i Debas naradzili się ze sobą, podnieśli,

założyli pasy

ze

wszystkimi swymi odznaczeniami, a także mez'ain i zaidh'ain, po czym

pożegnali

się z

pozostałymi.

- Czy wszyscy odejdziecie? - zapytał przerażony Niun, nieroztropnie i niestosownie.

Spojrzał na Pasev, która miała najwięcej powodów, by odejść, lecz nie zrobiła

tego.

- Możecie być potrzebni - powiedziała do braci.

- Pójdziemy teraz. Poranek jest piękny - odparł Liran. - Może

znajdziemy Eddana

i

Sathella.

- W takim razie powiedzcie Eddanowi - rzekła cicho - że pójde w ślad za nim, gdy

już

uporam się z obowiązkami, które mi pozostawił. Żegnajcie, bracia.

- Żegnajcie - powiedzieli obaj.

- Żegnajcie - powtórzyła jak echo resztki Kel. Bracia wyszli z wieży i ruszyli

razem

ścieżką.

Niun stał w drzwiach i spoglądał w ślad za nimi. Ogarnęła go głęboka melancholia.

Czuł ucisk w gardle na myśl, że już nigdy ich nie zobaczy. Dwa

odziane w czerń

kształty

wędrowały ku horyzontowi. Niebo przesłaniały groźnie wyglądające

chmury.

Zabrakło im w

tej podróży nawet pociechy płynącej z towarzystwa ich dusei, gdyż  
żadne ze  
zwierząt nie  
wróciło do domu. Zniknął również miuk'ko spod drzwi. Być może znalazł  
śmierć w  
czasie  
burzy. Dusei odchodziły w ustronne miejsce, by umrzeć w samotności,  
podobnie jak  
kel'ain,  
którzy nie widzieli już dla siebie żadnej nadziei.  
Byli wierni Intel, pomyślał, i wierni Kesrith. Przewidywali, że  
nadszedł kres  
ich obu.  
Nie mogli już w niczym pomóc, odeszli więc, przypiąwszy swe  
odznaczenia, nie  
żądając  
pochówku od młodego kel'ena, który był zbyt przeciążony obowiązkami,  
by zająć  
się nimi.  
W nocy odśpiewali obrządki. Wszyscy wiedzieli, że to zły omen. Było  
to tak, jak  
gdyby odśpiewali je nad samą Kesrith. Niun nagle zdał sobie sprawę,  
że bardzo  
niewielu  
spośród starych wsiądzie na pokład statku.  
Nie chcieli marzenia Intel. Ukazała im prawdę, kryjącą się za  
obrządkami, a oni  
jej nie  
chcieli. Rozumieli tylko stare, znajome zwyczaje.  
Obiecała im zmianę, a oni ją odrzucili.  
Niun został ukształtowany w inny sposób. Uformowały go ręce Intel  
oraz jej  
życzenia,  
zaś lojalność dla Melein wiąże go z marzeniem starej she'pan.  
Spojrzał na  
przesmyk  
pomiędzy skałami, w którym zniknęli bracia. Mógłby teraz rozplakać  
się w głos,  
gdyż nagle  
zrozumiał ich, a także siebie. Pojął, że Pasev będzie wolała podążyć  
za nimi niż  
poprowadzić  
statek w nieznaną, którego nie pragnęła. Za nią pójda inni. Nosił  
jednolicie  
czarną szatę bez  
odznaczeń. Nie sprawdził się w boju. Ukształowano go z myślą o innym  
życiu.  
„Kel Mroków jest inne” - powiedziała Intel.  
To Niun już teraz stał w Mroku, oni zaś odeszli od cienia ku temu, co  
znali.  
Odwrócił się, by wrócić do edunu w nadziei, że Kaplica przyniesie mu  
pociechę w  
tym jego nastroju. Serce zmroziło mu to, co ujrzał na niżej  
położonych graniach.  
Posuwał się  
po nich jeden szereg cieni za drugim.  
Dusei.  
Otoczyły regulskie miasto pierścieniem wszędzie, gdzie tylko mogły  
znaleźć  
twardy  
grunt. Ha-dusei, dzikie i niebezpieczne. Dusei z edunu nie wróciły. A  
ha-dusei  
było tam za  
dużo. O wiele za dużo.

Na niebie ponad jego głową kłębiły się chmury, splamione czerwienią i ponurą szarością. Dusei, przyjaciele burzy, znalazły się na pogodzie. W dniach poprzedzających wzniesienie edunu przychodziły tu w dół do wodopoju. Płaskie niziny nazywano Dusową Równiną. Nadeszły, jak gdyby wyczuły zmianę w kierunku wiatrów, jak gdyby czekały na odlot reguli, który odda z powrotem Dusową Równinę w ich władanie. Czekwały. Mówiono, iż regule byli tak uparci, że zignorowali ostrzeżenie dawnych mri, którzy powiedzieli im otwarcie, że powinni wybudować swe miasto gdzie indziej, podobnie jak sam edun rozważnie umiejscowiono poza równiną, na znak szacunku dla więzi między mri a dusei. Regule pragnęli jednak mieć skałę, na której mogłyby lądować ich statki, a gdy zbadali całą okolicę znaleźli w pobliżu morza odpowiednie dla budowy portu podłoże jedynie na Dusowej Równinie. Dlatego rozpoczęli swe prace w tym miejscu. Wyrosło tam miasto, a ha-dusei odeszły. Teraz jednak wróciły, wraz z nietypowymi dla tej pory roku deszczami oraz niszczycielskimi wiatrami. Siedziały i czekały. I porzuciły nawet mri. Wzruszył ramionami w geście, który był na wpół drżeniem, i wszedł do środka. Zatrzymał się jednak, nie chcąc przekazywać podobnych wieści Kel ani she'pan. Kel było w żałobie, zaś she'pan wciąż trwała pogrążona w snach. Melein natomiast, jej Wybranka, zasłoniła twarz i zamknęła się sama w wieży Sen. Wysłał ku niebu, poprzez skupione ponad nim spiralne korytarze, pełną tęsknoty myśl, by Ahanal przybył jak najszybciej. Nie sądził, żeby był w stanie znieść nie kończące się godziny, które dzieliły go od wieczoru. Każda czynność, którą miał zamiar dziś wykonać, stała się teraz bezsensowna, gdyż do tego domu nie mieli już nigdy wrócić, na zewnątrz zaś pogoda wytworzyła atmosferę grozy. Błyskawice połyskiwały w chmurach i słychać było gromy. Usiadł więc w wejściu i obserwował rozciągające się w dole niziny, pióropusze gejzerów, przewidywalne jak upływ godzin oraz chmury niesione i rozrywane przez wiejące z

siłą huraganu wichry. Dzień był zimny, jak niewiele dni na Kesrith.  
Niun drżał,  
obserwując  
ciężkie krople spadające w kałuże, w których niebo przeglądało się  
niczym ogień  
w cynowym  
naczyniu.  
Po mokrym piasku kroczyło jakieś ciężkie ciało. Dał się słyszeć  
sapiący oddech.  
Wielki dus wylazł powoli z za rogu z nisko zwieszoną głową. Za nim  
pojawiły się  
inne.  
Przerażony Niun dźwignął się na nogi, niepewny ich nastroju.  
Przemoczone  
zwierzęta o  
ubłoconych łapach odpychały go jednak nosem na bok i wchodziły do  
wnętrza edunu,  
wydając z siebie ten chrapliwy odgłos, który był typowy dla głodnego  
i w  
znacznym stopniu  
zniecierpliwionego dusa. Policzył je, gdy wchodziły: raz, dwa, trzy,  
cztery,  
pięć, sześć.  
Ostatni, jako siódmy, przyszedł miuk'ko, przemoczony i wychudzony.  
Rzucił się na  
ziemię  
pośrodku kałuży znajdującej się u podstawy pochyłych ścian i zaczął  
chłęptać,  
potężnymi  
poruszeniami szarego języka, wodę znajdującą się pomiędzy jego  
wielkimi łapami.  
Trzy nie wróciły. Niun czekał. Narastały w nim jednocześnie ulga i  
niepokój -  
ulga  
dlatego, że osierocony dus był niebezpieczny i godny politowania,  
niepokój zaś,  
gdyż nie  
mógł odgadnąć, w jaki sposób się o wszystkim dowiedziały. Być może  
zaginiona  
trójka  
napotkała swoich kel'ein.  
A może, dzięki osobliwemu zmysłowi dusei, poznały prawdę i odszukały  
ich. Być  
może były już daleko w drodze do Sil'athen. Miał szczerą nadzieję, że  
tak  
właśnie było.  
Rozwiązanie takie byłoby najlepsze zarówno dla kel'ein, jak i dla  
dusei.  
Udał się do magazynów mieszczących się w piwnicach Kath. O dusei  
trzeba było  
zadbać. W pierwszej kolejności zajął się miuk'ko, który wreszcie  
opuścił swój  
żałobny  
posterunek, a potem wrócił. Miał nadzieję, że nastawienie zwierzęcia  
uległo  
zmianie. Dus nie  
chciał jeść. Być może, pomyślał Niun, najadł się podczas długich  
godzin  
wędrówki. Nie  
wierzył jednak w to. Zostawił jedzenie na suchej krawędzi ganku i  
poszedł po  
porcje dla  
pozostałych.  
Nie licząc upartych i nie okazujących szacunku dusei oraz pogrążonej

w żałobie w  
swej wieży Melein, edun wypełniały już tylko sny. Poczucie  
nieodwołalności  
zawisło nad  
wszystkim: nad dusem u bramy, starymi mężczyznami i starymi  
kobietami. Niun  
wykonywał  
swe zadania ukradkiem, zachowując absolutną ciszę, jak gdyby żyjąc  
jeszcze  
wędrował po  
grotach Sil'athen.  
Wieczorem zaś przyleciał statek.  
She'pan spała, gdy usłyszeli, jak maszyna schodzi do lądowania.  
Wszyscy, którzy pozostali z Kel, wybiegli na drogę, by go zobaczyć.  
Na ich  
zmęczonych twarzach pojawiły się uśmiechy, lecz serce Niuna pełne  
było złych  
przeczuć.  
Dahacha ujął pod wpływem impulsu jego ramię i ścisnął je mocno. Niun  
spojrzał  
prosto w  
słońce i poczuł, że spływa na nich niewypowiedziane błogosławieństwo.  
- Dahacho - szepnął. - Czy przynajmniej ty polecisz?  
- My, którzy nie odeszliśmy, polecimy - odparł stary. - Nie wyślemy  
cię samego,  
Niunie Zain-Abrin. Pogodziliśmy się już z tym, co się stało. Gdyby  
tak nie było,  
poszlibyśmy  
z Eddanem, jak Liran i Debas.  
- Tak - dorzucił stojący po drugiej stronie Palazi. - Porozmawiamy  
też z  
kel'anth.  
Niun zorientował się nagle - jakby uderzono go w obolałe miejsce - że  
to słowo  
odnosiło się teraz do Pasev.  
Widoczne było poruszenie wywołane lądowaniem statku. Zapalono  
światła. Blask  
regulskich reflektorów popełznął ruchem węża ku przeciwległej stronie  
ładowiska,  
tworząc  
łunę na wpół widoczną w czerwonym świetle zmierzchu. Regulskie oczy  
nie były  
przystosowane do widzenia w nocy.  
- Chodźcie - powiedziała Pasev. Podażyli za nią korytarzami ku wieży  
she'pan.  
Była tam Melein. Siedziała u boku Intel. Dotknęła jej dłoni, próbując  
ją  
obudzić, lecz  
to Pasev uścisnęła mocno ramię she'pan i potrząśnięciem wydobyła ją z  
jej snów.  
- She'pan - powiedziała. - She'pan, przyleciał statek.  
- Co z regulami? - Ze złocistych oczu she'pan zniknął senny wyraz.  
Odzyskały  
bystrość, skupione i walczące o panowanie nad sobą. - Jak zareagowali  
na to  
regule?  
- Nie wiemy tego jeszcze - odparła Pasev. - Wciąż panuje wśród nich  
podniecenie.  
To  
wszystko, co zaobserwowaliśmy.  
Intel skinęła głową.  
- Żadnych kontaktów przez radio. Regule będą podsłuchiwać. Ahanal  
również  
zachowa podobną ostrożność.

Szamotała się z poduszkami. Na jej twarzy pojawił się słaby grymas bólu. Melein poprawiła jej posłanie. Intel westchnęła. Przez chwilę oddychała swobodnie.

- Mała Matko - zapytał Dahacha - czy mamy cię zanieść do statku? Możemy tego dokonać.

- Nie - odparła ze smutnym uśmiechem. - She'pan jest strażniczką Pana. Nie mogę wejść na żaden statek, dopóki nie zostanie wreszcie zwolniona z tego obowiązku.

- W takim razie - zaproponował wtedy Dahacha - pozwól nam przynajmniej wynieść się na drogę, byś mogła popatrzeć w stronę portu.

- Nie - odparła stanowczo Intel. Dotknęła dłoni Dahachy spoczywającej na ramieniu jej fotela i uśmiechnęła się. - Nie obawiaj się. Jestem w pełni władz umysłowych i panuję nad tym edunem i światem. Nie ulegnie to zmianie aż do chwili, gdy będę pewna, że nadszedł mój czas, wasz zaś nie nadejdzie przed moim. Czy mnie słyszycie?

- Tak jest - odparła Pasev. Intel spojrzała w oczy kel'anth i skinęła głową, usatysfakcjonowana. Później jednak przesunęła wzrokiem po pokoju i - być może - policzyła twarze. Jej oczy zachmurzyły się.

- Liran i Debas odeszli jakiś czas temu - wyjaśniła Pasev. - Pożegnaliśmy się z nimi.

- Udzielam im błogosławieństwa - szepnęła sumiennie Intel. Pasev pochyliła głowę na znak, że rozumie.

- Służę she'pan - powiedziała - dopóki nie zostanie zwolniona. Jest nas jeszcze wystarczająco wielu, by zrobić to, co pozostało do zrobienia.

- Nie zajmie nam to dużo czasu - odparła Intel. - Niunie, dziecko - powiedziała, wyciągając rękę. Uklęknął obok jej kolana i ujął podaną dłoń. Pochylił gołą głowę, pozwalając, by jej dotknęła. Poczul, jak jej palce wyslizgują się z jego uścisku i udzielają mu gestem błogosławieństwa.

- Udaj się do statku na przełaj - powiedziała - i porozmawiaj z gośćmi twarzą w twarz. Wysłuchaj tego, co mają do powiedzenia. Udzielaj mądrych odpowiedzi. Możesz być zmuszony do samodzielnego podejmowania decyzji, młody kel'enie. Nie postępuj nierozważnie. Już niemal przestaliśmy służyć regulom. Coś przesunęło się nad jego pochyloną głowę. Poczul ciężar, który zawisł na jego szyi. Gdy dotknął przedmiotu, jego palce zamknęły się na zimnym metalu. Odwrócił zawieszony na łańcuchu amulet, spojrzał na niego i dostrzegł otwartą dłoń - godło Edun

Kesrithun. Miękkie jak jedwab palce Intel dotknęły jego brody i uniosły mu twarz tak, że spojrzał jej prosto w oczy.  
- Tylko jedno j'tal - powiedziała cichym głosem - ale za to najwyższej rangi.  
Czy je rozpoznajesz, mój ostatni synu?  
- To odznaczenie kel'ena, she'pan - odparł.  
- Spisz się dobrze - powiedziała. - I pośpiesz się. Czas jest teraz ważny.  
Odepchnęła go lekko palcami. Niun wstał. Niemal obawiał się spojrzenia pozostałych  
- kel'ein, którzy mogliby zostać zaszczytzeni podobnym j'tal, podczas gdy otrzymał je on, najmłodszy i najmniej zasłużony z nich. W ich oczach nie było jednak zazdrości, a jedynie zadowolenie, jak gdyby było to coś, co do czego wszyscy byli zgodni. Niun zdjął domową szatę. Tam, w komnacie she'pan, wszyscy pomogli mu w przygotowaniach do podróży. Pośpiesznie przynieśli mu sigę, którą powinien założyć na czas wędrówki przez piaszczysty teren, a także zaidhe i mez. Dali mu własną broń - zarówno yin'ein, jak i zahen'ein - lepszą niż należąca do niego. Palazi uśmiechnął się, roześmiał, by zdezawuować przesad starszy niż pamięć Ludu, po czym odpiął z jednego ze swych pasów amulet wyobrażający wojownika-dziewicę i wręczył go Niunowi, użyczając mu swego szczęścia.  
- Lat i zaszczytów - powiedział Palazi.  
Niun uściskał starego kel'ena, a także pozostałych, po czym powrócił do she'pan, by po raz ostatni pokłonić się pośpiesznie u jej stóp. Serce waliło mu z podniecenia. Gdy jednak otrzymał od niej pocałunek w czoło, nie pozwoliła mu odejść natychmiast, lecz wpatrzyła się w jego twarz w sposób taki, że zmroziło to w nim całą krew.  
- Jesteś piękny - powiedziała she'pan. Jej złociste oczy pełne były łez. - Czuję wielki strach. Bądź ostrożny, najmłodszy synu.  
Lud nie wierzył już zbyt w przeczucia. Podobnie też Niun nie pokładał właściwie zbyt wielkiego zaufania w życzeniu szczęścia, jakie złożył mu Palazi. Mimo to zadrżał, usłyszawszy słowa she'pan. Istniał rozum reguły i rozum mri, a zawsze wierzyć jedynie w to, co zostało potwierdzone przez doświadczenie, było zwyczajem tych pierwszych, nie drugich.



Kimś, kto przeżył tyle lat, co Intel, mogły kierować przesłanki, których Niun nie rozumiał. Całe życie spędził w obecności rzeczy zakazanych i niepojętych, a większość z nich wiązała się z she'pan Intel. She'pan była strażniczką tajemnic. - Będę ostrożny - zapewnił. She'pan pozwoliła mu odejść. Wstając, unikał spojrzenia Melein, gdyż jeśli she'pan i jej Wybranka dzieliły ze sobą jakieś tyczące go myśli, nie chciał zabierać ich ze sobą na tę misję. - Nie ufaj żadnemu z reguli - powiedziała kel'anth. - Przyglądaj się uważnie wszystkiemu, na co patrzysz. - Tak - zgodził się z przejęciem. Ujął dłonie Pasev i ścisnął je delikatnie w geście pożegnania z braćmi i siostrą ze swej kasty. Odwrócił się pośpiesznie i odszedł. Długie kroki zaniosły go szybko w dół po spiralnych schodach, obok napisów mówiących o historii i bohaterach Ludu, a także zawierających prawdę o wszystkich rzeczach, do których czyniła aluzje Intel. Niun nie potrafił ich odczytać, czuł jednak owego dnia znaczenie tej pamiątki po przodkach. Wszystko, wszystko, czego pragnęła Intel, spadło na niego. Potrafiła na koniec pozwolić mu odejść, rzucić go niczym as'ei w sho'nai. Nie utraciła go jednak. Ci starcy wylali w niego zbyt wiele miłości, by mógł zawieść nadzieje Eddana, Intel, Pasev, Debasa i Lirana. Upewnili się, że mu się uda, zanim wysłali go z misją she'pan. Wyszedł w noc przez główne drzwi i zamknął je za sobą. Ujrzał cień spoczywającego obok nich potwornego cielska miuk'ko. Wielka głowa uniosła się. Niewidoczne oczy spojrzały na niego w ciemności. Może - pomyślał z optymizmem, którego nie zniweczyły stukrotnie powtarzane próby - może tym razem. Dobrze byłoby, gdyby wreszcie się udało. On potrzebuje mnie, a ja jego. Dus jednak tylko wydał z siebie pomruk, odwrócił się i ułożył masywną głowę w błocie. Nie można było stwierdzić, czy był samcem, samicą czy też żadnym z nich. Nikt nigdy nie potrafił rozróżnić, rozpoznać płci dusa ani nie odgadł, dlaczego przychodziły one do jednego mri, a nie chciały przychodzić do innego. Niun nie umiał się domyślić, czy ten dus zrozumiał już, że Medai nigdy nie wróci i był pogrążony w żałobie, czy też głodował z

czystej głupoty, gdyż czekał, by jego pan go nakarmił.  
Ruszył przed siebie ze smutnym wzruszeniem ramion. Przeszedł obok  
dusa, niemal  
się  
nie zatrzymując. Tym razem sytuacja wyglądała inaczej niż podczas  
poprzednich  
spotkań,  
gdyż sprawy, których dus nie pojmował, zmieniły się, właśnie się  
zmieniały, bądź  
miały się  
zmienić i odrzucając go, zwierzę wydawało na siebie wyrok.  
Zapewne ludzie wytępią dusei. Regule chętnie by to zrobili, gdyby nie  
opieka  
mri.  
Rozmiary oraz powolne, znamionujące siłę ruchy dusei przywodziły na  
myśl reguli,  
lecz  
regule żywili instynktowną nienawiść do tych zwierząt. Nie potrafili  
- w  
przeciwieństwie do  
mri - uodpornić się na działanie jadu zawartego w pazurach ani - w  
przeciwieństwie do mri -  
podać się prostocie dusei. Dlatego uciekali przed nimi.  
Niepokój, jaki pozostał w nim po kontakcie z dusem, towarzyszył  
Niunowi podczas  
wędrowki ku nizinom, ku upiornym pióropuszm gejzerów, wznoszącym się  
pod  
rozrywaniem wiatrem chmurami. Czuł zapach wichru oraz jego znajomą  
moc, jak  
gdyby był  
on jakąś żywą istotą.  
Złapał się na tym, że gdy patrzy na mijane miejsca, które znał i  
oglądał przez  
całe  
życie, za każdym razem myśli: to już pewnie ostatni raz. W sercu czuł  
podniecenie, zaś w  
żołądku niepewne uczucie, które bynajmniej nie było bohaterskie ani  
radosne.  
Zmysły miał  
otwarte na cały świat: zapach ziemi, cierpki i mokry, czy wilgotny  
gorący oddech  
gejzerów, z  
których każdy miał swą nazwę oraz odrębne zwyczaje.  
Jego świat.  
Świat ojczysty.  
Kasta Kel była ulotna jak wiatr, lecz jej członkowie potrafili kochać  
rodzinne  
strony  
ojczyste. Pomyślał nagle, że nie wiedzą, dokąd się udają, że Intel  
mówiła o  
Mroku, jak gdyby  
był on miejscem, jak gdyby posiadał rozmiar, głębię i trwałość,  
niczym świat.  
Zdał sobie  
sprawę, że po opuszczeniu Kesrith może już nigdy nie poczuć ziemi pod  
stopami.  
She'pan  
zapewniała, że w Mroku kryje się obietnica, nie potrafił sobie jednak  
wyobrazić,  
co on  
obiecuje.  
Od tej chwili będzie miał do czynienia z kel'ein, którzy nie byli  
starzy i nie  
zastanawiali się nad wszystkim długo, z kel'ein, którzy znali jedynie

wojnę i  
jeśli obraziło się  
ich dumę i przywileje kasty, mogli okazać drażliwość w sposób nigdy  
nie  
spotykany wśród  
łagodnych członków Kel z Kesrith.  
Będzie żył wśród Kel złożonego z obcych, gdzie będą kath'ein, które  
będą  
należały do  
niego, gdy tylko sobie tego życzy, gdzie będzie miał szansę spłodzić  
dzieci i  
ujrzeć swą  
prywatną nieśmiertelność. Będzie synem jednej she'pan i prawdziwym  
bratem  
drugiej,  
otoczonym zaszczytami na równi ze wszystkimi fen'ein, Mężami, jakich  
sobie  
wybierze, by  
spłodzili jej dzieci z kel'e'ein i kath'ein z edunu, pod warunkiem,  
że przeżyje  
walkę o  
sukcesję.  
Rozpostarła się przed nim oszałamiająca obfitość rozmaitych  
możliwości.  
Przyszłość  
pełna była spraw, które nie były banalne, przewidywalne ani pewne.  
Maszerował szybko poprzez miejsca, gdzie drogę przesłaniały mu para  
wodna i  
opary  
siarki, gdzie woda skapywała z niedawno opryskanych przez gejzer  
skał, a ukryte  
pod ziemią  
gorąco przygotowywało następne erupcje. Czas miał wymierzony co do  
mgnienia oka.  
Po  
prawej stronie rozciągała się cienka skorupa. W wielu miejscach pod  
powierzchnią  
kryła się  
tutaj wrząca woda i błoto. Grań, po której szedł Niun, mogła  
wytrzymać ciężar  
mri, ale nie  
dusa czy regula. Ci ostatni otrzymali gorzką nauczkę od  
kesrithańskich nizin i  
nie oddalali się  
już teraz od swych bezpiecznych wehikułów i samolotów oraz budowanych  
w  
starannie  
wybranych miejscach dróg i lądowisk. Upłynie wiele czasu, zanim  
ludzie poznają  
tę krainę, o  
ile w ogóle odważą się opuszczać bezpieczne regulskie miasto. Z  
pewnością  
niektórzy z nich  
zginą. Przytrafiło się to też garstce mri.  
Mogło go już przestać obchodzić, co zrobią ludzie. Członkowie Ludu  
zbiórą się i  
odleca wszyscy - Dahacha, Palazi i pozostali, a także Intel. Namówią  
ją do tego,  
choć była  
stara i bardzo zmęczona walką. Mogła im towarzyszyć przynajmniej na  
początku  
podróży.  
Będą wtedy w stanie odlecieć, nawet nie pragnąc spoglądać za siebie.  
Wreszcie spojrział w dół z długiej, białej grani wznoszącej się nad

portem i  
ujrzał  
kształt regulskiego statku Hazan, a naprzeciwko niego nowo przybyłego  
Ahanala.  
Ahanal -  
czyli prędko.  
Ześlizgnął się ze skapanej w świetle księżyców grani, wzbijając w  
górze obłoki  
białego  
piasku, i przeszedł po długim zboczach na niżej położony teren. Wśród  
skał  
przemknął jakiś  
cień, wielki i groźnie wyglądający. Niun odwrócił się z dłonią  
zaciśniętą na  
kolbie pistoletu i  
spojrzał w górę na ociążałą postać, która wspięła się na grani.  
Ha-dus. Przez chwilę Niun nie oddychał ani nie poruszał się. Pojawiły  
się  
jeszcze trzy  
dusei. Wielkie bestie potrafiły skradać się bezszelestnie, nie  
podkradały się  
jednak do niego.  
Niun zakłócił jedynie ich czuwanie. Wciąż się nie poruszał, na znak  
szacunku dla  
ich prawa,  
by być tutaj. Dusei powąchały powietrze, popatrzyły na niego małymi  
oczkami, aż  
wreszcie  
wydały z siebie ów buchający, pytający dźwięk, który wskazywał, że  
nie są w  
wojowniczym  
nastroju.  
Wybaczcie, bracia - przemknęło przez jego umysł. Był to najlepszy  
sposób na  
postępowanie z nieznanym, narowistym dusem. Cofnął się o kilka  
kroków, zanim  
ponownie  
ruszył chyłkiem w poprzednim kierunku. To był język zrozumiały dla  
dusa, kwestia  
tego,  
jakie ruchy się wykonywało, a jakich nie.  
Jego ręka przeniosła się z pistoletu na amulet na piersi. Nie był to  
odpowiedni  
moment, by narażać życie w kontaktach z ha-dusei. W najmniejszym  
stopniu.  
Posuwał się  
teraz naprzód wolniej i ostrożniej, pamiętając o ostrzeżeniu Pasę v,  
która  
kazała mu robić  
użytek z oczu i rozumu.  
Pozwoliły mu odejść. Gdy obejrzał się za siebie, już ich tam nie  
było. Zszedł z  
białej  
ziemi na sztuczną nawierzchnię, która pokrywała twardą skałę terenów  
otaczających miasto  
od północy. Wznosił się tam płot, śmieszna siatka z drutu, która nie  
mogłaby  
powstrzymać  
nikogo naprawdę zdeterminowanego. Nie na Kesrith. Wypalił w niej  
dziurę i zrobił  
sobie  
przejście z pełnym lekceważeniem dla przeszkód wznoszonych przez  
reguli na  
wolnej ziemi.

Każdy mri postąpiłby w taki sam sposób, zamiast omijać ogrodzenie wkoło. Regule reagowali na podobne zachowanie oburzeniem, lecz takie były zwyczaje mri i pod tym względem nie zamierzali oni ustąpić swym pracodawcom. W mieście słyszał, jak jedno z regulskich młodych nazwało go dzikusiem o zakrwawionych rękach. To jednak regule budowali ogrodzenia oraz maszyny, które pokrywały bliznami ziemię, a nawet starali się podzielić sam kosmos na odgraniczone od siebie terytoria i parcele, którymi można handlować jak żywnością, metalami czy sztukami płótna. Niunowi wydawało się to śmieszne. Mijał potężną plataninę porzuconego ekwipunku, szkieletów budowli oraz pojazdów. Tak jak przewidywał, ciągnęło się tu rozległe cmentarzysko wehikułów i maszyn, skupisko metalu stłoczonego tak ciasno, że musiał obejść je całe, stos pojazdów, ślizgów oraz samolotów pomieszanych ze sobą na oślep, jak gdyby zgromadziła je tam jakaś olbrzymia dłoń. Maszyny te przywoziły tu mieszkańców wszystkich osad, którymi władali regule. Tam zaś, tam dalej znajdował się szeroki, wypalony obszar. Na tle świateł portu widoczna była wieża o nadpalonych, wyszczerbionych zarysach, kanciasta platanina konstrukcji budowlanych oraz jeszcze więcej towarów, które regule wyrzucili jako odpadki. Wszystko to było porozbijane przez burzę i popalone. W porcie doszło do znacznych uszkodzeń. Idąc, Niun rozglądał się wokół, dokonując przeglądu wszystkich rzeczy, które ongiś widział całe, a teraz uszkodzone. Zaczynał rozumieć powody okazywanego przez reguli strapienia. Hazan stał pośród potężnego nagromadzenia suwnic bramowych, węży oraz delikatnych dobudówek. W pobliżu statku Niun również dostrzegł wyraźnie widoczne zniszczenia. Hazan lśnił od świateł. Oblazły go czarne postacie, pełzające po nim niczym robactwo po padlinie. Ciągnęła ku niemu nieprzerwana linia pojazdów. Niewątpliwie wiozły one towary, które miały być załadowane na pokład bądź materiały wykorzystywane do naprawy. Niun przemknął się przez ten obszar, uważając, by go nie zauważono. Ominął bryłę Hazana i ujrzał przed sobą następną wieżę, Ahanala. Na jego majaczącym na tle nieba

kadłubie lśniło tylko jedno światło.  
Podszedł bliżej i dostrzegł, że statek jest stary. Metal jego kadłuba pokryty był dziobami, jakby przeżarły go kwasy, znaki zaś zatarte tak, że niemal nie sposób było je rozpoznać. Długie blizny wskazywały miejsca, w których musiały zawieść osłony. Przywitał ich głosem, choć zdawał sobie sprawę z bliskości regulskich strażników oraz faktu, że w jego stronę ruszył już ślizg.  
- Ahanal! - krzyknął. - Otwórzcie właz!  
Albo jednak nie byli przygotowani do słuchania albo mieli powody, by obawiać się reguli, gdyż z Ahanala nie dobiegła żadna odpowiedź. Niun ujrzał, że ślizg zakręcił ostro i zatrzymał się nie opodal niego. Regulskie młode otworzyło boczną szybę, by przemówić do niego.  
- Mri - odezwał się regul. - Nie wolno ci tu wchodzić.  
- Czy to rozkaz baia? - zapytał Niun.  
- Odejdź - nalegał regul. - Kesrithański mri, odejdź. Rozległ się zgrzyt metalu.  
Otwarto właz. Niun, nie zważając na młode, spojrział w górę na statek, z którego zaczęła opuszczać się rampa. Podszedł do niej, ignorując po prostu regula. Ślizg ruszył za nim, bucząc. Niun usunął się na bok. Pojazd minął go o włos.  
Jego błotnik uderzył jednak w bok nogi mri. Ślizg zatoczył krąg i stanął przed nim, blokując mu drogę.  
Okno wciąż było otwarte. Regulskie młode dyszało ciężko. Jego wielkie nozdrza otwierały się i zamykały w krańcowym podnieceniu.  
- Odejdź - syknęło.  
Zaczął okrażać ślizg. Maszyna ruszyła naprzód. Niun przetoczył się barkiem po jej niskim dziobie, wylądował po drugiej stronie pojazdu i rzucił się do ucieczki, zawstydzony i przerażony. Z rampy przyglądali się temu wszystkiemu mri, którzy niewątpliwie byli oburzeni jego upokarzającą przygodą. Nogi uginały się pod nim ze strachu wywołanego tym, co uczynił, a czego nigdy dotąd nie zrobił żaden mri bezpośrednio sprzeciwił się woli pracodawców. Był jednak wysłannikiem she'pan, a gdyby marnował czas na rozmowy z młodym, w sprawę wmieszałyby się regulskie władze, których rozkazów musiałyby wysłuchać lub je złamać. Doprowadziłoby to do kryzysu, który mogłaby rozwiązać jedynie she'pan, a z

którym zwykły kel'en nie potrafiłby sobie poradzić, nie uciekając się do  
do  
bezpośredniej  
przemocy.  
Biegnąc wpadł na twardą powierzchnię rampy. Jego kroki poniosły się  
echem, gdy  
pognał nią w górę tak szybko, jak tylko mógł, na spotkanie mri ze  
statku. Oni  
jednak znikali  
już we wnętrzu. Nie zczekali na niego. Usłyszał i poczuł, że rampa  
podnosi się  
za nim w  
górę. Jej długość była już niewielka, gdy Niun doścignął ostatniego z  
nich.  
Błysnęły  
oślepiające światła. Drzwi zatrzęsły się, zamykając ich bezpiecznie  
w środku.  
Dziesięciu kel'ein: Mężowie, sądząc po wieku i godności. Światło tu  
było  
chłodne,  
powietrze zaś sterylne i ostre w porównaniu z atmosferą Kesrith.  
Ostatnie  
uszczelnienie śluzy  
zamknęło się pomiędzy nimi a światem zewnętrznym. Rampa wróciła na  
miejsce.  
Zapadła  
cisza.  
- Panowie - nie zapomniął powiedzieć. Przestał spoglądać na  
nieznajomych z ich  
licznymi j'tai i srogą postawą, na chwilę wystarczająco długą, by  
dotknąć czoła  
i okazać  
należyte wyrazy szacunku. Ponownie podniósł wzrok i zdjął zasłonę -  
uprzejmość,  
którą z  
oporami odwzajemnili.  
- Jestem Niun s'Intel Zain-Abrin - powiedział w szlachetnym języku,  
którego  
wszyscy  
mri używali do celów etykiety. - Pozostaję w służbie Intel, she'pan  
Edu  
Kesrithun.  
- Jestem Sunę s'Hara Sune-Lir - odparł najstarszy z nich, wiekowy  
mężczyzna,  
którego grzywa posiwała już na skroniach. Wydawało się, że jest w  
tym samym  
wieku co  
Pasev czy Eddan, lecz jego towarzysze byli młodszymi mężczyznami o  
potężniejszym  
wyglądzie. - Czy she'pan Intel ma się dobrze?  
- Edunowi nic nie zagraża.  
- Czy she'pan ma zamiar przybyć tu osobiście?  
- Jeśli o to chodzi, panie, to nie, dopóki nie powrócę ze słowem od  
waszej  
she'pan.  
Rozumiał w pewnej mierze ich stanowisko. Kochali i chronili swoją  
she'pan, która  
musiała ustąpić miejsca she'pan Intel i oddać jej ich samych. Było  
naturalne, że  
z niechęcią  
spoglądali na wysłannika Intel.  
- Zaprowadzimy cię do niej - powiedział Sunę s'Hara ze sztywną  
uprzejmością. -  
Czy

nie jesteś ranny? - dodał cieplejszym tonem.  
- Nie, panie - odparł Niun. Zaczerwienił się nagle, przypomniawszy sobie, że nie powinien okazywać uniżoności temu mężczyźnie, że był wysłannikiem, a także kimś więcej.  
Zdradził przed nimi, że jest bardzo młodym kel'enem, któremu brak doświadczenia  
w  
kwestiach dotyczących władz. - Pomiędzy regulami a mri na Kesrith panuje napięcie - dodał, by ukryć swe zmieszanie. - Padły pewne słowa.  
- Użyto przeciw nam broni - odparł Sunę - ale nikt nie zginął. Szedł wraz z nimi metalowymi korytarzami, mijając sale zaprojektowane dla reguli.  
Widział kel'ein i kel'e'ein o zasłoniętych twarzach. Byli równie młodzi, jak on.  
Serce zabiło mu szybciej. Wydali mu się wspaniali i piękni. Starał się na nich nie gapić, choć wiedział, że ich oczy dokonują dokładnej oceny obcego, który przybył pomiędzy nich. Niektórzy - gdy ich mijał - odsłaniali twarze w geście braterskiego powitania. Liczna grupa podążyła przez korytarze do głównego pomieszczenia, centrum statku, które służyło teraz jako komnata she'pan.  
Była w średnim wieku. Niun podszedł do niej i skłonił głowę pod jej dłoń.  
Podniósł ku niej wzrok. Poczul niejasny niepokój wywołany tym, że she'pan wita go nie w znajomej bliskości glinianej wieży, lecz w tym metalowym pomieszczeniu, i że jest to she'pan nie należąca do jego rodziny, a na jej białych szatach z niebieskim obramowaniem widnieje godło gwiazdy, a nie dłoń - emblemat Edun Kesrithun.  
Była nieznajoma, która musiała umrzeć. Albo zrobi to dobrowolnie, albo będzie musiał pokonać jej reprezentanta, jeśli postanowi rzucić wyzwanie. Niun modlił się po cichu do wszystkich bogów, by ta she'pan okazała się odważna oraz łaskawa i wyrzekła się wyzwania.  
Jej oczy miały twardy wyraz. Żyła w świetle tak ostrym, że aż sprawiało ból.  
Świat, który ją otaczał, był zimny i metalowy. Wokół nich stało teraz bardzo wielu spośród tych, którzy przybyli na statku. To była ich she'pan, ich ukochana Matka, a nie jego.  
On był



intruzem, groźbą dla jej życia.  
Widzieli wysłannika she'pan, który nie miał żadnych j'tai zdobytych w bitwach.  
Młodzieńca pozbawionego blizn i nie sprawdzonego w walce, któremu łatwo będzie rzucić wyzwanie.  
Czuł, jak spojrzenie jej oczu przesuwa się po nim od stóp do głów.  
Obca she'pan brała pod rozwagę to, kim był, a także jego świat i tych, którzy go przysłali. Za nią i wokół niej  
Niun dostrzegał sen'ein w złotych szatach oraz kel'ein w czarnych. Z wnek dalej położonej sali przyglądały mu się nieśmiało odziane na niebiesko keth'ein, nie noszące zasłon, łagodne i wystraszone.  
Wokół nich, wewnątrz pozostałych korytarzy, całe szeregi hamaków zwisały ze ścian niczym gniazda kesrithańskich pajaków. Białe sznury i taśmy tworzyły koronkę wypełniającą salę oraz pokrywającą ściany korytarzy. Niun był oszołomiony liczbą tych, którzy tłoczyli się obok, nagle jednak uderzyła go myśl, że jest to cały jego gatunek. Pozostali z niego jedynie ci, którzy przebywali na tym statku, dowództwo nad nim sprawowała zaś aktualnie ta kobieta.  
- Wysłanniku - powiedziała. - Jestem Esain z Edun Elagun. Jak się ma Intel?  
Jej głos był łagodniejszy niż jej twarz. Przeszył Niuna na wskroś, niczym słońce po nocy. Jej łaskawe słowa dla niego i dla Intel stopiły lód jego serca.  
- She'pan - odparł - Intel czuje się nie najgorzej.  
Nadał swemu głosowi życzliwe brzmienie. Mimo to she'pan zrozumiała go. W jej oczach pojawił się na chwilę cień strachu. Była jednak wielką panią i nie wzdrygnęła się.  
- Co pragnie mi powiedzieć? - zapytała.  
- She'pan - odparł Niun - Intel przekazała mi powitanie dla ciebie i wysłała mnie, bym przede wszystkim wysłuchał twoich słów.  
Skinęła lekko głową i nakazała gestem dłoni, by jej rada zgromadziła się wokół niej.  
Kel'anth, sen'anth i katłTanth podeszli i usiedli obok, podobnie jak fen'ein, jej Mężowie, oraz grupa Sen. Podczas gdy zajmowali swe miejsca, pozostali wycofali się i zamknęto drzwi.  
Niun nadal klęczał przed nią. Zdjął ostrożnie zaidhe i rozpostarł ją przed sobą.  
Położył

na niej av-tlen, miecz Kel, który pożyczył mu Sirain. Broń była skryta w pochwie i zwrócona rękojeścią w jej stronę, co stanowiło symbol pokoju. Ręce złożył na kolanach. Jej kel'ain uczynili to samo. Zwrócili rękojeści w stronę Niuna, obcego pomiędzy nimi, który został dopuszczony do rady.

- Przesyłamy Intel pozdrowienia - powiedziała cicho Esain. - To dzięki jej mądrości dawno temu Ahanala zatrzymano w rezerwie dla Ludu i dzięki jej mądrości mógł on tu przybyć swobodnie. Odmawiając przyjęcia regulskiej pomocy, obciążyła Kel takim brzemieniem, że nie pozostawiła nam honorowego wyboru. Honor przeważył honor. To był mądry postępek. Wszyscy na pokładzie to rozumieją i są wdzięczni, że dokonano go na czas, gdyż nic innego nie zmusiłoby nas do opuszczenia frontu. Czy prawdą jest nasz domysł, że zamierza porzucić służbę u reguli?

- Jej słowa brzmią: „Już niemal przestaliśmy służyć regulom”. Twój fen'ain oraz kel'anth widzieli tego skutki, gdy zbliżałem się do statku. Spojrzała na kel'antha. Ten potwierdził gestem jego słowa.

- Ujrzałem coś, czego nie widziałem dotąd nigdy - powiedział stary mężczyzna. - Regul zaatakował tego wysłannika. Co prawda nie rękoma, niemniej za pomocą swej maszyny. Ci regule są zdesperowani.

- A edun? - zapytała she'pan ze zmarszczonym czołem. - Jak mają się sprawy z Edunem Ludu, jeśli regule są w takim nastroju?

- W tej chwili nic mu nie grozi - odparł Niun i, ponieważ dostrzegł nurtujące ją prawdziwe pytanie, które zawahałaby się zadać byle kel'enowi, dodał: - She'pan, Zabronione znajduje się pod jej opieką, a regule są zajęci naprawą szkód, jakie wyrządziła im zła pogoda. Ludzie są już blisko, a regule obawiają się, że zwłoka opóźniłaby ich odlot. Myślę, że to, co zdarzyło się na zewnątrz, było czynem młodego, któremu nie wydano jasnych rozkazów.

- Co jednak by się stało - zapytała she'pan - gdybyśmy opuścili ten statek całą grupą?

- Jesteśmy mri - odparł Niun z niewzruszoną pewnością siebie. - Regule zeszliby nam z drogi. Nie odważyliby się nic uczynić.

- Czy takie jest twoje zdanie o tym młodym, które usiłowało odebrać ci życie? - zapytała she'pan.

Gorąco rozlało mu się po twarzy.

- She'pan - powiedział, zdając sobie sprawę ze swej młodości i niedoświadczenia.

-

Nie sędzę, by było to poważne zagrożenie.

Zastanowiła się przez chwilę, spojrziała na Sen i na pozostałych, a wreszcie westchnęła

i zmarszczyła brwi.

- Ciążąca na mnie odpowiedzialność jest zbyt wielka, bym mogła podjąć takie ryzyko.

Zaczekamy na decyzję Intel. Mamy tu oddział gotowy na jej wezwanie.

Wyślę go do

akcji lub

zatrzymam w odwodzie, jak sobie życzy. Ponadto, wysłanniku, zapewnij ją, że

uznam jej

władzę nad Ludem.

Poczuł szok i ulgę zarazem. Pokłonił się jej bardzo nisko. Usłyszał, jak szeptał

żałoby

przebiegł wzdłuż i wszerz po całym pomieszczeniu. Nie był niemal w stanie

ponownie

spojrzeć jej w oczy. Gdy to uczynił, przekonał się, że spoglądają łagodnie i nie

ma w nich

wyrzutu.

- Powiem jej - oznajmił, przypominając sobie o uprzejmościach, których wyuczono

go

tak, że stały się częścią jego krwi, ciała i kości - że she'pan z Edun Elagun to

wspaniała i

odważna pani i że zasłużyła sobie na wielką cześć w całym Ludzie.

- Powtórz jej - dodała cichym głosem - że życzę jej, by dobrze opiekowała się

moimi

dziećmi.

Wielu zasłoniło twarz, słysząc te słowa. Niun poczuł, że szczypią go oczy.

- Powtórzę - odparł.

- Wysłanniku, czy zostaniesz u nas na noc?

Kusiło go to, gdyż aby wrócić do edunu, musiałby maszerować przez pozostałą

część

nocy i zapewne nie wyspałby się potem wiele, Intel bowiem zaczęłaby wkrótce

wydawać

rozkazy, pomyślał jednak o regulu, który zagroził mu drogę, o pogodzie oraz o

panującej

wokół niejasnej sytuacji.

- She'pan - odparł - obowiązek nakazuje mi wrócić zaraz, jak najszybciej, zanim

regule będą mieli czas na długie narady.

- Tak - zgodziła się - tak byłoby najmądrzej. Idź więc.

Gdy Niun, podniósłszy z podłogi av-tlen i założywszy z powrotem zaidhe, podszedł

do niej, by dotknąć jej ręki i okazać jej płynącą z głębi serca uprzejmość,

włożyła mu w dłoń

pierścień z prawdziwego złota. Jego serce ścisnęło się z bólu na ten

gest. Był  
to miłośnierny i  
odważny uczynek. Ofiarowała mu dar za służbę, jak gdyby przyniósł jej  
wielką  
satisfakcję.  
Ściągnęła go z własnego palca i wcisnęła mu w dłoń. Zanim wstał i  
odszedł,  
pokłonił się i  
ucałował jej palce. Uwiązał pierścień na jednym z rzemyków na  
odznaczenia, by  
potem  
umocować go jak należy, po czym pokłonił się jej na pożegnanie.  
- Życzę ci bezpiecznej drogi, kel'enie - powiedziała.  
Powinien jej życzyć długiego życia, lecz nie mógł tego zrobić.  
Przyszło mu  
jednak do  
głowy pożegnanie kel'ein.  
- Zaszczytów i dobrej pamięci - powiedział. Z zadowoleniem przyjęła  
jego  
uprzejmość.  
Wszyscy w Kel zasłonili twarze. On uczynił podobnie. Gdy prowadzili  
go ku  
włazowi, by wypuścić w ciemność, odczuwał wdzięczność za tę  
odgradzającą ich od  
siebie  
barierę.  
Usłyszał żałobny protest zamkniętego dusa, który wyczuwał nastrój  
Kel, któremu  
służył. Ten dźwięk towarzyszył Niunowi, gdy wszedł do służby. Zgaszono  
światła,  
by uczynić  
ich mniej widocznym celem.  
Przez chwilę ciemność była całkowita. Następnie uchylająca się rampa  
oraz  
podwójne  
drzwi wpuściły do środka światło reflektorów lądowiska. Poczuli  
dotknięcie  
gryzącego,  
wilgotnego wiatru.  
Gdy odchodził, nie powiedzieli nic. Nie wymienili pomiędzy sobą nawet  
jednego  
słowa. To dzięki odwadze ich Pani Matki Niun i jeden z nich nie będą  
musieli  
przelać krwi w  
akcie przekazania władzy. Ta sprawa jednak była już rozstrzygnięta.  
Gdy na Kesrith pozostanie już tylko jedna she'pan, nadejdzie dla nich  
czas na  
uprzejmości i powitania.  
Nie obejrzał się za siebie, gdy zaczął schodzić z rampy.

Rozdział 16

Niun spodziewał się, że u podnóża rampy będą czekały kłopoty, nie  
został tam  
jednak  
nic. Nie było regulskiego strażnika ani pomocy, którą mógłby on  
wezwać. Nie  
zastanawiał się  
ani na chwilę nad swym szczęściem, lecz pochylił głowę i zaczął biec.  
Miękkie  
podeszwy  
butów sprawiały, że odgłos jego kroków był tak cichy, jak to tylko  
było możliwe.  
Ponownie zagłębił się w labirynt porzuconej maszynerii. Tam właśnie  
wypatrzył  
reguli, których się obawiał - blask reflektorów po drugiej stronie

płotu.  
Wstrzymał oddech i  
zatrzymał się w pół kroku, by zbadać sytuację. Skrył się w cieniu i  
zmienił  
kierunek, gdyż  
doszedł do wniosku, iż nie ma potrzeby, by dwukrotnie korzystał z  
tego samego  
przejścia.  
Przepalił pistoletem ogrodzenie z drutu, odtrącił kopniakiem na bok  
oddzielony  
fragment i  
rzucił się do ucieczki. Płuca miał obolałe od oddychania rzadkim  
powietrzem.  
Gdzieś  
rozległo się zawodzenie dusa, które przebijało się przez łoskot  
poszukującej w  
ciemnościach  
łupu maszynierii.  
Dotarł do krawędzi lądowiska i pognął po piasku. Zszokowany i  
zdumiony  
dostrzegł,  
że wiązka uderzyła w podłoże, przecinając mu drogę. Wciągnął z  
wysiłkiem  
powietrze i  
zmienił kierunek. Okrażył wydmy i pognął naprzód ze wszystkich sił,  
jakie mu  
pozostały.  
Po jakimś czasie uznał, że jest już w miarę bezpieczny - na tyle, by  
móc na  
chwilę  
odetchnąć. Regule nie potrafili go doścignąć, a hałaśliwe maszyny nie  
mogły go  
zaskoczyć.  
Stłumił kaszel, naturalny rezultat lekkomyślnego sprintu, i zaczął z  
niepokojem  
rozważać  
nowy stan rzeczy. Regule wcale nie zamierzali go schwytać, lecz z  
premedytacją  
zabić.  
Położył się na stoku wydmy z ręką przyciśniętą do obolałego boku.  
Starał się  
zachować normalny rytm oddechów. Usłyszał, że w pobliżu coś się  
poruszyło. Dus,  
pomyślał,  
gdyż wiedział, że między wzgórzami jest ich tej nocy pełno i jeśli  
regule  
zapuściliby się zbyt  
daleko na pustkowie w pogoni za nim, spotkaliby się z przywitaniem,  
które by się  
im nie  
spodobało. Dusei z edunu nie zrobiłyby krzywdy regulom, lecz te tutaj  
nie były  
oswojone, a  
regule mogli się nie połapać w różnicy do chwili, gdy będzie już za  
późno.  
Podzwignął się i ruszył w drogę. W tej samej chwili usłyszał odgłos  
pośpiesznych  
kroków, lekkich i szybkich jak kroki mri, które podążały za nim przez  
wydmy.  
Sądził, że to  
jeden z kel'ain Esain, któremu po jego odejściu przyszła do głowy  
jakaś  
desperacka myśl. Z  
tego powodu zamarł bez ruchu i syknął do cienia słowa ostrzeżenia,

gdy ten  
stał z nim  
twarzą w twarz, by okazać mu szacunek należny drugiemu kel'enowi.  
Nie był to jednak kel'en.  
Przez mgnienie oka spoglądali sobie w oczy, człowiek i mri. W tym  
mgnieniu oka  
Niun wyszarpnął pistolet, człowiek zaś rzucił się rozpaczliwie do  
ucieczki. Nie  
miał jednak  
szans na tym wąskim obszarze pomiędzy wydmami.  
W następnej chwili przez umysł Niuna przemknęła myśl - że od martwego  
człowieka  
nie uzyska się odpowiedzi na żadne pytania. Nie strzelił. Popędził za  
nim. Gdy  
doścignął  
zbiega, nakazał mu gestem „chodź tu, chodź tu”. Człowiek, rzucający  
rozpaczliwe  
spojrzenia  
na Niuna i poza jego plecy, stanowiłby łatwy cel, gdyby mri  
postanowił strzelić.  
Ścigany wybrał reguli. Odwrócił się i rzucił do ucieczki. Istota,  
która nie  
miała prawa  
przebywać na Kesrith.  
Niun zabezpieczył kciukiem pistolet, wcisnął go do kabury i ruszył w  
nowym  
kierunku, w którym regule nie mogli podążać. Przeszedł przez odnogę  
wydmy i  
rzucił się  
płasko na piasek. Przyglądał się całej scenie, by się przekonać, w  
jaki rodzaj  
pułapki wpadnie  
zbieg. Człowiek rzeczywiście trafił prosto w ręce reguli, w osobie  
jednego  
przedsiębiorczego  
młodego. Zapędziło go ono w pułapkę pod usypiskiem, na które mógłby  
bez trudu  
się  
wdrapać, gdyby miał tyle rozumu, by na to wpaść. Faktycznie wpadł i  
zaczął  
gramolić się ze  
wszystkich sił w górę, by dostać się na szczyt. Regul jednak w porę  
złapał go za  
kostkę i  
zaczął z nieubłagana siłą ściągać w dół.  
Nie zwracali uwagi na nic innego. Niun cofnął się za usypisko,  
przebiegł  
kawałek,  
wszedł na jego szczyt i zsunął się w dół jak kamień. Uderzył w  
masywne cielsko  
regula, który  
zachwiał się na nogach. Młode zaatakowało go nieudolnie. Popełniło  
ten błąd, że  
wycelowało  
broń w kel'ena. Był to ostatni błąd w jego życiu. Niun nie pomyślał  
nawet o  
błysku as'ei,  
które opuściły jego dłoń i zatopiły się w gardle oraz piersi młodego.  
Cisnął  
nimi, zanim myśl  
zdażyła zamienić się w zamiar.  
Człowiek gramolił się na czworakach w kierunku pistoletu regula. Niun  
uderzył  
swym

ciałem o jego ciało. Gdyby w jego zamiarach leżało użycie noża,  
człowiek  
zginałby w tej  
samej chwili.  
Mimo to nie był on godnym pogardy przeciwnikiem. Odbił gołymi rękami  
ręce Niuna,  
gdy ten spróbował go pochwycić. Nie miał już jednak sił. Krew ciekła  
mu z  
nozdrzy. Niun  
słyszał jego chrapliwy, bulgocący oddech. Wyrwał ręce z uścisku  
rywala, owinał  
ramię wokół  
jego gardła i szarpnął głową przeciwnika ku tyłowi. Rozległ się  
trzask  
uderzających o siebie  
zębów. Tamten nadal nie chciał upaść, lecz szybki cios w brzuch i  
drugie  
szarpnięcie głową  
sprawiły, że osunął się na piasek, wijąc się z bólu. Niun uderzył go  
jeszcze  
raz, co sprawiło,  
że jego przeciwnik znieruchomiał.  
Związał go wprawnymi ruchami taśmą ze swego pasa, po czym złapał swe  
as'ei i  
schował je pośpiesznie w pochwy. Posłyszał zgrzyt maszynerii  
zmierzającej powoli  
w tym  
kierunku. Zarówno on, jak i człowiek pozostawili na piasku ślady,  
które mogli  
odczytać  
nawet ślepi w nocy regule.  
Człowiek zaczął wykazywać oznaki powrotu do przytomności. Niun  
szarpnął go za  
łokieć. Nie przestawał go ciągnąć, aż wreszcie tamten spróbował  
zareagować na to  
nieprzyjemne doznanie. Wtedy dał mu trochę luzu, by mógł podźwignąć  
się na nogi.  
- Cisza - syknął do niego.  
Jeśli człowiek myślał o tym, by krzyknąć, zrezygnował z tego zamiaru,  
gdy ostrze  
av-  
tlen znalazło się obok jego twarzy. Podniósł się z wysiłkiem na  
kolana, a potem  
- z pomocą  
Niuna - na nogi, po czym poszedł w milczeniu tam, gdzie mu kazano.  
Kasłał, lecz  
usiłował  
zdusić nawet ten dźwięk. Jego twarz pokrywała maska krwi i piasku  
widoczna w  
słabym  
świecie dobiegającym z lądowiska. Kroczył tak, jak gdyby kolana miały  
się pod  
nim załamać.  
Dotarli do krawędzi nizin. Powolne, złowieszcze cienie dusei  
spoglądały na nich  
ze  
szczytów wydm, zwierzęta nie próbowały im jednak w żaden sposób  
zagrozić. Z tyłu  
nie  
dobiały odgłosy pościgu. Być może regule nie otrząsnęli się jeszcze  
z szoku  
wywołanego  
tym, że kel'en podniósł rękę przeciw swym pracodawcom.  
Niun zdawał sobie sprawę, jak straszliwą zbrodnię popełnił. Miał

czas, by  
zrozumieć  
to dokładnie. Znał reguli. Wiedział, że będzie im potrzebny czas na  
skonsultowanie się z  
władzą. Co stanie się później, nie potrafił odgadnąć. Żaden mri nie  
podniósł  
dotąd ręki na  
tych, którym poprzysiągł służyć. Żaden regul nie musiał podjąć  
decyzji, co  
uczynić z mri,  
który tak postąpił.  
Złapał człowieka za łokieć i zmusił go, by szedł szybciej, choć  
jeniec potykał  
się od  
czasu do czasu, źle stawiał kroki i krzyczał pod wpływem szoku, gdy  
skorupa  
załamywała się  
pod nim i jego noga stykała się z wrzącą wodą. Zapuscili się już  
daleko na  
niziny, gdzie nie  
docierali regule ani ich pojazdy i gdzie siarkowe opary gejzerów  
osłaniały ich  
przed  
wzrokiem ścigających. Człowiek pokasływał już i odpluwał. Niun  
sądził, że  
krwawił on z  
górných dróg oddechowych, a nawet z płuc.  
Z uwagi na to odnalazł odpowiednie miejsce i rzucił jeńca na glinianą  
skarpe, by  
mógł  
on uspokoić oddech. Sam również się cieszył, że ma okazję odpocząć.  
Przez chwilę człowiek leżał twarzą w dół. Jego ciałem wstrząsały  
torsje wywołane  
próbami tłumienia kaszlu. Najwyraźniej trafnie uważał, że Niun nie  
będzie tego  
tolerował.  
Nagle mdłości ustały. Schwytany leżał nieruchomo na boku i wpatrywał  
się w  
niego.  
Nie był uzbrojony. Niun wziął pod uwagę ten ciekawy fakt. Zastanawiał  
się, co  
też  
opętało ludzi albo co przytrafiło się temu człowiekowi, że stracił  
swą broń.  
Człowiek gapił się  
po prostu na niego. Na pokrywający jego twarz piasek wylewały się  
łzy. W jego  
oczach nie  
było widać żadnego uczucia. Nie wyrażały nic poza wyczerpaniem i  
cierpieniem.  
Bez żadnej  
ochrony zapuścił się w nieprzyjazne środowisko Kesrith i nierozważnie  
biegł,  
przez co naraził  
swe tkanki na uszkodzenie.  
Ponadto uciekał od reguli, z którymi jego pobratymcy zawarli traktat.  
- Jestem Sten Duncan - wyszeptał wreszcie człowiek we własnym języku.  
-  
Towarzyszę ludzkiemu posłowi. Kel'enie, nasza obecność tutaj jest  
zgodna z  
traktatem.  
Niun zastanowił się nad zdradzoną przez tamtego informacją. Ludzki  
poseł, ludzki  
poseł - te słowa niosły się w jego umyśle złowieszczą nutą zdrady.



- Jestem kel Niun - odparł, gdyż ta istota podała mu swe imię.  
- Czy jesteś z edunu?  
Niun nie odpowiedział, ponieważ wydawało się, że nie ma takiej potrzeby.  
- Tam właśnie mnie zabierasz, prawda? - Gdy człowiek po raz kolejny nie otrzymał odpowiedzi, najwyraźniej poczuł niepokój. - Pójdę tam z własnej woli. Nie musisz używać siły.  
Niun rozważył tę propozycję. Ludzie zwykli kłamać. Wiedział o tym. Brak mu było doświadczenia, by ocenić szczerłość słów tamtego.  
- Nie puszczę cię wolno - zdecydował.  
Ludzie nie mieli w zwyczaju zasłaniać twarzy, lecz mimo to Niun żałował, że w ten sposób postąpił z ludzkim kel'eniem, odzierając go z godności. O ile ten człowiek faktycznie był kel'eniem. Niun sądził, że tak było, gdyż w walce spisał się całkiem dobrze.  
- Pójdziemy do edunu - oznajmił. Wstał i pomógł podnieść się Duncanowi. Nie włożył w to zbyt wiele wysiłku, gdyż nie był to jego brat, zczekał jednak, by uzyskać pewność, że człowiek mocno stoi na nogach. Był ranny. Niun zauważył, że stawia on niepewne i nierówne kroki i że porusza się po terenie, nie znając go, ślepy na jego niebezpieczeństwa. A także głuchy.  
Niun usłyszał, jak z portu wystartował samolot, który skierował się w ich stronę, lecz człowiek nie podniósł nawet wzroku, zanim Niun nie szarpnął nim, by mu go pokazać. Stał jak głupi, gapiąc się w tamtą stronę, kierowany złą wolą lub tępotą umysłu. Niun nie czekał, by się przekonać, która z tych ewentualności jest prawdziwa. Złapał swego więźnia i pociągnął go w kierunku wrzących wód Jieca, z którego para buchała w noc. Tam, przy glinianej skarpie, ukryli się. Ich płuca dławili zapach siarki. Huk regulskich silników przemknął nad nimi. Reflektory omiotły równiny i oświetliły pióropusze pary, bezowocnie szukając jakiegoś ruchu. Tutaj, na wulkanicznych nizinach, czujniki temperatury posiadały ograniczoną użyteczność. Wrzące źródła oraz gotujące się błoto sprawiały, że regulska nauka nie przydawała się zbyt w ich tropieniu.  
- Kel'enie - odezwał się Duncan. - Którego z nas szukają? Mnie czy ciebie?  
- W jaki sposób obraziłeś reguli? - zapytał Niun, uważając, że

udzielanie  
informacji  
nie przyniesie mu żadnej korzyści, lecz jej uzyskanie to inna sprawa.  
Przez cały  
ten czas  
wiązki światła omiatały niziny, rozświetlając jeden pióropusz pary po  
drugim. -  
Czy byłeś  
więźniem?  
- Asystentem ludzkiego posła, który przybył... - Eksplozja ognia  
oblała łuną ich  
twarze i spryskała ich wrzącą wodą. Skulili się razem, by się przed  
nią osłonić.  
Ogień nie  
ustawał, a woda wciąż pluskała. Pod ziemią rozległo się dudnienie i  
obok nich  
wystrzelił w  
górze strumień pary, który ich ogarnął. Był nieprzyjemnie gorący, lecz  
możliwy do  
zniesienia.  
- Tsi'mri - zaklął półgłosem Niun, zapominając, z kim dzieli  
schronienie. Gdy  
ogień  
zaporowy nie ustawał, poczuł, że człowiek zaczyna dygotać. Wstrząsały  
nim  
długie,  
niezdrowe fale dreszczy, jak istota, której siły zostały niemal  
całkowicie  
wyczerpane.  
-... który przybył przed całą misją - kontynuował z uporem wciąż  
drżący człowiek  
- by  
dopilnować, czy wszystko wygląda tak, jak nam obiecano. Nie sędzę  
jednak, by...  
Pobliska eksplozja oblała ich wodą i błotem. Człowiek krzyknął  
głośno, zdusił  
jednak  
ten dźwięk.  
- Ilu was tu jest? - zapytał Niun.  
- Ja i poseł. Dwóch. Przylecieliśmy na Hazanie, który tam stoi.  
Niun złapał Duncana za kołnierz i zwrócił jego twarz w stronę światła  
bijącego  
od  
przeszukujących teren wiązek. Nie ujrzał w niej nic, co by mu  
powiedziało, czy  
była to  
prawda czy kłamstwo. Teraz, gdy oblicze człowieka wymyła do czysta  
wilgoć, która  
ogarnęła  
ich obu, dostrzegł, że jest to młody mężczyzna. Ludzki kel'en. Niun  
wzdragał się  
przed  
nazwaniem obcego tym honorowym tytułem, nie znał jednak żadnego  
innego, który  
byłby  
odpowiedni dla tej istoty.  
- Na Hazanie był kel'en - powiedział Niun - który tam umarł.  
Po raz pierwszy wydawało się, że coś przebiło się przez mur  
otaczający  
człowieka.  
Zawahał się, zanim odpowiedział:  
- Widziałem go. Raz. Nie wiedziałem, że nie żyje.  
Niun odepchnął jeńca. Na moment zaślepił go gniew. To tsi'mri -  
powtórzył sobie

- a

także nieprzyjaciel, lecz mniej w tej chwili niebezpieczny niż regule.

„Widziałem go. Nie wiedziałem, że nie żyje.”

Odwrócił twarz i wbił przygnębiony wzrok w buchającą parę oraz światła

przeczesujące równiny w ich poszukiwaniu.

Wybacz nam, Medaiu - pomyślał. - Nasze zdolności postrzegania były zbyt

przytępione, nasze umysły zbyt przyzwyczajone do służby regulom. W przeciwnym

razie

zrozymielibyśmy wiadomość, którą próbowałeś nam przesłać.

Nakazał sobie spojrzeć na nienawistną ludzką twarz, która nie była w przyzwoity

sposób zasłonięta, na nagość tej istoty, która - być może nieświadomie - zabiła

kel'ena z

Ludu.

Zwierzę - pomyślał. - Zwierzę tsi'mri.

Traktat pomiędzy regulami a mri został zerwany w chwili, gdy to stworzenie

postawiło stopę na Kesrith, a stało się to wiele, wiele dni temu.

Przez tak

długi czas Lud był

wolny i nie wiedział o tym.

- Nie ma już wojny - zapewnił go Duncan. Niun naprężył mięśnie.

Chciał go

uderzyć,

lecz nie byłby to czyn honorowy.

- Jak sądzisz, dlaczego regule na nas polują? - zapytał Duncana, odrzucając w

jego

stronę zadane przez niego pytanie... - Czy nie rozumiesz, człowieku, że

popełniłeś poważny

błąd, opuszczając Hazana!

- Pójdę z tobą - odparł człowiek, po raz pierwszy okazując coś w rodzaju

godności -

żeby porozmawiać z waszą starszyszną i wytłumaczyć wam, że lepiej będzie, jak

zwrócić

mnie moim pobratymcom.

- Ach - powiedział Niun, którego te słowa przyprawiły niemal o pogardliwą

uciechę. -

Ale my jesteśmy mri, nie regule. Nic nas nie obchodzą wasze umowy z nimi. Jak

zresztą

widzisz, nie pomogły ci one w niczym.

Człowiek znieruchomiał, rozważając te słowa. Nie okazał strachu przed ukrytą w

nich

groźbą.

- Rozumiem - powiedział. W chwilę później dodał spokojnym, opanowanym tonem: -

Pozostawiłem tam w mieście posła. Jest stary i został sam z regulami, podczas

gdy tu dzieją

się takie rzeczy. Muszę do niego wrócić.

Niun zastanowił się nad jego słowami. Zrozumiał je. To ze względu na lojalność

dla  
swego sen'antha człowiek znosił to wszystko cierpliwie. Wzbudziło to  
jego  
respekt. Dotknął  
dłonią serca, by go okazać.  
- Doprowadzę cię żywego do edunu - powiedział. Wydawało mu się, że  
powinien  
dodać: - Nie jest naszym zwyczajem brać jeńców.  
- O tym już wiemy - odparł Duncan.  
A więc porozumieli się nawzajem tak, jak to tylko było możliwe.  
Niun popatrzył na rozciągające się przed nimi niziny. Zaczął się już  
zastanawiać  
nad  
tym, jakie zmiany mogło wywołać bombardowanie na znajomym terenie,  
jakie  
przeszkody  
mogły się pojawić na niestabilnym gruncie i gdzie mają poszukać  
następnego, w  
miarę  
bezpiecznego schronienia, jeśli regule wróca tu szybciej, niż się  
tego  
spodziewał.  
Dobrze się stało, że on i człowiek osiągnęli porozumienie, że Duncan  
doszedł do  
wniosku, iż jego najlepsza szansa oraz najbardziej honorowe wyjście  
to w tej  
chwili  
współdziałanie z Niunem. Nie objuczony żadnym ciężarem wędrowiec  
mógłby dotrzeć  
do  
edunu rankiem, gdyby wszystko poszło po jego myśli, ponieważ jednak  
regulskie  
pociski  
zniszczyły szlak, którym wspólnie się posuwali, a światło dnia ukaże  
ich obu  
wyraźnie oczom  
nieprzyjaciela, nadejdzie wieczór, zanim zdołają dotrzeć do celu, o  
ile sytuacja  
nie ulegnie  
zmianie.  
Jego żołądek ścisnął narastający, chorobliwy lęk. Mało brakowało, a  
mimo  
wszystko  
zabiłby człowieka i pognał do edunu ze wszystkich sił. Przeklinał sam  
siebie za  
swą  
nadmierną wyrozumiałość, która doprowadziła do tego, że musiał teraz  
wybierać  
między  
mordem a głupotą. Ścisnął człowieka za ramię.  
- Posłuchaj mnie. Jeśli nie zdołasz dotrzymać mi kroku, nie będę mógł  
cię  
prowadzić,  
a jeśli nie będę mógł cię prowadzić, zabiję cię. Jest też - dodał -  
bardzo  
prawdopodobne, że  
regule odbiorą ci życie, by uniemożliwić ci dotarcie do twego  
zwierzchnika.  
Powiedziawszy to, wyszedł z ukrycia i pociągnął człowieka za sobą,  
trzymając go  
za  
ramię. Duncan podążył za nim bez oporu.  
Jednakże regulski samolot patrolujący okolicę zawrócił właśnie w ich  
stronę i po

przejściu za ledwie kilku kroków byli zmuszeni rzucić się na ziemię w poszukiwaniu nowej kryjówki.

Wznowiono ogłuszający ogień zaporowy. Prysnęła na nich wrząca woda oraz krople błota.

W edunie musieli wiedzieć, co się dzieje. Z pewnością coś robili w tej sprawie.

Być może - pomyślał Niun - sen'anth Duncana również o tym wiedział i podjął jakieś kroki. Był jeszcze Ahanal, niezależny od Intel.

Rozumiał bezsilne przerażenie człowieka. Ze wszystkich na Kesrith, którzy mieli jakiegokolwiek możliwości działania, oni dwaj mogli zrobić najmniej, a regule, którzy nigdy nie walczyli, chwycili za broń, skłonieni do tego złą wolą, strachem czy jakimś innym motywem, który mógł połączyć ze sobą brzegi przepaści dzielącej tchórzostwo od interesowności.

Rozdział 17

Słychać było strzały. Człowiek, którego większość życia wypełniała wojna, nie mógł pomylić ich dźwięku z niczym innym.

Stavros odwrócił swój ślizg, by wyrzeć przez okno. Ujrzał światła samolotów zataczających kręgi poniżej poziomu chmur. Jego palce odszukały klawiaturę konsoli i dostroiły osłony z dużą sprawnością, której zdążył już nabrać.

Urządzenia kontrolne były proste, lecz wymagały nieprawdopodobnych serii sygnałów kodowych, z których każdej trzeba było nauczyć się na pamięć. Regule dostarczali mu kodów z pełną zarozumiałością pogardą: zapamiętaj je - zdawali się mu mówić, przybierając tę swą minę, która świadczyła, że zaliczają istoty o krótkiej pamięci do kategorii podrozumnych.

Stavros nie był pod tym względem typowy. Nigdy nie był typowy: od dzieciństwa na odległej Kiluwie, poprzez lata gdy związany był z Urzędem Ksenologii, aż po okres sprawowania funkcji dyrektora na Helleyu podczas pierwszego kontaktu. Nie sprawiała mu żadnych trudności nauka języków ani obcych obyczajów, podobnie jak rozpoznanie prowincjonalnej krótkowzroczności, czy to występującej u ludzi, czy u innych.

Był z przekonania kiluwańskim patriotą. Znaczenia tego faktu nie rozumieli regule ani większość ludzi. Tę odległą kolonię zaludniali religijni tradycjoniści.

Pisanie było dla nich

grzechem, a wykształcenie stanowiło ich obsesję. Urodził się na tej planecie sto lat temu, zanim pokojowa, ekscentryczna Kiluwa padła ofiarą wojen z mri. Wielu Kiluwan wyróżniło się w służbie. Już ich nie było. Znaleźli się wśród ofiar odwetu za Nisren, czterdzieści lat temu. Stavros ocalał. Było charakterystyczne dla jego kiluwańskiego wychowania, że poczuł się zmuszony do zrozumienia gatunku, który nakazał zniszczenie jego rodzinnej planety. To regule wydali rozkaz, nie mri. Dlatego zajął się badaniem zjawiska, jakim był ten gatunek. Ich umysły przypominały doskonałość, do której zmierzała Kiluwa, lecz to oni zniszczyli wszystko, co ów świat stworzył. Był w tym, jak powiadali ongiś uniwersyteccy wykładowcy, „rytm sprawiedliwości”, połączenie znoszących się nawzajem sił. Teraz Kiluwanin przyleciał tutaj, by przepędzić regule. Rytm nie ustawał, wiążąc ich ze sobą. Nauczył się regulskich zwyczajów w poszukiwaniu rozwiązania tego interesującego problemu. Dostrzegł cechującą ich nikczemność, chłód oraz samolubną ambicję, podobnie jak żywiony przez nich szacunek dla umysłu. Przeszedł od strachu przed regulami do podziwu dla nich - w niemałym stopniu z powodu żalu za Kiluwa, której marzenie obrócone w ciało okazało się podobnie niedoskonałą rzeczywistością. Pod tym wszystkim, co zdołał do tej pory pojąć, kryły się dalsze prawdy - przywary i zalety nieodłączne od biologii regule. Dostrzegał je. Zaczynał przynajmniej rozumieć ograniczenia dotyczące przedłużania gatunku oraz kontroli przyrostu naturalnego, podział na przypominające mrowiska grupy, rozróżnienie między zdolnymi do rozmnażania starszymi oraz młodymi, a także docha stanowiące mniej więcej odpowiednik państw. Nabrał podejrzeń odnośnie do wartości traktatów, które były i zarazem nie były wiążące dla docha nie uczestniczących w porozumieniu. Zawarli kontrakt z Holn, lecz nagle stwierdzili, że mają do czynienia z Alagn i Alagn honorowała umowę.

Na pozór.  
Nadeszła chwila prawdy. Stavros przez długie godziny dnia i nocy,  
która nadeszła  
później, ukrywał nieobecność Duncana. Dopuszczał się każdego możliwego  
fortelu, z  
wyjątkiem  
otwartego kłamstwa, którego regule by nie wybaczyli. W miarę upływu  
godzin  
nabierał  
pewności - z początku, że Duncan znalazł coś podejrzanego, gdyż w  
przeciwnym  
razie  
wróciliby szybko, a już na pewno, gdy tylko ciemność dała mu możliwość  
ukrycia  
się - potem  
jednak, gdy zapadnięcie nocy nie sprowadziło go z powrotem, był  
niemal  
całkowicie pewien,  
że coś podejrzanego znalazło Duncana. Coraz trudniej było utrzymać  
pozory  
poprawności  
stosunków z regulami. Mogli oni zamordować żołnierza NST i po prostu  
zapomnieć  
poinformować o tym w swych porannych komunikatach. Żaden zaś człowiek  
nie  
wylądował na  
Kesrith bez zapewnienia Stavrosa, że zostały zlikwidowane wszystkie  
możliwości  
oporu.  
Przynajmniej nie na stopie pokojowej.  
Regule z pewnością to rozumieli.  
Stavros siedział i przysłuchiwał się strzałom. Wiedział, że dopóki  
nie umilkły,  
istniało  
duże prawdopodobieństwo, że Duncan jeszcze żyje.  
W swoim czasie Stavros nadawał kształt linii politycznej, kierował  
zasiedlaniem  
nowego świata i zakładał uniwersytet. Sporządzał plany dyplomatyczne  
i wojenne i  
rzucił na  
szalę życie tak wielu ludzi, że całe statki wraz z załogami uważano  
za możliwe  
do  
poświęcenia. W takich sytuacjach podobni Stenowi Duncanowi ginęli  
setkami.  
Gdy jednak słyszał strzały, zaciskał prawą pięść i cierpiał, próbując  
rozpaczliwie  
poruszyć oporną lewą rękę z choć minimalną siłą. Był przykuty do  
ślizgu. Był  
zmuszony do  
cierpliwości.  
W porcie doszło do nowej katastrofy. Wykrył w regulskich  
komunikatach, które  
udało  
mu się podsłuchać, wzmiankę, że wylądował statek i że nie należał on  
do  
przyjaciół reguli.  
Ludzie, konkurencyjna grupa reguli albo mri. Łatwo potrafił odgadnąć,  
co  
skłoniło  
Duncana do przedłużenia swej nieobecności. Nie wywołał żadnego  
incydentu -  
powiedział  
chłopakowi, choć wiedział, że Duncan nie mógł mieć na to większego

wpływu.  
Incydent  
nadcigał. Zbierał się wszędzie wokół nich. Stavros wyczuwał to coraz wyraźniej,  
w  
milczeniu reguli oraz napiętej atmosferze panującej w Nomie.  
Regule próbowali dokonać czegoś niedozwolonego. Zagrożone były ludzkie interesy.  
Bez względu na to, jakiemu naciskowi go poddadzą, nie zamierzał udzielić  
ludzkiej misji -  
gdy ta już przybędzie - pozwolenia na lądowanie.  
O ile już do niego nie doszło.  
Stavros nie był człowiekiem skorym do pośpiesznych czynów. Musiał się najpierw  
zastanowić. Gdy jednak doszedł do wniosku, że szansę wynoszą pięćdziesiąt  
procent, dojrzał  
do brawurowej akcji. Nie widział potrzeby dalszego podporządkowywania się  
się  
gospodarzom,  
którzy albo ich zabija, albo nie odważą się tego zrobić. Nadszedł czas, by  
sprawdzić ich blef.  
Dotknął palcami konsoli, ruszył ślizgiem naprzód i otworzył drzwi.  
Przeprowadził  
maszynę przez pokój Duncana, po czym za pomocą płynnej, dobrze wyćwiczonej serii  
komend skręcił nią w prawą stronę i wprowadził w biegnące po korytarzu tory.  
Regulskie młode, ujrzawszy go, wytrzeszczały oczy i szwargotały słowa protestu,  
które Stavros ignorował. Znał należyte komendy. Obliczył odpowiednie ruchy i  
przemknął na  
stronę budynku zwróconą ku portowi. Tam zatrzymał się i wcisnął klawisze  
kierujące ruchem  
okien. Rozjaśnił je i nakazał schować osłony przeciwburzowe.  
Rzeczywiście stał tam jeszcze jeden statek.  
Ponadto całą okolicę zalewał blask reflektorów lśniących jaskrawo na tle obłoków  
dymu i pary. To samoloty badały grunt wiązkami swych świateł.  
Ach, Duncan - pomyślał Stavros z głębokim żalem.  
Jakieś młode podeszło, sapiąc, do niego.  
- Ludzki starszy - odezwało się. - Żałujemy, ale...  
Bai Hulagh? Gdzie? - zapytał za pośrednictwem ekranu, co w wyraźny sposób  
zdeprymowało reguła. - Młode, znajdź mi baia.  
Młode uciekło z największym pośpiechem, na jaki tylko mogli się zdobyć regule.  
Stavros obrócił ślizg i skierował go w lewą stronę. Wjechał na szyny i pognął w  
dół rampy.  
Ominął narożnik i znalazł się na dolnym piętrze Nomu, na które stanowczo  
zabroniono im  
wstępu. Tam opuścił szyny i przeszedł na sterowanie ręczne, przepychając się  
przez tłum  
trajkoczących młodych. „Mri”, dosłyszał, a także: „statek mri” i „alarm”.  
Ustępowały mu z drogi, aż wreszcie jedno z nich zauważyło, że w ślizgu,



stanowiącym dla nich symbol autorytetu dorosłego, znajduje się człowiek.

- Wracaj - prosiły go. - Wracaj, starszy.

Bai Hulagh. Zaraz - upierał się. Nie chciał się wycofać i młode nie odważyły się nic w tej sprawie zrobić. Gdy zaczęły szeptać, wielce zdezorientowane, przejechał ślizgiem przez ich grupę i przystąpił do powolnego objazdu parteru, choć w powietrzu odczuwalne były wibracje wywołane atakiem na nizinach, a budynek drżał pod wpływem wstrząsów.

Zanotował w umyśle, gdzie są rozmieszczone drzwi, a gdzie podjazdy i w które miejsca można dotrzeć za pomocą ślizgu.

Na jego ekranie rozbłysła wiadomość.

Była to pieczęć Hulagha. W ślad za nią ukazała się jego twarz.

- Szanowny ludzki starszy - odezwał się regul - proszę, by natychmiast wrócił pan na swą kwaterę.

Nie potrafię uwierzyć, że jest tam bezpiecznie - wystukał cierpliwie Stavros. - Gdzie jest mój asystent?

- Zlekceważył nasze rady i wplątał się w pewien incydent - odparł Hulagh z godną uwagi szczerością, co sprawiło, że Stavros poczuł przypływ nadziei. - Z żalem pana informuję, czcigodny pośle - ciągnął regul - że wylądowali mri. Są oni wyjęci spod prawa i zdecydowani narobić kłopotów. Pańskie młode znajduje się gdzieś pośrodku tego wszystkiego, mimo że je ostrzegaliśmy. Proszę pana o ułatwienie nam zadania poprzez powrót do swej bezpiecznej kwatery.

Odmawiam - Stavros nacisnął klawisz czyniący okno przejrzystym. - Będę się przyglądał stąd, przez okna.

Nozdrza Hulagha zatrzasnęły się, a potem rozwarły ponownie.

- Ta niechęć do współdziałania zasługuje na potępienie. Nadal sprawujemy tu władzę.

Nie utracimy jej aż do chwili przybycia waszej misji. Przebywa pan tu jedynie jako obserwator, za naszą zgodą.

A więc będę obserwował.

Ponowne gniewne rozdarcie nozdrzy.

- Niech więc pan to robi, na własne ryzyko. Jeśli odnajdziemy pańskie młode, poinformuję je, że brak panu jego usług i że lepiej będzie, jak wróci do pana.

Byłbym za to wdzięczny - wystukał powoli Stavros. - Poinformuję mych pobratymców, gdy już przybędą, że nie jesteście odpowiedzialni za żadną zwłokę w wycofaniu się, o ile

stanie się tak, że mój adiutant wróci do mnie bezpiecznie, a ponadto  
żadnym  
uszkodzeniom  
nie ulegną wybrane przez nas lądowisko oraz niezbędne instalacje,  
takie jak ten  
budynek,  
stacja uzdatniania wody czy elektrownia. Gdyby jednak doszło do  
którejś z tych  
rzeczy, mogą  
zostać wyciągnięte odmienne wnioski.  
Zapadła cisza. Bai Hulagh wciąż był widoczny na ekranie. Zastanawiał  
się nad tą  
deklaracją intencji. Stavros spodziewał się gniewu, groźby czy  
pokrzykiwania,  
lecz zamiast  
nich pod stanowiącą kościstą maskę twarzą przemknęło jakieś trudniej  
rozpoznawalne  
uczucie zdradzone jedynie nagłym rozwarciem się nozdrzy.  
- Jeśli ludzki poseł zapewni nas, że rzeczywiście tak mają się sprawy  
i że  
będzie  
można dojść do kompromisu, dokonamy wszelkich wysiłków, by uchronić  
owe  
urządzenia  
oraz doprowadzić do odnalezienia ludzkiego młodego żywego. Będzie  
jednak  
konieczne  
ostrzeżenie ludzkiego posła, że w porcie dojdzie do niezbędnych  
operacji i - ze  
względu na  
bezpieczeństwo Nomu oraz wszystkich znajdujących się wewnątrz -  
byłoby  
korzystniej,  
gdyby czcigodny ludzki starszy dokonywał obserwacji za pośrednictwem  
zdalnych  
urządzeń,  
a nie przez okna. Proszę to wziąć pod uwagę, jeśli łaska, panie.  
Rozumiem. Jeśli łaska, panie. Jestem w obecnej chwili przekonany, że  
robicie  
wszystko, co w waszej mocy.  
Nie miał ochoty rezygnować z możliwości wyglądania przez okno, gdyż  
nie żywił  
zaufania do niekompletnych obrazów przekazywanych przez regule, lecz  
ogień  
zaporowy był  
intensywny, a okna grzechotały złowieszczco. Zaczynał poważnie  
traktować  
ostrzeżenia baia.  
Regulskim budynkiem targał jeden wstrząs za drugim. Stavros wiedział,  
że bai go  
nie  
oszukuje.  
Pytaniem było tylko, co takiego wywołało tę wymianę ognia. Regule,  
powtórzył  
sobie,  
zasuwając osłonę przeciwburzową, nie kłamali.  
Zatem prawdą było, że wylądowali mri i że Sten Duncan znajdował się  
gdzieś na  
nizinach. Z regulami jednak nigdy nie można było być niczego pewnym.  
Nagle zatrzęsła się podłoga. W całym budynku zawyły syreny.  
Stavros wprowadził ślizg w tor i pomknął z powrotem do głównego holu,  
gdzie  
grupa  
młodych zaczęła gorączkowo machać do niego rękoma. Wszystkie

jednocześnie  
staraly się  
przekazać mu instrukcje.  
- Do schronu, wielebny, do schronu! - wołały, wskazując na kolejne  
pomieszczenie,  
do którego prowadziła zbiegająca w dół rampa. Stavros zastanowił się  
nad tym i  
doszedł do  
wniosku, że tym razem mądrzej będzie ich posłuchać.

Rozdział 18

Duncan był doszczętnie wyczerpany. Stanowił obciążenie i zwiększał  
niebezpieczeństwo. Niun chwycił go rękoma i zepchnął w dół zbocza, by  
poszukać  
schronienia pod nawisem, w pobliżu kipiącej sadzawki. Wepchnął go  
jeszcze  
głębiej, gdy  
wcisnął w ślad za nim własne ciało.  
Ledwo zdążył na czas. Pobliski impuls ognia przemknął z sykiem przez  
wodę, po  
czym skruszył skałę obok nich. Ostrzał prowadzono na oślep, bez  
celowania.  
Wiązki światła  
nie przestawały przeszukiwać okolicy. Niun dostrzegł w ich odbitym  
blasku  
wynędzniałą  
twarz Duncana. Oczy człowieka były opuchnięte. Nie chroniły ich  
migotki, które  
prześlaniały  
wzrok Niuna, gdy tylko dym stawał się gęsty. Po górnej wardze Duncana  
ściekała  
strużka  
krwi, która w słabym świetle wydawała się czarna. Ciągle się sączyła.  
Stało się  
to już czymś  
więcej niż tylko drobną dolegliwością. Człowiekiem wstrząsał  
bulgoczący kaszel,  
mimo że  
usiłował on go zdusić. W powietrzu unosił się gęsty, dławiący odór,  
zarówno  
wywołany  
strzałami, jak i pochodzący z naturalnych źródeł: pary i siarki. Niun  
wykręcał  
ciało w ciasnej  
przestrzeni, brzydząc się dotknięcia zakrwawionego i spoconego  
człowieka.  
Wreszcie,  
wyczerpany, doszedł do wniosku, że w tak niewielkim schronieniu nie  
warto być  
wybrednym.  
Leżeli razem w jamie, która zapewne stanie się ich grobem, jeśli  
któryś z  
następnych strzałów  
spowoduje osunięcie się nawisu, pod którym się kryli. Kości człowieka  
i mri  
zmieszają się ze  
sobą, dostarczając przyszłym posiadaczom Kesrith powodu do  
zastanowienia.  
To był obłąd. Umysł nie mógł funkcjonować prawidłowo w warunkach  
takich  
powtarzających się wstrząsów, do jakich dochodziło nieustannie wokół  
nich.  
Niunowi  
nieudolność reguły wydała się zdumiewająca. Obaj z Duncanem zginęliby  
już wiele

razy,  
gdyby ich wrogowie posiadali choćby cząstkową znajomość terenu. Nie mieli oni jednak żadnej. Ostrzeliwali na oślep okolice równie dla nich obcą i nieznaną, jak dno morza. Świat bez ustanku rozświetlały białe i czerwone flary. Spowijała go mgła, para, dym oraz obłoki kurzu. Wyglądało to zupełnie jak piekło znane mu z ludzkich przekleństw. Piekłem mri był nie kończący się Mrok. Woda pluskała ze świstem i bulgotaniem. Niun opuścił chustę zaidhe. Znajdował się na zewnątrz i osłaniał człowieka swym ciałem. Była to, jak na ironię, sytuacja, spowodowana przypadkiem. Natychmiast zamieniłby się na miejsca, gdyby było to możliwe. Ziemia podźwignęła się pod wpływem kolejnej eksplozji, która sparaliżowała ich zmysły i sprawiła, że ich bezwładne ciała ogarnęły ponowne konwulsje przerażenia. Przebijając się przez to wszystko, na skały padł nagle ostry, biały blask, który narastał, pochłonał ich, aż wreszcie pożarł cały świat. Towarzyszyła mu niemożliwa do zniesienia fala ciśnienia. Niun pojął, że ich trafiono. Spróbował się poruszyć, by wytoczyć się na otwartą przestrzeń, zanim nawis się osunie. Ogarnęła go fala uderzeniowa i była ona czerwona...  
... wicher, wicher o wielkiej mocy, który rozpędził dym i mgłę, tworząc czerwony wir przed jego skrytymi za migotkami i chustą oczyma. Niun poruszył się. Zdał sobie sprawę, że się poruszył i że żyje. Ze wszystkich stron otaczało ich posępne światło o kolorze paskudnej czerwieni. Podniósł się na nogi. Źródło tego blasku miał za plecami. Odwrócił się w jego stronę i ujrzał port. Nie było w nim nic. Stał, choć nogi pod nim drżały. Zdawało mu się, że krzyknął w głos, tak wielki był jego ból. Zacisnął oczy, po czym otworzył je, usiłując dostrzec coś poprzez płomienie, aż wreszcie łyzy spłynęły mu po twarzy. Po Ahanalu i po Hazanie nie zostało jednak ani śladu. W samym mieście gorzały pożary. Ku niebu wznosiły się kłęby dymu. W tej samej chwili z miejsca w pobliżu horyzontu wystartował samolot, który

zatonął  
krąg nad morzem i zawrócił w ich stronę, mrugając leniwie światłami.  
Niun podążał za nim wzrokiem. Maszyna zatoczyła jeszcze jeden krąg,  
przeleciała  
nad  
miastem, poprzez dym, i zaczęła kierować się w stronę wzgórz.  
W stronę edunu.  
Pragnął odwrócić od tego twarz. Wiedział, wiedział już jaki będzie  
koniec.  
Obserwował samolot. Śledził go wzrokiem. Jego gardło ścisnął potężny  
skurcz.  
Ciało miało  
zimne i odrętwiałe, lecz ośrodek jego umysłu był w pełni świadomy  
tego, co  
zaczęło się  
dziać.  
Pierwsza z wież edunu, należąca do Kel, eksplodowała z jasnym  
blaskiem, po czym  
osunęła się powoli w gruzy. Dotarł do niego dźwięk, przyprawiający o  
odrętwienie  
wstrząs, a  
w ślad za nimi powiew. Wieże zawaliły się. Cała struktura edunu  
zawisała w  
powietrzu, po  
czym zamieniła się w ruinę.  
Statek zatoczył krąg, lekki i wolny, mrugając leniwie światłami w  
ciemności, po  
czym  
wzniósł się ponad dym i przeleciał bezczelnie nad ich głowami.  
Pistolet znalazł się w jego rękach. Niun odwrócił się, uniósł go i  
wystrzelił  
jeden  
bezwolny impuls w ślad za tymi oddalającymi się światłami. Na niebie  
nie było  
widać  
żadnych innych. Rozmazały mu się one przed oczyma - zdradzieckie  
migotki albo  
łzy.  
Trzecia powieka poruszyła się i oczyściła jego oczy. Niun wystrzelił  
ponownie.  
Światła posuwały się naprzód jeszcze przez moment. Nagle rozkwitł  
czerwony blask  
i  
odłamki poleciały, wirując, po różnych trajektoriach, zniszczenie  
dodane do  
zniszczenia.  
Mógł to wywołać strzał z pistoletu lub turbulencja, która z pewnością  
otaczała  
port.  
Nie zmieniło to już niczego. Niun odwrócił się i ponownie spojrzął na  
edun,  
gdzie nie  
ostały się już nawet płomienie. W żołądku chwycił go skurcz,  
szarpiący ból,  
który osłabił jego  
stawy i sprawił, że zakręciło mu się w głowie. W tej chwili pragnąłby  
stracić  
czucie, stać się  
słabym, opaść, osunąć się na ziemię, zrobić cokolwiek, by nie  
sterczeć tu tak  
bezzadnie.  
Zginęli. Wszyscy zginęli.  
Stał tam, nie wiedząc, czy wracać do zgliszcz w porcie, czy też iść  
przed

siebie, tak  
jak poprzednio. Nie wiedział nawet, czy jest powód, by iść dokądś czy  
robić  
cokolwiek  
innego niż siedzieć tutaj aż do rana, kiedy to przybędą regule, by  
zakończyć  
sprawę.  
Przekonał się, że nie ma granic tego, co mogą wchłonąć zmysły. Nadal  
czuł. Nie  
był  
całkowicie odrętwiały. Pragnął tylko, by tak było. Uderzał w niego  
wiatr, który  
ukradł nocy  
wszelkie dźwięki. Szarpał on jego szatami, wywołując nieustanny  
szelest  
materiału, który w  
tym miejscu był głośniejszy od ciszy, jaka zapadła ponad wszystkim.  
Lud zginął.  
On pozostał przy życiu. Ocaleni mieli pewne obowiązki. Trzeba było  
okazać  
zmarłym  
szacunek i dokonać rytuałów. Różnił się usposobieniem od Medaia.  
Schował pistolet do kabury, wcisnął lodowate dłonie pod pachy i  
przystąpił do  
rozważań nad tym, co go czeka w życiu.  
Kel'en był Ręką Ludu. Musiał pochować swych kuzynów, o ile nie  
zrobili tego  
regule,  
zabijając ich. Potem nadejdzie wojna, której, być może, regule się  
nie  
spodziewali.  
Spojrzał w stronę nawisu. Zobaczył swego ludzkiego więźnia i  
popatrzył mu w  
oczy.  
To także był ktoś, kto czekał na śmierć, i kto, w małym zakresie,  
również  
wiedział, czym jest  
nieutulony żal.  
Mógł go zabić i zostać od tej chwili sam w przeraźliwej, niezmiernej  
ciszy.  
Byłby to  
mikroskopijny akt przemocy w porównaniu z działaniem sił, które  
rozszałały się  
na niebie  
Kesrith i zniszczyły cały jego świat. Mikroskopijny i nędzny atak.  
Zemsta za  
świat powinna  
być równego kalibru.  
- Wstawaj - powiedział cicho. Duncan podniósł się, oparł barkiem o  
skałę i wbił  
w  
niego wzrok.  
- Pójdziemy na wzgórze - ciągnął Niun. - Do domu mojego ludu. Nie  
sądzę, by  
nadleciały następne samoloty.  
Duncan odwrócił się i spojrzał w tamtą stronę. Bez sprzeciwu i bez  
pytań ruszył  
naprzód jako pierwszy.  
W otaczającym ich świecie zaszła zmiana. Punkty orientacyjne, które  
znajdowały  
się  
na Dusowej Równinie od niepamiętnych czasów, zniknęły. Grunt pokryty  
był  
bliznami

wypełnionymi wrzącą wodą. Duncan, który - związany i oślepiiony -  
szedł jako  
pierwszy, źle  
postawił nogę. Zapadła się ona aż po kolano. Nie wydał z siebie nic  
więcej niż  
ochrypły jęk  
wywołany szokiem. Niun złapał go i pociągnął w górę, pomagając mu  
odzyskać  
równowagę.  
Człowiek stał, chwytając ciężko powietrze.  
O tej chwili Niun trzymał rękę na ramieniu Duncana, kierując jego  
krokami. Znał  
drogę i dzięki temu chronił człowieka przed następnym upadkiem.  
Pojawiło się światło, czerwone światło Arain, brzydkie i mroczne.  
Niun ponownie  
spojrzał w stronę portu i zobaczył w pierwszych promieniach słońca  
pełną prawdę  
o tym, co  
już i tak wiedział: że nic nie ocalało.  
Ani Ahanal, ani Hazan.  
Gdy zaś popatrzył na wzgórze, na którym wznosił się uprzednio Edun  
Ludu,  
dostrzegł,  
że stał się on jednym z piaskiem i skałami, jak gdyby nigdy nie stało  
tam nic,  
co wybudowały  
czyjeś ręce.  
Widział także w tym świetle zdobyte przez siebie trofeum - wyczerpane  
stworzenie,  
któremu z trudnością przychodził każdy prowadzący w górę krok, i  
którego twarz,  
usta i pierś  
zbrzyzgane były krwią ciekącą nieustannie z jego nosa, nie wiadomo  
czy na skutek  
obrażeń,  
czy wpływu atmosfery. Oczy miał niemal zaciśnięte. Płynęły z nich  
łzy, jak się  
zdawało nie  
pod wpływem uczuć, lecz uszkodzenia tkanek. Twarz, nieprzyzwoicie  
odsłonięta  
przed  
słońcem, wyrażała raczej oszołomienie niż złość. Niun nie wiedział,  
dlaczego  
człowiek nie  
przestaje posuwać się naprzód takim kosztem, choć czekała go za to  
tak niewielka  
nagroda.  
Znacznie łatwiej byłoby zginać na skutek działania sił natury niż w  
akcie tego,  
czym ludzie i  
mri obdarzali się wzajemnie od czterdziestu lat.  
Był jednak punkt, poza którym nie sposób już było się zastanawiać.  
Liczył się  
tylko  
fakt, że się żyło, i trzeba było trwać, bez względu na to, czy się  
tego chciało  
czy nie.  
Niun potrafił zrozumieć podobne stanowisko, ów głęboki szok, który  
nie pozwalał  
na  
żadne decyzje. On sam nigdy nie przypuszczał, że zastygnie bez ruchu  
w chwili  
kryzysu, a  
jednak tak zrobił. Chłód momentu, w którym zginał Lud, wciąż dławił

jego umysł i  
serce.  
Wydawało się, że nigdy nie minie, choćby Niun zdołał wyrzucić zemstę,  
choćby  
nawet zabił  
każdego oddychającego regula i dorzucił na stos zniszczenia również  
ludzkość.  
Wobec takiego szoku życie ich obu miało jednakową wartość - żadną.  
Popychał człowieka przed sobą. Nie czuł teraz nienawiści ani litości.  
Nie  
widział  
powodu, by oszczędzać jeńca, gdy sam musiał stawić czoło zniszczeniu  
edunu.  
Pomyślał, że  
być może Duncan również oplakuje swój niespełniony obowiązek, gdyż  
nie udało mu  
się  
zapobiec spustoszeniu Kesrith, że on również rozpacza z powodu klęski  
i jest  
podobnie  
nieszczęśliwy jak on.  
Duncan miał jednak kuzynów - mieszkańców wszystkich ludzkich światów  
- i  
widział, że oni ocaleli. Niun był w stanie obudzić w sobie nienawiść  
do  
człowieka, gdy przez  
chwilę o tym pomyślał. Nie odda go jego pobratymcom. Dopóki on żyje,  
Duncan  
będzie żył.  
Dopóki będzie musiał stawić czoło temu, co stało się z Kesrith,  
człowiek Duncan  
będzie robił  
to samo.  
Dotarli do edunu w pełnym świetle dnia. Nie niepokoiły ich żadne  
statki. Na  
niebie  
nie było widać śladu życia. W mieście mogło się ono jeszcze tlić, nie  
sięgało  
jednak do  
miejsca, w którym się znajdowali. Gdy Niun o tym myślał, wyobrażał  
sobie, że  
podaży tam i  
pozabija ich systematycznie i bez radości - reguli, którzy nie  
posiadali  
umiejętności  
prowadzenia wojny, a którzy na koniec, w jednym tchórzliwym akcie,  
unicestwili  
Lud.  
Była w tym ironia warta gorzkiego śmiechu. Niun spojrział na hałdę  
gruzu, w którą  
zamienił się edun i poczuł, że musi się roześmiać albo rozpłakać.  
Duncan,  
którego nikt już nie  
zmuszał do marszu, osunął się po prostu na kolana i oparł o poboczne  
grobli. Niun  
usłyszał  
jego głuchy kaszel i kopnął go lekko. Gdy to nie wystarczyło, by  
skłonić go do  
podźwignięcia  
się na nogi, sięgnął ręką w dół, złapał go za ramię i podciągnął w  
górze.  
Mieli robotę do wykonania, przynajmniej w takim zakresie, na jaki  
pozwolą ich  
siły.



Niuna wstrętem napawała myśl o tym, by ręce tsi'mri dotykały ruiny,  
nie był  
jednak w stanie  
sam uporać się z zadaniem. Wyciągnął av-tlen i rozluźnił jego  
czubkiem węzły na  
nadgarstkach Duncana, po czym ostrożnie rozwiązał rzemienie, które  
wpiły się w  
opuchnięte  
ludzkie ciało. Następnie zawiesił je na pierścieniu u jednego ze  
swych pasów.  
Duncan spróbował rozmasować sobie dłonie, by przywrócić je do życia.  
Spojrzał na  
edun, po czym przeniósł pytający wzrok na Niuna. Mri szarpnął głową w  
odpowiedzi.  
Duncan zrozumiał go i ruszył naprzód. Brnęli przez gruz, stawiając  
ostrożnie  
stopy pomiędzy  
fragmentami ścian, które spadły w dół i roztrzaskały się. Tutaj  
szalał zwykły  
ogień, a nie  
promieniowanie, które z pewnością skaziło miasto i uczyniło je  
niezdatnym do  
zamieszkania.  
Niun pchnął stertę gruzu, która blokowała im drogę, i ujrzał że pod  
stosem  
ciężkich kamieni i  
delikatnego pyłu spoczywa przynajmniej jeden z członków Kel.  
Nie było sensu przenosić tej masy ani nadziei, że uda się tego  
dokonać w  
całości. Niun  
brał w rękę kamienie i układał je wokół widocznego fragmentu ciała na  
wzór  
mogiły.  
Duncan, widząc, jakie są jego zamiary, również zaczął zbierać  
kamienie  
odpowiednich  
rozmiarów i podawać je Niunowi.  
Dla tego drugiego dotkliwą obrazą było, że człowiek robi to  
dobrowolnie, a nie  
pod  
przymusem, lecz jego pomoc była potrzebna, w zadyż zaś razie nie  
pozwoliłby mu  
dotknąć  
samego grobu. W tej samej chwili przyszło mu do głowy, że Duncan  
mógłby rozwalić  
mu  
czaszkę jednym z tych właśnie kamieni, gdy tylko odwróci się do niego  
całkowicie  
plecami, i  
że takie właśnie mogły być zamiary człowieka, pilnował się więc, by w  
trakcie  
pracy nie  
tracić go z pola widzenia.  
Gdy skończyli, ruszyli dalej w głąb riun, w miejsca mroczne i  
niebezpieczne,  
gdzie  
nad ich głowami wznosiły się sterty gruzu, z których osypywał się na  
nich pył i  
małe  
kamienie. Najgłębiej, w samym sercu ruin, znajdowała się kaplica, do  
której  
zmierzał Niun.  
Została pogrzebana zbyt głęboko.  
Gdyby było to możliwe, odnalazłby wszystkie zwłoki, które zdołałby

wydostać i  
zaniósłby je do sanktuarium Sil'athen, gdzie pochowałby swych  
kuzynów. Być może  
jednak  
ludzie nigdy nie będą na tyle ciekawi, by sprofanować to miejsce  
swymi maszynami  
i  
przeszukiwać gruzy oraz pozostałości po gatunku, który nie miał już  
znaczenia we  
wszechświecie.  
W tym właśnie momencie świadomość katastrofy dotarła do owej  
centralnej cytadeli  
jego jaźni, która dotąd jej nie odczuła. Niun zadrżał. Omal nie  
zemdlął.  
Wyciągnął rękę, by  
się oprzeć, i dotknął niewłaściwego kamienia. Zbudził w ten sposób  
lawinę, która  
zasypała  
grunt u ich stóp i pokryła ich obu pyłem. Jedyną rzeczą, którą  
widział  
dokładnie, była twarz  
Duncana. W jego oczach czaiło się przerażenie, gdyż przez chwilę  
wydawało się  
prawdopodobne, że pokryje ich swym ciężarem gruz i ziemia. Potem pył  
przestał  
się  
osypywać i wokół zapadła cisza.  
Gdzieś przesunął się jakiś kamień, a w ślad za nim następny. Doszło  
do kolejnej  
lawiny. Potem ponownie nastąpiła cisza, w której usłyszeli upadek kilku  
kamyków.  
I w tej ciszy dobiegł ich wysoki, odległy krzyk.  
Duncan usłyszał go. Gdyby nie rzucone przez niego potwierdzające  
spojrzenie w  
bok,  
Niun uznałby ten dźwięk za złudzenie. Nadbiegał on jednak z kierunku,  
w którym  
uprzednio  
wznosiła się wieża Kath i gdzie znajdowały się najgłębiej położone  
magazyny.  
Odwrócił się i zaczął torować sobie drogę przez ruiny. Uważał, uważał  
teraz na  
życie  
własne, a także tej, która krzyknęła głośno w ciemnościach na dole.  
- Melein! - zawołał. Zatrzymał się, nasłuchując, i po raz drugi  
usłyszał ten sam  
wysoki  
głos.  
Oceniał, skąd on dobiega i po chwili dotarł do tego miejsca. Zawaliła  
się tam  
ściana, a  
na szczycie osypiska leżał drobniejszy gruz, lecz stalowe drzwi  
regulskiej  
konstrukcji  
wytrzymały. Aż za dobrze. Bronił do nich dostępu ciężar, którego nie  
sposób było  
przemieścić, gdyż brak im było narzędzi, które rozkruszyłyby gruz,  
oraz maszyn,  
które  
przeniosłyby go w inne miejsce. Niun kaleczył sobie na nim rękę.  
Mięśnie  
odmawiały mu  
posłuszeństwa. Duncan wspomagał go swoją siłą, lecz gruz nie chciał  
się

poruszyć. Wreszcie obaj usiedli na podłodze, dysząc ciężko i kaszląc. Z nosa Duncana ponownie zaczęła wypływać krew. Wytarł ją, pozostawiając rdzawą plamę. Ręce drżały mu w nieopanowany sposób.

- Czy tam na dole jest wentylacja? - zapytał człowiek. Nie było. Stanowiło to jeszcze jeden powód do obaw.

- Melein! - zawołał Niun. - Melein, czy mnie słyszysz?! Usłyszał coś w rodzaju odpowiedzi. Był to głos kobiety, i to młodej, wysoki, cienki i wyraźny. To była Melein. Niun uznał, że znajduje się ona pod nimi. Spróbował określić dokładne położenie i zaznaczył piętą miejsce na podłodze. Następnie wyszarpnął z gruzu pręt zbrojeniowy i zaczął kuć ostrożnymi uderzeniami. Nie był tak nierozważny, by wystrzelić z pistoletu w dół, ku jej schronieniu. Posługiwał się prętem oraz własnymi palcami. Duncan zobaczył, co robi Niun, i zaczął mu pomagać. Uderzali na przemian, wykuwając coraz głębszy otwór w grubej na łokieć podłodze. Od czasu do czasu przerywali pracę, by wygrzebać dłońmi pył zbierający się w zagłębieniu. Słońce prażyło coraz mocniej. Jedynym słyszalnym dźwiękiem był teraz nieustanny brzęk stali uderzającej w spojona cementem ziemię. Przez bardzo długi czas Niun nie słyszał ani jednego słowa od Melein. Dręczył go strach. Wiedział, jak mała jest znajdująca się pod nimi przestrzeń i jak niewiele musi być w niej powietrza. Bał się też, że otwór, który wykuwali, nie trafi w małe pomieszczenie, w którym przebywała Melein, oraz tego, że cała podłoga zawali się pod nimi. Przebili się. Powietrze wypłynęło z ciemności, stęchłe, zubożone i zimne.

- Melein! - krzyknął w dół, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Zaczął kuć jeszcze mocniej. Odłupywał odłamki z krawędzi otworu, poszerzając go, wpuszczając do środka coraz więcej i więcej powietrza wraz ze snopem światła słonecznego. Natrafili na stalowe pręty i zaczęli kuć z drugiej strony otworu, gdzie mogli uczynić go szerszym. Od czasu do czasu Niun wołał do niej, lecz nie usłyszał odpowiedzi. Wreszcie otwór stał się wystarczająco szeroki, by można się było przez niego precyzyjnie przycisnąć. Niun zaczął się zastanawiać. Człowiek będzie musiał

pozostać na  
górze, a oni  
wspiąć się jakoś z powrotem. Zastanawiał się gorączkowo nad zabiciem  
Duncana,  
nie byłoby  
jednak w stanie wdrapać się na górę z Melein w ramionach, a  
przynajmniej nie  
byłoby to  
łatwe. Nie miał też pewności, czy tkanina jego szat utrzyma ich  
ciężar, a nie  
wiedział, czego  
innego mógłby użyć.  
- Ja zejść na dół - zaproponował Duncan. Otworzył jedną z kieszeni i  
wyciągnął z  
niej  
kawał sznura, z następnej zaś małą latarkę, Wręczył mu te cenne  
przedmioty z  
naiwną  
otwartością, która na moment rozbroiła Niuna.  
- Różnica poziomów - zaczął Niun, drżąc wewnątrz na myśl, że  
człowiek  
znajdzie  
się w pobliżu Melein - jest równa półtoorej mojej wysokości.  
Nie dodał, jaką zemstę szykuje, jeśli Duncan będzie nieostrożny,  
jeśli zrobi  
krzywdę  
Melein lub nie wydobędzie jej żywej. Byłoby to bezcelowe. Siedział i  
przyglądał  
się  
bezzradnie, jak Duncan precyzyjnie swe ciało, które było odrobinę  
masywniejsze niż  
jego, przez  
otwór, po czym opadł z ciężkim łoskotem w ciemność.  
Przysłuchiwał się, jak człowiek poszukuje jej na dole, wśród rzeczy,  
które  
przesuwały  
się z grzechotem, oraz przemieszczających się gładów. Nachylił się  
nisko nad  
otworem,  
starając się dostrzec słabiutkie światło latarki, którą tamten  
trzymał w ręku.  
- Znalazłem ją - oznajmił głos Duncana dobiegający z owego chłodu. -  
Ona żyje -  
dodał po chwili.  
Niun rozpłakał się, pewien, że tutaj człowiek go nie zobaczy. Po  
chwili otarł  
oczy i  
usiadł nieruchomo z dłońmi zaciśniętymi w pięści na kolanach.  
Wiedział, że  
człowiek może  
ją wziąć na zakładnika, zrobić jej krzywdę, zemścić się lub zmusić go  
do  
złożenia jakiejś  
straszliwej przysięgi. Nie przemyślał tych możliwości dokładnie, co  
świadczyło o  
jego  
zmęczeniu i o tym, jak rozpaczliwie pragnął dotrzeć do niej na czas.  
Teraz  
jednak mógł już  
myśleć i przysunął się do krawędzi czeluści, by skoczyć w dół.  
- Mri! Niunie! - Duncan stał w świetle z jasnym brzemieniem w  
ramionach.  
Kłębuszek złotych szat spoczywał nieruchomo na jego piersi. - Opuść  
sznur!

Spróbuję pomóc  
ci wciągnąć ją na górę!  
W tej samej chwili Melein poruszyła się. Jej oczy otworzyły się w  
światle, w  
którym  
mogła dostrzec stojącego na górze Niuna jedynie jako cień.  
Melein! - zawołał do niej. - Melein, podciągniemy cię na górę! To  
jest człowiek!  
Melein, ale nie bój się go! Zaczęła się szarpać, usłyszawszy to,  
Duncan opuścił  
więc jej stopy  
na ziemię. Niun ujrzał w mrocznym świetle, jak spojrzała na twarz  
człowieka i  
cofnęła się  
przerażona.  
Później jednak pozwoliła, by położył ręce na jej talii i podźwignął  
ją w górę,  
co było  
dla niej zdecydowanie najłatwiejszym i najmniej bolesnym sposobem, by  
się  
stamtąd  
wydostać. Nie mogła jednak unieść rąk w górę, aby schwycić za dłonie  
Niuna.  
Zawołała, że ją  
boli - ona, która ongiś była kel'e'en.  
- Zaczekaj - sprzeciwił się Niun. Zawiązał na sznurze węzeł i  
uformował pętlę,  
która  
opuścił na dół. Owinął sobie sznur wokół ręki i ramienia i podźwignął  
ostrożnie  
ciężar, gdy  
Melein wślizgnęła się już w wykonaną przez niego pętlę. Duncan  
pomagał mu ją  
podnieść,  
lecz przez chwilę cienki, ostry sznur naprężony pod wpływem jej  
ciężaru wpijał  
się w dłonie  
Niuna. Starał się nie otrzeć jej o nieregularne brzegi otworu,  
ciągnął więc  
bardzo ostrożnie.  
Zaparł się mocno stopami, nie zważając na ból w dłoniach. Melein  
przecisnęła się  
przez  
dziurę i podciągnęła ku górze na oświetlony słońcem pył. Spróbowała  
się  
podźwignąć. Złapał  
ją, złapał ją bezpiecznie, przycisnął do siebie i pomógł się  
podnieść. Obejmował  
ją tak, jak nie  
obejmował żadnej żywej istoty od czasów dzieciństwa, nie zwracając  
uwagi na  
oplatający ich  
oboje sznur. Otarł pył i łzy z jej twarzy. Melein wciąż wciągała z  
wysiłkiem do  
płuc świeże  
powietrze.  
- Statek został zniszczony - powiedział, by skończyć z całym  
okrucieństwem,  
dopóki  
rany były jeszcze znieczulone. - Wszyscy poza nami zginęli, chyba że  
ktoś  
jeszcze pozostał  
przy życiu tam na dole.  
- Nikt. Nikt nie ocalał. Nie mieli czasu. Byli zbyt starzy, by

uciekać. Nie  
chcieli tego  
zrobić. Siedzieli bez ruchu, razem z she'pan. A potem Dom...  
Zacząła dygotać, jak gdyby ogarnął ją straszliwy chłód. Nie załamała  
się jednak.  
Była  
ongiś jedną z Kel. Zapanowała nad sobą i po chwili zaczęła oswobadzać  
ich oboje  
ze sznura.  
- Nie jest możliwe - powiedział, by się upewnić, że zrozumiała  
wszystko - by  
ocalał  
ktokolwiek ze statku.  
Usiadła na krawędzi fragmentu ściany, który blokował drzwi,  
przezcasała jedną  
ręką  
grzywę i pochyliła głowę. Znalazła na barku swą rozdartą chustkę,  
wygładziła ją  
i zakryła  
starannie włosy tym lekkim, przejrzystym welonem. Przez chwilę  
milczała. Twarz  
wciąż  
miała odwróconą do niego.  
Wreszcie wyprostowała ramiona i wskazała na otwór wśród gruzu, przy  
którym  
czekał  
Duncan.  
- A kim jest on? - zapytała.  
Niun wzruszył ramionami.  
- To dla nas nieważne. Człowiekiem. Gościem reguli. Próbowali go  
zabić, gdy się  
spotkaliśmy, a potem... - Podejrzenie, że to właśnie ów incydent,  
który w części  
sam wywołał,  
zabił cały Lud i uczynił ich sierotami, było zbyt straszliwe, by mógł  
je  
wypowiedzieć. Jego  
głos ucichł. Melein wstała i odeszła od niego, by przyjrzeć się  
ruinom. Nadal  
była zwrócona  
do niego plecami. Jej ręce zwisały bezwiednie u boków. Widok jej  
rozpaczy był  
dla niego  
niczym rana.  
- Melein - odezwał się. - Melein, co mam robić?  
Odwróciła się ku niemu i wykonała drobny, bezradny gest. - Jestem  
niczym.  
- Co mam robić? - nalegał.  
Sen i Kel: Sen musiało przewodzić. Ona jednak stała się czymś więcej  
niż Sen.  
Spoczywało to na niej ciężarem, którego, jak widział, nie pragnęła.  
Musiała  
jednak go  
podźwignąć. Niun stał i czekał. Wreszcie Melein zacisnęła powieki i  
rozchyliła  
je na nowo.  
- Zjawia się tu wrogowie - powiedziała. Najwyraźniej zaczynała  
obejmować  
funkcję,  
do której przygotowywano ją od lat - sprawować dowództwo i układać  
plany. Stała  
się tym,  
czym musiała się stać. She'pan Ludu, która nie miała ludu.  
- Odszukaj wszystko, co będzie nam potrzebne wśród wzgórz - ciągnęła.

- Tam dziś  
w  
nocy rozbijemy obóz. Daj mi tę noc, prawdziwy bracie. Nie powinnam  
cię tak  
nazywać, ale  
daj mi tylko tę noc, a potem zastanowię się, jaka droga będzie dla  
nas  
najlepsza.  
- Odpocznij sobie - nalegał. - Zajmę się tym wszystkim.  
Gdy ujrzał już, że usiadła tam, gdzie nie docierały bezpośrednio  
promienie  
słońca,  
nachylił się nad otworem i spuścił w dół linę.  
- Duncanie.  
Na środku oświetlonego obszaru pojawiła się biała twarz człowieka,  
zaniepokojona  
i  
przestraszona.  
- Wyciągnij mnie - powiedział, dotykając ręką sznura, którego Niun  
nie chciał  
naprężyć. - Mri, pomogłem ci. Teraz mnie stąd wyciągnij.  
- Poszukaj rzeczy, które wymienię. Wydobędę je na górę za pomocą  
sznura. Potem  
zrobię to samo z tobą.  
Duncan zawahał się, jak gdyby myślał, że mri może kłamać, podobnie  
jak ludzie.  
Potem jednak się zgodził. Szukał, posługując się swą maleńką latarką,  
wszystkich  
rzeczy,  
których zażądał od niego Niun, aż wreszcie je znaleźli. Każde małe  
zawiniątko  
przywiązywał  
do sznura, by Niun mógł je wciągnąć na górę: żywność i manierki z  
wodą, a także  
osznurowanie i cztery sztuki niepozszywanego czarnego materiału, gdyż  
nie mogli  
odnaleźć  
nic lepszego, nie poświęcając czasu na wykucie nowego otworu, a  
Duncan  
przestrzegał, że  
nie uważa tego za bezpieczne. Sznur po raz ostatni powędrował w górę,  
z belą  
materiału, i  
Niun po raz ostatni cisnął jego koniec w dół, tym razem dla Duncana,  
obwiązując  
sobie linę  
wokół ciała i ramienia.  
Nie było to takie trudne, jak podźwignięcie ciężaru Melein, która w  
niczym mu  
nie  
pomagała. Niun pochylił się i zapał mocno nogami, Duncan zaś wdrapał  
się w  
górze, złapał za  
krawędź otworu i podciągnął w bezpieczne miejsce. Zgiął się w pół.  
Dyszał,  
kasłał i usiłował  
powstrzymać krwawienie. Jego kaszel nie ustawał. Wreszcie Melein  
wstała z  
miejsca, w  
którym siedziała, by przyjrzeć się człowiekowi z mieszaniną niesmaku  
i litości.  
- To powietrze - wyjaśnił Niun. - Biegł, a nie jest przyzwyczajony do  
klimatu  
Kesrith.

- Czy jest kimś w rodzaju kel'ena? - zapytała Melein.  
- Tak - odparł Niun. - Ale nie stanowi żadnego zagrożenia. Regule polowali na niego.  
Teraz zapewne przestał ich już obchodzić, chyba że jego zwierzchnik żyje jeszcze. Co mamy z nim zrobić?  
Duncan najwyraźniej wiedział, że mówią o nim. Być może znał kilka słów z mowy Ludu, rozmawiali jednak w szlachtetnym języku i z pewnością nie mogli ich zrozumieć.  
Melein wzruszyła ramionami i odwróciła do niego głowę.  
- Zrób, co zechcesz. Ruszamy w drogę.  
Zaczęła posuwać się powoli naprzód, z uwagą odnajdując drogę pomiędzy ruinami.  
- Duncanie - rozkazał Niun - weź zapasy i chodź z nami.  
Człowiek obrzucił go wściekłym spojrzeniem, jak gdyby miał zamiar sprzeciwić się temu poleceniu jako obrażającemu jego godność. Niun spodziewał się tego i czekał na to.  
Potem jednak Duncan przyklęknął, powiązał zapasy sznurem i dźwignął je sobie na bark, gdy się podniósł.  
Niun nakazał mu gestem, by ruszył naprzód. Człowiek poniósł ciężar tam, gdzie skierował go mri, śladami Melein. Jego kroki były chwiejne i niepewne.  
Wzgórza w ogóle nie ucierpiały od ostrzału. Dotarli w osłonięte miejsce, które wyglądało dokładnie tak samo, jak przed atakiem, przed waśniami reguli, mri czy ludzi - schronienie bezpieczne przed samolotami, skryte głęboko pod nawisem z piaskowca.  
Z głębokim westchnieniem Melein osunęła się na piasek w tym zimnym cieniu.  
Pochyliła się z głową opartą o kolana, jak gdyby było to wszystko, co miała siłę uczynić, ostatni krok, jaki mogła podjąć. Była ranna. Niun przyglądał się jej, gdy szła, i wiedział, że cierpi ona wielki ból, umiejscowiony - jak sądził - w boku, nie w kończynach.  
Gdy uznała, że mogą się już zatrzymać, Niun zabrał zapasy od Duncana i rozłożył pośpiesznie materiał, który posłużył Melein jako koc i osłona przed słońcem. Dał jej wody oraz kawałek suszonego mięsa. Przyglądał się, kucając na piętach, jak piła i jadła, po czym oparła się o skałę, by odpocząć.  
- Czy mogę się napić?  
Ciche pytanie człowieka przypomniało mu, że ma jeszcze jednego podopiecznego.  
Odmierzył nakrętkę wody i przekazał ją w drżące dłonie Duncana.  
- Może jutro uda nam się spuścić wodę z luina - powiedział. - Wtedy



będziemy jej  
mieli pod dostatkiem.  
Przyjrzał się człowiekowi, który pił wodę kropla za kroplą. Sądząc z  
wyglądu, to  
wynędzniałe i brudne stworzenie nie powinno było utrzymać się przy  
życiu tak  
długo. Nie  
było prawdopodobne, by w obecnym stanie Duncan pociągnął wiele  
dłużej. Dolatywał  
od  
niego smród potu i siarki zmieszany z odorem człowieka. Niun wiedział  
jednak, że  
sam nie  
jest wiele czystszy.  
- Czy dasz radę... - zwrócił się do Melein, niemal zapominając, że  
nie wolno mu  
już  
swobodnie nazywać jej po imieniu. Wręczył jej swój pistolet. - Czy  
dasz radę  
powstrzymać  
się od snu na tyle długo, żeby popilnować przez chwilę tego  
człowieka?  
- Czuję się nie najgorzej - odparła. Podciągnęła w górę jedno kolano  
i oparła na  
nim  
nadgarstek wraz z pistoletem w pozie bardziej odpowiedniej dla  
kel'e'en niż  
she'pan.  
Zgodnie z prawami kastowymi nie powinna dotykać broni, lecz wiele  
rzeczy powinno  
wyglądać inaczej, a nie mogło.  
Zostawił ich tak i skrył się za występem. Tam rozebrał się i wykapał,  
tak jak  
robili to  
mri na pustynnych światach, w suchym piasku - całe ciało wraz z  
grzywą, która,  
gdy  
wytrząsał z niej piach, szybko odzyskała swój połysk. Zrobiwszy to,  
poczuł się  
lepiej. Ubrał  
się i skierował po swych śladach do jaskini.  
Poruszyło się za nim jakieś ciężkie cielsko. Usłyszał buchający  
oddech oraz  
żałosny  
jęk. Dus. Odwrócił się ostrożnie, gdyż zostawił pistolet w rękach  
Melein, a nic  
innego nie  
powstrzymałoby ha-dusa.  
To był miuk'ko, wymizerowany, opuszczony i pokryty strupami. Pysk  
jednak miał  
suchy i posuwał się naprzód z pełną swobody żywiołowością.  
Serce Niuna zabiło szybciej. Sytuacja mogła okazać się niebezpieczna,  
gdyż  
wszystkie  
dusei były nieprzewidywalne. Ten jednak podszedł do niego, uniósł  
głowę i  
szturchnął go w  
klatkę piersiową, wydając z siebie ów głos, którym dus zwracał się do  
swego  
pana, błagając  
go o jedzenie i schronienie, czy inne rzeczy, jakie mri i dus  
dzielili ze sobą.  
Niun przyklęknął, gdyż chwila tego wymagała, i objął skrofuliczną  
szyję.

Uściskał  
spokojnie zwierzę, dotykając go i pozwalając mu dotykać siebie.  
Ogarnęło go  
poczucie  
ciepła, głębokie i niemal wyczuwalne zmysłami. Niższe, zwierzęce  
funkcje umysłu  
dusa  
mogło zadowolić coś bardzo niewielkiego.  
Tego właśnie użyczyło mu zwierzę. Niun podniósł wzrok, zdając sobie  
sprawę z  
czyjejs obecności. Dostrzegł dwa obce dusei na grani z piaskowca  
ponad sobą. Nie  
bał się.  
Ten dus je znał i przez to one znały jego. To uczucie, podobnie jak  
ciepło,  
odbierał na  
poziomie tak niskim, że rozum tam nie sięgał, Był to fakt, równie  
pewny jak  
skała, na której  
stali obaj, mri i dus. Zwierzę wchłonęło w siebie jego ból,  
przetworzyło go i  
oddało mu w  
zamian siłę, równie powolną i potężną jak jego własna.  
Gdy Niun wrócił do jaskini, wielka bestia poczłapała za nim - potulny  
towarzysz,  
śmieszny, sympatyczny stwór, który - ujrawszy człowieka - przestał  
nagle być  
śmieszny i  
sympatyczny.  
Nieufność: to uczucie dotarło do umysłu Niuna za pośrednictwem  
impulsów  
emitowanych przez dusa. Jego fala opadła jednak, gdy zwierzę poczuło  
nagle  
przerażenie  
człowieka. Bał się go on, nie był więc niebezpieczny. Dus odłożył na  
bok myśl o  
nim i legł w  
poprzek wejścia, emitując odpychające i ochronne impulsy.  
- Przyszedł do mnie - powiedział Niun, wyjmując pistolet z dłoni  
Melein. - Jest  
ich  
tam więcej, ale żaden z nich nie wydaje się choćby w najmniejszym  
stopniu  
znajomy.  
- Stare przymierze pomiędzy nami a nimi wciąż obowiązuje - odparła.  
Niun wiedział, że nie mogli znaleźć lepszego strażnika i że dziś w  
nocy będzie  
mógł  
spokojnie zasnąć, pewien, że nic nie przemknie się obok dusa, by  
skrzywdzić  
Melein. Czuł z  
tego powodu przeogromną wdzięczność. Wyczerpanie, któremu dotąd się  
opierał,  
ogarnęło go  
niczym powódź. Dus uniósł głowę i wydał z siebie jęk przyjemności.  
Uchylił  
paszczę w  
szczelinowatym uśmiechu i wywalił język. Śmignął nim i schował go z  
powrotem z  
dusowym  
samozadowoleniem.  
Niun przemówił do niego w cichych, bezsensownych słowach, które dusei  
uwielbiały.  
Dotknął jego masywnej głowy, co sprawiło zwierzęciu przyjemność, po

czym ujął je  
za łapę.  
Obrócił ją, gdyż była zbyt wielka, by można ją było swobodnie trzymać  
w  
dłoniach. Pazury  
podkurczyły się odruchowo, przyciągając jego nadgarstek do ostrogi.  
Ta przecięła  
skórę,  
wpuszczając pod nią jad. Niun zrobił to celowo. Tak mała dawka nie  
wyrządzi mu  
szkody. W  
ten sposób mógł się uodpornić na truciznę tego dusa, dzięki czemu już  
nigdy nie  
będzie się  
musiał go bać. Cofnął dłoń i popieścił płaską czaszkę. Zwierzę wydało  
z siebie  
głęboki  
pomruk zadowolenia.  
Potem, ponieważ nie mógł znieść myśli o spaniu obok ohydnie brudnego  
człowieka,  
wziął zwój tkaniny, kazał Duncanowi pójść za sobą i zaprowadził go na  
występ.  
- Wykap się - rozkazał mu. Ponieważ Duncan zrobił przerażoną minę,  
rzucił  
tkaninę  
na ziemię, pochylił się, nabrał w garść piasku i na własnym ramieniu  
zademonstrował mu, jak  
ma to zrobić. Następnie usiadł ze złożonymi rękoma i odwrócił  
cokolwiek wzrok,  
podczas  
gdy człowiek oczyszczał swe ciało. Ciekawskie ha-dusei przyglądały  
się temu z  
góry,  
skupiając się w grupy i krażąc, zaniepokojone widokiem dziwnego  
stworzenia o  
bladej  
skórce.  
Duncan sprawiał nieco przyjemniejsze wrażenie, gdy zdrapał sobie z  
twarzy  
zaskorupiałą krew oraz usunął ślady łez, pozostawiając jednolitą,  
pokrytą pyłem  
powierzchnię. Wytrząsnął sobie piasek z włosów. Podniósł odrzucone na  
bok  
ubranie i zaczął  
je zakładać, lecz Niun oderwał fragment przyniesionej tkaniny i nadał  
mu taki  
kształt, by  
można się było w niego ubrać. Rzucił człowiekowi, który założył go na  
siebie  
niepewnie, jak  
gdyby podejrzewając, że mri chciał go w jakiś sposób tym zawstydzić.  
Niunowi  
przyszło  
wtedy do głowy, by przeszukać ubranie, które zdjął tamten. Znalazł w  
kieszeniach  
wiele  
rzeczy, o których Duncan nie wspomniał.  
Otworzył dłoń, by pokazać znaleziony przez siebie nóż. Człowiek  
wzruszył  
ramionami.  
Niun poczuł dla niego uznanie za to przynajmniej, że nie próbował  
uczynić zeń  
użytku, lecz czekał na odpowiednią okazję. Duncan rozegrał tę rundę  
dobrze, mimo

że ja  
przegrał.  
Rzucił mu drugi kawałek czarnej tkaniny.  
- Zasłoń sobie twarz - powiedział. - Twoja nagość obraża she'pan i  
mnie.  
Duncan założył sobie zasłonę na głowę, nieudolnie próbując osadzić ją  
na  
miejscu.  
Nie posiadał niezbędnych do tego umiejętności. Niun pokazał mu, jak  
zwinąć  
tkaninę, by  
sformować z niej taśmę, a potem złożyć zasłonę. Duncan, z przyzwyczajenia  
zasłonięta  
twarzą,  
prezentował się teraz lepiej. Nie nosił szaty kel'ena, gdyż nie  
byłoby to  
odpowiednie, lecz  
miał na sobie czerń Kel i był przyzwyczajony odziany - jak mężczyzna,  
nie jak  
zwierzę. Niun  
spojrzał na niego i skinął głową na znak aprobaty.  
- To będzie dla ciebie lepsze - powiedział. - Osłoni twoją skórę.  
Zakop swoje  
ubranie.  
Kiedy będziemy wędrować za dnia, przekonasz się, że nasz ubiór jest  
najlepszy.  
- Czy wyruszymy w drogę?  
Niun wzruszył ramionami.  
- She'pan podejmie tę decyzję. Ja jestem tylko kel'enem. Wykonuję jej  
rozkazy.  
Duncan opadł na kolana i wygrzebał dziurę w piasku, na sposób  
zwierząt. Zakopał  
w  
niej swe zrzucone ubranie. Gdy już je ukrył, zatrzymał się i spojrział  
w górę.  
- A gdybym mógł zaoferować wam możliwość bezpiecznego opuszczenia tej  
planety...  
- A możesz?  
Człowiek dźwignął się na nogi. Z zasłoniętą twarzą nabrał pewnej  
godności. Niun  
nie  
zauważył dotąd, jaki kolor mają jego oczy. Były jasnobrązowe. Nigdy  
jeszcze  
podobnych nie  
widział.  
- Mogłbym znaleźć sposób - zaczął Duncan - by nawiązać kontakt z  
moimi  
pobratymcami i sprowadzić tu dla was statek. Myślę, że masz coś do  
stracenia,  
jeśli nie  
przyjmiesz tej propozycji. Myślę, że bardzo byś chciał ją stąd  
wydostać.  
Niun zbliżył dłoń do swej broni na znak ostrzeżenia.  
- Tsi'mri, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. Jeśli przygotujesz jakies  
plany,  
przedstaw je  
jej, a nie mnie. Powiedziałem ci już: jestem tylko kel'enem. Jeśli  
ona uważa coś  
za stosowne,  
robię to. Jeśli coś jej dokucza, usuwam to.  
Duncan nie poruszył się. Zapewne zastanawiał się nad tym, w jaki  
sposób okazał  
brak  
poszanowania.

- Nie rozumiem - powiedział wreszcie. - Najwyraźniej nie pojmuję,  
jaki związek  
łączy  
was ze sobą. Czy to twoja żona?  
To obcesowe pytanie było zadane w tak naiwny sposób, tak zakłopotanym  
tonem, że  
Niun niemal nie roześmiał się z zaskoczenia.  
- Nie - odparł. - To moja Matka - dodał, żeby jeszcze bardziej zbić  
człowieka z  
tropu.  
Następnie nakazał mu gestem, by zaprzestał zwlekania. Zaczynał się  
niepokoić o  
Melein, a  
ponadto otaczały ich ha-dusei, które węszyły intensywnie i wydawały  
ciche  
krzyki, stojąc na  
swych wyżej położonych stanowiskach. Gdy opuścili okolicę, jeden z  
nich zlął na  
dół.  
Niewątpliwie ubranie nie pozostanie zagrzebane, nie ocaleje jednak z  
niego wiele  
fragmentów, które mogłyby przyciągnąć wzrok poszukiwaczy.  
Dus siedzący przy wejściu do ich schronienia uniósł głowę i nastawił  
maleńkie  
uszy,  
gdy się zbliżali, emitując radość przywitania. Niun, który czuł już w  
sobie  
działanie trucizny i  
wiedział, że w ciągu nocnych godzin poczuje je mocniej, podsunął  
palce pod nos  
zwierzęcia i  
przesunął się obok niego, oddzielając je swym ciałem od Duncana.  
Melein zauważyła zmianę w wyglądzie człowieka i skinęła głową na  
znak, że ją  
aprobuje. Przez całą noc nie okazała już jednak żadnego  
zainteresowania  
Duncanem. Usiadła,  
by spokojnie odpocząć, skoro już wrócili. Niun wypił bardzo małą  
porcję wody i  
położył się.  
Przyglądał się człowiekowi, który również rozciągnął się na ziemi,  
tak daleko od  
nich obojga  
i od zwierzęcia, jak tylko było to możliwe na tej małej przestrzeni.  
Z czasem Niun pozwolił swym oczom się zaniknąć. Jego umysł był pełen,  
tak  
przeciążony, że na koniec nie mógł już zrobić nic innego, jak  
porzucić wszelkie  
myśli i  
uspokoić się. Opanowała go dusowa gorączka. Odpłynął w stronę snów  
wywodzących  
się z  
niskiego umysłu, które były mrocznymi, niekiedy przerażającymi  
impulsami  
płynącymi od  
dusa. Niun nie obawiał się, że wyrządzą mu one krzywdę, gdyż w zakres  
wiedzy Kel  
wchodziła informacja, że żadnemu kel'enowi nigdy jego własny dus nie  
zrobił nic  
złego, o ile  
był zdrowy na umyśle.  
Należał już do tego zwierzęcia, podobnie jak ono do niego. Jego świat  
w tej  
chwili

ograniczał się do tego faktu oraz do Melein. Rankiem był pogrążony w absolutnej rozpaczy, wieczorem zaś odpoczywał, nieświadomy na sposób Kel, miał dusa, który strzegł jego snu i dotykał jego umysłu i miał też znowu she'pan, która zdjęła z niego ciężar układania planów. Serce go bolało na myśl o tym, że Melein musi dźwigać to brzemień, nie próbował jednak przejąć go od niej. Będzie miała swoje zaszczyty. Jemu przypadło inne, znacznie prostsze zadanie. Słuchać she'pan. Pomścić Lud. Gdy od czasu do czasu się budził, spoglądał na człowieka. W jednej z tych chwil dostrzegł w ciemności, że tamten nie śpi i przygląda się jemu. Nie odezwali się ani słowem.

Rozdział 19

Dzień zaczął się spokojnie. Słychać było jedynie zawodzenie wiatru oraz oddech dusa. Niun podniósł wzrok i dostrzegł, że Melein już nie śpi. Siedziała po turecku u wejścia. Zarys jej ciała widoczny był w świetle brzasku. Była spokojna, jak gdyby siedziała tak już od dawna, porządkując swe myśli w odosobnieniu w ciągu ostatnich godzin nocy. Podniósł się, podczas gdy Duncan wciąż leżał bez czucia, podszedł do niej i usiadł na zimnym piasku, w pobliżu gorączkowego ciepła drzemiącego dusa. Nogi wciąż miał niepewne od trucizny, a ramię zeszywniałe i gorące aż do barku, wiedział jednak, że to minie. Jego umysł nadal był spokojny. Muskały go splątane myśli dusa. Niun nie czuł strachu, nawet gdy zastanawiał się nad ich sytuacją. Zdawał sobie sprawę, że ta odwaga pochodzi od dusa i że opuści go ona, gdy nadejdzie kryzys i gdy będzie musiał myśleć, to jednak była chwila odpoczynku i Niun cieszył się tym wrażeniem. Pomyślał, że być może Melein również odczuwa w pewnym stopniu tę radość, gdyż jej twarz była spokojna, jak gdyby pogrążyła się ona w medytacji nad jakimś swym snem.

- Czy spałaś długo? - zapytał.

Wystarczająco. Wczoraj byłam wstrząśnięta. Myślę, że długa wędrówka wciąż będzie dla mnie uciążliwa, niemniej jednak dzisiaj ruszymy w drogę. Usłyszawszy to, Niun

zrozumiał, że podjęła jakąś ostateczną decyzję, byłoby jednak brakiem szacunku, gdyby ją o to zapytał, gdyby zachowywał się tak, jakby nadal był jej kuzynem, choć nie było to już możliwe.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił.

- Wyruszymy w kierunku Sil'athen - powiedziała - i dalej pomiędzy wzgórz.

Odnajdziemy tam kaplicę, o której nasze pokolenie Kel nie wiedziało. Zanim nas dwoje się urodziło, nakazano Kel o tym zapomnieć. Pana, Niunie, nigdy nie spoczywały w edunie. To był czas wojny. She'pan nie uważała za wskazane, by Pana znajdowały się w edunie. Miała rację.

Dotknął czoła na znak szacunku. Sam fakt, że słuchał jej słów, powodował, że jego skórę przeszywał dreszcz, czuł się też jednak podniesiony nimi na duchu. Nic to nie zmieniało, nie poprawiało w niczym ich mizernych szans, lecz Święte istniało i nawet gdyby mieli je zniszczyć własnymi rękoma, nie zostałyby unicestwione przez wrogów.

Była to więc misja prowadzona w imieniu bogów, coś czego warto było dokonać i co potrafił dobrze zrozumieć.

- Dowiedz się też - ciągnęła Melein - że odzyskamy Pana dla siebie i we dwójkę przeniesiemy je w miejsce, gdzie będziemy mogli znaleźć bezpieczeństwo. Potem będziemy czekać. Będziemy czekać tak długo, aż znajdziemy sposób na opuszczenie Kesrith albo też przekonamy się, że nie ma takiego sposobu. Czy Kel pragnie wyrazić opinię?

Zastanowił się nad tym. Pomyślał o propozycji Duncana i o tym, czy nie przedstawić jej Melein, lecz odłożył to w myślach na później. Nadejdzie jeszcze odpowiednia chwila, o ile przeżyją tę pierwszą sprawę.

- Sądę - stwierdził ostrożnie - że skończy się na tym, iż będziemy zabijać ludzi, a oni w końcu nas dopadną. Jeśli o mnie chodzi, byłbym gotów zgłosić się do ludzkich władz i zawrzeć kontrakt na służbę przeciwko regulom. Jestem aż tak rozgoryczony.

Przysłuchiwała się z uwagą jego słowom, przechyliwszy głowę na bok. Zmarszczyła brwi.

- Ale - zauważyła - między regulami a ludźmi panuje spokój.

- Nie sądę, by miał się utrzymać. Nie na zawsze.

- Ale czy ludzi by to nie rozśmieszyło, gdyby jeden kel'en chciał w pojedynkę zaciągnąć się do walki przeciwko wszystkim regulom?  
- Reguli by nie rozśmieszyło - odparł Niun nieubłagany tonem. Melein skinęła głową, uznając prawdziwość tych słów.  
- Nie pozwolę na to - oznajmiła. - Nie. Wiem, co planowała Intel. Chciała nas poprowadzić z powrotem w Mrok. Odbić długą podróż i w tym Mroku odnowić Lud. Nie wynajmę cię na służbę w zamian za żadne obietnice bezpieczeństwa. Nie. Pójdziemy we dwoje własną drogą  
- Nie mamy Kath ani kel'e'ein - krzyknął, lecz natychmiast ściszył głos do półszepetu, gdyż nie chciał, by Duncan się obudził. - Dla nas nie będzie już nowych pokoleń ani żadnej odnowy. Nigdy nie wyjdziemy z tego Mroku. Podniosła z niezmaconym spokojem wzrok ku jutrzence.  
- Jeśli jesteśmy ostatni, wybierzemy cichy koniec, jeśli jednak tak nie jest, najpewniejszą drogą wiodącą do zagłady Ludu byłoby zmarnowanie naszego życia na wojny i zaszczyty tsi'mri - wszystkie te rzeczy, którymi zajmował się Lud w owej nieszczęśliwej epoce.  
- A cóż może być jeszcze innego? - zapytał. Było to zabronione pytanie i Niun zrozumiał to, gdy tylko je wypowiedział. Wycofał je za pomocą gestu odrzucenia.  
- Nie, zrób co uważasz za stosowne.  
- Jesteśmy wolni - powiedziała. - Jesteśmy wolni, Niunie. Nie powierzę nam żadnego innego zadania, jak tylko odnalezienie Pana i przekonanie się, czy żyją jeszcze jacyś nasi pobratymcy. Niun podniósł wzrok i spojrzał jej w oczy. Skinieniem głowy wyraził uznanie dla jej odwagi.  
- Nie jest możliwe, byśmy tego dokonali - stwierdził. - Kel ci to mówi, she'pan.  
- Kel Mroków - odparła cicho - nie jest w pełni nieświadome i dlatego jest to trudniejsza służba. Tak, być może nie jest to możliwe. Nie mogę jednak zgodzić się na nic innego. Czy nie wierzysz, że bogowie wciąż darzą Lud swą łaską? Wzruszył ramionami, skrępowany swą ignorancją, bezradny, jak każdy kel'en, wobec słownych gier. Nie potrafił określić, czy w słowach Melein kryje się ironia.  
- Rzucam nas oboje - powiedziała wtedy. - Shon'ai. To potrafił zrozumieć. Była to tajemnica łatwa do zgłębienia przez Kel. Zacisnął pięść, naśladowując chwyt stosowany w shon'ai. Zrobiło mu się lżej na



sercu.

- Shon'ai - powtórzył. - To mi wystarczy.

- W takim razie ruszajmy w drogę - zdecydowała.

- Jesteśmy gotowi - odparł. Dźwignął się na nogi, podszedł do Duncana i

potrząsnął

nim. - Chodź - rozkazał. Gdy człowiek zaczął się poruszać, Niun

sporządził

pakunek z ich

pozostałych rzeczy. Wodę zamierzał nieść sam. Chciał też dać małą,

lekka

manierkę Melein,

gdyż nie byłoby rozsądne czynić Duncana niezależnym pod tym względem

badź

sprawić, by

ona była zależna, na wypadek, gdyby miało dojść do kłopotów, choć ani

on, ani

ona - gdy

mieli całe członki i nie niepokoili ich wrogowie - nie potrzebowali

manierek w

okolicy, gdzie

znali każdą roślinę i każdy kamień.

Rzucił zawiniątko z zapasami pod stopy Duncana.

- Dokąd idziemy? - zapytał człowiek, nie poruszając się, by je

podnieść. Było to

uprzejme pytanie. Niun wzruszył ramionami, udzielając mu, z podobną

uprzejmością, jedynej

odpowiedzi, jakiej zamierzał mu udzielić.

- Nie jestem waszym jucznym zwierzęciem. - Duncan zdobył się na

słaby,

wymamrotany pod nosem akt sprzeciwu. Kopnął zawiniątko, odtrącając je z pogarda.

Niun, nie spiesząc się, popatrzył na nie, a potem na niego.

- She'pan nie pracuje rękami, a ja, jako kel'en, nie dźwigam

ciężarów, kiedy mam

innych, by robili to za mnie. Gdybyś był martwy, ja bym je poniósł.

Ponieważ

żyjesz, ty to

zrobisz.

Duncan najwyraźniej zastanowił się nad tym, jak poważna jest ta

groźba. Doszedł

do

właściwego wniosku. Podniósł zawiniątko i wsunął ramiona między jego sznury.

Niun poczuł wtedy dla niego odrobinę litości, gdyż był on czymś w

rodzaju

kel'ena i

twierdził, że nie należy do niższej kasty, nie chciał jednak stanąć

do walki o

swe uprawnienia.

Musiał to by jednak być honorowy pojedynek, a'ani, przy użyciu

yin'ein, a Niun

doszedł do

wniosku, że w walce na broń mri człowiek byłby równie bezradny jak

kath'en.

Być może, pomyślał, postąpił źle, upierając się przy tym punkcie.

Wzięcie na

plecy

małej części brzemienia nie byłoby nadmiernym obciążeniem dla jego

dumy.

Toczenie wojny

przeciwko całemu gatunkowi kel'ena tsi'mri było jednym, a zmuszanie

go do

morderczego

wysiłku w surowym środowisku Kesrith czymś całkiem innym. Niemniej jednak Niun nie powiedział nic. Nadal czuł się tym zakłopotany, gdy wyruszyli we troje w drogę, a dus człapał u ich boku. Pytanie, jak w honorowy sposób postępować z człowiekiem podczas bliskiego kontaktu, było trudne. Fakt, że ludzie odrzucali a'ani i woleli walkę prowadzoną w masie, stał się zgubą Ludu. Niun zaczynał teraz pojmować, że ludzie po prostu nie potrafili walczyć jak należy. Tsi'mri. Czuł się zbrukany i głęboko strapiony tym, co odkrył. Pragnął odwołać wypowiedziane słowa, nie mógł jednak tego zrobić, ze względu na własną dumę. Zaczął się zastanawiać nad tym, jak zaciekle była wojna i jak wielu mri w niej zginęło, nie znając nawet natury nieprzyjaciela. Nie miał jednak prawa tego zmienić, nawet teraz. Nie należał do kasty, która podejmowała ostateczne decyzje. Powtarzał to sobie, zastanawiając się, jak wiele wiedziała Intel. W pobliżu moczarów Deog'hal weszli pomiędzy wysokie wzgórza. Nie podążali zwykłą trasą wiodącą do Sil'athen, gdyż jakieś niedobitki z miasta mogłyby ich na niej łatwo odnaleźć i dokończyć roboty rozpoczętej w edunie. Była to trudna wspinaczka i kosztowała ona wiele sił Melein, a także Duncana, który musiał dźwigać swoje brzemię. - Zbyt długo siedziałam w wieży she'pan - wydyszała Melein, gdy dotarli już na szczyt. Usiłowała zdusić kaszel. Duncan osunął się bezwładnie na ziemię, uwolnił od sznurów i położył na pakunku. Niun dał Melein odrobinę wody, by złagodzić ból w jej gardle. W głębi serca obawiał się o nią, gdyż zwykle nie męczyła się tak łatwo. Zauważył, że utyka i czasami przyciska ramię do boku. - Chyba coś ci dokucza - powiedział cichym głosem. Melein wykonała lekceważący gest. - Upadłam, zamykając drzwi do magazynu. To nic groźnego. Miał nadzieję, że się nie pomyliła. Ponownie dał się jej napić. Rozrzutnie obchodził się z wodą, było jednak prawdopodobne, że wkrótce znajdą jej więcej. Sam napił się tyle, by zwilżyć usta. Ujrzał, że człowiek wpatruje się w niego intensywnie, nie chcąc go

błagać.

- Tylko żeby zwilżyć usta - powiedział, dając mu pół miarki. - Pij wolno.

Człowiek wypił wodę tak samo, jak zrobił to Niun, pod zasłoną, nie odsłaniając

twarzy. Oddał nakrętkę ze skinieniem głowy, które zaczęło się już upodabniać do

uprzejmego

gestu.

- Dokąd idziemy? - zapytał Duncan po raz drugi. Jego głos zaczął nabierać

ochryplego

brzmienia.

- Człowieku - odezwała się Melein, zaskakując ich obu. - Po co ci potrzebna ta

wiadomość?

Duncan zaczerpnął tchu, by odpowiedzieć jej natychmiast. Niun

wyciągnął rękę i

złapał go mocno za ramię.

- Zanim coś powiesz - zwrócił się do niego - zrozum, że ona jest

she'pan. Kel

utrzymuje stosunki z obcymi, ale she'pan tego nie robi. To dla ciebie zaszczyt,

że w ogóle na

ciebie patrzy. Jeśli powiesz choć jedno słowo, które ją obrazi, z

pewnością

zaraz cię zabiję.

Być może poczujesz się pewniej, kierując swą wypowiedź do mnie, żeby jej nie

znieważyc.

Duncan patrzył na nich tak, jak gdyby myślał, że robią sobie z niego kpiny albo

groża

mu w jakiś sposób, którego nie potrafił zrozumieć.

- Mówię bardzo poważnie - ciągnął Niun. - Skieruj swą odpowiedź do mnie.

- Powiedz jej - odparł wreszcie Duncan - że bardziej mnie interesuje to, by

wrócić

żywym do moich współbraci. Powtórz jej to, co powiedziałem ci w nocy.

Ta

propozycja

wciąż jest aktualna. Może mi się uda wydostać was z tego świata.

- Duncanie - powiedziała Melein. - Wiem już, o co chciałbyś mnie

zapytać. Nie

powiem ci tego teraz. Możesz nas jednak powiadomić, kiedy przybędą tu twoi

pobratymcy. Z

pewnością to wiesz.

Duncan zawahał się, w oczywisty sposób strapiiony. Niewątpliwie

zastanawiał się

nad

ich zamiarami.

- To kwestia dni - odrzekł cichym głosem. - Bardzo niewiele dni. Mogą się zjawić

szybciej, niż mi się zdaje. W mieście znajdują ruiny oraz reguli,

którzy będą im

mogli

opowiedzieć co tylko zechcą na temat tego, co wydarzyło się

wczorajszej nocy.

- Tsi'mri - stwierdziła z lekceważeniem Melein. Duncan tego nie

zrozumiał.

- She'pan chce powiedzieć - wytłumaczył mu Niun w odpowiedzi na jego spojrzenie

-

że nie obchodzi nas, co robią obcy. Nie mamy już braci ani panów.  
Przestaliśmy  
służyć  
regulom. Być może tego nie rozumiesz, Duncanie, ale jesteśmy  
ostatnimi mri. Na  
statku  
Ahanal znajdowali się wszyscy, którzy ocaleli z wojny, a w edunie  
przebywała  
reszta. Regule  
znają nas i wiedzą, że jeśli nie dokończą tego, co zaczęli w porcie,  
zapewne  
przysporzymy im  
szkód. Co dla nich typowe, nie będą chcieli stawić nam czoło  
osobiście, by tego  
dokonać, lecz  
zapewne spróbują przekonać twój gatunek, by wykonał robotę za nich.  
Sam widzisz,  
jak mają  
się sprawy. Lepiej nie nękać nas pytaniami. Są rzeczy, o których  
trzeba będzie  
pomyśleć we  
właściwym czasie, jeśli zdarzy się to albo tamto, lepiej jednak teraz  
nas o nie  
nie pytaj, byśmy  
nie musieli o nich myśleć.  
Duncan wchłonął całą tę odpowiedź w milczeniu. Usiadł z ramionami  
opieczonymi  
wokół kolan, a dłońmi zaciśniętymi tak mocno, że zbieleły mu kostki.  
- Duncanie - odezwała się wtedy Melein - wśród nas istnieje  
porzekadło mówiące:  
„Powiedziane znaczy zrobione”. Dlatego też nie mówimy, byśmy nie byli  
zobowiązani robić.  
Nie zastawiamy z słów pułapek, tak jak regule. Nie zadawaj już więcej  
pytań.  
Wyciągnęła rękę do Niuna na znak, że chce, by pomógł jej wstać.  
Sprawiło jej to  
ból,  
mimo że Niun był bardzo ostrożny.  
- Zbierają się chmury - zauważyła, spoglądając na wschód. - Oby  
zstąpiły na  
reguli.  
Po południu niebo było już całkowicie zasnuwane, co chroniło ich przed  
gorącym  
bezpośrednio padającymi promieniami słońca. W powietrzu powiało chłodem.  
Stało się  
jasne, że  
chmury robią to, czego zażyczyła sobie Melein, i że nad ruiny miasta  
oraz portu  
nadchodzi  
burza.  
Raz, gdy spojrzała przez ramię w stronę równiny i popatrzyła na  
błyskawice  
przeszywające ten skryty w cieniu fragment nieba, nawiedziła ją jakaś  
myśl,  
która sprawiła,  
że dus jęknął ze zdumienia i odsunął się od niej, spłoszony. Była to  
wina  
Melein, gdyż Niun  
wiedział, że w niczym nie zawinił, a dus trzymał się od tej pory  
tylko jego  
boku.  
Chmury jednak nie wylały na nich ani kropli wody. Gdy dotarli do  
końca długiego,

wznoszącego się w górę stoku i znaleźli na płaskiej wyżynie, w ich manierkach pozostała tylko jedna czwarta zawartości. Późnym popołudniem Duncan chwiał się już na nogach ze zmęczenia i z radością zatrzymałby się natychmiast. Niun jednak pomyślał o tym, że mogą ich poszukiwać samoloty i nie chciał urządzać postoju na otwartej przestrzeni, a już na pewno nie ze względu na Duncana. Często spoglądał na Melein, zaniepokojony o nią, ta szła jednak naprzód, nie sprawiając wrażenia, że cierpi zbyt wiele. Gdy zbliżał się zachód słońca, wypatrzyli na horyzoncie kępę luinów. Ich powykręcane pnie sprawiały na tle czerwonego słońca wrażenie mirażu. Z nagich gałęzi jedynie na samych końcach wyrastały pęki liści.

- Tam jest woda - powiedział Niun do Duncana. - Dzisiejszy nocleg będzie przyjemniejszy. Będziesz miał do picia pod dostatkiem. Duncan, który zaczął już pozostawać w tyle, zdobył się na ostatni wysiłek i wytrzymał tempo, jakim oboje mri - nie będąc obciążeni - szli w stronę drzew. I maszerował razem z nimi, nie myśląc o ostrożności.

- Uwaga! - krzyknęła Melein, ujrawszy - w tej samej chwili, co Niun - szkliste włókna rozwijające się w wieczornym świetle. Niun wyszarpnął pistolet i wystrzelił, zanim Duncan zdążył się zorientować, co mu się przydarzyło. Wietrzny kwiat zginał. Poczuli smród, a szkliste witki poczerniały. Tam jednak, gdzie dotknął on ciała Duncana, na jego dłoniach i czole, pojawiła się natychmiast czerwień. Człowiek upadł na piasek, wijąc się z bólu, z ubraniem pokrytym wtkami.

- Ch'au! - przeklął Niun jego głupotę. - Nie ruszaj się! Leż spokojnie! Usłyszawszy to, Duncan przestał się ruszać. Drżał, gdy sztych av-tlen odrywał witki od jego ciała. Niun ściągnął je również z ubrania, po czym nakazał człowiekowi stanąć na nogi i poddał oględzinom czarną tkaninę w poszukiwaniu przezroczyстых resztek.

Później Duncan oddalił się o kilka stóp i przez parę chwil wstrząsały nim suche nudności. Niun oczyścił av-tlen piaskiem i naciął nim pień luina, którego nie zatruł wietrzny kwiat. Wydobył z pasa małą, stalową rurkę i wbił ją z łatwością w miękkie drewno, z

którego zaczął płynąć słodki płyn, czysty i wolny od kesrithańskiego pyłu.  
Napełnił pierwszą manierkę i wręczył ją Melein, by mogła nasycić pragnienie do woli.  
Luinów było wiele. Sam wypił drugą, którą pośpiesznie upuścił z drugiego drzewa, trzecia  
zaś zaniósł Duncanowi, który nie wymiotował jednak aż tak bardzo, jak niewątpliwie miałby na to ochotę po przeżytych szoku. Człowiek leżał po prostu na ziemi i dygotał.  
- Warto sobie zapamiętać - Niun powtórzył słowa, które przekazał mu kiedyś Eddan,  
po mniej bolesnym spotkaniu - że wszędzie na Kesrith, gdzie jest woda, są też wrogowie i drapieżniki. Skończyło się na bólu. Masz szczęście. Przejdzie ci. Gdybyś był sam, wpadłbyś  
całkowicie w sidła wietrznego kwiatu i to byłby twój koniec.  
- Nic nie widziałem - stwierdził Duncan. Przełknął łyk wody, próbując przezwyciężyć ból.  
- Gdy wędrujesz wśród luinów, idź tak, by słońce świeciło ci w twarz. Wówczas włókna wietrznego kwiatu będą lśniły w jego promieniach i staną się widoczne,  
Uważaj też,  
gdzie stawiasz nogi. - Pokazał człowiekowi, gdzie znajduje się legowisko małego ryjca.  
Miejsce to znaczył płaski obszar oraz mała depresja. Niun rzucił kamykiem.  
Piasek ekspoldował. Na chwilę zabłysnął jasny grzbiet, który zniknął, gdy zwierzę zanurkowało i zatrzepotało swym płaszczem, ponownie przykrywając się piaskiem.  
- Są jadowite - poinformował go Niun - i nawet mały osobnik może sprawić, że będziesz bardzo chory. Jednakże od chwili, gdy wyrastają do takich rozmiarów, że mogą  
pochłonąć dusa w całości, jad przestaje być dla nas decydujący. Ryjce budują swe legowiska  
pomiędzy luinami, w ocienionych miejscach i wśród skał, gdzie jest wystarczająco  
wiele piasku, by mogły się w nim skryć. Wielkich sztuk nie ma zbyt dużo. Ha-dusei  
zjadają je,  
zanim wyrosną do znacznych rozmiarów, o ile one wcześniej nie zjedzą dusei. W  
miejscu,  
obok którego będziemy przechodzić jutro, żyje bardzo wielki, stary ryjec. Myślę,  
że był tam  
przez całe moje życie. One są podobne do reguli; kiedy wyrosną do wielkich rozmiarów, nie  
poruszają się zbyt wiele.

Mały ryjec, zaniepokojony i rozgniewany, przemknął pod powierzchnią piasku, wywołując w niej ruchomą falę, i znalazł sobie nowe miejsce, głębiej wśród luinów.

Doszło do generalnej zmiany miejsc pomiędzy innymi przedstawicielami tego gatunku. Jo, całkowicie nieszkodliwy, oderwał się od kory luina, która skutecznie imitował, i oddalił się, trzepocząc skrzydłami w półmroku.

- Napij się do syta - poradził Niun strapionemu człowiekowi, ogarnięty litością dla niego. Duncan uczynił to powoli, w czasie gdy Niun przygotowywał im kolację z zapasów, które przynieśli ze sobą. Mogliby sporządzić sobie wiele posiłków z samych ryjców, choć ich mięso było nieprzyjemne w smaku i twarde jak guma, dzisiaj jednak Melein była chora, poprzedniej zaś nocy, jak i przez większą część minionego dnia, głodowali. Był rozrzutny i dał Duncanowi taką samą porcję jak im, biorąc pod uwagę, że skonfiskował z jego ewkipunku wszystkie użyteczne rzeczy, wliczając w to racje żywnościowe. Po drugiej stronie nieba, ponad nizinami, nieustannie widać było błyskawice.

Regule nie mieli szczęścia. Gdy się położyli, dus ich ogrzewał, a jego impuls odpychający utrzymywał na dystans ha-dusei, mogli więc spać bezpiecznie w minowym gaju. Rankiem ponownie zebrali swój ekwipunek. Niun zastanowił się, przygryzając wargę i marszcząc brwi, po czym obcesowym gestem złapał kilka zwojów tkaniny oraz część żywności dźwiganej przez człowieka i załadował je sobie na plecy.

- To na wypadek, gdybyś nie patrzył, gdzie idziesz - stwierdził chrapliwym głosem. -

W ten sposób ryjec, który cię złapie, nie pozbawi nas schronienia i żywności.

Człowiek spojrział na niego. Jego czoło przecinała krwawa pręga pozostała po spotkaniu z wietrznym kwiatem. Niun nie sądził, by tamten zapomniał o wypowiedzianych przez niego poprzedniego dnia słowach, że nie zamierza dźwigać ciężarów.

Spojrział spode łba, by go zniechęcić do wspomnienia o tym.

- Uczę się szybko - powiedział tamten. Niun pomyślał, że wśród rzeczy, których Duncan się nauczył, znajduje się też umiejętność uprzejmego odpowiadania kel'enowi.

Rozdział 20

Powietrze cuchnęło w niewyobrażalny sposób, splugawione przez cały

tłum  
przerażonych reguli. Wszędzie panowała ciemność rozjaśniana tylko  
światłami na  
dwóch  
konsolach ślizgów oraz czterech napędzanych długożyciowymi bateriami  
lamp, w  
które  
wyposażony był schron. Nigdzie nie było prądu. Stacje uzdatniania  
wody przestały  
działać.  
Mówiono o rozpoczęciu jej poszukiwań na pustyni, na sposób  
kesrithański, lecz  
żadne z  
młodych nie było pewne, czy potrafi tego dokonać, a poza tym nie  
paliło im się  
do  
wychodzenia na zewnątrz, na skażony teren, czy zapuszczania się na  
pełne  
kipiących  
gejzerów niziny.  
Hulagh nie wydał im dotąd takiego rozkazu. Stavros nie wątpił, że bai  
to zrobi,  
gdy  
sam zacznie odczuwać pragnienie.  
Ślizgi napędzane były akumulatorami. Ich pojemność również była  
ograniczona,  
lecz  
Stavros i Hulagh, jako starsi, zużywali mającą witalne znaczenie  
energię,  
podobnie jak  
żywność i wodę, bez żadnych ograniczeń, ponieważ uważano za  
oczywiste, że młodzi  
muszą  
utrzymywać starszych. Stavros zdobył się na litość dla udręczonego  
sekretarza,  
Hady, który  
rozdzielał pozostałą żywność i wodę trzystu młodym, a ponadto dbał o  
Hulagha i  
niego. Byli  
stłoczeni w schronie tak ciasno, że najmłodszy i najmniej ważny z nich  
nie mogli  
się położyć,  
by zasnąć, lecz ślizgom pozostawiono miejsce niezbędne do  
manewrowania. Młode  
odsuwały  
się z ich drogi z szacunkiem graniczącym z czcią. W gruncie rzeczy  
ich jedyna  
nadzieja na  
ocalenie opierała się na obecności pomiędzy nimi starszych. Mówiły  
mało.  
Wszystkie  
wpatrywały się w Hulagha - szereg za szeregiem pokrytych kostnymi  
osłonami  
twarzy oraz  
tępo zakończonych głów. Ich oczy lśniły w niemal całkowitej  
ciemności.  
Stavrosowi wydało  
się, w chwilowym przypływie dziwnego humoru, że zmierza on w  
stronę unisona.  
W ciągu długich, mijających godzin zauważył coś jeszcze - że całkiem  
sporo  
młodych  
zasypiało i już się nie budziło.  
Baiu, jeśli łaska - zasygnalizował, wypisując powoli regulskie znaki



na ekranie.

-

Mam wrażenie, że niektóre z młodych są chore.

Wielkie cielsko Hulagha podźwignęło się. Regul spojrzął we wskazaną stronę i

opuścił się z powrotem na miejsce z sykiem rozbawienia.

- Nie, ludzka wielebność, one śpią. Mają to robić, dopóki nie nadejdzie pomoc. W

tym

stanie zużywają mniej zapasów.

Coraz większa liczba młodych, poczynając od najmłodszych, zaczęła pograżać się w

tym letargu, aż wreszcie ogarnął on niemal wszystkie.

Również sam bai Hulagh zaczął drzemać. Wzdrygnął się nagle z basowym przekleństwem, po czym zawołał Hade.

- Jeść - rozkazał. - Pośpiesz się, głupku.

Stavrosowi również zaoferowano gęstą zupę o skwaśniałej woni, ten jednak odmówił

jej spożycia. Omal nie zwymiotował. To wprawilo Hade w zakłopotanie, lecz mimo

to podał

on jego porcję Hulaghowi. Papka zniknęła szybko między cienkimi wargami regula.

- Nic pan nie je - zauważył Hulagh.

Nie jest mi to potrzebne - odparł Stavros. - Wasze jedzenie mi nie służy - dodał

szczerze. - Napiłbym się jednak soi.

Hada pognął spełnić jego życzenie z gorączkowym, niemal maniakalnym pragnieniem

przy podobania się. Włożył naczynie z gorącym płynem do zdrowej ręki Stavrosa,

ze słomką

dla jego wygody, po czym stanął niepewnie blisko niego.

Hulagh roześmiał się - basowe dudnienie i seria syków.

- Idź sobie, jajokradzie. Usiądź z resztą młodych.

Hada skulił się zauważalnie i odsunął chyłkiem na bok, drobnymi, chwiejnymi

kroczkami.

- Hada wie - wyjaśnił głosem, który stał się niemal uprzejmy pod presją ich

długiego

oczekiwania, podczas którego musiał okazywać sympatię dla ludzi i ludzkich

zwyczajów - że

jeśli pobędziemy tu znacznie dłużej, racje zostaną zmniejszone, a on jest

żarłoczny.

Rozpieszczam to młode. Zatrzymam je, jeśli nadal będzie mi sprawiało przyjemność. Może

zatrzymam wszystkie. Straciłem - dodał smutnym tonem - swoje własne.

Razem ze statkiem - zrozumiał Stavros.

Wyraży współczucia, wielebny.

- Moje również, za utratę pańskiego młodego.

Wielki, odziany w cienką jak pajęczyna tkaninę potwór westchnął i pograżył się w

długiej zadumie.

Stavros, którego ślizg stał nos w nos ze ślizgiem Hulagha, skierował cały swój

gniew

na słabe palce lewej dłoni. Drgnęły tylko lekko. Prawa dłoń zacisnęła się.

Przestał już się

obawiać, że paraliż się rozszerzy lub porazi jego umysł, zaczynał jednak tracić

nadzieję, że  
kiedykolwiek ustąpi całkowicie. Był wdzięczny regulskiej technice,  
jeśli nawet  
nie samym  
regulom.  
Kondolencje Hulagha były niewątpliwie szczere, nie znaczyło to  
jednak, że ma on  
w  
tej sprawie czyste ręce. Stavros przyjrzał się drzemiącemu baiowi  
spod  
przymrużonych  
powiek. Teraz, gdy był zamknięty w schronie razem z regulami, moment  
z pewnością  
nie był  
odpowiedni, by wspominać o oczywistym fakcie, że Hulagh miał wiele  
wspólnego ze  
zniknięciem Duncana, zaś Stavros, z drugiej strony, w niczym nie  
przyczynił się  
do  
zniszczenia statku baia wraz ze znajdującymi się na jego pokładzie  
młodymi.  
W myśl zasad regulskiej moralności pozbycie się młodego stanowiło  
poważne  
wykroczenie, lecz jedynie ze względu na afront wyrządzony w ten  
sposób jego  
starszemu lub  
doch. Regul mógł łatwo stawić czoło gniewowi starszego wywołanego  
utrata  
młodego, jak na  
przykład wykrytymi przez niego podejrzanymi transakcjami handlowymi.  
Stavros  
doszedł do  
wniosku, że ta sama bezlitosna logika mogła mieć zastosowanie w  
przypadku  
konieczności  
wyeliminowania samotnego starszego, którego doch mogła wrogo  
zareagować na  
znajdujące  
się w jego posiadaniu informacje.  
Nadal wierzył, że regule nie kłamią. Byli oni jednak całkowicie  
zdolni do  
morderstwa,  
dzięki któremu kłamstwa mogły się okazać zbyt skuteczne. Z jednej strony  
bali się go,  
a z drugiej  
liczyli na jego pomoc. Podtrzymywał w nich ową nadzieję z uwagi na  
własne życie.  
Zaczął dochodzić do wniosku, że bai Hulagh z doch Alagn jest w  
rozpaczliwej  
sytuacji. Poniósł, w oczach swych pobratymców, bardzo niebezpieczną  
dla siebie  
stratę.  
Dlatego, gdy wydawało się, że może to przynieść mu korzyść, jak każdy  
dobry  
magnat  
handlowy, zabiegał o kompromis.  
Mógł on przynieść ludzkości bardzo wiele zysków.  
Stavros zdecydował jednak, że jeden z elementów zawartej umowy będzie  
musiało  
stanowić wyjaśnienie losów pewnego zaginionego żołnierza NST, którego  
darzył  
większym  
uczuciem niż się do tego przed sobą przyznawał. Nie kochał własnych  
dzieci.

Widywał je  
rzadko, zarówno gdy prowadził samotnicze życie kiluwańskiego  
uczonego, jak i  
później, gdy  
był zajęty pracą w rządzie oraz na uniwersytecie. Uważał, że ma wiele  
zajęć  
ważniejszych niż  
zawracanie sobie głowy owocami kilku młodzieńczych namiętności, które  
obdarzyły  
go  
najpierw zestawem synów, a potem wnuków i prawnuków. Większość z nich  
zresztą  
nawiązywała z nim kontakty jedynie dlatego, że pokrewieństwo z  
Kiluwaninem  
dodawало  
prestiżu. Wiedział, że niektórzy nienawidzili go z namiętną pasją,  
równą tej, z  
jaką pragnęli  
uzyskać awans dzięki jego wpływowi.  
Za Duncanem jednak tęsknił. Jego, podobnie jak innych, przyciągała  
reputacja  
Stavrosa jako człowieka mogącego zapewnić bogactwo. Jego motywy były  
takie same  
jak  
pozostałych, pełnił jednak swą służbę wiernie i gorliwie, a także  
szczerze  
pragnął przebić się  
przez mur kiluwańskiej etykiety, dlatego tylko, że leżało to w jego  
naturze.  
Stavros nigdy nie nauczył się, jak na to reagować. Nie przyznawał się  
też przed  
regulami do żalu, którego nie potrafiliby zrozumieć. Jednakże do  
długu, jaki  
będą musieli  
spłacić za Kiluwę, doszedł następny - za pozbawionego znaczenia  
żołnierza NST.  
Mimo to nie żałował, że wysłał Duncana, nawet takim kosztem. Doszło  
do  
wypadków, które przysporzyły regulom strat, co stanowiło część spłaty  
długu, a  
także zdało  
ich na łaskę i niełaskę ludzi. Stavros czuł z tego powodu wielką  
satisfakcję.  
Była to  
częściowa zapłata za Kiluwę.  
Zadośćuczynienie będzie pełne, gdy uda mu się wyrwać ster z rąk baia  
Hulagha i  
zacznie kierować doch Alagn ku porozumieniu z ludźmi. Była to zemsta,  
jaką  
potrafiliby  
docenić zarówno Hulagh, jak i Kiluwa. Zwłaszcza, gdy już się upewni,  
kto z  
reguli był  
bezpośrednio odpowiedzialny za los Kiluwy i znajdzie sposób, by  
porachować się z  
winnymi.  
Jako Kiluwianin, Stavros żywił nienawiść konkretną i logiczną.  
Istniał gatunek  
zwany  
regulami, ale to nie ten gatunek zniszczył Kiluwę. Zrobiła to jedna  
doch. Jej  
nazwa brzmiała  
Holn. Nie miała ona swych reprezentantów na tej planecie.  
Gdy tu wylądowali, doszło do zdziesiątkowania członków Holn. To nie

usatysfakcjonowało Stavrosa, który nie był zainteresowany rozlewem krwi. Pragnął zmierzchu Holn, utraty przez nią znaczenia między regulami. Hulagh zaś, gdy znajdzie się pod jego kontrolą, jako sojusznik ludzi, mógł stać się narzędziem tej polityki.

- Starszy - zahuczał wreszcie bai - czy jest pewne, że sprawuje pan władzę nad swoimi ziomkami?

Jeśli mri się nie wtrąca i nie zaczną niczego na szerszą skalę - odparł Stavros

- mam władzę nad sitami, które przybędą na Kesrith.

- Jeśli łaska - powiedział Hulagh - mri nie będą już odgrywać żadnej roli w stosunkach pomiędzy nami. Nie ma ich. Mri już nie istnieją. To była nowość. Stavros wprowadził na ekran znak zapytania, nie upiększony słowami.

- Na statku - wyjaśnił Hulagh - znajdowali się wszyscy żyjący mri. Uwolniliśmy się od tej plagi, która nie pozwalała zakończyć wojny między naszymi gatunkami. Hulagh nie śpieszył się z ujawnieniem tej informacji. Gdy Stavros ją usłyszał, z początku przeraziła go myśl o unicestwieniu całego rozumnego gatunku. Potem zaczął być podejrzliwy. Regule jednak nie umieli kłamać. Zadumał się nad możliwościami, jakie niósł ze sobą wszechświat bez mri, i doszedł do wniosku, że może to zapewnić ludziom ogromne zyski.

- Jest jasne - ciągnął Hulagh - że należy dokonać całkowitej przebudowy ludzko-regulskich stosunków. Doch Alagn może uznać za korzystne dopomożenie w doprowadzeniu do tego. Stavros po raz drugi przeżył szok. Rozpoznał w swej trwodze ludzką reakcję, opartą na moralności, której Hulagh w żaden sposób nie mógł wyznawać. Nie było żadnego powodu, dla którego doch Alagn miałyby się powstrzymać od postawienia propozycji, która w ludzkim państwie równałaby się zdradzie. Przeżywała ona trudności finansowe i polityczne. Hulagh poszukiwał porozumienia z siłami sprawującymi kontrolę nad zasobami, których pożywał.

Ludzie żywią pretensje do doch Holn - odparł Stavros po należyтым zastanowieniu.

-

Będzie możliwe dojście do nowych, obopólnie korzystnych ustaleń. Wargi Hulagha rozchyliły się w regulskim uśmiechu. Powolny syk

świadczył o  
odczuwanej przez niego przyjemności.  
- Zbadamy tę sprawę - powiedział. - Zrobimy to, najświetniejszy  
Stavrosie.  
Obudził Hadę i zamówił soi. Tym razem pamiętał, by kazać mu ją  
posłodzić, z  
myśla  
o smaku Stavrosa.  
Zanim jednak przygotowano napój, Hada zdążył powrócić. Sapał i  
wymachiwał  
rękoma z podniecenia.  
- Statek - wydyszał. - Bądźcie łaskawi, starsi, ludzki statek,  
przyleciał  
wcześniej...  
nadszedł komunikat...  
Gest Hulagha przerwał nagle młodemu. Wargi reguła wciąż były  
rozchylone, nozdrza  
zaś otwarte. Stavros wiedział już, że jest to wyraz niepokoju. Bai  
zachowywał  
się niczym  
nerwowo uśmiechnięty człowiek, na zewnątrz demonstrujący dobre  
maniery, lecz w  
głębi  
ducha przerażony.  
- Z pewnością zapragnie pan - powiedział Hulagh - przywitać tych  
przedstawicieli  
swego ludu i wyjaśnić im sytuację. Proszę im przekazać wyrazy naszego  
żalu z  
uwagi na stan  
portu, wielebny.  
Damy sobie radę - zapewnił Stavros, który nie posiadał się z  
niepokoju. Panował  
jednak nad tym uczuciem, wiedząc, jak ważne jest, by rozproszyć  
wątpliwości  
Hulagha. -  
Niech pan będzie pewien, wielebny, że nie macie się czego obawiać,  
jeśli wasze  
młode  
pozostaną spokojne i nie będą przeszkadzać w operacjach.  
Zwrócił swój ślizg w stronę sekcji kontrolnej i podążył za  
maszerującym  
kołyszącym  
się krokiem Hadą Surag-gi, który według regulskich standardów niemal  
biegł.  
Wielkie drzwi schronu otworzyły się. Mroczne wnętrza rozjaśniły  
wiązki światła  
reflektorów trzymanyh w rękach przez fantastyczne postacie odzianych  
w  
skafandry ludzi,  
którzy przemaszrowali ciężkim krokiem między szeregami pogrążonych w  
śpiączce  
młodych. Drzwi zamknięto ponownie, na wszelki wypadek. Drugi z  
idących posiadał  
licznik,  
którym sprawdzał, czy do schronu nie przedostało się promieniowanie.  
Przytomne  
młode  
zeszły pośpiesznie przybyszom z drogi, szczebiocząc z przerażenia.  
Stavros przesunął swój wehikuł ku przodowi i znalazł się twarzą w  
twarz z  
odzianą w  
skafander postacią. Ujrzał, że skryta za szybą ochronną głowa  
zatrzymała się w  
pozie

wyrażającej zdumienie.

- Konsul Stavros?

Na plakietce skafandra było napisane G ALE Y. Mężczyzna miał stopień porucznika.

- Tak - odparł na głos Stavros. Odwrócił zdalnie ekran komunikacyjny i wypisał

na

nim wiadomość za pomocą podstawowego modułu alfabetycznego, gdyż nie był pewien,

czy

jego bełkotliwa mowa zdoła przekazać skomplikowaną treść.

Mam trudności z powodu wypadku. Trudno jest mi mówić, ale to

urządzenie

znakomicie spełnia swą rolę. Niech pan przemawia do mnie normalnie i patrzy na

ekran.

Proszę odnosić się z szacunkiem do tych reguli. Będzie trzeba ich przetransportować w

bezpieczne miejsce, jeśli nie może pan zagwarantować normalnego

funkcjonowania

urządzeń

tego budynku.

- Sir - powiedział Galey, najwyraźniej zbity z tropu tą sytuacją.

Wciągnął w

płuca

powietrze i wypuścił je w długim oddechu. - Pan sprawuje dowództwo tu na

powierzchni.

Jakie są pańskie instrukcje? Obawiam się, że dopływ mocy będzie

poważnym

problemem.

Moglibyśmy w zasadzie sprowadzić tu ekipę remontową i wydaje się, że

nikt z was

nie uległ

skażeniu, lecz w kierunku portu rozciąga się kilka gorących plam o

pokaźnych

rozmiarach.

Stacja jest za to nietknięta. Wolelibyśmy ewakuację.

W budynku można mieszkać? Żyć?

- W tym budynku? Tak, sir. Na to wygląda.

W takim razie zostaniemy. Niekorzystna pogoda to tutaj problem. Nad resztą

panuję.

- Mri, sir... - powiedział Galey. - Nie wiemy dokładnie, co się tu wydarzyło.

Mamy problem, poruczniku Galey, ale rozwiązujemy go. Proszę łaskawie rozlokować

swoich ludzi tak, byśmy mogli przywrócić normalne funkcjonowanie

budynku. Do

stacji

łączości można się dostać przez te drzwi. Wybacz pan, że nie pójde z panem.

- Tak jest, sir - odparł Galey. Pokłonił się również regulom, sztywno i od

niechcenia.

Towarzyszący mu komandos przystąpili do realizacji rozmaitych zadań.

Bez

wątpienia

porozumiewali się między sobą przez radiotelefony w skafandrach, by

regule nie

mogli

podśluchiwać wymiany uwag oraz instrukcji.

- Ma pan tu do czynienia z młodymi - zauważył Hulagh. - Jeśli łaska, czy w grę

wchodzą jeszcze inni starsi?  
Chodzi mu o władze - pomyślał Stavros - władze, które mogłyby skomplikować zawarte między nami porozumienia.  
Przepraszam pana, baiu Hulaghu. To było młode o wyższej randze. Starszy, który nimi dowodzi, musi, jak pan z pewnością pamięta, w myśl traktatu podporządkować się moim poleceniom w sprawach dotyczących zarządzania Kesrith i otaczającą ją przestrzeń. Jest jednak pewna sprawa, w której może dojść do konfliktu między naszymi pełnomocnictwami.  
- Cóż to za sprawa, ludzki baiu?  
Mój zaginiony asystent jest wojskowym. Bai z nadlatującego statku może uznać, że on potrafi najlepiej rozwiązać tę sprawę. To dostarczyłoby mu okazji, by wtrącić się w zakres moich pełnomocnictw. Rzecz jasna nie życzę sobie tego. Uważam, że ułatwiłoby nam zadanie, gdyby było możliwe wyjaśnienie tej kwestii.  
Nozdrza Hulagha zatrzepotały pod wpływem nagłego podniecenia.  
- Jeśli łaska, wielobny. Możemy zasugerować poszukiwania na Dusowej Równinie, gdzie doszło do konfliktu pomiędzy moimi młodymi a wyjętymi spod prawa mri. To nieprzyjemne przypuszczenie, ale gdyby udało się odnaleźć szczątki... Stavros spojrział bez litości na podenerwowanego reguła.  
Czy więc uważa pan, baiu, że owo młode nie żyje?  
- To najbardziej prawdopodobne, wielobny.  
Gdyby jednak tak nie było, wydaje się możliwe, że ktoś z pańskiego sztabu mógłby pokierować poszukiwaniami z większym skutkiem niż jeden z oficerów ze statku. To nie jest wykluczone, prawda, baiu? Znacznie zwiększyłoby to zakres mojej władzy tutaj i ułatwiłoby negocjacje pomiędzy nami, gdyby możliwe okazało się odzyskanie tego zaginionego młodego.  
Jest on, rzecz jasna, jedynie młodym, a doświadczenia podczas starcia z mri z pewnością doprowadziły jego umysł do hysterii i zmały rozsądek, przez co żadnych zeznań, jakie złoży, nie będzie można traktować poważnie. Sprawiłoby mi jednak przyjemność, gdyby odnaleziono go żywego.  
Bai zastanowił się nad tymi słowami oraz zawartym w nich ukrytym znaczeniem.  
- W rzeczy samej - odrzekł - wśród mojego sztabu znajduje się tego rodzaju ekspert.  
Osoba znająca okolice. Przy współpracy pańskiej ekipy można będzie natychmiast zająć się tą sprawą.

Jestem wdzięczny, wielebny. Dopilnuję załatwienia niezbędnych formalności ze statkiem.

Stavros odwrócił swój ślizg, by odszukać Galeya. Jednocześnie usłyszał, że bai Hulagh nagłało wzywa Surag-gi.

Zaczynał odczuwać skutki szoku. Przez chwilę trudno mu było skupić się na sygnałach cyfrowych, które aktywowały rozmaite programy ślizgu. Poczuł, że oczy zachodzą mu mgłą. Coś takiego na ogół mu się nie zdarzało. Opanował już jednak emocjonalny wstrząs, gdy z niedbałą nonszalancją zatrzymał ślizg obok Galeya.

Porucznik najwyraźniej nie wiedział, czy przekazać mu wyrazy ubolewania, czy gratulować ocalenia życia.

- Jest pan tu sam, sir? - zapytał Galey.

Jak pan z pewnością zauważył, trudności jest pod dostatkiem. Żadnej zwłoki. Czy Koch sprawuje dowództwo tam na górze?

- Tak jest, sir.

Proszę więc skontaktować mnie bezpośrednio z nim. Mogę połączyć tę konsolę z główną tablicą rozdzielczą. Czy dacie radę sprowadzić tu na dół statek z wystarczającą liczbą ludzi, by skompletować brygady robocze oraz personel dla mojego biura?

- Nie od razu. Port uległ całkowitemu zniszczeniu. Stacja jednak jest w dobrym stanie.

Wszystko działa na serwomechanizmach.

Galey pochylił się nad konsolą komunikatora, dotykając bezradnie regułskich urządzeń sterujących.

- W ten sposób - poinstruował go na głos Stavros z niejaką satysfakcją. Nacisnął odpowiednie klawisze i rozpoczął sekwencję zmian, która połączyła ich ze statkiem wojennym Szabla, który przywiózł tu całą gromadkę ludzi mających rozpocząć przekształcanie Kesrith w nadający się do zamieszkania dla ich gatunku świat: ekspertów od gleby oraz uczonych.

A także broń.

On pełnił dowództwo na Kesrith, tylko on. Żaden oficer medyczny nie ogłosił, że jego zdrowie nie pozwala mu na sprawowanie rządów. W głębi serca Stavros wiedział, że potrzebuje tego ociężałego magnata handlowego z Alagn w równym stopniu, jak w tej chwili doch Alagn potrzebowała jego.

Ujrzał wyraz szoku malujący się na twarzy oficera łącznościowego Szabli, która natychmiast zniknęła, zastąpiona obliczem wojskowego odpowiednika Stavrosa, Kocha.

- Stavros? - zapytał Koch.



Drobne trudności w mówieniu - odpowiedział za pomocą klawiszy, zastępując obraz tekstem. - Mamy tu na dole regulskich rozbitków. Bądźcie gotowi do wspomnienia nas w operacjach na powierzchni. Potrzebujemy jedzenia i wody pitnej. - Nie byliśmy przygotowani na przyjęcie regulskich obywateli. Nieprzewidziane okoliczności. Wszystkie decyzje dotyczące Kesrith i reguli należą do mnie. Sytuacja na dole jest obecnie pod kontrolą. Aktualnie poszukuję mojego adiutanta, który mógł paść ofiarą ataku mri. Jak zameldowano, skażenia ograniczają się do obszaru portu. Domagam się, by odkomenderowano część wojskowego personelu z Szabli pod moje dowództwo, dopóki nie zrobimy tu porządku. - Ekscelencjo - powiedział Koch - medyczne urządzenia Szabli są do pańskiej dyspozycji, jeśli zechce pan przybyć na stację. Odmawiam. Regulskie urządzenia są adekwatne. Sytuacja jest zbyt pilna. Mój stan jest dobry, biorąc pod uwagę sytuację. Kontynuuję prace zgodnie z pełnomocnictwami przyznanymi mi jako gubernatorowi Kesrith. Niech pan ześle na dół uczonych, wojskowych asystentów oraz wszelki odkomenderowany personel i sprzęt, gdy tylko teren zostanie oczyszczony. - Może rozsądniej byłoby poczekać. Proszę wysłać na dół personel zgodnie z moim życzeniem. Nastąpiła długa przerwa. - W porządku - odparł Koch. - Ekipie będzie towarzyszył medyk. Na Kesrith - odparł Stavros - medyk zaczeka, aż znajdzie dla niego czas. Koch przełknął również i to. Skinał wreszcie głową na znak zgody. - Ma pan pełnomocnictwa, to fakt. Ale załoga statku pozostaje pod moim dowództwem. Dostanie pan cywilów, gdy tylko znajdziemy kawałek twardego gruntu, żeby na nim wylądować. Statek kosmiczny Kwiat przydzielono do pańskiej dyspozycji, Gratuluję, sir. To jednak jest sonda, a nie jednostka bojowa. Czy sytuacja wymaga natychmiastowego udzielenia zbrojnego wsparcia? Zaprzeczam. - Macie tam na dole kiepską pogodę. To najwyraźniej typowa sytuacja. Proszę poczekać. Prowadzimy tu działania przy użyciu dostępnego personelu. Zapraszam pana na planetę celem wymiany uprzejmości, gdy tylko uprzątniemy szczątki. Stavros usłyszał brzęczenie zbliżającego się ślizgu. Pozwolił swemu rozmówcy przez

chwilę odebrać obraz. Z satysfakcją przyglądał się temu, jak Koch po raz pierwszy w życiu ujrzał regulskiego starszego. To jest bai Hulagh - poinformował go Stavros i ponownie wyłączył wizję. - Nadzwyczaj wpływowy regul, sir, za pozwoleniem. Osiągnęliśmy tu pewien niezbędny stopień współdziałania, co jest korzystne dla obu gatunków. - Rozumiem - powiedział powoli Koch. Sprawiał wrażenie, że całkowicie zapomniał języka w gębie. Był wojskowym z urodzenia i wychowania. Stał wobec sytuacji, z którą nie potrafił sobie poradzić i na szczęście zdawał sobie z tego sprawę. - Otrzyma pan swoją pomoc - obiecał. Stavros przerwał połączenie, czując skrytą satysfakcję, i rzucił spojrzenie na Galeya. Niech pan zbada okolice - polecił porucznikowi. - Gdy już się pan upewni, gdzie jest bezpiecznie, zaczniemy kierować te młode z powrotem do normalnych obowiązków. To jest sztab baia. Proszę się do nich odnosić z należytym szacunkiem, poruczniku Galeya. - Otrzymujemy już raporty - powiedział oficer. - Wydaje się, że cały teren jest nie skażony i bezpieczny. Uszczelnienia budynku okazały się bardzo skuteczne. Stavros odetchnął z ulgą. - Moje młode - odezwał się Hulagh - znajdą sposób na przywrócenie dopływu wody oraz naprawienie urządzeń poboru prądu - pomachał masywną ręką. - Hada zajmie się pozostałymi sprawami, jeśli będzie miał środki transportu. Sądzę, że niektóre z wehikułów ze stacji uzdatniania wody mogły zostać nienaruszone.

Rozdział 21

Przy wejściu Sil'athen czekał na nich dus, który odpychał ich z taką siłą, że zwierzę Niuna spłoszyło się. Tam, wśród skał, na wpół pochowane w piasku, leżały szczątki Eddana. Niedaleko spoczywała sterta czerni, która była ongiś Liranem i Debasem, a także złoto, które było Sathellem. Melein zasłoniła twarz i odsunęła się na bok, gdyż jako she'pan nie mogła patrzeć na śmierć. Niun jednak podszedł bliżej i z uszanowaniem poprawił chustę na twarzy Eddana. Upłynęło wiele czasu, zanim był w stanie podnieść wzrok i spojrzeć na człowieka, który kręcił się niepewnie w pobliżu. Oczyszczył dłonie w piasku, uczynił znak wyrażający cześć i podniósł

się. Człowiek  
również wykonał podobny znak, na swój sposób. Niun zaakceptował ten  
wyraz  
szacunku.  
- Sami wybrali taki koniec - powiedział Duncanowi - i był on lepszy  
niż to, co  
spotkało tych, którzy zostali.  
Wylał z manierki odrobinę drogocennej wody, odwrócił się plecami, by  
umyć dłonie  
i  
twarz, po czym ponownie założył zasłonę. Gdy spojrział w górę, na  
skały, ujrzał  
dwa inne  
dusei, które zaczęły schodzić w dół. Wycofał się natychmiast.  
Jego własny dus wszedł pomiędzy nich a tamte i spróbował zbliżyć się  
do trzech  
emitujących impuls odpychający zwierząt, które utworzyły przeciwko  
nim wspólny  
front.  
Zataczały kręgi w obie strony, wyciągając nosy. Nagle wielkie,  
łagodne  
stworzenie, które  
należało do Eddana - a przynajmniej tak Niun sądził - dźwignęło się  
na tylne  
łapy i krzyknęło  
głośno, odpędzając jego dusa. Najmniejszy z trójki zawahał się jednak  
w połowie  
drogi  
pomiędzy nimi i podążył za nowo przybyłym dusem Niuna. Jego towarzysz  
poszedł za  
jego  
przykładem. Największy, należący do Eddana, wydał z siebie płaczliwy  
jęk i  
oddalił się od  
tych zdradzieckich dusei, których nie chciał już więcej znać. Niun  
wyczuł jego  
gniew i  
zadrżał, gdy jednak zaczął się stamtąd oddalać, podążył za nim nie  
tylko jego  
dus, lecz  
również dwa, które należały uprzednio do Lirana i Debasa. Uformowały  
ciasny  
trójkąt z jego  
własnym zwierzęciem. Krzyczały i jęczały, nie pozwalając jeszcze  
Niunowi zbliżyć  
się do  
siebie, lecz pomimo to porzuciły swe obowiązki, pozostawiając straż  
dusowi  
Eddana, który  
położył się obok swego zmarłego i pozostał mu wierny.  
- Lo'a-ni dus - oddał mu cicho honory Niun z głębokim szacunkiem.  
Zamknął jednak  
przed nim swe serce, gdyż impuls odpychający był zbyt silny, by można  
go było  
znieść.  
Ponownie założył sobie ciężar na plecy i ruszył w drogę. Trasa, którą  
podążali  
wraz z  
Duncanem, zbiegała się z trasą Melein.  
Nie było potrzeby rozmawiać o tym, co znaleźli. Dusei szły przed  
nimi. Od czasu  
do  
czasu któryś z nich próbował zawrócić w stronę Duncana, lecz dus  
Niuna na to nie

pozwalają.  
Nieustannie krążył z tyłu małej kolumny, by pokrzyżować im te zamiary. Wkrótce najwyraźniej zrozumiała, że ten tsi'mri znajduje się pod ochroną i zrezygnowała z prób dobrania się do niego.  
Dotarli do wylotu wewnętrznej doliny Sil'athen, gdzie oczekiwał innego rodzaju strażnik. Niun ujrzał go po drugiej stronie rozległej, piaszczystej płaszczyzny.  
Dotknął ramienia człowieka, nachylił się i podniósł niewielki kamyk. Rzucił nim daleko, daleko ponad ławicą piasku, ku centralnej depresji.  
Ta eksplodowała, na obszarze o obwodzie równym dwudziestu długościom dusa.  
Chmura piasku wzbijała się w powietrze z krawędzi płaszcza ryjca, który podźwignął się i ponownie zagłębił o kilka długości dalej.  
Człowiek zaklął tonem grozy.  
- Pokazałem ci go - wyjaśnił Niun - żebyś zrozumiał, że ten, kto nie zna tych terenów i nie ma dusa, który by mu towarzyszył, nie zdoła tu znaleźć drogi. Po drugiej stronie wielkich piasków można podobno znaleźć egzemplarze większe niż ten, który widziałeś.  
Dusei potrafią je wywęszyć, podobnie jak inne niebezpieczeństwa. Nawet mri nie lubią chodzić po tej krainie samotnie, chociaż potrafimy to robić. Nie sądzę, byś ty to umiał.  
- Rozumiem cię - powiedział Duncan.  
Od tej chwili wędrowali cicho. Szli blisko ściany urwiska, gdyż tamtędy wiodła bezpieczna trasa. Mijali groby zamknięte i oznaczone za pomocą kamieni.  
Niezwyczajne kształty skał Sil'athen po kolei pozostawały za nimi, otaczając ich wokół i zasłaniając drogę, którą tu przyszli.  
- Co to za miejsce? - zapytał Duncan ściszonego głosem, gdy mijali wysoko położone groby she'panei.  
- Nla'ai-mri, - odparł Niun. - Sil'amen, cmentarz naszego rodzaju.  
Od tej chwili Duncan nie odzywał się już. Spoglądał tylko niepewnie to na jedną, to na drugą stronę doliny. Raz obejrzał się przez ramię do tyłu, gdzie wiatr zacierał ich ślady, usuwając wszelkie pozostałości po tym, że ktoś kiedykolwiek tędy przechodził.  
Prowadziła ich teraz Melein. Szła jako pierwsza z dłonią na grzbiecie dusa Niuna, który kroczył powoli obok niej. Wydawało się, że zwierzęciu ten

kontakt sprawia  
przyjemność. Zapuscili się głęboko w kaniony ścieżką, którą Niun  
nigdy nie  
wędrował.  
Minęli przejście pomiędzy skałami, w których mieściły się grobowce  
she'panei. Na  
skałach  
wryte były znaki - być może imiona starożytnych she'pan lub  
drogowskazy. Melein  
czytała  
je i Niun ufał jej przewodnictwu. Wierzył, że zna drogę, choć sama  
nigdy tu nie  
była.  
Odczuwała coraz większe zmęczenie. Od czasu do czasu wydawało się, że  
z  
pewnością będzie musiała się zatrzymać, nie robiła jednak tego.  
Przystawała  
tylko czasem na  
chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym ruszała w dalszą drogę. Blask  
południa  
przeszedł w  
gorejącą łunę godzin popołudniowych. Słońce stało teraz niżej, dzięki  
czemu  
mogli wędrować  
w chłodnym cieniu urwisk. Byłoby to niebezpieczne, gdyby nie  
chroniące ich  
dusei, które  
badały drogę przed nimi.  
Zapuscivszy się głęboko w cień, dotarli do ślepego końca wąwozu. Niun  
spojrzał  
na  
Melein. Zastanowił się nagle, czy mimo wszystko zgubiła drogę, czy  
też chciała w  
tym  
miejscu urządzić postój. Ona jednak popatrzyła w górę, na szlak,  
którego Niun  
nie dostrzegł,  
dopóki nie podążył wzrokiem za jej spojrzeniem. Z miejsca innego niż  
to, w  
którym stali, w  
ogóle nie można było go dojrzeć. Prowadził w górę pomiędzy czerwone  
skały, ku  
labiryntowi  
kolumn z piaskowca sterczących ku niebu niczym potężne palce.  
- Niunie - powiedziała wtedy Melein, rzucając spojrzenie za siebie.  
Popatrzył w tym samym kierunku, w stronę Duncana, który, wyczerpany  
rzadkim  
powietrzem, osunął się w dół, by spocząć na ziemi, oparty o swój  
bagaż. Dusei  
zmierzały w  
jego stronę. Jeden z nich wyciągnął łapę. Duncan zamarł bez ruchu, z  
głową wciąż  
wspartą na  
pakunku.  
- Yai! - skarcił Niun dusa, który z poczuciem winy cofnął ciekawską  
łapę. Cała  
trójka  
dusei wycofała się, emitując uczucie zmieszania.  
Niuna dręczył niepokój na myśl o wejściu w towarzystwie człowieka w  
ten stromy,  
splątany labirynt, gdzie jeden źle postawiony krok mógł spowodować  
ich koniec.  
- Co mam z nim zrobić? - zapytał Melein w szlachetnym języku, by  
Duncan nie mógł

go zrozumieć. - Nie powinno go tu być. Czy mam znaleźć sposób, by się go pozbyć?

- Dusei dadzą sobie z nim radę - odparła. - Zostaw go w spokoju. Zaczął się sprzeciwiać, nie ze względu na siebie, lecz z obawy o Melein, ta nie sprawiała jednak wrażenia, by była gotowa go wysłuchać.

- Gdy będziemy się wspinać, on pójdzie jako ostatni - powiedział. Mimo to poczuł

w

brzuchu skurcz strachu. Intel jasno widziała przyszłość. „Czuję wielki strach”

powiedziała

owej nocy, gdy wszyscy zginęli. Niun odczuwał teraz podobny lęk - zimne, jasne

poczucie, że

osiągnęli punkt, poza którym nie będzie już można się cofnąć, że traci jakąś

szansę bądź też

przechodzi obok czegoś. Myśl o człowieku wkradała się coraz głębiej w jego

umysł. Nie

chciał takiego towarzystwa. Obecność człowieka ciążyła jego myślom, niemożliwa

do

wytrzymania, niczym wspomnienie o ataku. Spojrzał na Duncana i

zadrżał nagle pod

wpływem gwałtownej odrazy. Przypomniał sobie, że niesie ciężar, który powinien

dźwigać

tamtę, i nie ma pojęcia co dalej z tym wszystkim zrobić. Dotknął

palcami

pistoletu.

Uczyniono go jednak kel'ennem po to, by przynosił Ludowi zaszczyt, a nie

dopuszczał

się ordynarnych mordów. Ponadto Melein wydała inny rozkaz, co

uspokoilo jego

sumienie.

Nie był władny podjąć decyzji w podobnej sprawie. Należała ona do niej i to, co

zadecydowało, zgadzało się z nakazami jego sumienia.

Duncan spojrział na niego nagle i Niun wsunął palce za pas, starając się ukryć

swe

myśli i swój ruch zarazem.

- Chodź - powiedział. - Chodź, pójdziemy teraz w górę.

Ruszył wąską ścieżką jako pierwszy i natychmiast zauważył, że Melein nie jest

niemal

w stanie wspiąć się w górę po tym zerodowanym, nie używanym szlaku.

Znalazł

jakieś

oparcie dla stóp i sięgnął ku jej ręce. Melein jednak ujęła jego

palce drugą

dłonią, by

oszczędzać zraniony bok. Za każdym razem, gdy musiał ją podciągnąć delikatnie,

by jej

pomóc, robił to bardzo ostrożnie, gdyż widział jej twarz i wiedział,

że cierpi

straszliwy ból.

Duncan szedł za nimi, zaś na samym końcu posuwały się niezgrabne dusei.

Zwierzęta

strącały po drodze kamienie, które spadały ze stukiem do głębokiego kanionu,  
lecz ich pazury  
oraz wielka siła sprawiały, że stapały one pewniej niż się mogło wydawać.  
Gdy byli w połowie drogi, dobiegł ich dźwięk silników samolotu.  
To wrażliwe uszy Melein usłyszały go jako pierwsze, gdy odpoczywała w pół kroku.  
Odwróciła się i wskazała palcem na krążącą nad główną doliną maszynę.  
Jej pilot  
nie mógł  
ich dostrzec ani wykryć gdzie się znajdują, podczas gdy oni byli w stanie  
swobodnie  
obserwować ów maleńki punkcik w różowym półmroku, który pozostał jeszcze z dnia.  
Niun widział nie tylko samolot, lecz również plecy Duncana. Człowiek stał,  
trzymając  
się wielkiego głazu, i spoglądał w stronę maszyny. Niun nie mógł nie pomyśleć z  
jaką wielką  
radością Duncan pobiegłby w tamtą stronę, by dać znak, i jak łatwo może to  
zrobić, jeśli  
będzie miał w przyszłości okazję.  
Nie byli już sami na świecie.  
- Ruszajmy dalej - powiedziała Melein. - Zejdźmy z tego urwiska, zanim zawróci w  
naszą stronę.  
- Chodź - rozkazał ostro Duncanowi Niun z nienawiścią brzmiącą w głosie.  
Człowiek  
odwrócił się i ruszył za nimi w górę, oddalając się od tego, co według  
wszelkiego  
prawdopodobieństwa niosło mu nadzieję na ratunek.  
Gdy następnym razem spojrział w dół, by okazać pomoc Melein, Niun rozejrzał się  
wkoło i nie dostrzegł już samolotu. Nie uspokoiło go to w najmniejszym stopniu.  
Maszyna  
mogła równie dobrze pojawić się bezpośrednio nad ich głowami, przelatując ponad  
urwiskami i kolumnami z piaskowca, które zapewniały im jedynie częściową osłonę.  
Ku jego uldze, gdy wspięli się na szczyt urwiska, nie ujrzeli przed sobą  
kolejnej  
równiny, lecz zeszli nieco w dół, posuwając się krętą ścieżką między kolumnami z  
piaskowca, które - na tle purpurowego nieba - nabrały teraz koloru płonącej  
czerwieni. Wiał  
silny wiatr, przeganiający między kolumnami małe chmurki, który zacierał za nimi  
ślady.  
Ponownie dał się słyszeć cichy kaszel Duncana. Nie uspokoił się on, dopóki  
człowiek  
nie odzyskał tchu po wspinaczce. Znajdowali się na dużej wysokości i powietrze  
było  
znacznie suchsze niż na nizinach. Tu, na terenach położonych wyżej

niż większa  
część ładu,  
nie było deszczów, a jedynie burze piaskowe. Po drugiej stronie  
wyżyny  
rozciągało się  
morze, The'asacha, było ono jednak małe i martwe, podobnie jak Morze  
Zasadowe,  
nad  
którym leżało regulskie miasto. Jeszcze dalej wznosił się łańcuch  
górski, Dogin.  
Były to  
jedynie szkielety zerodowanych gór, zachowały jednak wysokość  
wystarczającą, by  
zawracać  
wiatry w tę bądź w tamtą stronę po kręgosłupie kontynentu oraz  
wywoływać burze,  
które  
nigdy nie opadały na wyżynną równinę, lecz tylko na płaskie niziny.  
Chmury widoczne na obrzeżach nieba pędziły teraz nad te niziny, by  
zrzucić tam  
swoj  
ładunek wilgoci. Oszczędzały im przez to zarówno obawy przed burzą,  
jak i  
nadziei, że da im  
ona wodę. Jedynym jej skutkiem będzie dla nich ciemne niebo oraz  
trudna i  
niebezpieczna  
wędrówka bez światła gwiazd.  
Do uszu Niuna dotarł nagle dźwięk silników samolotu. Zapędził w  
zapadającym  
zmroku człowieka oraz dusei w najbardziej ocienione miejsce. Melein  
ukryła się  
natychmiast.  
Jeśli z samolotu dostrzegą cokolwiek, będzie to obraz dusa - dla ich  
instrumentów gorąca,  
masywna sylwetka - coś, co na pustkowiu widziało się często. Gdyby  
mieli  
strzelać do  
każdego dusa na Kesrith, ich poszukiwania potrwały długo.  
Samolot odleciał. Niun rozluźnił pięść, którą trzymał zaciśniętą na  
szatach  
człowieka  
od chwili, gdy spędził wszystkich w gromadę, po czym po raz pierwszy  
odetchnął  
spokojnie.  
- Możemy tu odpocząć przez chwilę - powiedziała Melein słabym,  
zmęczonym  
głosem. - Czeka nas jeszcze daleka droga... potrzebny mi odpoczynek.  
Niun popatrzył na nią i dostrzegł jej cierpienie, które tak długo  
starła się  
ukryć.  
Podczas wspinaczki za każdym razem gdy skrzywiła się z bólu odczuwał  
to we  
własnych  
trzewiach. Nie mogli odpoczywać długo. Gryzł się tym. Miał wrażenie,  
że ta nie  
dająca jej  
spokoju potrzeba zmierzania do celu odziera ją z resztek sił.  
A bez niej nie pozostanie mu już nic.  
Wziął kawał tkaniny, by zrobić z niego posłanie. Ułożył Melein przy  
boku dusa,  
by  
ogrzała się w jego przyjaznym ciepłe. Uradował się, gdy odprężyła  
się, leżąc



wygodnie, a  
bruzda bólu wryta na jej czole wygładziła się i zaczęła znikać.  
- Nic mi nie będzie - pocieszyła go, dotykając jego dłoni.  
Nagle jej oczy rozszerzyły się. Niun odwrócił się błyskawicznie.  
Ujrzał cień,  
który  
porwał jednym ruchem manierkę z wodą. Duncan zniknął w mroku w  
labiryncie skał.  
Niun zaklął i pognał za nim. Natychmiast usłyszał za sobą jękliwy ryk  
dusei.  
Ominął z  
jednej strony kolumnę, na wpeł spodziewając się zasadzki, co byłoby  
ze strony  
człowieka  
idiotyzmem, nie natknął się jednak na nią.  
Nie widział też Duncana ani żadnego śladu po nim.  
Zostawił Melein. Zalał go nagle pot, gdy pomyślał, co się może stać,  
jeśli  
Duncan  
zatonczy krąg i zaatakuje ją. Była przecież ranna.  
Nagle usłyszał głos polującego dusa - unoszący się na wietrze jęk.  
Oznaczał on,  
że  
zwierzę dostrzegło zdobycz. Niun pobłogosławił kilku bogów swej kasty  
i pognał w  
kierunku,  
z którego dobiegał dźwięk, z pistoletem w dłoni.  
Po drodze napotkał Melein, bladą zjawę w ciemności, z dusem u boku.  
Wspólnie  
odnaleźli ślepy zaułek, w którym pozostałe dusei osaczyły Duncana.  
- Yai! - zawołał Niun do zwierząt, zanim zdążyły rzucić się na  
człowieka, by go  
zabić.  
Cofnęły się, pochylając barki w zadzierzystym odwrocie, na tyle  
tylko, by  
pozwolić  
Duncanowi wstać z występu, na którym został osaczony. Nie chciał tego  
zrobić.  
Skulił się  
tam, z twarzą odsłoniętą podczas przedzierania się przez skały. Jego  
nagie  
oblicze było  
wykrzywione z wyczerpania i gniewu. Dręczył go kaszel. Z nosa ciekła  
mu krew.  
- Zejdź na dół - powiedziała Melein.  
Człowiek nie chciał jednak tego zrobić i Niun poszedł po niego,  
odpychając na  
bok  
dusei. Wtedy Duncan spróbował się poruszyć, lecz osunął się ponownie  
na ziemię.  
Siedział  
nieruchomo z głową opuszczoną na złożone ramiona.  
Niun złapał za ramię manierki i wyrwał ją z dłoni Duncana. Pozwolił  
mu  
odpoczywać przez chwilę, gdyż wszyscy byli zdyszani.  
- To była dobra próba - powiedział - ale następnym razem cię zabiję.  
To cud, że  
dusei  
nie uczyniły tego przy tej okazji.  
Duncan uniósł twarz. Zacisnął szczęki z gniewu. Wzruszył ramionami w  
geście  
wyzwania, który jednak zepsuł atak niepowstrzymanego kaszlu.  
- Dałbyś znak samolotowi - powiedziała Melein - i sprowadziłbyś go na  
nas.

Duncan ponownie wzruszył ramionami i podniósł się na nogi. Opuścił ślepa niszę i poszedł za nimi z własnej woli. Dusei wciąż pragnęły krwi. Były zbite z tropu tym, że najpierw kazano im ścigać zwierzynę, a potem je od niej odciągnięto. Dlatego Niun maszerował pomiędzy nimi a człowiekiem. Melein podążała z tyłu. Ruszyli ku miejscu, w którym porzucili swój ekwipunek, gdy przystąpili do pościgu. Tam osunęli się na ziemię, w tym samym punkcie, gdzie rozpoczęli odpoczynek. Byli teraz podwójnie wyczerpani. Niun przyjrzał się z uwagą Duncanowi, zastanawiając się nad tym, co mogło się być wydarzyć i jaką szkodę mogło im to wyrządzić. Musiał pamiętać o Melein, delikatnej z uwagi na jej obrażenia. A także o krającym w pobliżu samolocie, który czekał tylko na to, aż popełni najdrobniejszy błąd, w nieodpowiednim momencie pokażą się choć na chwilę na otwartej przestrzeni, by ich zlokalizować i skończyć z nimi.

- Zakryj sobie twarz - powiedział wreszcie Niun. Duncan spojrział na niego spode łba, jak gdyby chciał się sprzeciwić temu rozkazowi, na koniec jednak opuścił oczy i poprawił zasłonę. Nie przestał się jednak na niego gapić.

Dus zajechał i podniósł się na tylne łapy.

- Yai! - rozkazał mu Niun i zwierzę opadło na cztery kończyny, kołysząc się nerwowo. Dusowy gniew pobudził również krew Niuna. Stłumił go i zapanował nad nim, gdyż ten, kto wędrował w towarzystwie dusei, musiał mieć więcej od nich rozsądku.

Duncan odsunął się na bok, oderwał wzrok od nich dwojga i od zwierząt i wbił go w skałę przed sobą.

- Ruszemy w dalszą drogę - zdecydowała po pewnym czasie Melein. Dźwignęła się na nogi, ostrożnie i z bólem. Zachwiała się i Niun musiał jej natychmiast pomóc, by się nie przewróciła. Potem jednak dotknęła dłonią dusa i zwierzę wysunęło się spokojnym krokiem na czoło, dzięki czemu mogła posuwać się naprzód powolnym, ostrożnym krokiem, idąc u jego boku. Dus stanowił dla nich jedyną ochronę, gdy wędrowali w ciemności ciasnym przesmykiem wśród skał.

Niun zabrał manierki z wodą, całą zaś resztę pozostawił do dźwigania

człowiekowi.  
Pogonił go ciężką ręką, każąc mu iść pomiędzy dwoma pozostałymi  
dusei, by nie  
stracili z  
oczu jasnej postaci Melein.  
Tylko dzięki dusei, których przesycone tłuszczem skóry odporne były  
na jad  
wietrznych kwiatów i których wrażliwe zmysły ostrzegały je przed  
innymi  
niebezpieczeństwami, mogli się odważyć wędrować w tej okolicy po  
zapadnięciu  
zmroku.  
Melein z pewnością sądziła, że ciemność, sprzyjająca im, nie będzie  
przychylna  
tym, którzy  
ich ścigali.  
Długa wędrówka zawiodła ich na bardziej otwarte tereny. Przechodzili  
przez  
przeraźliwie odkryte ławice piasku pod postrzępionymi chmurami, gdy  
usłyszeli  
odgłos wciąż  
krażącego w pobliżu samolotu; zdołali się jednak ponownie skryć  
między  
formacjami z  
piaskowca.  
Przeleciał blisko. Duncan podniósł wzrok ku niebu, jak gdyby w  
przybliżeniu  
nadziei,  
lecz odwrócił gwałtownie spojrzenie, gdy Niun wyszarpnął z pochwy av-  
tlen ze  
szczękiem  
zaostrzonego metalu.  
Patrzyli sobie nawzajem w twarze, on i Duncan, stając bez ruchu, aż  
samolot  
oddalił  
się ponownie poza zasięg ich słuchu. Niun wyćwiczonym gestem schował  
broń do  
pochwy.  
- Ktoś - zauważył Duncan głosem zmienionym niemal nie do poznania  
wskutek bólu  
w gardle - ktoś wie, gdzie was szukać. Jakoś nie wydaje mi się, by  
moi  
współbracia mogli to  
wiedzieć.  
Słowa te przeszyły chłodem serce Niuna. Spojrzał na Melein.  
- Nie możemy urządzić kolejnego postoju - stwierdziła. - Nie mogą nas  
znaleźć,  
nie  
tutaj. Musimy dotrzeć na miejsce, zanim zrobi się jasno i zdążyć  
stamtąd odejść.  
Niunie,  
pośpieszmy się.  
Popchnął delikatnie człowieka.  
- Idź - powiedział.  
- Czy to o nią chodzi? - zapytał Duncan. Nie ruszając się z miejsca,  
w którym  
stał,  
wskazał głową na Melein. - Czy fakt, że regule wciąż was ścigają, w  
jakiś sposób  
wiąże się z  
nią?  
- To niemożliwe - zapewnił go Niun. Potem jednak inna myśl zaczęła do  
niego  
docierać ze straszliwą jasnością. Procesy mentalne wznowiły swą

działalność tam,  
gdzie  
przez długi czas panował całkowity szok. Spojrzał ponownie na Melein  
i przemówił  
w hal'ari,  
szlachetnym języku. - To niemożliwe, by ścigali nas. Nie mogą  
wiedzieć, że  
istniejemy. Jakie  
znaczenie ma dla nich dwoje mri, kiedy pozostali nie żyją? Poza tym,  
w jaki  
sposób regule  
mogliby dotrzeć do edunu, by się przekonać, że ktoś z niego ocalał?  
Nie  
potrafiliby się wspiąć  
pomiędzy ruiny. To przez człowieka, tego przeklętego człowieka. Ma w  
mieście  
kontakty.  
Jest tam jego pan. To ze względu na niego regule ścigali mnie przez  
niziny.  
Jeśli to są oni,  
nadal podążają tym tropem. Współpracują w tej sprawie z ludźmi.  
W jej oczach pojawił się wyraz niepokoju.  
- Chodźmy - powiedziała nagle. - Chodźmy teraz, szybko. Nie wiem, co  
z nim  
zrobimy, ale nie możemy rozstrzygnąć tej sprawy teraz.  
- O czym mówicie? - zapytał nagle Duncan ochrypłym głosem. Być może  
zrozumiał z  
ich rozmowy pojedyncze słowa, czy rzucone na bok spojrzenie. Niun  
popatrzył na  
niego i  
pomyślał z niepokojem, że ich jeniec może podejrzewać, jak małe  
znaczenie ma dla  
nich jego  
życie.  
- Ruszaj się - powiedział ponownie. Popchnął człowieka brutalnie.  
Duncan  
zapomniał  
o swych pytaniach i poszedł bez sprzeciwów tam, gdzie mu kazano.  
Jeśli to człowieka poszukiwano i regule ścigali ich ze względu na  
niego, to w  
takim  
razie, pomyślał Niun, nieprzyjaciel będzie musiał prędzej czy później  
odnaleźć  
Duncana w  
taki sposób, by zakończyło to poszukiwania i by człowiek nie mógł  
zdradzić  
wrogom tego, że  
she'pan Ludu żyje jeszcze.  
O bogowie - pomyślał ogarnięty przygnębieniem Niun. Był popychany do  
morderstwa  
oraz hańby i nie widział żadnego innego rozwiązania.  
Samolot nie pojawił się już jednak więcej i Niun mógł zapomnieć o tym  
zagrożeniu  
w  
nawale pilnych myśli towarzyszących ich obecnej wędrówce - nie  
zastanawiać się  
nad tym,  
co, być może, będzie musiał uczynić, jeśli poszukiwania zostaną  
wznowione.  
Dwukrotnie, wbrew życzeniom Melein, musieli przez wzgląd na nią  
odpoczywać. Za  
każdym razem, choć Niun chciał się zatrzymać na dłużej, na jej  
naleganie  
wznawiali

wędrowną. Na koniec musiał podtrzymać ją za ramię. Jej szczupłe palce zaciskały się na jego dłoni. Chwiała się na nogach. Po północy weszli do wąskiego kanionu, który najpierw wił się w dziwny, przyprawiający o zawrót głowy sposób, a następnie zaczął opadać w dół. Jego ściany zbliżały się niebezpiecznie do siebie nad ich głowami, pogrążając ich w ciemności głębszej niż panująca za zewnątrz noc.

- Włącz latarkę - powiedziała Melein. - Myślę, że skały osłaniają nas już od góry całkowicie.

Niun włączył kieszonkową latarkę Duncana, by oświetlić drogę jej nadzwyczaj wąską wiązką. Schodzili wciąż w dół ciasnym, spiralnym przesmykiem, aż nagle nad ich głowami rozwarł się szyb, w którym widoczne było otwarte niebo. Noc wydawała się tam jaśniejsza niż absolutna ciemność, przez którą wędrowali uprzednio. Ściany oddaliły się od siebie.

Pokryte były symbolami podobnymi do tych, które ongiś przyozdabiały sam edun.

Idący na przedzie dus dźwignął się na tylne łapy i wydał z siebie ryk, który poniósł się straszliwym echem w górę i w dół przejścia. Niun skierował wiązkę światła w lewo, w stronę zwierzęcia. Widniała tam nisza, w której spoczywała sterta czarnych łachmanów i kości.

Grób strażnika.

Dotknął czoła na znak czci dla nieznanego kel'ena. Ponieważ ujrzał, że Duncan stoi zbyt blisko tego świętego miejsca, odciągnął go w tył za ramię.

Następnie skierował światło latarki na wejście, przed którym stała Melein. Było ono zamknięte kamieniami oraz zapieczętowane odciskiem dłoni strażnika, który wzniósł ten mur i uświęcił go własnym życiem.

Melein oddała gestem dłoni cześć temu miejscu, po czym zwróciła się nagle w stronę człowieka i spojrzała na niego srogo.

- Duncanie, nie możesz pójść dalej niż grób strażnika. Gdybyś to zrobił, musiałbyś umrzeć. Stój tu i czekaj. Niczego nie dotykaj, niczego nie rób i niczego nie zauważaj -

zwracając się do Niuna powiedziała: - Otwórz je. To zgodne z prawem. Oddał jej latarkę i przystąpił, zaczynając od górnych kamieni, do odsłaniania tego, czego strażnik pilnował przez tak wiele lat, relikwiarza tak świętego, że kel'en musiał go strzec aż do śmierci. Wiedział, jakiego wyboru dokonał tamten. Miał żywność i wodę. Wolno mu było zapuszczać się na odległość wzroku od strzeżonego przez siebie miejsca celem polowania, które pozwalało mu przeżyć. Gdy jednak w okolicy zabrakło zwierzyny, choroba, zła pogoda lub też zaawansowany wiek zmogły samotnego kel'ena. Wycofał się on do tej wybranej przez siebie niszy, by tu umrzeć, wierny powierzonemu zadaniu. Jego duch krążył po okolicy, pełniąc nieustanną straż. Być może to sama Intel stała tutaj, błogosławiła zamknięcie tych drzwi i ucałowała czoło odważnego strażnika, gdy powierzała mu tę misję. Był to jeden z kel'ein, którzy przybyli wraz z nią z Nisrenu, czterdzieści lat temu, gdy Pana dotarły na Kesrith. Kamienie ze stukiem osuwały się z przejścia z narastającą łatwością, aż wreszcie Melein mogła przejść nad tym, co pozostało, i postawić stopę w zimnym wnętrzu. Światło latarki, którą trzymała w ręku, padło na ściany, dotykając napisów stanowiących tajemnice Kaplicy kaplic, poskręcanych symboli pokrywających wszystkie powierzchnie. Niun ujrzał je przelotnie, po czym opadł na kolana i odwrócił twarz, by nie zobaczyć tego, czego nie powinien oglądać. Przez pewien czas słyszał, jak Melein stawia w tym świętym miejscu swe delikatne kroki. Potem nie było słycać już nic, lecz Niun nie odważył się poruszyć. Na tle przeciwległej ściany szybu dostrzegał Duncana. Dusei stały obok niego. Nawet one zamarły w bezruchu. Niun zmarł podczas długiego oczekiwania. Zaczął dygotać ze strachu. Jeśli Melein nie wróci, on i tak będzie musiał czekać. A z wnętrza jaskini nie dobiegały żadne odgłosy życia, nawet dźwięk kroków. Jeden z dusei zajęczał. Napięcie oczekiwania szarpało mu nerwy. Zwierzę umilkło i przez długi czas Niun nie słyszał zupełnie nic. Nagle rozległ się jakiś słaby, powtarzający się dźwięk, który

dobiegał ze środka  
kaplicy. Wreszcie Niun rozpoznał odgłos cichego łkania, które stawało  
się coraz  
bardziej  
gorzkie i gwałtowne.  
- Melein! - krzyknął głośno, kierując wzrok ku temu zakazanemu  
miejscu.  
Wewnątrz,  
za drzwiami, poruszały się cienie i przepływały łagodne światła. Jego  
głos  
rozległ się  
świętokradczym echem wzdłuż ścian i przestraszył dusei. Niun  
podźwignął się na  
nogi. Bał  
się tam wejść i bał się tego nie zrobić.  
Dźwięk ucichł. Zapadła cisza. Niun podszedł aż do przejścia i położył  
na nim  
dłoń,  
próbując zdobyć się na odwagę, by wejść do środka. Nagle usłyszał jej  
lekkie  
kroki gdzieś  
głęboko we wnętrzu. Dobiegły do niego odgłosy życia. Nie wezwała go.  
Czekał,  
dygocząc.  
W środku coś się ruszało. Dobiegł do niego dźwięk uruchomionej  
maszynerii. Nie  
milkł on, lecz od czasu do czasu Niun wyraźnie słyszał kroki Melein.  
Przypomniawsobie,  
ogarnięty nagłą paniką, że stracił z oczu Duncana, i odwrócił się  
błyskawicznie,  
by sprawdzić,  
co robi człowiek.  
Ten jednak stał bez ruchu, nie bliżej niż pozwoliła mu Melein. Nie  
podjął żadnej  
próby ucieczki.  
- Usiądź - rozkazał ostrym tonem Niun. Duncan siadł w tym samym  
miejscu, gdzie  
stał. Nadal czekał. Niun przeklął sam siebie za to, że myślał tylko o  
Melein i  
zapominał o  
zadaniu, które mu wyznaczyła - by pilnował tego, co dzieje się na  
zewnątrz. Zdał  
ich oboje na  
łaskę i niełaskę Duncana, gdyby ten skorzystał z jego nieuwagi i  
stawił czoło  
dusei. Usiadł  
sam na piasku, w takiej pozycji, by móc obserwować człowieka, a  
jednocześnie od  
czasu do  
czasu spoglądać w stronę kaplicy. Oplótł sobie ramiona wokół kolan,  
zaciśnął  
spLECione  
dłonie ze znieczulającą siłą i czekał, nasłuchując.  
Było to nadzwyczaj długie oczekiwanie, w czasie którego wiele razy  
odczuwał ból  
i  
zmieniał pozycję. Jego poczucie czasu mówiło mu, że chyba zbliża się  
już świt,  
choć  
zachmurzone niebo widoczne nad nimi wciąż było ciemne. Przez bardzo  
długi czas z  
wnętrza  
kaplicy nie dobiegał żaden dźwięk.

Wreszcie zerwał się na nogi, zniecierpliwiony, i podszedł ponownie do wejścia,  
potem  
jednak wytłumaczył sobie, że nie ma prawa wkraczać do wnętrza.  
Chodził,  
unieszczęśliwiony, po małym obszarze, jaki miał do dyspozycji, i od czasu do czasu spoglądał  
w dół na człowieka, który czekał tak, jak mu kazano. Wyraz oczu Duncana był niemożliwy do odczytania w niemal całkowitym mroku. Ponownie rozległ się odgłos kroków.  
Niun odwrócił się natychmiast i ujrzał w drzwiach biały blask latarki. Zobaczył Melein, cień trzymający w palcach ów maleńki przedmiot. Ramiona miała ciasno owinięte wokół czegoś.  
Zbliżył się tak bardzo, jak tylko się odważył, i dostrzegł, że to, co niosła, było jakimś rodzajem osłony o jajowatym kształcie, wykonanej z lśniącego metalu. Z jednego końca wystawał uchwyt, ale Melein niosła przedmiot tak, jakby trzymała niemowlę, coś drogiego, choć chwiała się pod jego ciężarem i dźwigając go, nie mogła przejść ponad kamieniami.  
- Weź to - powiedziała słabym, pełnym napięcia głosem. Niun uwolnił się od paraliżu woli i wyciągnął ramiona, by chwycić przedmiot. Przeraziła go waga tego, co Melein zdołała udźwignąć. Był zimny i dziwnie wyważony. Niun zadrżał, gdy poczuł jego dotyk. Po raz kolejny ogarnął go chłód, gdy ujrzał jej twarz. Wilgoć lśniła tam w czerwonym świetle, które rozprzestrzeniało się za jej plecami. W kaplicy zaczęły poruszać się rzucane z różnych stron cienie. Melein odwróciła się raz, by spojrzeć w tamtą stronę, po czym skierowała spojrzenie ku niemu, jak gdyby z jakiejś ogromnej dali.  
Melein - pragnął się do niej odezwać, lecz okazało się to niemożliwe. Nadal była Melein i jego siostrą, lecz teraz było w niej też coś innego. Nie wiedział, w jaki sposób przemówić do tego czegoś, by przywołać ją z powrotem. Wyciągnął rękę, zaniepokojony pełzającym za nią ogniem. Ujęła ją i przeszła nad kamieniami w wejściu, po czym poszła za nim. Skórę miała zimną. Jej dłoń wyslizgnęła się bez życia z jego dłoni, gdy już przestała go potrzebować.



Oczekujący Duncan cofnął się lekko przed nimi. Nie przestawał się wpatrywać w łunę, która rozjarzyła się za ich plecami. Być może rozumiał, że coś o wielkiej wartości ulega zniszczeniu. Wyglądał na oszołomionego i zbitego z tropu. Pozostało jedynie niezwykle, zimne jajo. Niun dźwigał je w obu ramionach, podczas gdy Melein ruszyła w kierunku przesmyku prowadzącego na zewnątrz. Wiedział, że z pewnością dźwiga najważniejszą część Pana, którego nazwy jego kasta nie mogła nawet wypowiadać bez strachu, którego kel'en nie powinien nigdy oglądać, a co dopiero dotykać. Ten, który je tu przyniósł, ofiarował się potem na śmierć, by zachować tajemnicę i zapewnić Pana spokój. To był honorowy wojownik, wychowany w dawnych zwyczajach Kel Przerwy. Postępowanie Niuna s'Intel przyprawiliby kogoś takiego o zgorznienie. Czerpał jednak odwagę z faktu, że trzyma ów przedmiot, gdyż dzięki niemu Melein osiągnęła swą władzę. Czuł to z całą pewnością. Do tej pory jedynie w połowie była w jego oczach she'pan. Tym tytułem obdarzyły ją przemoc i konieczność. Teraz jednak wierzył, że przekazała jej to, co najważniejsze, że Intel dała jej wszystko, co było jej potrzebne. Mógł ją od tej pory tytułować „she'pan”, wierząc bez zastrzeżeń, że zna ona Tajemnice. Stała twarzą w twarz z Pana i zrozumiała to, czego kel'en nie mógł pojąć. Nie zazdrościł jej tego. Wciąż prześladowało go wspomnienie jej łkania. Ona jednak posiadała wiedzę i prowadziła, a on od tej chwili bez zastrzeżeń ufał jej przewodnictwu. Uciekli - oni, człowiek i dusei - z szybu, w którym zaczął kłębić się dym, zdradzając przed niebem ich położenie, a płomienie oświetlały ściany czerwienią i ścigały ich żarem. Wkroczyli w chłodną ciemność, na prowadzące ku górze zakręty ścieżki, którą tu przyszli.

Rozdział 22

W ciągu pierwszego dnia nowych operacji Nom pełen był ludzkich techników. Stavros delektował się odgłosem ich pośpiesznych ruchów po tak długim okresie spędzonym wśród powolnych reguli. Nadciągały raporty. Krzątający się ludzcy eksperci

łączyli swą  
zręczność z regulską techniką, by dokonać naprawy uszkodzonych  
urządzeń oraz  
usunąć  
szczątki pozostałe po burzy i walce.  
W miejscu, które uznano za wystarczająco pewne, by mogło utrzymać  
ciężar statku,  
po przeciwnej stronie miasta niż zniszczony port, sonda Kwiat  
posadziła na ziemi  
swe  
sprowadzone z przestworzy, przysadkowate ciało. Była niewielkich  
rozmiarów, jak  
na statek  
zdolny do międzygwiazdnych lotów, i nie potrzebowała dużego,  
bezpiecznego  
ładowiska. Jej  
konstrukcja umożliwiała całkowicie niezależne funkcjonowanie.  
Okazało się trafną decyzją, że na tę misję zabrano kilka takich sond  
z myślą o  
podobnych, trudnych lądowaniach, mimo że nie były one zdolne do  
obrony przed  
atakami.  
Szabla wciąż znajdowała się na stacji. Zbudowano ją w przestrzeni  
kosmicznej i  
tylko tam  
mogła przebywać. Miała kilometr długości i nie była w stanie nigdzie  
wylądować.  
Kwiat, wbrew swej nazwie, był niezdarną skorupą pozbawioną  
delikatnych części  
czy  
wystających brzechw. Niepotrzebne mu były do lądowania doki i suwnice  
bramowe.  
Był to  
brzydki statek, przeznaczony do prostych, roboczych zadań.  
Przylecieli na nim technicy i uczeni, którzy rozpoczęli już przegląd  
ocalałych  
kesrithańskich akt, pobieranie próbek powietrza i wody, a także  
wykonywanie  
tysięcy innych  
zadań, które spowodują, że ten świat stanie się zdatny do  
zamieszkania przez  
ludzkich  
kolonistów.  
- Jeśli łaska - powiedział bai Hulagh, widząc rozpoczynające się  
operacje - w  
świecie  
świeżo osiągniętej wzajemnej życzliwości boleję nad tym, że podczas  
katastrofy  
w porcie  
doszło niestety do zniszczenia naszego sprzętu. Gdyby nie to,  
moglibyśmy  
udzielić wam  
znacznej pomocy.  
Regulskie młode na ogół nie przystosowywały się tak łatwo.  
Denerwowała je  
bliskość  
ludzi i wolały pracować we własnych grupach. Nie czyniły tajemnicy z  
tego, że  
chętnie  
opuściłyby już Kesrith i schroniły się bezpiecznie wśród swoich, w  
regulskiej  
przestrzeni.  
Hulagh jednak wezwał kilka z nich do swego gabinetu w Nomie i po  
wyjściu stamtąd

młode uśmiechały się do ludzi oraz okazywały im wielką uprzejmość,  
czując  
potężny strach  
przed bałem.  
Dopóki nie nadciągnęły burze i nie wróciły dusei.  
Raporty dotarły najpierw ze stacji uzdatniania wody. Grupa Galeya  
poinformowała  
Kwiat, że z wyżyn nadciągają wielkie grupy zwierząt. Statek  
potwierdził ten  
meldunek i  
przekazał wiadomość biologom, a przez to również i Stavrosowi.  
Ten wprowadził swój ślizg w szyny, które prowadziły na przeciwległą  
stronę Nomu,  
po czym pomknął, zmieniając kilka razy tor, na pomost obserwacyjny.  
Tam  
wyprowadził  
ślizg z torów, przeszedł na sterowanie ręczne i wyjechał przez drzwi  
w wiatr o  
gryzącej woni.  
Zbliżała się czerwona ławica chmur, a tam, wokół całego widocznego  
horyzontu,  
siedziały dusei.  
Przeszył go deszcz, który nie miał nic wspólnego z wiatrem czy  
ostrym aromatem  
kesrithańskich deszczów. Siedział na ślizgu. Wicher smagał jego  
rzadkie włosy.  
Widział  
Kwiat przycupnięty na wzgórzu, odległą stację uzdatniania wody, a  
także wehikuły  
szukające  
pośpiesznie schronienia przed nadciągającą burzą i samoloty gnające  
ku  
prowizorycznym  
lotniskom, zanim zdąży ona w nie uderzyć. Będzie cudem, jeśli załogom  
uda się  
zabezpieczyć  
je na czas. Zacisnął pięści z wściekłości. Przewidywał, że dojdzie do  
uszkodzeń.  
Kesrithańskie wiatry uniosą maszyny w górę i będą nimi ciskać po  
lądowisku jak  
zabawkami,  
a był to ludzki sprzęt, drogi i niemożliwy do zastąpienia.  
Przełączył się na długość fali Kwiatu i usłyszał płynące ze statku  
gorączkowe  
instrukcje. Załoga ostrzegała samoloty przed lądowaniem, szukała  
możliwości  
wyznaczenia  
dla nich omijających burzę tras ku tymczasowym lądowiskom w innym  
miejscu.  
Stavros  
przyglądał się, jak błyskawice oświetlały chmury, które mnożyły się i  
rozrastały, gnając  
naprzód z przerażającą szybkością, oświetlone czerwonym blaskiem  
Arain.  
Dusei zaś siedziały w nie kończących się szeregach i obserwowały to,  
pełniąc swą  
straż. Zaczął padać deszcz.  
Stavros zadrżał, gdy pierwsze krople zmoczyły dziób ślizgu. Nie było  
to miejsce,  
w  
którym bezpiecznie było siedzieć w metalowym zamknięciu, podczas gdy  
nad głową  
uderzały  
błyskawice. Cofnął się, otworzył drzwi, wjechał do Nomu i zamknął

wejście za  
sobą, wciąż  
słyszac dobiegający z Kwiatu jazgot. Na jego receptorze widoczne były  
przekazy  
radaru  
meteorologicznego, ukazujące półkole burzy zaciskające się wokół  
brzegu morza  
oraz  
samego miasta.  
Kwiat - zaczął nadawać, przerywając prowadzone przez statek rozmowy.  
- Kwiat:  
Stavros.  
Potwierdzili odbiór - słaby, metaliczny dźwięk, który przerywały  
zakłócenia.  
Kwiat, dusei, dusei...  
- Zauważyliśmy je, sir. Niestety jesteśmy zajęci...  
Przerwał im ponownie: Kwiat, odpędźcie dusei. Rozproście je i  
odpędźcie.  
Potwierdzili odbiór rozkazu. Stavros siedział w ślizgu, czując się,  
jakby  
stracił rozum,  
jakby opuścił go wszelki rozsadek. Niewątpliwie na Kwiecie sądzili,  
że tak  
właśnie było.  
Niemniej złowieszcze napięcie unoszące się w powietrzu nie  
ustępowało. Poczul  
dreszcze.  
Nie mógł znieść wrażenia obecności dusei, które przyglądały się,  
siedząc na  
krawędzi burzy.  
Odpowiedzialne za nią?  
Nie chciał w to uwierzyć, lecz mimo to, ogarnięty paniką, odciągnął  
Kwiat od  
jego  
zajęć, by statek załatwił się z nimi. Słyszał, jak członkowie jego  
załogi  
dyskutują nad tym  
zadaniem. Byli zbyt mądzy, by debatować nad jego sensownością, gdy  
Stavros mógł  
ich  
słyszeć. Siedział, czując że pokrywa go gęsia skórka. Niemal zaczął  
dzwonić  
zębami.  
Jestem rozdygotanym, chorowitym starcem - pomyślał - który zbyt długo  
przebywał  
wśród obcych.  
Mógł odwołać własny rozkaz, ponownie włączyć się na ich falę i kazać  
im zająć  
się  
ważniejszymi sprawami. Nie potrafił jednak uwolnić się od strachu  
przed dusei.  
Wszystkie ekrany pokryły zakłócenia, które nie ustępowały. Nie leżało  
już w jego  
mocy połączenie się z kimkolwiek. W jego receptorach rozbrzmiała  
przenikliwa,  
dręcząca  
uszy nuta, która szybko wyszła poza zasięg słyszalności. Stavros  
wyłączył moc  
szybkim,  
rozpaczliwym gestem. Ogarnął go nagle strach, że ślizg mógł ulec  
uszkodzeniu, a  
on sam  
znaleźć się w pułapce, niezdolny się poruszyć ani wezwać pomocy.  
Obserwował, poprzez zasłone deszczu omywającą szkło, jak szereg dusei

zaczął się  
załamywać. Zwierzęta rozpierzchły się. Mimo to Stavros nie przestawał  
drzeć,  
przerażony,  
gdyż ujrzał, że wiele z nich pognało nie w kierunku wzgórz, lecz ku  
miastu, by  
wkroczyć na  
jego ulice, gdzie dusei nie zwykły przychodzić.  
I zaatakować.  
Zakłócenia nie znikwały.  
W megafonie zabrzmiał regulski głos, zniekształcony przez nie do tego  
stopnia,  
że nie  
można było zrozumieć słów. Urządzenia głośnikowe włączały się i  
wyłączały  
sporadycznie.  
Grąd uderzał głośno w okna, wstrząsając nimi groźnie. Stavros  
pośpiesznie  
spróbował  
opuścić osłony przeciwburzowe na pomoście obserwacyjnym, te jednak  
nie  
zadziałały. Wpadł  
na pomysł, by przełączyć ślizg na akumulatory. W ten sposób udało mu  
się skłonić  
go do  
działania, lecz ekrany nadal były martwe. Gdzieś rozległ się trzask,  
ciężkie  
uderzenie  
spadającego na podłogę szkła plastycznego. Przez korytarze Nomu  
przemknęły wiatr  
i zapach  
deszczu.  
Stavros cofnął ślizg, spróbował wprowadzić go w tory, lecz pomylił  
ciąg kodowy.  
Zaczął od nowa.  
Udało się. Oddalił się stamtąd pośpiesznie. Gdy minął róg, ujrzał że  
korytarz  
pełen  
jest szczątków. Pozbawione osłon okna leżały na dywanie u jego końca,  
zasłony  
zaś  
trzepotały na wietrze, powyrywane z ram. Regulskie młode kulily się  
ze strachu w  
jego  
wnętrzu. Pozbawiony ekranu, nie mógł się z nimi porozumieć. Otoczyły  
go ciasno,  
zadając  
mu pytania. Poszukiwały jakiegoś starszego, choćby i człowieka, który  
udzieliłby  
im rady.  
Przepchnął pomiędzy nimi ślizg i skierował się ku prowadzącej w dół  
rampie,  
która  
poprowadziła go na bezpieczniejszą stronę budynku, gdzie znajdowały  
się  
gabinety.  
Urządzenia głośnikowe nie przestawały trzeszczeć. Stwierdził, że  
gabinet Hulagha  
jest  
otwarty, wprowadził z trudnością pojazd do środka i znalazł tam swego  
baia,  
który  
gorączkowo usiłował zamknąć osłony przeciwburzowe.  
Na zewnątrz znajdował się dus. Stał na dwóch łapach, oparty o cienkie

szkło  
plastyczne, które uginało się i drżało pod naciskiem drapiących je pazurów.  
Hulagh cofnął swój ślizg, rozpaczliwie manipulując urządzeniami kontrolnymi.  
Stavros siedział nieruchomo, z przerażeniem przypatrując się atakowi.  
W Nomie  
nie było ani  
jednych drzwi, które by działały. Jeśli zwierzęta wedrą się do środka, nie będą mogli uczynić właściwie nic. Okna drżały.  
- Pistolet! - krzyknął do Hulagha, mając nadzieję, że ten zrozumie. - Pistolet!  
Wycofał się. Hulagh albo go zrozumiał, albo wpadł na ten sam pomysł. Ruszyli naprzód, tak szybko, jak pozwalały im na to ślizgi. Hulagh okrążył biurko, znalazł pistolet i ujął go w drżące dłonie.  
Dus jednak umknął. Brązowa, powłócząca łapami postać zniknęła szybko w strugach deszczu po drugiej stronie placu. Były tam też inne, niewyraźne, brązowe kształty. Zebrały się w grupę i ruszyły naprzód, przepychając się powoli i nerwowo, jak gdyby zapomniały, o co im chodziło. Wreszcie zniknęły w oddali na ulicach miasta.  
Z czasem deszcz osłabł, pozostawiając jedynie zraszane kroplami kałuże. Osłony przeciwburzowe zadziałały wszystkie jednocześnie, burza się już jednak skończyła.  
Urządzenia głośnikowe także odzyskały sprawność. Popłynął z nich nieustanny jazgot instrukcji. Obraz na ekranach Stavrosa odzyskał klarowność.  
- Stavros, Stavros, czy pan mnie słyszy?  
Wyraźnie - odpowiedział. - Bardzo wyraźnie.  
Przerwał natychmiast połączenie, gdyż przed oczyma zrobiło mu się czarno. Przez chwilę zadowolął się tym, że siedział nieruchomo i oddychał, czekając, aż uspokoi się przyspieszone bicie serca oraz szum w uszach.  
Na piętrze uległo rozbiciu okno. Chyba są ranni - powiadomił Stavros Hulagha.  
- Młode się tym zajmą.  
Żaden z nich nie wspomniał o dusie. Kwiat wciąż usiłował go powiadomić o przebiegu swych operacji. Stavros słyszał, jak statek rozmawia z samolotami, które wylądowały, by uratować się przed burzą, kierując swych zaginionych poszukiwaczy z powrotem do domu, do miasta.  
Jeden z samolotów odpowiedział. Dał się słyszeć ochrypły, przemawiający z silnym akcentem głos Hady Surag-gi.  
- Jeśli łaska, jeśli łaska, chcę powrócić do misji, baiu Kwiatu, chcę powrócić do

poszukiwań.  
Ludzki głos, również dobiegający z samolotu, zaklął i zażądał  
wytłumaczenia  
źródła  
tych zakłóceń.  
Stavros otarł twarz, wyłączył cały ten jazgot i spojrzał na baia.  
- Nigdy za mojej tu władzy - zapewnił ten. - Nigdy, wielebny. -  
Hulagh nacisnął  
odpowiedni guzik i wezwał młode pełniące funkcję przybocznego.  
Rozkazał  
przynieść soi  
oraz zapiski, przeklinając tępotę młodych. Oddychał alarmująco  
szybko. Upłynęło  
kilka  
chwil, zanim zdołał odzyskać panowanie nad sobą. - Te zwierzęta  
poszalały -  
powiedział.  
Ich świat - odparł Stavros. - Ich, przed mri.  
Zjawiła się soi, którą przyniosło młode tak podniecone, że kubki  
tańczyły po  
tacy.  
Stavros wypił swój napój nie posłodzony. Z radością przywitał jego  
ciepło w swym  
przemarzniętym brzuchu.  
Wreszcie zdobył się na odwagę, by dotknąć urządzeń kontrolnych i  
ponownie  
odsunąć  
osłony przeciwburzowe. W chwili, gdy to robił, przypomniał sobie o  
zwierzęciu,  
plac był  
jednak pusty. Z pewnością żadni regule ani ludzie nie wyjdą na  
zewnątrz, dopóki  
nie będzie  
wiadomo, dokąd odeszły dusei.  
Miał wrażenie, że zawsze odtąd jego koszmary będzie nawiedzało  
widziadło, które  
zaatakowało okno! Jeśli regule miewali złe sny, z pewnością to samo  
dotyczyło  
baia.  
- Jestem bardzo stary - odezwał się Hulagh gderliwym tonem. - Za  
stary na  
podobne  
przeżycia, baiu Stavrosie. Regule, którzy objęli w posiadanie ten  
świat, byli  
szaleni. - Popił  
łyk soi. - Mri panowali nad tymi bestiami. Teraz nikt tego nie robi.  
Można wybudować bariery - odparł Stavros. - Potrafimy tego dokonać.  
Hulagh milczał dłuższy czas. Wypił większą część zawartości kubka  
soi. Jego  
nozdrza  
poruszały się szybko. Wreszcie wydał z siebie westchnienie i zwrócił  
ślizg w  
stronę okna.  
- Holn - powiedział.  
Wielebny?  
- Holn ukryła dane. Nie pytałem ich, a oni nic mi nie powiedzieli.  
Teraz to  
wiem. -  
Jego nozdrza poruszały się, wciągając do płuc potężne oddechy. - Baiu  
Stavrosie,  
obaj nie  
pomyśleliśmy o zadaniu właściwych pytań. Otóż, otóż baiu Stavrosie,  
przekazano  
nam obu

jedynie fragmenty tego, co powinniśmy wiedzieć o Kesrith. Obaj mamy trudności.  
Mamy też  
wspólnego wroga, baiu Stavrosie.  
Holn.  
- Holn - potwierdził Hulagh. - Okazali się sprytni, ludzka wielebność, a ja nie będę w stanie stawić czoła gniewowi mojej doch, jeśli powrócę zrujnowany. Statek, sprzęt, wszystko, wielebny Stavrosie. Straciłem wszystko. Holn jednak oszukała również pana.  
Baiu Hulaghu, miał pan pewien cel w przekazaniu mi tej informacji.  
- Fortuna doch Alagn - odparł Hulagh - znajduje się tutaj, wraz ze mną i tymi ocalonymi młodymi. Nie zamierzam wrócić, okryty hańbą, na ludzkim statku.  
Zawrzemy umowę.  
Sojusz, wielebny?  
- Sojusz, baiu Stavrosie. Handel. Wymiana. Pomysły... Zemsta. Stavros spojrział w ciemne, lśniące oczy swego rozmówcy. Za Kesrith rozciągają się terytoria, które trzeba zbadać.  
- Najpierw należy utrzymać Kesrith - zauważył Hulagh.  
Tak, jak utrzymywali ją Holn i mri. Korzystając z jej zasobów. Nawet z dusei.  
Nawet z nich - odpowiedział Stavros.  
Zaczął wyglądać przez okno na pokryte kłębiącymi się chmurami niebo. Ujrzał ruiny portu oraz deszcz i zastanowił się nad tym, jakimi zasobami mogą dysponować. Po raz pierwszy w jego nadziejach pojawiła się nuta zwątpienia. Gdy zaciskał powieki, wciąż widział bestię u okna, bezrozumną i nieposkromioną niczym żywioly. Nienawidził tych zwierząt. Być może to uczucie wzmacniał jeszcze fakt, że były one pozbawione rozumu i, niczym burza, reprezentowały pierwotne moce.  
Dusei były siłą wroga wszystkiemu, co regulskie i kiluwariskie. Stanowiły jednak część Kesrith, której nie można było ingerować ani zniszczyć. Świat ten był kombinacją przypadkowo dobranych składników, które - jak przewidywał - od tej chwili nie znajdowały się już pod kontrolą George'a Stavrosa. Utracili panowanie nad sytuacją. Dzielił Kesrith ze zwierzętami i regulami. Zacisnął dłonie na urządzeniach kontrolnych i ponownie włączył się na falę Kwiatu.  
Usłyszał głosy dobiegające z samolotów poszukiwawczych, które po raz kolejny wyruszyły na swą powtarzającą się trasę, usiłując odnaleźć jedną zaginioną osobę na całym tym pustkowiu, gdzie krążyły oszalałe dusei, a burze wstrząsały gwałtownie ziemią.  
Omam nie nakazał im przerwania poszukiwań.



Wydał już jednak Kwiatowi wystarczająco wiele irracjonalnych rozkazów. Nie poruszył się. Ujrzał, jak jeden z samolotów zatoczył krąg ponad ruinami edunu i poleciał dalej na zachód - punkcik, który szybko zniknął w delikatnej mgiele. Rozdział 23

Melein wreszcie zasnęła. Niun przetarł zmęczone oczy, położył sobie ciężkie metalowe jajo na kolanach i oparł głowę o ciepły, poruszający się w rytm oddechów bok dusa. Duncan leżał rozciągnięty na piasku, spoczywając na brzuchu. Jego prowizoryczne, postrzępione szaty nie mogły zapewnić mu wiele osłony przed zadrapaniami wywołanymi tarciem piasku. Jego skóra, naga powyżej cholewek butów, była pocięta i poparzona przez słońce. Z oczu, których nie chroniła zasłona, a ich bólu nie łagodziła migotka, ciekły łzy, przecinające smugami nigdy nie znikającą warstewkę pyłu. Wyglądał jak dus, którego ogarnęło miuk.

Duncan był w tej chwili wyczerpany i nie mógł sprawić im żadnych kłopotów. Niun zauważył, że na skale przysiadł jo. Jego dostosowany do luinów kamuflaż był odrobinę zbyt ciemny na czerwonym piaskowcu, do którego przyczepiał się przez najgorętszą część dnia w poszukiwaniu cienia. Jego nazwa znaczyła „imitator”. Było to całkowicie nieszkodliwe stworzenie. Czatowało na węże, które stanowiły jego naturalny pokarm. Jo nie był złym towarzyszem dla obozujących.

Niun zaczął drzemać nad swym skarbem, który otoczył ciasno ramionami. Oparł głowę o dusa. Wreszcie, skoro Melein już się położyła, uspokoił się na tyle, by móc na chwilę przysnąć. Zanim zatrzymali się w tym schronieniu, dziewczyna omal nie zemdlała. Dźwigała zbyt wielki ciężar i cierpiała ból większy niż chciała przyznać. Oddaliła się od nich, szukając odosobnionego miejsca pomiędzy skałami. Zabrała ze sobą tkaninę podartą na długie paski.

- Myślę, że to pomoże mojemu bokowi - stwierdziła. Ponieważ nie mieli kath'en czy kel'en, która by ją obsłużyła, Melein zrobiła to sama. Niun obawiał się bardzo, że jej żebra są złamane, a przynajmniej pęknięte. Martwił się o nią. Odczuwał

głęboki, zimny  
strach, który  
nie chciał go opuścić.  
Melein jednak wróciła, przyciskając dłoń do boku, uśmiechnęła się z  
wysiłkiem i  
oznajmiła, że czuje się trochę lepiej i że sądzi, iż zdoła zasnąć.  
Napięcie w  
trzewiach Niuna  
złagodniało, gdy dostrzegł, że rzeczywiście zasnęła i jej ból jest  
mniejszy.  
Strach jednak nie chciał odejść.  
Tolerował obecność Duncana. Wszystko, co mógłby on ewentualnie mu  
zrobić,  
wzbudzało w nim lęk znacznie mniejszy od obaw, jakie czuł z powodu  
Melein. Bał  
się, że ja  
straci i zakończy życie sam. Ostatni mri.  
Śnił mu się edun, jego rozpadające się, ogarnięte pożogą wieże.  
Obudził się,  
przyciskając do siebie gładki kształt pan'en, ogarnięty przerażeniem,  
że on  
również opada w  
Mrok.  
Siedział jednak na piasku ze spoczywającym nieruchomo dusem za  
plecami. Jo,  
pikując zgrabnie, schwytał jaszczurkę i zaniósł ją na swą skalną  
grzędę. Uczepił  
się jej i  
zaczął polykać zdobycz kawałek po kawałku, wykonując drobne, skrzętne  
ruchy.  
Niun  
postawił pan'en obok siebie tak, by nieustannie czuć jego dotyk, po  
czym oparł  
głowę o dusa.  
Ponownie pograżył się w drzemce. Obudził się, gdy ciepło zaczęło mu  
doskwierać.  
Spojrzał  
na posuwającą się naprzód linię światła słonecznego, która wpełzła na  
Duncana, i  
ujrzał, że  
sięga mu ona już do pasa. Blask padał na nagą skórę jego kolana oraz  
dłoni.  
Człowiek nie  
poruszył się.  
- Duncanie - odezwał się Niun. Nie spotkał się z żadną reakcją.  
Ruszył się z  
niechęcią  
z miejsca, pochylił do przodu i potrząsnął człowiekiem. - Duncanie.  
Brazowe oczy spojrzały na niego, zdezorientowane i oszołomione od  
gorąca.  
- Słońce, głupi tsi'mri, słońce. Przenieś się w cień.  
Duncan przeszedł, powłócząc nogami, w inne miejsce i ponownie osunął  
się na  
ziemię. Zerwał zasłonę i położył nagą twarz na chłodniejszym piasku.  
Jego  
powieki  
zamrugały. W oczach, gdy Niun wrócił już na miejsce, pojawił się  
wyraz rozsądku.  
- Czy jesteśmy gotowi do wyruszenia w drogę? - zapytał słabym głosem.  
- Nie. Śpij.  
Duncan uniósł głowę i spojrzał w drugą stronę, na Melein, po czym  
położył się  
ponownie, z twarzą zwróconą ku Niunowi.  
- Zapewne - powiedział słabym szeptem - gdzieś na Kesrith są już moi

współbracia.

Ona potrzebuje pomocy medycznej. Wiesz o tym. Gdybyśmy byli pewni, że ci na górze to ludzie, moglibyśmy nawiązać kontakt z samolotem. Posłuchaj: wojna się skończyła.

Nie sądzę, byś znał nas wystarczająco dobrze, by w to uwierzyć, ale my na tym poprzestaniemy.

Nie pragniemy żadnej zemsty ani dalszej wojny. Chodź ze mną.

Skontaktuj się z

moimi

współbraćmi. Ona otrzyma pomoc. I nie będzie żadnego odwetu. Żadnego. Niun słuchał cierpliwie tych słów. Był przekonany, że Duncan wierzy w to, co

mówi.

- Być może to nawet jest prawda - powiedział. - Ale ona nigdy się na to nie zgodzi.

- W takim razie umrze. A gdyby udzielono jej pomocy...

- Jesteśmy mri. Nie przyjmujemy żadnych lekarstw poza naszymi

własnymi. Zrobiła

wszystko, co można uczynić zgodnie z naszymi zwyczajami. Czy obcy

dotykać?

Nie. Żyjemy albo umieramy, zdrowiejemy albo nie zdrowiejemy. - Niun

wzruszył

ramionami.

- Być może nasz sposób postępowania nie jest zbyt mądry. Czasami

odnosiłem takie

wrażenie. Jesteśmy jednak ostatni i będziemy się trzymać zwyczajów,

których

przestrzegali

nasi przodkowie przed nami. Teraz nic innego nie ma już sensu.

Zamyślił się nad tym, jak zgodnie z planem ułożonym przez Melein

odnieśli to

ostatnie małe zwycięstwo nad tsi'mri - zabrali dla siebie świętość i

historię

swego rodzaju.

Jego palce przebiegały po gładkiej powłoce pan'en, - które trzymał

przy sobie.

- Złamałem dwie tradycje - przyznał wreszcie. - Wziąłem cię do

niewoli i

dźwigałem

ciężary. Ale w sprawie honoru she'pan nie pójdę na kompromis. Nie.

Nie wierzę w

waszych

doktorów. Nie wierzę w wasz lud i w wasze zwyczaje. One nie są dla

nas.

Duncan przyglądał mu się długo z poważną miną.

- Nawet żeby ocalić życie?

- Nawet po to.

- Jeśli wrócę do moich pobratymców - powiedział na koniec Duncan -

dopilnuję, by

się dowiedzieli, co uczynili regule tej nocy w porcie. Nie wiem, czy

to

cokolwiek da. Zdaję

sobie sprawę, że nic się od tego nie zmieni na lepsze. Powinno się

jednak

powiedzieć prawdę.

Niun pochylił głowę na znak szacunku dla tego gestu.

- Regule - stwierdził - zabijają cię, by nie dopuścić do tego, byś o

tym wszystkim

opowiedział. Jeśli zaś masz nadzieję, że z tego powodu pozwolę ci opuścić nasze towarzystwo i udać się do nich, to muszę ci powiedzieć, że tego nie zrobię.

- Nie wierzę, byś wiedział, co oni zrobią - czy to twoi pobratymcy czy regule.

Duncan pograżył się od tej chwili w milczeniu, wpatrzony w pustkę. Wyglądał na bardzo wycieńczonego i zmęczonego. Potarł linię skrzepłej krwi przebiegającą po nieogolonej twarzy, po czym uspokoił się ponownie. Wydawało się jednak, że nie może zasnąć.

- Nie myśl o ucieczce - poradził mu Niun, któremu nie podobał się ten nastrój człowieka. - Nie próbuj tego. Obchodziłem się z tobą zbyt łagodnie. Niech ci się nie zdaje, że tak musi być.

Jego oczy - brązowe oczy tsi'mri o niepokojącym wyrazie - spojrzały w górę na niego.

Duncan podźwignął się do pozycji siedzącej. Poruszał się tak, jakby bolał go każdy mięsień. Podrapał się w głowę z grymasem cierpienia na twarzy.

- Wolałbym ocalić życie - powiedział. - Podobnie jak ty. Te słowa zabolowały Niuna. Były zbyt bliskie prawdy.

- Nie tylko to się liczy - powiedział.

- Wiem o tym - odrzekł Duncan. - Zawrzyjmy rozejm. Rozejm: pokój pomiędzy nami przynajmniej do chwili, gdy doprowadzisz ją w jakieś bezpieczne miejsce. Dopóki nie wyzdrowieje. Wiem, że jesteś gotów dla niej zabić, ale wiem też, że w innej sytuacji możesz tego nie zrobić. Zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, kim ona jest, jest dla ciebie kimś bardzo szczególnym.

- She'pan - odparł Niun - jest Matką Domu. Ona jest ostatnią z nich. Kel'en stanowi jedynie instrument wykonujący jej decyzje. Nie mogę składać żadnych obietnic oprócz tych, które dotyczą moich postanowień.

- Czy nie może być następnego pokolenia? - zapytał nagle Duncan w swej niewinności. Niun poczuł się zawstydzony, nie oburzył się jednak. - Czy nie moglibyście... gdyby sprawę wyglądały inaczej... - ciągnął człowiek.

- Jesteśmy ze sobą spokrewnieni, a poza tym jej kasta nie zawiera związków - odpowiedział cicho. Człowiek skłonił go do wyjaśnienia tego, czego mri nigdy nie wyjawiali obcym, była to jednak tylko wiedza Kel i zdradzanie tego nie było zabronione.

Ponownie potwierdzenie rzeczy, które zawsze były stałe i niezmiennie, dodało mu

odwagi. -  
Kath'en  
albo kel'en mogłyby urodzić mi dzieci dla niej, ale my nie mamy już  
żadnej. Dla  
nas nie ma  
innej drogi. Albo przetrwamy tacy, jacy byliśmy zawsze, albo nie uda  
się nam  
przetrwać.  
Jesteśmy mri, a to coś więcej niż nazwa gatunku, Duncanie. To bardzo,  
bardzo  
stary sposób  
życia. To nasz sposób. My się nie zmienimy.  
- Nie chcę stać się przyczyną - odpowiedział Duncan - dokończenia  
dzieła reguli.  
Zostanę z wami. Dokonałem już jednej próby. Być może zrobię to  
jeszcze, może  
kiedyś, ale  
tak, by nie wyrządzić nikomu krzywdy, ani jej, ani tobie. Mam czas.  
Mam mnóstwo  
czasu.  
- Ale my nie mamy - odparł Niun. Z nagłym skurczem strachu pomyślał,  
że Duncan,  
mądrzejszy od niego pod pewnymi względami - jako że ludzcy kel'ein  
byli w stanie  
przekraczać granice kast - podejrzewał, że Melein nie wyżyje.  
Korespondowało to  
z lękiem w  
jego własnym sercu. Spojrzał na nią, by się przekonać, jak się czuje.  
Wciąż  
spała. Jej  
regularny oddech uspokoił go nieco.  
- Jeśli będzie miała czas i spokój - powiedział Duncan - to może  
wyzdrowieje.  
- Zgadzam się na twój rozejm - oznajmił Niun. Straszliwie znużony,  
odwiązał swą  
zasłonę i zamocował sobie koniec mezu na ramieniu, odsłaniając twarz  
przed  
człowiekiem.  
Było to trudne i zawstydzające. Nigdy nie pokazał jej żadnemu  
tsi'mri, tego  
jednak wziął  
sobie na sojusznika, choćby i tymczasowego, i zgodnie z wszelką  
sprawiedliwością  
zasługiwał on na to, by ujrzeć jego prawdziwe oblicze.  
Człowiek przypatrywał mu się długo, aż wreszcie poczucie zawstydzenia  
stało się  
ostre i Niun uchylił się przed jego spojrzeniem.  
- Mez jest koniecznością w gorącym, suchym klimacie - powiedział -  
ale ja nie  
wstydę się patrzeć ci w twarz. Pomiędzy nami mez nie jest konieczna.  
Przycisnęła swe ciało do pan'en oraz do masywnej miękkości dusa i  
spróbował  
odpocząć, korzystając z tej chwili spokoju, gdyż z nadejściem  
wieczoru, który  
przyniesie  
chłód i osłoni ich przed oczyma ścigających, mieli ruszyć w drogę.  
Regule z  
pewnością byli  
przekonani, że o tej porze nawet mri nie odważyłyby się wspinać po  
urwiskach.  
Dobiegł do nich odległy dźwięk samolotu, przypominający o obecności  
obcych w  
okolicach Sil'athen. Niun usłyszał go i zerwał się na nogi, by  
wysłuchać się w

niego dokładniej  
i przekonać się jak blisko lub jak daleko znajduje się maszyna.  
Melein nie  
spała. Również  
Duncan poruszył się, spoglądając natychmiast w kierunku, z którego  
dochodził  
dźwięk.  
Był wieczór. Kolumny, oświetlone płonącym blaskiem zmierzchu,  
przybrały barwę  
czerwieni. Pomiędzy nimi widoczna była Arain - złowieszczy,  
szkarłatny dysk,  
falujący pod  
wpływem bijącego z piasków gorąca.  
Melein spróbowała się podnieść. Niun szybko wyciągnął do niej rękę,  
by służyć  
jej  
pomocą. Nie była już zbyt dumna a by z niej nie skorzystać. Spojrzał  
na jej  
wychudłą twarz i  
pomyślał o własnym brzemieniu, którego nie mógł porzucić. Przygniotło  
go  
poczucie  
bezzadności. Nie był w stanie jej pomóc.  
- Musimy ruszać w drogę - powiedziała. - Musimy zejść z powrotem do  
Sil'athen.  
Nie  
znam stąd żadnego innego wyjścia, ale te samoloty... - Jej twarz  
skurczyła się w  
wyrazie  
gniewu i frustracji. - Obserwują Sil'athen. Sądzą, że tam właśnie się  
kryjemy...  
i jeśli wyśła  
pieszych poszukiwaczy...  
- Mam nadzieję, że tak zrobią - odparł Niun. - To przyniosłoby mi  
satysfakcję.  
Przypomniał sobie Duncana i ucieszył się, że mówi w hal'ari, w którym  
Melein  
przemówiła do niego. Było jednak całkiem prawdopodobne, że mieli do  
czynienia z  
regulami,  
którzy nie będą ich ścigać na piechotę.  
- Zejście w dół... - zaczęła -... myślę, że najlepiej będzie wyruszyć  
w ostatnim  
świecie  
wieczoru, byśmy widzieli drogę przed sobą. Księżycy pokażą się  
dopiero w jakiś  
czas  
później. Da nam to pewien okres ciemności, podczas którego będziemy  
mogli  
pokonać  
otwartą przestrzeń na początku drogi.  
- To najlepsze, co możemy zrobić - zgodził się. - Zanim ruszymy,  
pożyjemy się i  
napijemy. Możemy nie mieć następnej możliwości postoju.  
Myśl o tym, ile podobna droga będzie kosztowała Melein, ciążyła mu  
okrutnym  
brzemieniem.  
- Duncanie - odezwał się cicho, gdy zjedli wspólnie posiłek, obaj z  
odsłoniętymi  
twarzami. - Nie będę w stanie zrobić nic więcej niż dźwigać to, co  
muszę  
dźwigać. Podczas  
zejścia...  
- Pomogę jej - zgodził się Duncan.

- W dół jest łatwiej - wtraciła się Melein i popatrzyła krzywo na Duncana, jak gdyby ich wzajemne porozumienie nie podobało się jej w najmniejszym stopniu. Zjedli już resztki żywności, którą zabrali ze sobą. Od tej chwili będą musieli polować. Będzie też trzeba szybko znaleźć wodę, a w tej okolicy luiny nie występowały zbyt często. Niun wybiegł myślą przed siebie, ku tym rzeczom. Czekają ich nieustające trudności, przyjemniejsze jednak od tych, którym będą musieli stawić czoło natychmiast. Ruszyli w kierunku szlaku, którym przyszli. Gdy wreszcie stanęli nad tą głęboką przepaścią, mroczną i nierealną w przygasającym świetle i przechodzącą w dole w czarny cień, Niun mocno przycisnął do siebie pan'en. Obawiał się tego zejścia nawet dla siebie. Gdy pomyślał o Melein, ogarnął go chłód. Jeśli spadnie - chciał ostrzec Duncana, lecz pohańbienie niewielkiego zaufania, jakie nawiązało się pomiędzy nimi, nic by nie dało, a zresztą sądził, że człowiek z pewnością zna jego zamiary. Duncan odwzajemnił spojrzenie Niuna, w zrozumiały sposób akceptując odpowiedzialność, jaką mu powierzono.

- Idź pierwszy - rozkazał mu Niun. Człowiek założył sobie na twarz powiewającą za nim mez i przywiązał ją pewnie, tak samo jak uczynił to Niun ze swoją. Następnie postawił ostrożnie stopy na prowadzącym w dół szlaku i wyciągnął rękę w górę, ku Melein.

- Niunie - powiedziała ta, spoglądając na niego z wyraźnym niepokojem. Po raz pierwszy okazała strach, gdyż miała powierzyć swe bezpieczeństwo człowiekowi, podczas gdy już cierpiała wielki ból. Następnie, z ręką przyciśniętą do boku, wyciągnęła palce ku dłoni Duncana i ostrożnie, bardzo ostrożnie, postawiła stopę na prowadzącym w dół szlaku. Zaczęła schodzić. Ręka człowieka pomagała jej utrzymać równowagę. Duncan stawiał mocno stopy, gdzie tylko mógł znaleźć dla nich oparcie. Jego wyciągnięte ramię podtrzymywało ją mocno na wypadek, gdyby się pośliznęła. Schodzili w dół krótkimi etapami. Niun stał, trzymając w rękach zimny i nie przynoszący pociechy ciężar pan'en i przyglądał się, jak zniknęli

razem w  
cieniu.  
Dusei czekały za nim, przestępując nerwowo z nogi na nogę.  
Nagle jakiś dźwięk, dobiegający z tyłu, zaatakował jego słuch.  
Był to samolot, mknący tuż nad kolumnami.  
Złapał za uchwyt pan'en, co było jedynym sposobem na to, by nieść je  
w dół,  
syknał  
na dusei i zaczął schodzić, bojąc się, że sprawi, iż ich zauważą,  
bądź w swym  
pośpiechu  
ześlizgnie się ze zbocza i spadnie na Melein i Duncana.  
Samolot przeleciał wprost nad jego głową. Potężny ryk odbił się echem  
od wąskich  
ścian. Niun skulił się przy ziemi, oparty o skałę. Drżał z wysiłku,  
jakiego  
wymagało  
utrzymanie podobnej pozycji na tym stoku. Kamyki osuwały się spod  
jego  
wysuniętej na  
zewnątrz stopy. Gdy samolot zniknął z pola widzenia, podjął ryzyko  
opuszczenia  
się w dół o  
kilka długości ciała. Skrył się w cieniu. Wielkie cielska dusei  
podażały za nim.  
Zwierzęta  
podzielały jego strach. Nadawały ku niemu fale niepokoju, pod wpływem  
którego  
zbierało  
mu się na mdłości. Zaczął myśleć, że nie zdoła utrzymać pan'en. Miał  
wrażenie,  
że uchwyt  
przeciął mu ciało aż do kości. Gdy pokonał jeszcze pewien odcinek,  
nie mógł już  
czuć wiele  
ból, a jedynie narastające odrętwienie palców. Przestał nad nimi  
panować. Oparł  
się mocno  
o skałę i przełożył ciężar do drugiej ręki, odwracając całą swą  
pozycję na  
zboczu. Z góry  
spadł na niego deszcz kamyków i piasku osuwających się spod pazurów  
dusei.  
Znajdowali się  
teraz w takim miejscu, że nie mogli się zatrzymać. Osunął się w dół w  
rozpaczliwym  
ześlizgu, aż wreszcie skrył się w najgłębszej ciemności.  
W miejscu postoju doścignął Duncana i Melein. Twarz człowieka  
zwróciła się w  
górze  
ku niemu w tym słabiutkim świetle. Melein nadal trzymała się jego  
ręki, oparta  
na moment o  
głaz.  
Po chwili ruszyła niepewnie naprzód, wspierając się mocno na  
Duncanie. Niun  
stanał  
w bardziej równym miejscu, które zwolnili, oparł się mocno, by  
utrzymać dźwigany  
przez  
siebie ciężar, i czekał w tej niewygodnej pozycji, aby zatrzymać  
dusei, dopóki  
Melein nie  
zejdzie bezpiecznie na dół. Gdy nadeszły i otarły się o niego



barkami,  
powstrzymał je  
spokojnym, intensywnym wysiłkiem woli, nakazując im nie ruszać się,  
być cicho,  
zatrzymać  
się. Były cierpliwe, nawet w tym niezręcznym stanie połączenia z jego  
zmysłami.  
Samolot przeleciał po raz kolejny. Jego światła zamrugały na ciemnym  
niebie  
ponad  
nimi. Niun spojrział na niego, dygocząc z napięcia, pozostał jednak na  
miejscu,  
bezzradny i  
coraz mocniej przeświadczony, że są zgubieni.  
Z pewnością ich zauważono, w najgorszej z możliwych chwil i w  
najgorszym z  
możliwych miejsc.  
Maszyna zatoczyła kolejny krąg.  
Przełożył sobie pan'en z powrotem do prawej ręki i ruszył naprzód z  
nadzieją,  
rozpaczliwą nadzieją, że Melein i Duncan mieli wystarczająco wiele  
czasu, gdyż -  
o ile  
pamiętał - po drodze nie było już żadnych miejsc, w których można by  
się  
zatrzymać. Nie  
przestawał schodzić, choć buty ślizgały się mu po szlaku, uderzając o  
kolejne  
skały z siłą,  
której jego zmęczone mięśnie nie były w stanie osłabić. Posuwał się  
ciagle w  
dół, aż wreszcie  
przestał już niemal panować nad swym ruchem. Wypadł z ostatniego  
zakrętu prosto  
w piasek.  
Siła uderzenia przewróciła go na jedno kolano.  
Dusei przybyły za nim. Ich złączeniu z urwiska towarzyszyło mnóstwo  
drapania  
pazurami oraz rozrzucania piasku. Wreszcie dotarły bezpiecznie na  
dół.  
Siedziała tam Melein - jasny kłębuszek szat pośród cienia. Duncan  
klęczał przy  
niej.  
Jedną dłoń trzymała przyciśniętą do warg, a drugą do boku. Jej szaty  
były  
splamione krwią.  
Niun opadł na kolana obok niej, trzymając w ramionach pan'en. Nie  
mogła opanować  
kaszlu, który starała się powstrzymać swą zasłoną. Popłynęła krew.  
Gdy to  
ujrzał, migotki  
przesłoniły mu oczy, oślepiając go. Drżał, nic przez chwilę nie  
widząc. Potem  
odzyskał  
wzrok.  
- To się zaczęło podczas zejścia - powiedział Duncan. - Chyba żebra  
nie  
wytrzymały.  
Samolot zatoczył krąg nad szczytem rozpadliny.  
Niun spojrział na niego ze ślepą wściekłością.  
- Możesz odejść swobodnie - powiedział Duncanowi, po czym dźwignął  
się na nogi,  
pozwalając, by pan'en upadło na piasek. Spojrział po raz ostatni na  
Melein. Oczy

miała  
zamknięte, a twarz spokojną. Jej ciało spoczywało w ramionach  
Duncana. Nie miała  
nawet  
sen'ena, który by się nią zaopiekował.  
Zawołał ostrym głosem swe dusei i zaczął szybko iść w kierunku końca  
małej  
dolinki,  
ku głównej kotlinie Sil'athen.  
- Niunie! - krzyknął za nim Duncan.  
Nie zareagował na to.  
Ujrzał samolot unoszący się w powietrzu u końca doliny. Sięgnął do  
sznurów na  
końcu długich rękawów sigi i przywiązał je do ich miejsc u pasów na  
odznaczenia,  
na  
barkach. Uwolnił w ten sposób ramiona od krępującej ruchy tkaniny.  
Roztarł odcisnięte przez liny i znieczulone od dźwigania pan'en  
dłonie, by  
przywrócić  
w nich życie.  
Duncan zaczął biec, usiłując go doścignąć. Niun słyszał człowieka,  
którym  
wstrząsał  
kaszel - natychmiastowa kara za podobną nieroztropność w rzadkim  
powietrzu  
Kesrith.  
Ujrzał, że samolot wylądował na piasku. Na opuszczającej się w dół  
rampie stał  
regul. Dus  
biegnący u boku Niuna wydał z siebie jękliwy ryk groźby. Dwa  
pozostałe pognały w  
różne  
strony, by oskrzydlić przeciwnika. Była to typowa taktyka stosowana  
przez dusei  
na  
polowaniu.  
Ujrzał, że regul podniósł broń i za chwilę wystrzeli. Nie znajdował  
się na linii  
ognia,  
gdy pistolet wypalił. Kiedy jednak sam oddał strzał, oczy miał czyste  
i dłoń  
pewną.  
Przeciwnik osunął się na ziemię. Masywne cielsko drgało jeszcze.  
Regule nie  
umierali łatwo,  
gdy postrzelono ich w tułów. W chwilę później rampa uniosła się,  
przewracając  
rannego.  
Tchórz - przeklął Niun regulskiego lotnika.  
Pognał między skały, szukając tam schronienia. Samolot wzbił się w  
górze,  
przeleciał  
nad nim i oddalił ponownie. Niun znajdował się teraz na otwartej  
przestrzeni, w  
głównej  
dolinie. Krażyło tu więcej maszyn.  
Prędzej czy później go dopadną. Biegł pochylony między skałami, które  
graniczyły  
z  
otwartymi piaskami. Ścigały go samoloty wyposażone w czujniki.  
Wreszcie,  
doprowadzony  
do desperacji, stanął pewnie i zaczął strzelać do najbliższego z

nich. Kilka  
pierwszych  
strzałów nie przyniosło żadnego rezultatu. Później jednak maszyna  
zaczęła mieć  
trudności.  
Zboczyła z trasy i zniknęła w wielkiej chmurze piasku w dolinie.  
Nadleciały inne. Niebo pełne było ich huków. Przelatywały nisko i  
oddalały się,  
ostrzeżone losem poprzedniczki.  
Biegł i odpoczywał. Powietrze nabrało posmaku miedzi wywołanego  
nadmiarem  
wysiłku w rozrzedzonej atmosferze. Niun nie widział już na tyle  
wyraźnie, by móc  
ostrzeliwać samoloty. Skały, wśród których się ukrywał, rozpryskiwały  
się pod  
wpływem  
strzałów. Zachwiał się na nogach, gdy jeden z odłamków stał się  
szrapnelem i  
rozdarł mu  
ramię. Popłynęła ciepła krew.  
Światła tańczyły na urwiskach, czyniąc ukrycie się niemożliwym. Nie  
miał zbyt  
wielu  
osłon, a ostrzał niszczył je wszystkie. Zaczął biec, przewrócił się,  
dźwignął na  
nogi i pognął w  
kierunku następnej skały. Nie wiedział, co się stało z dusei. Ta  
furia ognia i  
światła nie była  
ich sposobem walki.  
Dolina zamieniła się w zgliszczca. Eksplozje obróciły stele i  
naturalne formacje  
w  
perzynę. Była to ostateczna zemsta reguły na jego rodzaju. Zniszczyli  
ostatnią  
świętość Ludu,  
a wraz z nią samą ziemię, na której się znajdowała, tak jak niszczyli  
wszystko,  
czego się  
tknęli.  
Bliskie chybiecie cisnęło nim na ziemię. Oszołomiony oraz oślepiiony  
przez  
migotki,  
które chroniły jego oczy, podniósł się na nogi i znów zaczął biec.  
Był już zbyt  
udręczony, by  
strzelać. Mógł tylko biec i biec, aż wreszcie stanie się łatwym  
celem.  
Samolot leciał tuż za nim. Zanurkował nisko. Podmuchał w górę  
piach. Nagle  
Niun z wyraźną i oślepiającą satysfakcją wpadł na pewien pomysł.  
Skręcił w lewo,  
w stronę  
końca doliny, ku bardzo staremu miejscu znajdującemu się w pobliżu  
nie widzących  
oczu  
Eddana, Lirana i Debasa, jego nauczycieli.  
Używaj do walki terenu. Uczyni go swym sojusznikiem - mawiali mu  
często. Słyszał  
ich wyraźne, spokojne głosy przebijające się przez ryk samolotu.  
Padł jak długi na ziemię. Samolot przemknął nad nim i zawisł w  
powietrzu,  
wzbijając  
w górę piasek. Niun leżał zupełnie nieruchomo, gdy maszyna opuszczała

się na  
ziemię,  
oświetlając reflektorami powierzchnię, na której spoczywał.  
Dotknęła gruntu. Ten eksplodował. Olbrzymi, jasny kształt uniósł się  
w górę i  
podźwignął samolot, chwytając go konwulsyjnymi ruchami płaszcza.  
Ryjca i maszynę  
ogarnęła chmura piasku. Ich walka wstrząsnęła ziemię. Niun przetoczył  
się na bok  
i próbował  
uciekać, lecz krawędź płaszcza lub podmuch powietrza obalił go na  
ziemię. Potem  
nadszedł  
następny wstrząs i Niun ujrzał, jak cały świat wylatuje w powietrze w  
eksplozji  
samolotu.  
Później nastąpiła ciemność.  
- Niunie!  
Ktoś wołał do niego z tej ciemności. Nie był to znajomy głos któregoś  
z braci,  
lecz  
mimo to skądś go znał.  
Ponad nim rozbłysło światło. Poruszył kończynami, które były  
zagrzebane w  
piasku.  
Usłyszał głos silników.  
- Niunie!  
Uniósł głowę i dźwignął się na nogi, które uginały się pod nim.  
Ramieniem  
osłonił  
oczy przed światłem.  
Czekał.  
- Niunie! - to był głos Duncana, dobiegający od widocznej na tle  
światał  
sylwetki o  
zamazanych zarysach. - Nie strzelaj. Niunie, mamy na pokładzie  
Melein. Ona żyje,  
Niunie.  
Ten straszliwy szok odebrał mu zdolność myślenia. Jego umysł nie  
funkcjonował  
należycie. Niun omal nie upadł. W głowie odezwało mu się echo prawa  
Kel,  
przypominając,  
że istnieje she'pan, której musi służyć i że nade wszystko nie może  
zostawić jej  
samej w  
rękach obcych.  
- Czego ode mnie chcesz? - krzyknął. Jego głos załamywał się z  
wściekłości,  
gniewu  
na Duncana, zdradę i hańbę. - Duncanie, przypominam ci twoją  
przysięgę...  
- Chodź tu - powiedział człowiek. - Niunie, chodź z nami. Zapewniam  
ci  
bezpieczeństwo. Przysięga wciąż jest ważna.  
Zawahał się, lecz siły go opuściły. Wykonał gest poddania się i  
zaczął powoli  
wlec się  
w stronę światła, ku sylwetkom, które czekały na niego, wysokim i  
należącym do  
ludzi.  
Lepsi przynajmniej oni niż regule.  
Kącikiem oka dostrzegł ciemną, przysadzistą postać. Ujrzał ją,  
zobaczył, że się

porusza, i pojął, że to zdrada.  
Złapał as'ei, odwrócił się błyskawicznie i rzucił nimi. Dosięgnął go ogień. Nie zdążył poczuć piasku.  
- Hada Surag-gi nie żyje - powiedział Galey. - Mri się trzymają. Duncan otarł twarz i tym samym ruchem zdjął z głowy tkaninę. Przejechał palcami mokre od potu włosy. Przeszedł na chwiejnych nogach przez ciasne wnętrze samolotu i przepchnął się obok medyka, który już dwukrotnie kazał mu siedzieć na miejscu.  
Spoczął na pokładzie. Nie mógł stać pewnie w poruszającym się samolocie.  
Spojrzał na dwoje spowitych w biel mri. Otaczała ich platanina rur oraz połączeń z monitorującymi urządzeniami automedu. Podtrzymywano ich życie w sposób, który wydałby się im wstrętny, gdyby o tym wiedzieli.  
Będą jednak mieli szansę się dowiedzieć.  
- Wyjdą z tego oboje - oznajmił medyk, po czym, spoglądając ze zmarszczonymi brwiami na pokryte prześcieradłem cielsko leżące z tyłu samolotu, dodał: - Ten regul był wyższym urzędnikiem z Nomu. Miał stosunki. Nie uniknie się pytań.  
- Nie uniknie się pytań - powtórzył Duncan cichym głosem, po czym spojrzał na mri, zapominając o medyku. Siedział z podwiniętymi nogami. Wciąż miał na sobie wystrzępione, prowizoryczne szaty, jego myśli zaś przebywały gdzieś indziej. Wreszcie medyk zostawił go samego, by pomówić z załogą.  
Jej członkowie nie rozmawiali z nim wiele, po pierwszej chwili radości wywołanej faktem, że odnaleźli go żywego. Być może odstraszył ich niezwykle wygląd człowieka, który wrócił żywy z pustyni Kesrith, przebywał w towarzystwie mri i z wielką gwałtownością upierał się, że posiada należący do nich skarb.  
Dotknął czoła Melein i wygładził metaliczny brąz jej włosów.  
Dostrzegł na monitorach stały puls, co upewniło go, że oboje żyją. Złociste oczy dziewczyny otworzyły się. Migotki cofnęły się powoli. Wydawało się, że bada ona dziwne otoczenie, które dostrzegała w ciągu krótkich chwil przytomności, odkrywa na nowo niezwykłość, wśród której odnaleźli schronienie. Była dziwnie spokojna, jak gdyby pogodziła się ze swą obecnością w tym miejscu. Duncan ujął jej długie, szczupłe palce w

dłoń.

Uścisnęła ją słabo.

- Z Niunem wszystko w porządku - poinformował ją. Nie był pewien, czy go

zrozumiała, gdyż nawet nie mrugnęła. - Tutaj jest przedmiot, o który ci chodziło

- dodał. Nie

spojrzała jednak w ową stronę. Zapewne wszystkie te troski były dla niej

odległe, gdyż oboje

znajdowali się pod silną narkozą.

- Kel'enie - szepnęła.

- She'pan? - odparł. Być może pomyliła go z Niunem.

- Dostaniemy statek - powiedziała - który zabierze nas z Kesrith.

- Dostaniecie - zapewnił ją. Doszedł do wniosku, że powiedział

prawdę.

Wojna się skończyła. Uwolnili się od reguli. Ludzki statek - na pewno jakiś się

znajdzie - będzie dla nich szansą. To było wszystko, o co mri

kiedykolwiek

prosili tsi'mri.

- Dostaniecie go - powtórzył. Ponownie zamknęła oczy.

- Shon'ai - szepnęła ze słabym, wymuszonym uśmiechem. Duncan nie znał tego

słowa, pomyślał jednak, że chciała wyrazić zgodę.

Pokład się pochylił. Schodzili do lądowania.

Powiadomił ją o tym.